

JODI
PICOULT
PÓŁ ŻYCIA

Przełożyła Magdalena Moltzan

Prószyński i S-ka

*Dla Josha, Alexa i Matthew Picoult
Ciocia Was kocha. Bardzo.*

PROLOG

Wszystkie opowieści są o wilkach. Wszystkie, które warto powtarzać. Pozostałe to sentymentalne brednie (...). Pomyśl tylko. Jest ucieczka przed wilkami, walka z wilkami, pojmanie wilków, oswojenie wilków. Bycie rzuconym wilkom na pożarcie, rzucanie innych wilkom, żeby wilki zjadły ich, nie Ciebie. Ucieczka z wilkami. Zamiana w wilka. I najlepsze, przemiana w wilka przewodnika. Nie ma innych przyzwoitych historii.

Margaret Atwood, *Ślepy zabójca* (2000)

przełożyła Małgorzata Hesko-Kołodzińska

LUKE

Teraz myślę, może nie powinienem wypuścić tygrysa.

Z resztą poszło łatwo: zadowolona, ociężała para słoń, wściekła kapucynka splunęła mi pod nogi, kiedy szczeniłem rygłem, śnieżnobiałe araby, których oddech zawisł w przestrzeni między nami niczym pytania bez odpowiedzi. Ludzie nie doceniają zwierząt, a już najmniej cyrkowi treserzy, jednakże z chwilą, gdy ujrzały mnie w półmroku przed klatką, wiedziałem, że zrozumieją. Dlatego nawet najhałaśliwsze z nich – papugi zmuszane do latania kretyńskim obłokiem nad głowami pudli – bezszelestnie bijąc skrzydłami, wyległy na zewnątrz.

Miałem dziewięć lat i do Beresford w stanie New Hampshire przyjechał Niesamowity Namiot Cudów Władysława – co samo w sobie zakrawało na cud, bo nic nie przyjeżdżało do Beresford, z wyjątkiem narciarzy, gdy mylili drogę, i dziennikarzy w czasie przedwyborczych spotkań prezydenckich, którzy zatrzymywali się na kawę w sklepie wielobranżowym Hama lub odlewali na stacji benzynowej. Prawie wszyscy moi kumple usiłovali przecisnąć się przez szpary w prowizorycznym ogrodzeniu wzniesionym przez cyrkowców, aby na gapę obejrzyć przedstawienie. Ja też poznałem cyrk właśnie spod ławki, podglądając między stopami „legalnych” widzów z moim najlepszym kolegą Louisem.

Kopułę namiotu wymalowano od wewnątrz w gwiazdy. To typowe dla miastowych, którzy nie rozumieli, że wystarczyło rozłożyć namiot, aby ujrzeć nad sobą prawdziwy nieboskłon. Dorastałem pod gołym niebem. Nie sposób mieszkać tam, gdzie ja – na skraju puszczy Gór Białych – bez biwakowania i patrzenia na niebo nocą. Kiedy przyzwyczajał się wzrok, wyglądało jak odwrócona do góry dnem misa z brokatem, niczym widok ze środka śnieżnej kuli. I było mi żal cyrkowców, którzy musieli improwizować z szablonami.

Przyznaję, że nie mogłem oderwać wzroku od obszytego czerwonymi cekinami fraka mistrza ceremonii i niebotycznych nóg tancerki na linie. Kiedy zrobiła szpagat w powietrzu i wylądowała z nogami oplecionymi wokół liny, Louis wypuścił wstrzymywany oddech. Szczęśliwa lina, powiedział.

Następnie wpuszczono zwierzęta. Najpierw konie, łuskające gniewnym okiem. Potem małpę w nedorzecznym stroju herolda, która wskoczyła na siodło pierwszego rumaka i szczerząc zęby do publiczności, jeździła w kółko po arenie. Psy skakały przez obręcze, słońce tańczyły tak, jakby znajdowały się w innej strefie czasowej, tęczyowy obłok ptaków.

Wreszcie zjawił się tygrys.

Oczywiście narobili dużo szumu. Jaki niebezpieczny, i żebyśmy nie robili tego na własną rękę, i takie tam. Kiedy podniesiono właz klatki, treser o gąbczastym, piegopatym licu stanął pośrodku areny. Tygrys ryknął i nawet z daleka poczułem jego rosołowy oddech.

Wskoczył na metalowy podnózek i zamachnął się łapą. Na rozkaz stanął na tylnych nogach i obrócił się wokół własnej osi.

Wiedziałem co nieco o tygrysach... na przykład, gdyby je ogolić, skóra też byłaby pręgowana. I każdy ma z tyłu na uszach białe plamki, jakby miał cię na oku, nawet gdy się odwróci plecami.

Do tego ich miejsce jest w dziczy. Nie tu, w Beresford, przy wtórze krzyków i oklasków tłumu.

W tamtej chwili stały się dwie rzeczy. Po pierwsze, zrozumiałem, że już chyba nie lubię cyrku. Po drugie, tygrys spojrział prosto na mnie, jakby od początku wiedział, gdzie jestem... odgadłem w lot, czego pragnie.

Po wieczornym przedstawieniu cyrkowcy poszli nad jezioro za szkołą podstawową, aby się napić, zagrać w pokera i popływać. Znaczyło to, że większość przyczep zaparkowanych z tyłu

świeciła pustką. Zostawili strażnika – kawał chłopca z ogolonym łbem i kółkiem w nosie – ale chrapał w najlepsze z pustą butelką po wódce stojącą obok. Wśliznąłem się niezauważony.

Nawet z perspektywy czasu nie umiem wytłumaczyć, co mnie do tego podkusiło. Chodziło o coś między mną a tygrysem, o świadomość, że ja jestem wolny, a on nie.

O fakt, że jego nieprzewidywalne, dzikie życie sprowadzono do przedstawienia o trzeciej po południu i siódmej wieczorem.

Najtrudniej było otworzyć klatkę małpy. Z większością poradziłem sobie szpikulcem do lodu zwędzonym z barku dziadka. Szybko i bezszelestnie wypuściłem zwierzęta, odprowadzając je wzrokiem w ciemność. Chyba rozumiały konieczność zachowania dyskrecji, bo nawet papugi ulotniły się bez najmniejszego hałasu.

Tygrysa zostawiłem sobie na koniec. Przyszło mi do głowy, że pozostałe zwierzęta muszą mieć co najmniej kwadrans przewagi, zanim poślę za nimi drapieżnika. Dlatego kucnąłem przed klatką i rysowałem kamykiem po piasku, kontrolując czas na zegarku. A gdy tak siedziałem, opodal przeszła kobieta z brodą.

Od razu mnie zobaczyła.

– No, no – powiedziała, chociaż nie widziałem jej ust w gęstwinie zarostu. Ale nie zapytała mnie, co robię, i nie kazała mi się wynosić. – Uważaj – dodała. – On sika.

– Musiała zauważyć nieobecność pozostałych zwierząt – klatki zostawiłem otwarte na oścież – ale tylko spoglądała na mnie długą chwilę, po czym weszła po schodkach do swojej przyczepy. Wstrzymałem oddech w obawie, że wezwie policję, ale usłyszałem tylko radio. Skrzypce. I z przyczepy dobiegł jej głęboki baryton.

Powiem wam, że do dzisiaj pamiętam zgrzyt metalu, gdy otwierałem jego klatkę. To, że otarł się o mnie jak kotek, by zaraz jednym susem przesadzić płot. I smak strachu, kiedy zrozumiałem, że dostanę za swoje.

Ale... nie dostałem. Kobieta z brodą nie wspomniała o mnie ani słóweczkiem i zrzucono winę na czyścicieli klatek. Poza tym w miasteczku wybuchło rano zamieszanie związane z wyłapywaniem zbiegłych zwierząt. Słonie pluskały się w fontannie po tym, gdy przewróciły marmurowy pomnik Franklina Pierce'a. Małpę znaleziono w miejscowej jadłodajni, gdzie dorwała się do czekoladowego tortu. Psy grzebały w śmietniku za kinem, a konie się rozproszyły. Jednego złapano, gdy galopował główną ulicą miasta. Jeden zawędrował na pastwisko i pasł się z krowami. Jeden pokonał ponad piętnaście kilometrów i dotarł aż na stok narciarski, i tam wypatrzył go helikopter. Spośród trzech papug dwie przepadły jak kamień w wodę, a jedna przycupnęła na dzwonnicy kościoła.

Oczywiście tygrys zapadł się pod ziemię. Stanowiło to poważny problem, gdyż zbłąkana papuga i drapieżnik na wolności to dwie różne rzeczy. Gwardziści przeczesywali puszcę i na trzy dni zamknięto szkoły. Louis przyjeżdżał do mnie na rowerze z porcją najświeższych doniesień, że tygrys zabił tuczniaka pana Woltmana, naszego dyrektora, dwuletnie dziecko...

Nie podobała mi się myśl, że zabił cokolwiek. Wyobrażałem sobie, że w ciągu dnia śpi wysoko na drzewie, a nocą podąża według mapy gwiazd.

Sześć dni po tym, kiedy wypuściłem cyrkowe zwierzęta, świeżo upieczony gwardzista, Hopper McPhee, znalazł ostatniego uciekiniera. Płynął rzeką Ammo-noosuc, z pyskiem i łapami wciąż umazanymi krwią po upolowaniu jelenia. Według Hoppera McPhee, tygrys rzucił się na niego z pazurami i chciał go zabić, dlatego musiał strzelać.

Bardzo wątpię. Po takiej wyzerce musiał być ospały i z pewnością syty. Ale nie mam wątpliwości, że rzucił się na Hoppera McPhee, bo – jak wspomniałem – ludzie nie doceniają zwierząt. Widząc wymierzoną w siebie luźną, tygrys rozumiał, co się święci.

Że pozbawią go widoku rozgwieżdżonego nieba.

Że znów zamkną go do klatki.
I co? Wybrał.

Wchodzisz między wilki, rób jak one.
Nikita Chruszczow, radziecki premier,
wypowiedź przytoczona w „Observerze”,

26 września 1971

CZĘŚĆ PIERWSZA

CARA

Zanim nasza ciężarówka wpada na drzewo, przypominam sobie swoją pierwszą próbę ratowania czyjegoś życia.

Miałam trzynaście lat i właśnie wprowadziłam się z powrotem do ojca. Moje ubrania wprawdzie znów zawisły w dawnym pokoju, ale ja zamieszkałam z plecakiem w przyczepie na północnym krańcu redmondzkiego Parku Dinozaurów. Mieszkały tam wilki ojca wraz z gibbonami, sokołami, spasionym lwem oraz mechanicznym tyranozaurom, ryczącym o pełnej godzinie. Ponieważ ojciec spędzał tam dziewięćdziesiąt dziewięć procent swojego czasu, oczywiste było, że pójde jego śladem.

Uważałam, że to lepsze rozwiązanie od pobytu z mamą, Joem i cudownymi bliźniętami, ale nie poszło tak gładko, jak myślałam. Wyobrażałam sobie chyba wspólne smażenie naleśników z tatą w niedzielne poranki, granie w karty i spacery po lesie. Owszem, tata spacerował po lesie, lecz las znajdował się w zagrodzie, wybudowanej dla wilków, a tata zachowywał się jak jeden z nich. Tarzał się w błocie z Sibó i Sobagw, unikał Pekedy, bety stada. Jadł surowego cielaka z wilkami u boku, mając zakrwawione usta i dłonie.

Wierzył, że infiltracja watahy jest bardziej pouczająca niż obserwacja z daleka za przykładem biologów. Kiedy się wprowadziłam, pięć watah zdążyło go zaakceptować jako pełnoprawnego członka – mógł z nimi mieszkać, jeść i polować, mimo że był człowiekiem. Z tego powodu niektórzy uważali go za geniusza. Inni za wariata.

Kiedy zostawiłam mamę i jej nową rodzinę, tata niezupełnie czekał na mnie z otwartymi ramionami. Siedział z Mestawe, która pierwszy raz spodziewała się młodych, i usiłował pozyskać jej zaufanie, żeby wybrała go na opiekuna swojego potomstwa. Nawet tam spał, ze swoją wilczą rodziną, podczas gdy ja przesiadywałam do późna i oglądałam telewizję. W przyczepie czułam się samotna, lecz w pustym domu byłoby mi jeszcze gorzej.

Latem w okolicy roilo się od turystów, ale w marcu głupi tyranozaur ryczał do pustego parku. Jedynymi osobami, które tkwiły tutaj poza sezonem, był mój tata opiekujący się wilkami oraz Walter, dozorca i jego zastępca. Czułam się jak w widmowym mieście, więc po szkole zaczęłam włóczyć się przy zagrodach, a Bedagi, tester, kroczył po drugiej stronie płotu, oswajając się z moim zapachem. Patrzyłam, jak ojciec wykopuje jamę do porodu dla Mestawe, i opowiadałam mu o kapitanie drużyny futbolowej, którego przyłapano na ściąganiu, i oboistce ze szkolnej orkiestry, która zaczęła nosić tuniki i podobno jest w ciąży.

W rewanżu tata opowiadał mi, dlaczego martwi się o Mestawe: była młoda i nie polegał zbytnio na jej instynkcie. Nie miała wzoru do naśladowania, który nauczyłby ją bycia dobrą matką, to jej pierwsza ciąża. Czasem wilczyca porzucała młode, gdyż było to dla niej jedyne wyjście z sytuacji.

Kiedy urodziła, zdawało się, że wszystko idzie jak z płatka. Ojciec uczył to butelką szampana i pozwolił mi wypić jeden kieliszek. Chciałam zobaczyć maluchy, ale odparł, że miną tygodnie, zanim się pokażą. Mestawe spędzi cały tydzień w jamie, karmiąc co dwie godziny.

Zaledwie dwa dni później obudził mnie w środku nocy.

– Cara – powiedział. – Potrzebuję twojej pomocy.

Naciągnęłam kurtkę i buty, i pobiegłam za nim do jamy, gdzie miała leżeć Mestawe. Sęk w tym, że nie leżała. Włóczyła się, byle jak najdalej od młodych.

– Próbowałam wszystkiego, żeby ją zwiabić z powrotem, ale nie chce – wyjaśnił rzeczowo. – Mamy jedyną okazję, żeby uratować młode.

Zanurkował w jamie i wyszedł z dwoma małymi, pomarszczonymi szczurkami. Przynajmniej tak wyglądały: oczka miały zaciśnięte i wiły się w jego rękach. Podał wilczki mnie:

wsunęłam je za pazuchę, a on wrócił po resztę. Jeden wyglądał gorzej od pozostałych trzech; nie ruszał się i zamiast mruczeć, tylko z rzadka posapywał.

Poszliśmy do szopy z narzędziami, stojącej za przyczepą. Kiedy spałam, powyrzucał wszystkie graty na śnieg i podłoga wewnątrz była teraz wyłożona sianem. Wewnątrz niedużego kartonu leżał puszysty koc w czerwonej kratkę.

– Włóż je do środka – polecił ojciec, a ja zrobiłam, co kazał. Gorąca butelka pod spodem ogrzała koc i trzy młode zaraz zaczęły się mościć. Czwarty był zimny jak lód, więc zamiast położyć go obok rodzeństwa, wsunęłam go pod kurtkę i przytuliłam do piersi.

Ojciec wrócił z butelkami pełnymi esbilacu, czegoś w rodzaju mleka modyfikowanego, ale dla zwierząt. Sięgnął po wilczka w moich objęciach, ale nie chciałam go puścić.

– Nakarmię resztę – oznajmił, i kiedy ja przekonywałam małego, żeby liznął choćby parę kropelek, pozostałe trzy wypily wszystko aż do denka.

Karmiliśmy młode co dwie godziny. Następnego ranka nie poszłam do szkoły, a tata nie oponował. Nie ulegało wątpliwości, że robimy tutaj coś ważniejszego niż to, czego mogę się nauczyć w klasie.

Trzeciego dnia nadaliśmy im imiona. Ojciec wierzył w nadawanie niezwykłych imion niezwykłym stworzeniom, dlatego wszystkie pochodziły z języka Abenaków. „Nodah”, które znaczyło „Usłysz mnie”, przypadło największemu z gromadki, hałaśliwemu, czarnemu wulkanowi energii. Kina, inaczej „Spójrz tutaj”, wiecznie zaplątywał się w sznurowadła i wiązał pod pokrywą kartonu, a Kita, lub „Posłuchaj”, trzymał się na uboczu i nic nie umykało jego uwadze.

Ich siostrzyczce nadałam imię Miguen, czyli „Piórko”. Zdarzało się, że piła tak samo jak bracia, i wierzyłam, że najgorsze minęło, ale potem wiotczała mi w objęciach i znów musiałam ją masować i wkładać pod bluzę.

Byłam tak wykończona, że ledwo widziałam na oczy. Czasem zasypiałam na stojąco, zapadałam w krótką drzemkę, by zaraz znów się ocknąć. Nie rozstawałam się z Miguen ani na chwilę. Obudziwszy się o czwartej w nocy, napotkałam wzrok ojca: patrzył na mnie z miną, jakiej jeszcze nigdy u niego nie widziałam.

– Kiedy się urodziłaś – powiedział – też nie chciałem cię puścić.

Dwie godziny później Miguen zaczęła dygotać. Błagałam tatę, żebyśmy pojechali do weterynarza, do szpitala, gdziekolwiek. Płakałam tak strasznie, że zapakował pozostałe wilczki do kartonu i zaniósł je do swojej wysłużonej ciężarówki. Karton stał między nami na przednim siedzeniu, a Miguen trzęsa się pod moją kurtką. Ja też się trzęsłam, choć nie jestem pewna, czy z zimna, czy może ze strachu przed tym, na co się zanosilo.

Umarła, zanim dojechaliliśmy do weterynarza. Od razu wiedziałam, zrobiła się lżejsza w moich ramionach. Jak skorupka.

Zaczęłam krzyczeć. Nie mogłam znieść myśli o Miguen, martwej tak blisko mnie.

Ojciec zabrał ją i owinął w swoją flanelową koszulę, a następnie umieścił na tylnym siedzeniu, poza zasięgiem mojego wzroku.

– W lesie nie przeżyłaby nawet jednego dnia – tłumaczył uspokajająco. – Tylko dzięki tobie wytrwała tak długo.

Marne pocieszenie. Wybuchłam głośnym płaczem.

Nagle karton z małymi znalazł się na tablicy rozdzielczej, a ja w ramionach taty. Pachniał miętą i śniegiem. Po raz pierwszy w życiu rozumiałam, dlaczego nie może zerwać z nałogiem, jakim była dla niego więź z wilkami. W porównaniu z czymś takim czy to ważne, że zapomina! odebrać pranie i przyjść na konsultację z wychowawcą?

Na wolności, mówił, wilczyca przechodzi trudną szkołę życia. Lecz w niewoli, gdzie

młode rodzą się tylko co trzy lub cztery lata, panują inną zasadą. Nie można stać z założonymi rękami i patrzeć, jak umierają.

– Natura dopomina się o swoje – podsumował. – Ale to nam wcale nie ułatwia sprawy, prawda?

Przed przyczepą mojego ojca w Redmond stoi drzewo, czerwony klon. Posadziliśmy go latem po śmierci Miguen, w miejscu, gdzie ją pochowaliśmy. Cztery lata później to samo drzewo zdaje się pędzić prosto na nas. I uderzamy w nie czołowo.

Kobieta klęczy obok mnie.

– Ocknęła się – stwierdza. W oczach mam deszcz, czuję dym i nie widzę ojca.

– Tato? – Słyszę to tylko w mojej głowie.

Moje serce bije po niewłaściwej stronie. Patrzę na pulsujący bark.

– Wygląda na złamanie łopatki i pewnie połamane żebra. Cara? Masz na imię Cara?

Skąd ona to wie?

– Miałaś wypadek – mówi kobieta. – Zabieramy cię do szpitala.

– Mój... ojciec... – wykrztuszam. Każde słowo wierci jak nóż wbity w ramię.

Odwracam głowę, żeby go znaleźć, i widzę strażaków, polewających z węża ognistą kulę, która była jego ciężarówką. Woda na mojej twarzy to nie deszcz, tylko mgiełka ze strumienia pod ciśnieniem.

Nagle sobie przypominam: pajęczyna roztrzaskanej szyby, ślizg samochodu, zapach benzyny. I że nie odpowiedział, gdy go zawołałam. Dygoczę.

– Jesteś bardzo dzielna – mówi kobieta. – Wywlec ojca z samochodu w takim stanie...

Oglądałam kiedyś w TV wywiad z nastolatką – podniosła lodówkę przygniatającą jej małego kuzyna. Adrenalina i te sprawy.

Odchodzi strażak, który zasłaniał mi widok, i widzę drugą grupkę ratowników wokół ojca, leżącego nieruchomo na ulicy.

– Gdyby nie ty – dodaje kobieta – twój tata mógłby nie żyć.

Potem przyjdzie mi do głowy, czy to nie z powodu tych słów zrobiłam to, co zrobiłam. Ale teraz po prostu zaczynam płakać, bo wiem, że nie ma nic bardziej dalekiego od prawdy.

LUKE

Bez przerwy zadają mi pytanie: Jak mogłeś tego dokonać? Jakim cudem porzuciłeś cywilizację i rodzinę w celu zamieszkania w kanadyjskiej puszczy z watahą dzikich wilków? Jak mogłeś wyrzec się prysznica, kawy, kontaktu z drugim człowiekiem, rozmowy, dwóch lat życia swoich dzieci?

No cóż, nie tęsknisz za prysznicem, jeśli mydło zabija zapach, po którym cię rozpoznają.

Nie tęsknisz za kawą, jeśli cały czas masz napięte wszystkie zmysły bez jej udziału.

Nie tęsknisz za kontaktem z drugim człowiekiem, kiedy grzejesz się w ciepłe wilczych braci. Nie tęsknisz za rozmową, gdy uczysz się ich języka.

Nie porzucasz rodziny. Zyskujesz kolejną.

Dlatego prawdziwe pytanie nie brzmi, dlaczego zostawiłem ten świat, aby zamieszkać w lesie.

Sęk w tym, co skłoniło mnie do powrotu.

GEORGIE

Zawsze obawiałam się telefonu ze szpitala. Tak jak podejrzewałam, dzwoni w środku nocy.

– Tak? – Siadam, zapominając na chwilę, że mam nowe życie, drugiego męża.

– Kto to? – pyta Joe, przewracając się na drugi bok.

Ale nie dzwonią w sprawie Luke'a.

– Jestem matką Cary – potwierdzam. – Co się stało?

– Miała wypadek samochodowy – informuje pielęgniarka. – Doznała poważnego pęknięcia barku. Jej życiu nic nie zagraża, ale musi przejść operację...

Wyskakuję z łóżka, po omacku szukam spodni.

– Zaraz będę – rzucam do słuchawki.

Joe siada na łóżku i zapala światło.

– Chodzi o Carę – mówię. – Miała wypadek samochodowy.

Nie pyta, dlaczego nie powiadomili Luke'a, który jest jej opiekunem prawnym. Może powiadomili. Ale może go nie ma, jak zawsze. Wciążam sweter i wkładam buty, usiłując skupić się na sprawach praktycznych i nie ulec emocjom.

– Elizabeth nie lubi naleśników na śniadanie, a Jackson musi zanieść zgodę na wycieczkę klasową. – Podnoszę głowę. – Ty rano nie musisz być w sądzie?

– O mnie się nie martw – odpowiada łagodnie Joe.

– Zajmę się bliźniętami, sędzią i całą resztą. Ty zajmij się Carą.

Czasem nie wierzę własnemu szczęściu, że jestem żoną tego człowieka. Czasem myślę, że zasłużyłam na to po tylu latach małżeństwa z Lukiem. Czasem jednak – na przykład teraz – czuję, że jeszcze przyjdzie mi za to zapłacić.

Gdy wpadam do szpitala, w izbie przyjęć jest niewiele osób.

– Cara Warren – wykrztuszam. – Przywieziono ją karetką, to moja córka.

Pospiesznie wyrzucam sylaby.

Pielęgniarka prowadzi mnie przez drzwi w głąb korytarza przeszklonych sal, zacienionych zasłonami. Niektóre drzwi są otwarte. Widzę starą kobietę w szpitalnej koszuli, siedzącą na łóżku. Mężczyznę w dżinsach rozciętych do kolana, z uniesioną spuchniętą kostką. Usuwamy się z drogi, kiedy obok przewożą na wózku ciężarną, skupioną na miarowym oddechu.

To Luke nauczył Carę prowadzić samochód. Na przekór wrodzonej lekkomyślności, w kwestii bezpieczeństwa córki był nieugięty. Zamiast obowiązkowych czterdziestu godzin jazdy przed egzaminem na prawo jazdy zmusił ją do pięćdziesięciu. Cara jest przezornym, ostrożnym kierowcą. Ale co robiła tak późno na drodze w dzień powszedni? Ona spowodowała wypadek? Ucierpiał ktoś oprócz niej?

Wreszcie pielęgniarka odsuwa jedną zasłonę. Cara leży na łóżku, jakby skurczona i ledwo żywa ze strachu. Na jej ciemnych włosach, twarzy i swetrze jest krew. Rękę ma przybandażowaną ciasno do tułowia.

– Mamusiu – szlocha. Nie pamiętam, kiedy ostatnio mnie tak nazwała.

Wydaje okrzyk, kiedy otaczam ją ramionami.

– Wszystko będzie dobrze – mówię.

Podnosi na mnie wzrok, leci jej z nosa.

– Gdzie tata?

Te słowa nie powinny mnie boleć, ale bołą.

– Na pewno go powiadomili.

Nagle wchodzi lekarka.

– Czy to pani jest mamą Cary? Potrzebujemy zgody na przeprowadzenie operacji. –
Dodaje coś jeszcze – wyłapuję słowa „łopatka” i „pierścień rotatorów” – po czym wręcza mi kartę do podpisania.

– Gdzie tata? – krzyczy Cara.

Lekarka odwraca się do niej.

– Jest pod dobrą opieką – odpowiada i dociera do mnie, że Cara nie jechała sama.

– Luke też tam był? Nic mu nie jest?

– Jest pani jego żoną?

– Była – precyzuję.

– W takim razie nie mogę ujawnić żadnych informacji. Takie przepisy. Ale owszem – przyznaje. – Jest w naszym szpitalu. – Patrzy na mnie, ścisząc głos, żeby Cara nie słyszała. – Musimy powiadomić jego najbliższą rodzinę. Ma żonę? Rodziców? Czy mogłaby pani do kogoś zadzwonić?

Luke nie ożenił się drugi raz. Wychowali go dziadkowie, którzy umarli przed laty. Gdyby to od niego zależało, kazałby mi zadzwonić do Waltera, żeby nakarmił wilki.

Ale może nie zależy. Może właśnie tego nie może – nie chce – powiedzieć mi lekarka.

Zanim mam czas odpowiedzieć, wchodzi dwie sanitariuszki i odsuwają łóżko Cary od ściany. Czuję, jakby grunt umykał mi spod nóg, w głowie szumią mi pytania, które powinnam zadać, i fakty, które należałoby potwierdzić, nim odwiozą ją na salę operacyjną, lecz działanie pod presją nigdy nie należało do moich mocnych stron. Uśmiecham się z przymusem i ściskam wolną rękę Cary.

– Nigdzie się stąd nie ruszę! – zapewniam trochę zbyt dziarskim tonem. Po chwili zostaje sama w sterylnej sali, cisza dźwięczy w uszach.

Sięgam do torebki po komórkę. Ciekawe, która może być godzina w Bangkoku.

LUKE

Wataha jest jak mafia. Każdy ma tutaj swoje miejsce, każdy musi robić swoje.

Wszyscy słyszeli o alfie, przywódcy stada. To ojciec chrzestny, mózg, obrońca i ten, który mówi pozostałym, dokąd mają iść, gdzie polować i na co. Alfa podejmuje decyzje, jest *capo di tutti capi*¹, który z odległości trzech metrów wychwyci zmianę tętna ofiary. Ale daleko mu do twardego służbisty, jakiego pokazują w filmach. Jest zbyt cenny jako decydent, żeby się narażać.

I dlatego przed każdym alfą stoi beta, czyli goryl. Beta to nieustraszony zabijaka, agresja w czystej postaci. Podejdiesz za blisko do szefa, to popamiętasz. Nie jest niezastąpiony; jego śmierć nie zrobi na nikim wrażenia, bo zawsze znajdzie się inny twardziel na jego miejsce.

Jest również tester, ostrożny i podejrzliwy, który nikomu nie ufa. Wszędzie go pełno; wypatruje zmiany, każdego odstępstwa od normy, aby w razie potrzeby powiadomić alfę. Jego czujność jest nieodzowna dla bezpieczeństwa watahy. Jest też swoistym kontrolerem jakości: jeśli ktoś w stadzie miga się od obowiązków, tester prowokuje sytuację, gdy tamten ma pokazać, ile jest wart – na przykład musi zmierzyć się z betą. Jeżeli beta nie zdoła go powalić, przestaje zasługiwać na swoje miano.

Odludkowi nadawano różne nazwy, począwszy od Kopciuszka, na omedze skończywszy. Choć wcześniej przypisywano mu rolę kozła ofiarnego z miejscem na najniższym szczeblu w hierarchii, dzisiaj wiemy, że odgrywa kluczową rolę. Niczym mały, łebski prawnik na usługach mafii, który wnosi szczyptę humoru i potrafi studzić emocje, omega jak nikt rozładowuje wewnętrzne konflikty stada. Gdy dwa wilki biorą się za łby, omega wchodzi między nich i zaczyna błaznować dopóty, dopóki tamci trochę nie ochłoną. Wreszcie każdy wraca bez uszczerbku do swoich zajęć. Omedze daleko do Kopciuszka, który zawsze dostaje baty: odgrywa istotną rolę rozjemcy. Bez niego wataha nie mogłaby funkcjonować, bo wszyscy bez przerwy skakaliby sobie do oczu.

Mówcie o mafii, co chcecie, lecz taki układ się sprawdza, ponieważ każdy ma konkretną rolę do odegrania. Robi, co do niego należy, dla wyższego dobra organizacji. I bez wahania nadstawiłby karku za pozostałych.

Drugi powód, dla którego wataha przypomina mafię?

Dla obu nie ma nic ważniejszego od rodziny.

EDWARD

Zdziwilibyście się, jak łatwo odstawać w dziewięciomilionowym mieście. Ale, bądź co bądź, jestem *parangiem*. Widać to po moim nieformalnym nauczycielskim stroju – koszuli z krawatem – i po jasnych włosach, lśniących w bezmiarze czerni jak latarnia morska.

Garstka moich uczniów ma dzisiaj konwersacje. Pracują w parach i mają odegrać scenkę między klientem i sprzedawcą.

– Są ochotnicy? – pytam.

Odpowiadają mi świerszcze.

Tajowie są patologicznie nieśmiali, co w połączeniu z obawą przed utratą twarzy w razie złej odpowiedzi sprawia, że lekcja dłuży się w nieskończoność. Przeważnie proszę uczniów o pracę w małych grupach, po czym chodzę od jednej do drugiej i sprawdzam ćwiczenia. Lecz w dni takie jak ten, gdy oceniam aktywność, chcąc nie chcąc, muszą produkować się przed resztą klasy.

– Jao – zwracam się do jednego z mężczyzn. – Masz sklep zoologiczny i chcesz namówić Jaidee na zakup czworonoga. – Zwracam się do innego ucznia. – Jaidee, ty nie chcesz kupić zwierzęcia. Słuchamy.

Wstają, ściskając zeszyty.

– Polecam kupno psa – zaczyna Jao.

– Jednego już mam – odpowiada Jaidee.

– Świetnie! – zachęcam. – Jao, podaj mu powód, dla którego powinien kupić od ciebie psa.

– To żywy pies – dodaje Jao.

Jaidee wzrusza ramionami.

– Nie każdy potrzebuje żywe zwierzę.

Cóż, bywają gorsze dni.

Zbieram od uczniów zadanie domowe, zanim wylegną z sali, nagle ożywieni i rozgadani w języku, którego po sześciu latach nadal się uczę. Apsara, babcia czworga wnucząt, wręcza mi wypracowanie z tezą i uzasadnieniem. Patrząc na tytuł: „Jedz wegetarian i bądź zdrow jak ryba”.

– Spadam, *Ajarn Edward* – mówi wesoło. Przed rozpoczęciem nauki w szkole językowej próbowała uczyć się angielskiego z seriali. Nie mam serca jej powiedzieć, że to brzydkie wyrażenie.

Od sześciu lat uczę angielskiego w szkole językowej mieszczącej się w największym centrum handlowym, jakie w życiu widziałem, położone około dwudziestu minut taksówką od Bangkoku. Zdobyłem tę pracę przypadkowo – objechałem z plecakiem Tajlandię, mając się po drodze różnych zajęć, by zarobić parę na utrzymanie, po czym w wieku osiemnastu lat wylądowałem za kontuarem w Patpongu. Był to jeden z osławionych tajskich klubów z *katoeyami* – transwestytami, którzy nabrali nawet mnie – a ja próbowałem zaoszczędzić wystarczająco gotówki, by wyjechać z miasta. Jeden z pozostałych barmanów był Irlandczykiem i dorabiał jako nauczyciel w Instytucie Języka Amerykańskiego. Poszukują wykwalifikowanych lektorów, powiedział. Gdy odpowiedziałem, że nie mam kwalifikacji, tylko się zaśmiał.

– Mówisz po angielsku, nie? – odparł.

Obecnie zarabiam czterdzieści pięć tysięcy bahtów. Mam swoje mieszkanie, kilka romansów z tubylcami na koncie i chodzę z innymi emigrantami na drinka do Nany Plazy. Sporo się nauczyłem. Nie należy dotykać niczyjej głowy, gdyż to najwyższa część ciała – w dosłownym i duchowym sensie. W metrze nie wypada zakładać nogi na nogę, bo demonstrujemy w ten sposób podeszwy pasażerom siedzącym naprzeciw – są one dosłownie i duchowo nieczyste, więc

byłby to bardzo obraźliwy gest. Nie podajemy ręki, tylko *wai* – składamy dłonie jak do modlitwy, dotykając nosa czubkami palców. Im wyżej uniesione ręce i głębszy ukłon, tym więcej szacunku okazujemy. „Wai” może służyć jako powitanie, przeprosiny, wyraz wdzięczności.

Trudno nie podziwiać kultury, która jednym gestem wyraża podziękowanie i skruchę.

Ilekoć zaczynam mieć dosyć otoczenia lub nabieram poczucia, że nic się nie zmienia, przywołuję się do porządku. Jestem tutaj jedynie gościem, a tajska kultura i przekonania funkcjonują dłużej ode mnie. To, co dla jednego jest różnicą poglądów, dla drugiego może stanowić karygodny przejaw braku szacunku.

Żałuję, że nie wiedziałem wówczas tego, co wiem teraz.

Nielatwo dotrzeć do Koh Chang. Leży trzysta piętnaście kilometrów autobusem z Bangkoku, a gdy dojedziesz do Trat położonego we wschodnich prowincjach, musisz złapać *songtaew* do jednej z trzech przystani. Ao Thammachat jest najlepsza – tylko dwadzieścia minut promem na wyspę. Lam Ngob jest najgorsza – kutry zamienione na promy czasem wloką się ponad godzinę.

Może to idiotyzm pokonywać taką odległość w czasie dwudniowego urlopu, ale warto. Czasem Bangkok dusi i potrzebuję wytchnienia w mniej zatłoczonym miejscu. Składam to na karb dzieciństwa w zakątku Nowej Anglii wciąż oddalonym o dwie godziny od najbliższego centrum handlowego. Po nocy w tanim hotelu od rana próbuję znaleźć drogę do Khlong Nueng, najwyższego wodospadu na wyspie. Już mam dać za wygraną – jestem mokry jak szczur i chce mi się pić – kiedy naraz drogę zagradza mi największy głaz, jaki kiedykolwiek widziałem. Zgrzytając zębami, zahaczam stopą o występ i zaczynam się na niego wspinać. Buty ślizgają mi się na skale, kaleczę kolano i nekają mnie obawy, jak zejść, ale nie odpuszczam.

Z wysiłkiem docieram na szczyt i zsuwam się po drugiej stronie. Łąduję na dwóch nogach i moim oczom ukazuje się najcudowniejsza kaskada wody, która migocząc, wypełnia jar. Rozbieram się do bokserek i zanurzam w krystalicznej toni. Wpływam pod wodospad, po czym wychodzę na brzeg i kładę się na plecach w oczekiwaniu, aż wysuszy mnie słońce.

Od czasu przyjazdu do Tajlandii doświadczyłem mnóstwa chwil, gdy napotykałem coś tak niewiarygodnego, że pragnąłem podzielić się wrażeniami z drugą osobą. Sęk w tym, że człowiek traci ten przywilej wraz z samotnością. Dlatego robię to, co zawsze, od sześciu lat: wyciągam komórkę i pstrykam zdjęcie wodospadu. Oczywiście nigdy nie ma mnie na zdjęciach. I nie wiem, komu je pokażę, skoro większość moich związków miała krótszy termin ważności niż mleko w kartoniku. Lecz prowadzę ten cyfrowy album – począwszy od pierwszej świątyni, którą zobaczyłem w Tajlandii, misternej i wypełnionej darami, poprzez drewniane penisy w Chao Mae Tuptam, skończywszy na zrośniętych płodach, dryfujących w formalinie w Muzeum Sądownictwa opodal Wat Arun.

Trzymam w ręku telefon i przeglądam zdjęcia, gdy naraz zaczyna wibrować. Zerkam na wyświetlacz – pewnie kolega chce mnie zaprosić na piwo, a może to mój szef z prośbą o zastępstwo lub ktoś, kogo poznałem w ubiegły weekend w Blue Ice Bar. Niesamowite, że zasięg na wygwizdowie w Tajlandii jest lepszy niż w Górach Białych w New Hampshire.

Połączenie zagraniczne.

– Halo? – Podnoszę telefon do ucha.

– Edward – słyszę głos matki. – Musisz przyjechać do domu.

Powrót do Stanów, wypożyczenie samochodu (na co w chwili wyjazdu byłem za młody) i podróż do Beresford w stanie New Hampshire zajmuje mi całą dobę. O dziwo, nie jestem senny, nerwy mi nie pozwalają. Po pierwsze, od sześciu lat nie siedziałem za kółkiem i prowadzenie wymaga pełnego skupienia. Po drugie, odtwarzam w myślach to, co usłyszałem od matki oraz neurochirurga, który operował mojego ojca.

Wjechał samochodem w drzewo.
Znaleziono jego i Carę na zewnątrz.

Cara ma pogruchotany bark.

Ojciec nie reaguje na bodźce, ma powiększoną prawą źrenicę. Nie oddycha samodzielnie. Ratownicy nazwali to rozległym pourazowym uszkodzeniem mózgu.

Matka zadzwoniła do mnie po wyładowaniu. Cara jest po zabiegu; podano jej środki przeciwbólowe i śpi. Policjanci przyszedli ją przesłuchać, ale matka kazała im wyjść. Noc spędziła w szpitalu, jej głos rwał się na strzępy.

Powiem wprost: czasem rozmyślałem o tym, jak wyglądałby mój powrót. Wyobrażałem sobie przyjęcie powitalne w naszym domu: mama upiekłaby mój ulubiony placek (imbirowo-marchwiowy), a Cara zrobiłaby figurkę z lizaków z napisem „Brat nr 1”. Ale oczywiście mama się wyprowadziła, a Cara jest za duża na lizaki i podobne wyglupy.

Pewnie zauważyliście, że w tej wizji zabrakło miejsca dla taty.

Po tylu latach w metropolii Beresford robi na mnie wrażenie widmowego miasta. Jasne, ludzi nie brakuje, ale od nadmiaru pustej przestrzeni kręci mi się w głowie. Najwyższy budynek ma trzy kondygnacje. Z każdego miejsca widać góry.

Parkuję przed szpitalem i wbiegam do środka – mam na sobie dzinsy i bluzę, niezbyt odpowiedni strój jak na tutejszą zimę, ale pozbyłem się ciepłej odzieży. Ochotniczka w izbie przyjęć wygląda jak pianka cukrowa – jest pulchna, miękka i upudrowana. Pytam o salę Cary Warren z dwóch powodów. Po pierwsze, zastanę tam matkę. Po drugie, potrzebuję chwili czasu, zanim znów stanę twarzą w twarz z ojcem.

Cara leży na czwartym piętrze, w sali 430. Czekam, aż zamkną się drzwi windy (kiedy ostatni raz jechałem sam windą?), i biorę kilka głębokich wdechów. Na korytarzu z pochyloną głową mijam pielęgniarki i otwieram drzwi z nazwiskiem Cary na karcie.

Na szpitalnym łóżku śpi kobieta.

Ma długie, ciemne włosy i siniaka na skroni. Unieruchomione ramię przylega ściśle do tułowia. Spod koca wystaje stopa z pomalowanymi na fioletowo paznokciami.

Już nie jest moją małą siostrzyczką. Co tu dużo mówić, ona wcale nie jest mała.

Tak się zagapiłem, że w pierwszej chwili nawet nie zauważam matki. Wstaje, z ręką przyciśniętą do ust.

– Edward? – szepcze.

Wyjeżdżając, już byłem wyższy od niej. A gdy jeszcze nabrałem ciała, jestem bardziej rośły, silniejszy. Jak on.

Wyciąga do mnie rękę. „Sercowe origami”. Tak mówiła, gdy byliśmy mali i wpadaliśmy w jej otwarte ramiona. Wspomnienie kłuje i uwiera jak drzazga, ale odwzajemniam uścisk. Ciekawe, że mimo różnicy wzrostu to ona zdaje się mnie podtrzymywać, a nie odwrotnie.

Czuję się jak Guliwer w świecie Liliputów, za duży na własne wspomnienia. Matką ociera oczy.

– Nie wierzę, że tutaj jesteś.

Mam na końcu języka, iż nie byłoby mnie, gdyby nie wypadek ojca i siostry, ale nic nie mówię.

– Jak ona się czuje? – pytam, wskazując na Carę.

– Jest otumaniona lekami. Jeszcze boli ją po operacji.

– Wygląda... inaczej.

– Ty też.

Chyba wszyscy możemy to o sobie powiedzieć. Na twarzy matki widnieją zmarszczki, na które nigdy nie zwróciłem uwagi, a może ich nie było. Co do ojca... Cóż, nie sposób sobie

wyobrazić, że w ogóle się zmienił.

– Pójdę do taty – mówię.

Matka podnosi torebkę ze zdjęciami dwojga małych pół-Azjatów. Domyślam się, że to bliźnięta. Dziwne uczucie, mieć rodzeństwo, którego się nie zna.

– Dobrze – odpowiada.

Samotność to ostatnia rzecz, na którą mam teraz ochotę. Podobnie jak bycie dorosłym. Ale coś każe mi ją powstrzymać.

– Nie musisz ze mną iść. Nie jestem dzieckiem.

– Widzę. – Nie spuszcza ze mnie wzroku. Jej słowa są zbyt miękkie, jak owinięte we flanelę.

Wiem, co sobie myśli: że tyle ją ominęło. Moje studia. Dyplom. Zwierzenia na temat mojej pierwszej pracy, miłości. Pomoc w urządzaniu pierwszego mieszkania.

– Cara może się obudzić i cię potrzebować – łagodzę cios.

Waha się, ale tylko przez chwilę.

– Wrócisz? – pyta.

Kiwam głową, choć przysięgałem, że to nigdy nie nastąpi.

W którymś momencie życia chciałem zostać lekarzem. Podobała mi się sterylność tego zawodu, jego uporządkowana natura. To, że czasem wystarczy znać symptomy, aby zlokalizować problem i go rozwiązać.

Niestety, do tego trzeba mieć w małym palcu biologię, a gdy po raz pierwszy wręczono mi skalpel i kazano wypatroszyć płód świni, straciłem przytomność.

Sęk w tym, że daleko mi do naukowca. W liceum zatracalem się w książkach, co okazało się przydatne, gdyż dzięki temu pogłębiałem wiedzę po opuszczeniu domu. Założę się, że przeczytałem więcej klasyków niż większość absolwentów wyższych uczelni. Ale wiem też rzeczy, których nie uczą w książkach, na przykład żeby unikać barów na piętrze na Patpong Road, bo są prowadzone przez zbirów, lub chodzić na masaż tylko tam, gdzie przez witrynę można zajrzeć do środka, a unikniemy niespodzianek w postaci niezapowiedzianych „bonusów”. Chociaż nie mam dyplomu, odebrałem niejedną lekcję od życia.

Ale w towarzystwie doktora Saint-Clare czuję się jak idiota. Ciemna masa. Jakbym nie umiał połączyć informacji, których mi udziela.

– Pański ojciec doznał rozległego pourazowego uszkodzenia mózgu – informuje. – Kiedy go przywieziono, miał rozszerzoną prawą źrenicę i nie reagował na bodźce. Miał ranę na czole i nie ruszał lewą stroną ciała. Ledwie oddychał, więc podłączono go do respiratora. Kiedy mnie wezwano, stwierdziłem obrzęk okołoczołowy.

– Słucham?

– Opuchliznę – tłumaczy chirurg. – Wokół oczu. Powtórzyliśmy skalę Glasgow, którą zastosowano na miejscu zdarzenia, i uzyskał pięć punktów. Na podstawie tomografii stwierdzono krwiak w płacie skroniowym, krwotok podpajęczynówkowy oraz wylew dokomorowy mózgu. – Podnosi na mnie wzrok. – Innymi słowy, krew. Wokół mózgu i w komorach, co wskazuje na poważny uraz. Podaliśmy mannitol, aby obniżyć ciśnienie śródczaszkowe, i natychmiast przeprowadziliśmy operację w celu usunięcia krwiaka w płacie skroniowym oraz części obwodowej płata.

Patrzę na niego z osłupieniem.

– Wycięliście mu kawałek mózgu?

– Zredukowaliśmy nacisk, który mógł go zabić – precyzuje lekarz. – Lobektomia skroniowa wpłynie na część jego wspomnień, ale nie wszystkie. Nie wpłynie na ośrodek mowy i nie spowoduje zaburzeń motoryki i osobowości.

Zabrali mojemu ojcu część wspomnień. Tych związanych z jego ukochanymi wilkami? A może z nami? Za którymi tęskniłby bardziej?

– Czy operacja się udała?

– Żrenica znów reaguje na światło, a zator został usunięty. Lecz obrzęk i krwiak spowodowały wgłobienie, czyli przemieszczenie części mózgowia z jednego przedziału anatomicznego do innego, co z kolei doprowadziło do uciśnięcia pnia mózgu i wylewów wtórnych.

– Nie rozumiem...

– Ciśnienie śródczaszkowe spadło – tłumaczy lekarz – ale wciąż nie odzyskał przytomności, nie reaguje na bodźce i nie oddycha samodzielnie. Powtórzyliśmy tomografię, widać, że wylewy w rdzeniu przedłużonym i moście są nieco większe niż podczas pierwszego badania. Dlatego wciąż jest nieprzytomny.

Czuję, jakbym pływał w melasie, jakby słowa płynęły z moich ust w obcym języku.

– Ale wyzdrowieje, prawda? – pytam, bo w gruncie rzeczy nie liczy się nic więcej.

Chirurg składa ręce.

– Czekamy na rozwój sytuacji...

Ale. Jest jedno „ale”, dobrze je słyszę.

– Zmiany, które widzimy, dotyczą części pnia mózgu odpowiedzialnej za oddychanie i świadomość. Możliwe, że pański ojciec na zawsze pozostanie podłączony do respiratora – uzupełnia beznamyślnie doktor Saint-Clare. – Możliwe, że nigdy się nie obudzi.

Kiedy miałem szesnaście lat i właśnie dostałem prawo jazdy, pojechałem na imprezę i zostałem dłużej, niż miałem, łamiąc nakaz rodziców. Zaparkowałem w pewnym oddaleniu od domu, po czym chyłkiem przemknąłem przez trawnik i otworzyłem drzwi w nadziei, że mi się upieczą. Ale gdy wzrok przyzwyczaił się do ciemności, zobaczyłem ojca śpiącego na fotelu w salonie i zrozumiałem, że już po mnie. Zawsze powtarzał, że kiedy mieszkał z wilkami, nigdy nie zasypiał na dobre. Musiał zachować czujność, spać z otwartym okiem na wypadek ewentualnego ataku.

I rzeczywiście, w chwili gdy przestąpiłem próg, zastąpił mi drogę. Nie wyrzekł ani słowa, tylko czekał, aż coś powiem.

– Wiem – rzuciłem. – Mam szlaban.

Ojciec stanął z założonymi rękami.

– Dawno temu rodzice nie spuszczała dzieci z oczu ani na chwilę – oznajmił. – Jeśli szczenię przeszkadza ojcu o drugiej nad ranem, ten nie warczy, by zostawiło go w spokoju i dało mu spać. Siada czujnie, jakby chciał powiedzieć: „Czego chcesz? Dokąd się wybierasz?”

Byłem jeszcze trochę pijany i uznałem, że prawi mi kazania, dając w ten sposób upust złości. Teraz zastanawiam się, czy nie był przypadkiem zły na siebie – za to, że uległ swojej ludzkiej naturze, przymykając na chwilę oboje oczu.

– Mogę go zobaczyć? – zapytałem lekarza.

Prowadzi mnie na OIOM. Pielęgniarka stoi pochylona nad łóżkiem, sprawdza aparaturę.

– Syn pana Warrena, prawda? – mówi. – Jakby ktoś skórę zdarł.

Ale jej słowa ledwo do mnie docierają. Wpatruję się w pacjenta na szpitalnym łóżku.

Zaszała jakaś straszna pomyłka, błysnęła pierwsza myśl. To nie może być mój ojciec.

Bo ten nieruchomy, podłączony do kroplówki człowiek z częściowo ogoloną głową, czaszką owiniętą białym bandażem i rurką w ustach...

Ten osobnik ze szwami na skroni jak potwór Frankensteina i sińcami dokoła oczu...

W niczym nie przypomina człowieka, który zrujnował mi życie.

LUKE

Czerwony Kapturek powinien dostać w skórę.

Ta smarkula i jej babcia rozpuściły tyle kłamliwych pogłosek o wilkach, że doprowadziły do ich niemal całkowitej zagłady. Wiele mitów pochodzi ze średniowiecznego Paryża, gdzie dochodziło do porwań dzieci przez wilki. Dzisiaj uważa się, że były to w istocie hybrydy wilków z psami. Wilk czystej krwi bardziej boi się ciebie niż ty jego. Nie zaatakuje, dopóki nie poczuje się zagrożony.

Niektórzy uważają, że wilki zabijają wszystko na swojej drodze.

W istocie zabijają tylko, żeby jeść. Nawet kiedy atakują stado, nie zabijają wszystkich zwierząt. Alfa metodycznie wyznacza ofiarę.

Niektórzy uważają, że wilki zmniejszą populację jeleni.

W istocie na każde dziesięć polowań zabijają tylko jedno zwierzę.

Niektórzy uważają, że wilki zakradają się na farmy i mordują bydło.

W istocie są to rzadkie przypadki, biolodzy nawet nie uwzględniają ich w statystykach.

Niektórzy uważają, że wilki są niebezpieczne dla ludzi.

W istocie we wszystkich około dwudziestu odnotowanych przypadkach do konfrontacji wilka z człowiekiem doszło za sprawą tego drugiego. I nie udokumentowano ani jednego przypadku, aby zdrowy, dziki wilk zabił człowieka.

Domyślcie się, że za trzema świnkami też nie przepadam.

CARA

Siedzę przy stoliku w naszym parku, ubrana w puchową kurtkę i owinięta kocem. Nikogo nie ma, bo jest luty i park oficjalnie zamknięto, ale główna atrakcja – ruchome dinozaury, których nie sposób przeoczyć – działa jak w sezonie. Wszystko jest ze sobą sprzężone – nie można odłączyć tyranozaura bez pozbawienia prądu całego ośrodka, w tym klatek i wybiegów. Od czasu do czasu, chcąc uciec od rzeczywistości, idę do opustoszałej części parku i patrzę, jak triceratops o pełnej godzinie potrząsa plastikową głową, zrzucając czapę śniegu. Welociraptor wszczynają udawaną bójkę z tyranozaurow, obaj po uda w zaspie. Dziwnie. Jakbym patrzyła na koniec świata. Czasem ich metaliczne ryki płoszą gibony, które też zaczynają się wydzierać.

Z powodu gibbonów właśnie nie słyszę wołania ojca, dopóki nie staje tuż na wprost mnie.

– Cara? Cara! – Ma na sobie zimowy kombinezon, który wiesz na gałęzi przed przyczepą i nigdy nie pierze, ponieważ wilki rozpoznają go po zapachu. Widzę, że niedawno z nimi jadł, bo na końcach długich włosów, które okalają mu twarz, została krew. Zwykle odgrywa rolę omegi, więc ucztuje między alfą i betą. To niezapomniany widok, gdyż wilczy posiłek przypomina walkę gladiatorów. Wszyscy skupiają się wokół padliny i jedzą w wyznaczonym momencie to, co im się należy. Jest przy tym mnóstwo warczenia i kłapania zębami, gdy każdy – nie wyłączając mojego taty – broni swojej części łupu. Ojciec zwykł jadać surowe mięso, jak wilki, lecz z powodu problemów z żołądkiem zaczął gotować swoją porcję nerek i wątroby, a następnie chować je w woreczku za pazuchą i podrzucać do rozciętego brzucha cielaka. Dzięki czemu jadł, nie wzbudzając podejrzeń współbiedniaków.

Na mój widok oddech z ulgą.

– Cara – powtarza. – Już myślałem, że cię straciłem.

Usiłuję wstać i powiedzieć mu, że byłam tutaj cały czas, ale nie mogę. Nogi zaplątały mi się w koc, mam unieruchomione ramiona. Naraz widzę, że to nie koc, tylko bandaż. I to nie ojciec mnie wołał, ale mama.

– Obudziłaś się – mówi. Patrzy na mnie, siląc się na uśmiech.

Czuję, jakby przygniatał mnie słoń. Chcę o coś spytać, ale słowa nie przechodzą mi przez gardło. Nagle pojawia się druga twarz, twarz kobiety, miękka jak z waty.

– Jeśli będzie bolało – mówi – naciśnij tutaj. – Kładzie moją dłoń na guziku. Naciskam.

Chcę spytać o ojca, ale zasypiam.

*** Znowu mi się śni, bo:

Ojciec jest w pokoju, ale to nie mój ojciec, tego kogoś znam tylko ze zdjęć – dokładnie trzech, które matka trzyma w szufladzie z bielizną, pod aksamitną podszewką szkatułki z perłami po babci. Na wszystkich trzech obejmuje ją ramieniem. Jest młodszy i szczuplejszy, ma krótsze włosy.

Obecna wersja ojca patrzy na mnie z miną, jakby mój widok też budził zdumienie.

– Nie odchodź – proszę, z trudem dobywając głos.

Uśmiecha się.

To drugi powód, dla którego wiem, że śnię. Na tamtych zdjęciach tata jest zawsze uśmiechnięty. Oboje z mamą wyglądają na szczęśliwych, co też widywałam tylko na fotografiach.

Nie śpię, ale udaję, że tak. Dwaj policjanci stoją przy łóżku i rozmawiają z mamą.

– Musimy porozmawiać z pani córką, to bardzo ważne – nalega wyższy. – Chcemy ustalić przebieg zdarzeń.

Ciekawe, co ojciec im powiedział. Czuję suchość w gardle.

– Moja córka nie jest w stanie odpowiadać na żadne pytania – mówi sztywno matka.

Wzrok wszystkich trojga pali mnie w twarz.

– Rozumiemy, że liczy się przede wszystkim jej zdrowie, proszę pani.

– W takim razie nie wiem, po co przyszliście – ucina matka.

Oglądam *Prawo i porządek*. Wiem, że wystarczy mikroskopijny odprysk farby, by uziemić kłamiwego bandytę. Czy to rutynowa wizyta, jak w wypadku każdej kraksy? A może coś wiedzą?

Pocę się i serce zaczyna mi mocniej bić. Nagle uświadamiam sobie, że mają mnie jak na widelcu, bo jestem podłączona do maszyny. Wiedząc, że się pogrążam, widzę oczami wyobraźni, jak wszyscy gapią się na monitor.

– Naprawdę myślicie, że jej ojciec celowo doprowadził do wypadku? – pyta mama.

Następuje chwila ciszy.

– Nie – odpowiada jeden z policjantów.

Serce tak mi tłucze, że za chwilę przybiegnie pielęgniarka i zatrąbi na alarm.

– Więc co was sprowadza? – draży matka.

Słyszę szelest i podglądam przez uchyloną powiekę, że policjant wręcza mamie wizytówkę.

– Zechce pani powiadomić nas, kiedy córka odzyska przytomność.

Ich kroki niosą się echem.

Liczę do pięćdziesięciu. Powoli, z przerwami. Następnie otwieram oczy.

– Mamo? – Głos mi się łamie.

Natychmiast siada obok mnie na łóżku.

– Jak się czujesz?

Wciąż boli mnie bark, ale jest znacznie lepiej. Wolną ręką dotykam czoła i czuję pod palcami obrzęk, szwy.

– Boli – mówię.

Mama sięga po moją dłoń. Mam coś przytwierdzone do palca, przez skórę prześwituje czerwona lampka. Jak E.T.

– Złamałaś łopatkę – oznajmia. – W czwartek wieczorem miałaś operację.

– Jaki dzisiaj dzień? – pytam.

– Sobota – mówi.

Straciłam cały piątek.

Próbuję usiąść, co okazuje się niemożliwe z ramieniem przytwierdzonym do boku jak mumia.

– Gdzie tata?

Lekki grymas przecina jej twarz.

– Widziałam go z ratownikami, a potem... potem... – Nie kończę, bo ta cała konspiracja, mina matki i moje halucynacje nagle układają się w jedną całość. – On nie żyje – szepczę. – Nie chcesz mi powiedzieć.

Mocniej ściska moją dłoń.

– Ależ żyje.

– W takim razie chcę go zobaczyć – żądam.

– Caro, jesteś za słaba.

– Do jasnej cholery, pozwól mi go zobaczyć! – krzyczę.

Przynajmniej udaje mi się zwrócić czyjaś uwagę. Do sali wbiega kobieta ze szpitalnym identyfikatorem, ale bez fartucha.

– Uspokój się, Caro.

Jest niska i drobnej budowy, ma czarne sprężynki, które podskakują wraz z każdą sylabą.

– Kim pani jest?

– Mam na imię Trina. Jestem z opieki społecznej, przydzielono mnie do ciebie.

Rozumiem, że nasuwa ci się wiele pytań...

– Owszem, na przykład to, że leżę owinięta jak zasnany faraon, z głową jak potwór Frankensteina, a mój ojciec jest pewnie w kostnicy, więc jak mam się uspokoić?

Matka z Triną wymieniają spojrzenia i od razu wiem, że rozmawiały na mój temat, kiedy leżałam odurzona prochami. Jeśli nie zaprowadzą mnie do taty, pójdę sama. Doczołgam się, jeśli trzeba.

– Twój ojciec doznał bardzo poważnego uszkodzenia mózgu – mówi Trina tonem, jakby informowała mnie, że zapowiada się ostra zima albo że musi wyważyć koła. Mówi to tak, jakby uszkodzenie mózgu nie było niczym gorszym od wrośniętego paznokcia.

– To znaczy?

– Przeszedł operację zmniejszenia obrzęku mózgu. Nie oddycha samodzielnie. Jest nieprzytomny.

– Podobnie jak ja przed pięcioma minutami – kwituję, myśląc jednak, że to wszystko moja wina.

– Zaprowadzę cię do ojca, Caro – ciągnie Trina – ale przygotuj się na wstrząs.

Bo co? Bo leży w łóżku? Bo jest połamany jak ja i opleciony rurkami? Mój ojciec jest w ciągłym ruchu, rzadko siedzi w domu. Wstrząsem jest zobaczyć go śpiącego w fotelu.

Woła pielęgniarkę i sadzają mnie na wózku, co nie należy do przyjemności. Zaciskam zęby. Na korytarzu roznosi się zapach lizolu i czegoś, co zawsze przyprawia mnie o ciarki.

Ostatnio byłam tutaj rok temu. Tata i ja mieliśmy warsztaty z Zazim, wilkiem, z którym czasem jeździmy po szkołach, żeby opowiedzieć o życiu watahy. Tata zawsze odbywa z dziećmi minikurs zachowania w obecności dzikiego zwierza – czyli nie wyciągaj ręki, unikaj gwałtownych ruchów, niech zapozna się z twoim zapachem. I tamtego dnia uczniowie zachowywali się bez zarzutu, podobnie jak Zazi. Ale jakiś półgłówek w innej części budynku dla kawału włączył syrenę alarmową i hałas wystraszył wilka. Zazi rzucił się do ucieczki i trafił chciwie, że najbliżej miał do okna. Tata oplótł go ramionami i koniec końców wypadł przez to okno zamiast wilka. Zazi wyszedł z tego bez szwanku, za to ojciec rozciął sobie rękę aż do kości.

Oczywiście najpierw musiał odtransportować wilka do zagrody. Prowizoryczny opatrunek cały nasiąknął krwią, a roztrzęsiony dyrektor szkoły – przyjechał z nami do parku – uparł się odwiedzić tatę na izbę przyjęć, gdzie założono mu piętnaście szwów. Jednakże zaraz po powrocie do domu tata poszedł do zagrody Nodaha, Kiny i Kity, które wychował od małego i wśród nich był obecnie omegą.

Stałam przy ogrodzeniu, patrząc, jak Nodah skacze na tatę. Od razu rozerwał bandaże zębami, a Kina zaczęła lizać ranę. Byłam pewna, że rozerwie szwy, na co zresztą pewnie liczył tata. Opowiadał mi, jak to w dziczy kaleczył się czasem w czasie polowania, bo nie miał na sobie ochronnego futra jak jego wilczy bracia i siostry. Zwierzęta wylizywały mu wówczas ranę, aż się otwierała. Ojciec nabrał przekonania, że ich ślina ma lecznicze właściwości, bo mimo że spał na gołej ziemi i nie miał dostępu do antybiotyków, przez blisko dwa lata, które spędził w głuszy, ani razu nie nabawił się infekcji, a rany goiły się w mgnieniu oka. Kina lizała, a tata wzdrygnął się parę razy, ale rana przestała krwawić i wyszedł z zagrody. Ruszyliśmy na wzgórze w stronę przyczepy. „Nie cierpię szpitali”, rzucił tonem wyjaśnienia.

Gdy Trina wiezie mnie korytarzem – mama drepcze za nami – mijamy ludzi w gipsie, wspartych na kulach lub balkonikach. Leżę na ortopedii, ale ojciec jest gdzieś indziej. Musimy wsiąść do windy i zjechać na trzecie piętro.

Wchodzimy przez podwójne drzwi, przy których widzę napis OIOM.

Po korytarzu kręcą się tylko lekarze.
Trina przystaje i kuca naprzeciw mnie.
– Czujesz się na siłach?

Kiwam głową.

Wchodzi tyłem do sali, ciągnąc za sobą wózek, po czym odwraca mnie przodem do łóżka.
Tata wygląda jak posąg. Przypomina marmurowego wojownika w greckiej sekcji muzeum – krzepkiego, napiętego i kompletnie pozbawionego wyrazu. Wyciągam rękę i dotykam palcem jego dłoni. Ani drgnie. Jedyłą oznaką życia jest szum maszyn, do których go podłączono.
Ja mu to zrobiłam.

Przygryzam wargę, wiem, że się rozplaczę, i nie chcę robić tego na oczach mamy i Triny.

– Czy on wyzdrowieje? – pytam szeptem.

Mama kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Lekarze nie wiedzą – odpowiada łamiącym się głosem.

Łzy płyną mi po twarzy.

– Tatusiu? To ja. Cara. Obudź się. Musisz się obudzić.

Przez głowę przelatują mi telewizyjne opowieści o sparaliżowanych, którzy niespodziewanie wstają z łóżka i zaczynają chodzić, niewidomi odzyskują wzrok; ojcowie z uszkodzeniem mózgu nagle przytomnieją i z uśmiechem wybaczą ci wszystko.

Słyszę szum wody i otwierają się drzwi do łazienki. Wychodzi młodsza wersja mojego taty, którą wczoraj widziałam w snach, mężczyzna wyciera ręce w spodnie od dresu. Patrzy na matkę, a potem na mnie.

– Cara – mówi. – O rety. Obudziłaś się.

A więc to nie był sen. Poznaje głos, płynący z obcego, dorosłego ciała.

– Co on tutaj robi? – szepczę.

– Zadzwoiłam do niego – wyznaje matka. – Caro.

Kręcę głową.

– Myliłam się. Nie dam rady.

Trina natychmiast zawraca wózek i znów patrzę na drzwi.

– Nic nie szkodzi – mówi neutralnym tonem. – To niełatwe, widzieć ukochaną osobę w takim stanie. Wrócisz, gdy poczujesz się lepiej.

Udaję, że się z nią zgadzam. Lecz nie tylko widok nieprzytomnego ojca sprawił, że świat zatrzęsł się w posadach.

Sprawił to również widok brata, którego pochowałam przed laty.

Nie mogę powiedzieć, że Edward i ja byliśmy blisko. Siedem lat to w dzieciństwie spora różnica wieku: licealista ma niewiele wspólnego z siostrą, która jeszcze bawi się lalkami. Ale ja uwielbiałam starszego brata. Otwierałam książki, które czasem zostawiał na kuchennym stole, i udawałam, że rozumiem, o co w nich chodzi. Zakradałam się do jego pokoju, kładłam się na łóżku i słuchałam jego iPod'a. Gdyby mnie przyłapał, dostałabym baty.

Podstawówka znajdowała się niedaleko liceum, więc Edward musiał mnie rano odprowadzać. Stanowiło to część zawartej z rodzicami umowy, w myśl której mieli dołożyć mu połowę do wymarzonych czterech kółek. W zamian matka nalegała, by odstawiał mnie pod wejście do szkoły.

I tak właśnie robił.

Miałam jedenaście lat, mogłam więc już sama przechodzić na światłach. Ale brat nie pozwalał. Dzień w dzień parkował samochód i czekał ze mną. Z chwilą zmiany świateł razem schodziliśmy z krawężnika, po czym brał mnie za rękę lub chwycił za ramię i nie puszczał, póki nie znaleźliśmy się po drugiej stronie. Owa czynność tak weszła mu w krew, że pewnie wcale się

nad nią nie zastanawiał.

Mogłam wyszarpnąć rękę albo zażądać, żeby mnie puścił, ale nigdy tego nie zrobiłam.

Pierwszego dnia po jego odejściu, gdy musiałam sama iść do szkoły i przejść przez ulicę, zdawało mi się, że mam do pokonania odcinek dwukrotnie dłuższy niż zwykle.

Logicznie rzecz biorąc, rozumiem, że nasza rodzina nie rozpadła się po wyjeździe Edwarda z jego winy. Ale w wieku jedenastu lat człowiek ma w nosie logikę. I po prostu tęskni za starszym bratem.

– Musiałam do niego zadzwonić – tłumaczy matka. – Nadal jest synem twojego ojca. Szpital potrzebował kogoś do podejmowania decyzji co do dalszego leczenia.

Nie dość, że ojciec jest w śpiączce, to jedyną zorientowaną w sytuacji osobą jest jak na ironię mój brat uciekinier. Dostaję białej gorączki na myśl, że czuwa przy tacie zamiast mnie.

– A dlaczego ty nie mogłaś?

– Bo nie jestem już jego żoną.

– Więc czemu nikt nie spytał mnie?

Matka siada na skraju szpitalnego łóżka.

– Po pierwsze, nie byłaś w stanie podejmować żadnych decyzji. Poza tym, jesteś nieletnia. Szpital potrzebował osoby powyżej osiemnastego roku życia.

– On odszedł – rzucam, stwierdzając fakt oczywisty. – Nie zasługuje, żeby tutaj być.

– Caro. – Matka pociera dłonią twarz. – Nie możesz za wszystko obwiniać Edwarda.

Nie dodaje, że winę za rozpad małżeństwa i wyjazd Edwarda ponosi mój ojciec. Uważa na słowa, gdyż właśnie z ich powodu wyprowadziłam się od niej przed czterema laty.

Wyprowadziłam się, bo nie pasowałam do jej nowej rodziny, ale zostałam z tatą, bo zapewnił mi opiekę, jakiej z jej strony nigdy nie doświadczyłam. Trudno to wytłumaczyć. Dla mnie nie liczyło się, czy zmieniają mi pościel raz w tygodniu czy raz na parę miesięcy, gdy się komuś przypomni. W zamian tata nauczył mnie rozpoznawać drzewa, i to zupełnie przypadkiem. Od niego dowiedziałam się, że letnia burza jest świetną okazją do pracy na zewnątrz, bez zwracania sobie głowy komarami czy żarem lejącym się z nieba.

Kiedyś, gdy byliśmy w zagrodzie, napatoczył się borsuk. Zwykle pozwalamy wilkom zabijać drobną zwierzynę, która zapędza się do środka, ale wówczas jeden z dorosłych wilków dopadł borsuka i zamiast go zabić, przegryzł mu kręgosłup, przez co zwierzę powłóczyło tylnymi łapami. Następnie sam odszedł na bok, pozwalając, aby dwa młode dobiły ofiarę. Życie z moim tatą wyglądało podobnie. Przy nim nie liczyło się odejście Edwarda. Z tatą było warto być tylko drugim członkiem watahy, z którym dzielił się swoją wiedzą i na którym polegał tak jak on na nim.

Uświadamiam sobie, że jeśli ojciec się nie obudzi, będę musiała wrócić do mamy.

Nagle otwierają się drzwi mojej sali i wchodzi dwaj policjanci, którzy byli tutaj wczoraj.

– Cara – mówi wyższy. – Miło, że się obudziłaś. Nazywam się Dumont, a to jest Whigby. Chcielibyśmy zamienić z tobą dwa słowa...

Matka zagraża sobą łóżko.

– Cara niedawno miała operację. Musi odpocząć.

– Z całym szacunkiem, proszę pani, ale nie wyjdziemy stąd, dopóki nie porozmawiamy z pani córką. – Dumont siada na krześle przy łóżku. – Czy zechcesz odpowiedzieć na kilka pytań na temat wypadku, Caro?

Zerkam na matkę i przenoszę wzrok na policjanta.

– Chyba tak...

– Pamiętasz przebieg zdarzenia?

Co do sekundy.

– Nie bardzo – mamroczę.
– Kto siedział za kierownicą?
– Mój ojciec – odpowiadam.
– Twój ojciec.
– Zgadza się.
– Dokąd jechaliście?
– Do domu. Odebrał mnie od koleżanki.
Mama staje z założonymi rękami.
– Przepraszam, że się wtrączę... ale od kiedy wypadek samochodowy to przestępstwo?
Policjant podnosi wzrok znad notatnika.
– Próbujemy ustalić, co się stało, proszę pani. – Odwraca się do mnie. – Jak doszło do tego, że pojazd zjechał z drogi?
– Jeleń wybiegł nam przed maskę – odpowiadam.
To szczerza prawda. Pomijam jedynie to, co zdarzyło się wcześniej.
– Czy twój ojciec pił?
– Mój ojciec nigdy nie pije – oświadczam. – Wilki wyczuwają alkohol.
– A ty? Piłaś?
Robię się czerwona.
– Nie.
Whigby, który dotąd nie zabrał głosu, podchodzi bliżej.
– Byłoby lepiej, gdybyś powiedziała nam prawdę, Caro.
– Moja córka nie pije – wtrąca ze złością mama. – Ma dopiero siedemnaście lat.
– Obawiam się, że jedno drugiego nie wyklucza, proszę pani. – Whigby wyciąga świstek i podaje mamie. Wynik analizy laboratoryjnej.
– Pani córka miała we krwi dwie dziesiąte promila – dodaje Whigby. –
W przeciwieństwie do niej, wyniki badań nie kłamią. – Ponownie zwraca się do mnie. –
A więc... co jeszcze ukrywasz, Caro?

LUKE

Moi przybrani bracia z plemienia Abenaków wierzą, że ich życie jest nieodłącznie związane z wilkami. Przed laty, gdy po raz pierwszy wyjechałem do Kanady badać sposób, w jaki rdzenni Amerykanie tropią wilki wzdłuż korytarza rzeki Świętego Wawrzyńca, dowiedziałem się, że postrzegają wilka jako nauczyciela, biorąc przykład z tego, jak poluje, wychowuje dzieci i broni rodziny. Krążą legendy, że w przeszłości miejscowi szamani wcielali się w wilki i vice versa. Francuzi nazywali Abenaków z Maine i New Hampshire „Natio Luporem”, wilczą nacją.

Abenakowie wierzyli też, że istnieją ludzie żyjący między światem ludzi i światem zwierząt, nie przynależą jednak w pełni do żadnego.

Joseph Obomsawin, członek starszyny – z nim tam mieszkałem – twierdzi, że ci, którzy wybierają świat zwierząt, czynią tak, bo ludzie sprawili im zawód.

Chyba pasuję do tego opisu. Moi rodzice byli o tyle starsi od rodziców moich rówieśników, że wstydziłem się zapraszać kolegów. Często „zapominałem” o meczach i rodzinnych piknikach, bo siwe włosy taty i pomarszczona twarz mamy zwracały uwagę wszystkich dzieci.

Ponieważ nie miałem liczego grona przyjaciół, zwykle przesiadywałem sam w lesie. Ojciec nauczył mnie rozpoznawać drzewa; wiedziałem, które jest trujące, a które ma jadalne owoce. Nocą szliśmy polować na kaczki i nasze oddechy srebrzyły się przed nami, gdy zamieraliśmy w oczekiwaniu. Nauczyłem się być tak cicho, że na polanie zjawiał się jelen, chociaż siedziałem na jej skraju. Potrafiłem też rozpoznawać jelenie, określać, które podróżują razem, a które powrócą w przyszłym roku z młodymi.

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek nie czuł więzi ze zwierzętami, począwszy od obserwacji lisicy z młodymi, poprzez tropienie jeżozwierza i wypuszczenie tygrysa. Ale do najbardziej niesamowitego związanego z nimi zdarzenia doszło, kiedy miałem dwanaście lat, poprzedzając największy zawód związany z człowiekiem. Byłem w lesie za domem, gdy naraz moim oczom ukazała się kłępa, leżała pod paprocią z nowo narodzonym łośnięciem. Widziałem ją nie pierwszy raz, czasem przechodziła w pobliżu. Cofnąłem się o krok – tata mówił, żeby nie zbliżać się do świeżo upieczonej matki z młodymi – ale ku mojemu zdumieniu wstała i pchnęła do mnie malca, aż przysiadł na moich kolanach.

Trwaliśmy tak około godziny, aż na polanie zjawiał się największy łoś, jakiego w życiu widziałem. Miał rozłożyste rogi i stał jak posąg, dopóki samica z młodym nie podnieśli się z ziemi. Następnie cała trójka zniknęła bezszelestnie w lesie za moimi plecami.

Oczarowany pobiegłem do domu opowiedzieć o tym rodzicom – pewny, że mi nie uwierzą – i zastałem ich przy kuchennym stole z nieznaną kobietą. Ale kiedy odwróciła się do mnie, ujrzałem w jej twarzy swoje odbicie.

– Luke – odezwał się tata. – To jest Kiera. Twoja prawdziwa mama.

Nie był moim ojcem, tylko dziadkiem, a kobieta, którą całe życie nazywałem mamą – moją babcią. Moja biologiczna matka była ich dzieckiem – w wieku siedemnastu lat trafiła do więzienia za handel heroiną ze swoim ówczesnym chłopakiem. Dwa miesiące później dowiedziała się, że jest w ciąży.

Urodziła mnie, przykuta do łóżka w szpitalu.

Postanowiono, że zajmą się mną dziadkowie. W obawie, żebym nie był napiętnowany jako dziecko więźniarki, przenieśli się z Minnesoty do New Hampshire, gdzie nikt ich nie znał. Zaczęli od nowa, nazywając mnie swoim „cudem”.

Po odbyciu kary Kiera zwlekała z wizytą u rodziców, chcąc najpierw uporządkować

swoje sprawy. Minęły cztery lata i była kierownikiem hotelu w Cleveland. Dojrzała do tego, by pozbierać rozsypane fragmenty dawnego życia. W tym mnie.

Niewiele zapamiętałem z naszego spotkania, prócz tego, że nie chciałem jej objąć, a gdy zaczęła mówić o Cleveland, wstałem i wybiegłem z kuchni, z powrotem do lasu. Łosie zniknęły, ale nauczyłem się od zwierząt, jak nie rzucać się w oczy i w razie potrzeby wtopić w tło. Zatem kiedy dziadek przeszedł obok, minął krzak, pod którym siedziałem, dopóki nie zasnąłem.

Następnego ranka, gdy przemoczony i zeszywniały z zimna wróciłem do domu, dziadkowie siedzieli w kuchni, zajadając jajka sadzone. Babcia postawiła przede mną talerz z dwoma jajkami i grzanką. Nie rozmawialiśmy o wizycie matki ani dokąd pojechała. Dziadek oznajmił, że zostają z nimi, i na tym stanęło.

Zacząłem myśleć, że to był tylko sen, spotkanie z matką, z łosiami, albo jedno i drugie.

Miałem sporadyczny kontakt z matką. Co rok przysyłała mi na Gwiazdkę za ciasne bambosze. Przyjechała na pogrzeb dziadka i zakończenie college'u, a dwa lata później zmarła na raka jajników.

Po latach, kiedy zamieszkałem z wilkami, nabrałem o niej innego zdania. Zrozumiałem, że postąpiła jak każda wilcza matka: oddała dziecko pod opiekę starszym, którzy dzięki swojej mądrości przekazali mu niezbędną wiedzę o życiu. Ale w tamtej chwili, jedząc w niezręcznej ciszy śniadanie przy kuchennym stole, wiedziałem tylko, że zwierzę nigdy mnie nie okłamało. Ludzie stracili moje zaufanie na zawsze.

EDWARD

Są różne etapy wstrząsu.

Pierwszy, kiedy wchodzisz do sali i widzisz ojca, nieruchomego jak trup i podłączonego do dziwnych maszyn. Dochodzi do rozbieżności pomiędzy tym, co widzisz, a obrazem w twojej głowie, przedstawiającym tego samego człowieka, gdy bawi się z młodymi wilkami i stoi na wprost ciebie z zaczepnym spojrzeniem.

Potem przychodzi nadzieja. Każdy promyk światła na pościeli, czkawka w miarowym szumie respiratora, każde przywidzenie sprawia, iż zrywasz się z przeświadczeniem, że oto jesteś świadkiem grymasu, drgnienia, powrotu do przytomności.

Ale niestety.

Nadzieja ustępuje miejsca wyparciu. Lada chwila zbudzisz się we własnym łóżku, przeklinając koszmary, jakie zawsze masz po tequili. Co za idiotyzm: ty miałbyś nianńczyć ojca, którego przed laty wykreśliłeś ze swojego życia. Ale zaraz przychodzi refleksja, że przecież wczoraj nie piłeś. I nie jesteś w swoim łóżku, tylko w szpitalu.

Wreszcie przychodzi otępienie, kiedy stajesz się tak samo apatyczny jak pacjent. Pielęgniarki, lekarze i technicy wchodzą i wychodzą, ale ty tracisz rachubę odwiedzin. Oni wszyscy znają cię z nazwiska, dzięki czemu zdajesz sobie sprawę, że stałeś się dla nich częścią krajobrazu. Przestajesz szeptać – to odruch, przecież pacjent musi odpoczywać – bo dociera do ciebie, że ojciec cię nie słyszy, nie tylko dlatego, że leją mu do ucha lodowatą wodę.

To część badania, jednego z nieskończonej serii badań mających na celu pomiar ruchów gałek ocznych. Tłumaczono mi, że zmiana temperatury w uchu powinna spowodować oczopląs. U ludzi przytomnych stosuje się tę metodę, aby sprawdzić, czy nie doszło do uszkodzenia błędnika. U nieprzytomnych to samo badanie ma na celu sprawdzenie funkcjonowania pnia mózgu.

– I co? – pytam rezydenta, który wykonuje test. – Dobre czy złe wieści?

Nie patrzy na mnie.

– Doktor Saint-Clare udzieli panu bliższych informacji – mówi, zapisując coś na karcie ojca.

Wychodzi, a pielęgniarka wyciera twarz i szyję ojca. To piętnasta, którą poznałem od chwili przyjazdu. Ma warkoczyki spiętrzone na czubku głowy i na imię Hattie. Zastanawiam się, jak można spać w takiej fryzurze. Czasem nuci pod nosem pieśni kościelne.

– Wie pan co – zagaja. – Nie zaszkodziłoby z nim pogadać.

– On mnie słyszy?

Hattie wzrusza ramionami.

– Są różne teorie. Ja tam myślę, że nie ma nic do stracenia.

Bo nie zna mojego ojca. Nasza ostatnia rozmowa przebiegła nie najlepiej; jest spora szansa, że sam dźwięk mojego głosu wyzwoli negatywne emocje.

Ale niechby wyzwolił cokolwiek.

Od dwudziestu czterech godzin czuwam w szpitalu, przysypiając na krześle. Bolą mnie barki i kark. Mam nieskoordynowane ruchy i wiotką skórę na twarzy. Wszystko zdaje się nierealne: i moje wyczerpane ciało, i nieprzytomny ojciec na łóżku. Czuję, jakbym zaraz miał się obudzić.

Ja albo on.

Żyję kawą i nadzieją, robię zakłady z samym sobą: skoro wciąż tutaj jestem, na pewno jeszcze nie wszystko stracone. Skoro lekarze zlecają kolejne badania, muszą wierzyć, że wyzdrowieje. Jeśli nie zasną przez następne pięć minut, na pewno otworzy oczy.

W dzieciństwie tak bardzo bałem się potwora z szafy, że aż mnie zatykało i dostawałem wysypki. Ojciec kazał mi „do licha zleźć z łóżka i otworzyć te cholerne drzwi”. Niewiedza, oznajmił, jest tysiąc razy gorsza od konfrontacji z własnym lękiem.

Oczywiście gdy mężnie otwierałem szafę, nie było w niej nic strasznego.

– Uhm – mamroczę po wyjściu Hattie. – To ja, tato. Edward.

Ojciec leży bez ruchu.

– Była u ciebie Cara – ciągnę. – Jest trochę poobijana, ale wyzdrowieje. – Nie wspominam, że wyszła z płaczem, a ja boję się iść do niej i zdobyć na coś więcej niż powierzchowna wymiana zdań. Jest niczym jedyna osoba w wiosce skłonna wytknąć nagość cesarzowi i przyznać, że błędnie przypisano mi rolę wzorowego syna.

Próbuję z innej beczki.

– O co tyle zachodu? Jeśli tęskniłeś, mogłeś po prostu zaprosić mnie na Święto Dziękczynienia.

Ale żaden z nas się nie śmieje.

Drzwi znowu się otwierają i wchodzi doktor Saint-Clare.

– Co z nim?

– Chyba ja powinienem zadać to pytanie – zauważam.

– No cóż, w dalszym ciągu jest pod obserwacją i jego stan wydaje się bez zmian.

Bez zmian, powtarzam w duchu. Czyli nie najgorzej.

– Czy to wnioski na podstawie wstrzyknięcia mu wody do ucha?

– Właściwie tak – potwierdza lekarz. – Chodzi o wywołanie odruchów przedślonkowo-ocnych. Jeśli oczy zbaczają w stronę ucha z wodą, pień mózgowy funkcjonuje normalnie i mamy do czynienia jedynie z częściowym zaburzeniem świadomości. Oczopląs w stronę przeciwną dowodzi przytomności chorego. Oczy pańskiego ojca nie poruszyły się, co wskazuje na poważne uszkodzenie mostu i śródmózgowia.

Zaczynam mieć dość medycznego żargonu i parady ekspertów z ich bezowocnymi testami. *Złaż do licha i otwórz te cholerne drzwi.*

– Niech pan to powie – mamroczę.

– Słucham?

Zmuszam się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– On się nie obudzi, prawda?

– No cóż. – Neurolog siada na krześle naprzeciw mnie. – Na przytomność składają się dwa czynniki – tłumaczy. – Stan czuwania i świadomości. Pan i ja znajdujemy się w obu, a ktoś pogrążony w śpiączce w żadnym z nich. Po kilku dniach w śpiączce sprawy mogą się potoczyć na kilka sposobów. Pacjent może zatracić funkcje mózgowie i dochodzi do tak zwanej śmierci mózgu. Rzadziej doświadcza zespołu zamknięcia, czyli trwa w stanie czuwania i świadomości... ale nie może się ruszać ani mówić. Ostatnia możliwość to stan wegetatywny, czyli czwanie... ale bez świadomości własnej osoby ani tego, gdzie się znajduje. Innymi słowy, może otwierać oczy i zapadać w sen, ale nie reaguje na bodźce. W rezultacie może przejść w stan minimalnej świadomości z przeblaskami przytomności, a nawet odzyskać ją w pełni. Lub pozostać w permanentnym stanie wegetatywnym, nie odzyskując jej nigdy.

– Czyli według pana ojciec może się obudzić...

– ...ale jego szanse na odzyskanie świadomości są znikome.

Stan wegetatywny.

– Skąd pan wie?

– Statystyki. U pacjentów z pourazowym uszkodzeniem pnia mózgu rokowania nie są najlepsze.

Czekam, aż te słowa uderzą mnie z impetem kuli armatniej: *on mówi o moim ojcu*. Ale od tak dawna nie czułem nic do taty, że jestem jak odrętwiała. Słucham doktora Saint-Clare'a; jego słowa nie budzą mojego zdziwienia i biorę je za pewnik. Jak na ironię, czyni mnie to ich najlepszym odbiorcą.

– I co teraz? – pytam. – Czekamy?

– Jakiś czas. Będziemy dalej prowadzić badania pod kątem ewentualnych zmian.

– A jeśli mu się nie polepszy, zostanie tutaj na zawsze?

– Nie. Istnieją ośrodki rehabilitacyjne i domy opieki dla ludzi w stanach wegetatywnych.

Pacjenci, którzy otwarcie wyrazili chęć zostania odłączonymi od maszyn podtrzymujących życie, zostają przeniesieni do hospicjum i dzieje się zgodnie z ich wolą. Jeśli wyrazili życzenie zostania dawcami narządów, pobranie następuje po stwierdzeniu nieodwracalnego zatrzymania krążenia.

Jakbyśmy rozmawiali o nieznanym. Zresztą, właściwie rozmawiamy. Tak naprawdę nie znam ojca lepiej niż ten neurochirurg.

Doktor Saint-Clare wstaje.

– Trzymamy rękę na pulsie.

– A ja, co mam robić?

Wsuwa rękę do kieszeni białego fartucha.

– Proszę się przespać. Strasznie pan wygląda.

Po jego wyjściu przysuwam krzesło bliżej do łóżka. Gdyby sześć lat temu ktoś powiedział mi, że wrócę do Beresford, roześmiałbym mu się w twarz. Wówczas wiedziałem tylko, że chcę uciec jak najdalej stąd. Jako nastolatek nie zdawałem sobie sprawy, że to, przed czym uciekam, zaczeka na mnie tutaj bez względu na to, gdzie się znajdę.

Błędy są jak wspomnienia schowane na strychu: stare listy miłosne po wypalonych związkach, fotografie zmarłych krewnych, zabawki z dzieciństwa, za którym tęsknisz. Co z oczu, to z serca, ale gdzieś w środku wiesz, że nadal istnieją. I wiesz, że unikasz z nimi kontaktu.

Gdybym był pielęgniarzką Hattie, pomodliłbym się za ojca. Ale nigdy nie ciągnęło mnie do kościoła. Ojciec składał hołd bogini Naturze, a matka wymachiwała religią jak sztandarem, ale nie ciągnęło mnie w żadną stronę.

Przypominam sobie pierwszy tydzień w Tajlandii, gdy zauważyłem ozdobne domki na cokółach przed hotelami, w kątach restauracji, przed lokalnymi barami, w środku lasu, na podwórku każdego domu. Niektóre miały charakter stały, wzniesiono je z drewna i cegły. Inne tymczasowy. Każdy wypełniony był posążkami, meblami, figurkami ludzi i zwierząt. Na balkonach stały podstawki do kadzidełek, świeczniki, wazon.

Większość Tajów wyznaje buddyzm, ale dawne wierzenia wciąż wychodzą na światło dzienne pod postacią owych kapliczek. Tajowie uważają, że duchy pozbawione osłony nieba, jaskini, drzew bądź wodospadów potrzebują schronienia. Opiekuńcze Duchy Ziemi oferują różne typy opieki: od pomocy w interesach do opieki nad domem, od ochrony zwierząt, lasów, wody i obór do czuwania nad świątyniami i fortecami. W ciągu sześciu lat spędzonych w Tajlandii widywałem kapliczki z ofiarami w postaci kwiatów i bananów, aż po ryż, papierosy i żywe kurczęta.

Ciekawostka: po przeprowadzce rodzina urządza specjalną uroczystość w celu przeniesienia ducha z dotychczasowej kapliczki do nowego lokum. Dopiero wtedy można pozbyć się miejsca, które duch nazywał swoim domem.

Spoglądając na łupinę ojca, zastanawiam się, czy przypadkiem już nie zmienił adresu.

LUKE

Nie znosiłem college'u. Było tam zbyt wiele budynków, za dużo betonu. Studiowanie zoologii z podręczników, zamiast siedzieć godzinami w lesie i doświadczać natury z pierwszej ręki, wydawało się sprzeczne z intuicją. Owszem, nie stroniłem od kobiet i balowania, ale częściej można było mnie spotkać pod namiotem lub na szlaku. Doszło do tego, że nauczyłem się rozróżniać odgłosy sowy szarej, jemiołuszki, łuskowca i lasówki granatowej. Tropiłem jelenie, łosie i niedźwiedzie.

Po studiach zatrudniłem się jako dozorca w jedynym zoo w New Hampshire, w okolicy Manchesteru. Ogród Zoologiczny Wigglesworth był prywatną placówką, parkiem rodzinnym z garstką dzikich zwierząt na dokładkę. Najpierw zajmowałem się alpakami, potem kunami wodnymi i lisami, by wreszcie awansować na wilki. Watahę składającą się z pięciu sztuk trzymano w niewielkiej zagrodzie za podwójnym ogrodzeniem, z gęstym zagajnikiem i pofałdowanym wzniesieniem, na którym wilki przesiadywały w ciągu dnia. Co trzy dni jeden z dozorców wnosił jedzenie – zakupionego w rzeźni cielaka. Wchodził tam uzbrojony w kijek narciarski – robili to również opiekunowie kuguarów, niedźwiedzia i pozostałych dużych zwierząt. Nie wiem, co moglibyśmy zdziałać kijkiem narciarskim, ale to i tak nie było konieczne. Wilki bardziej obawiały się nas niż my ich: na dźwięk otwieranej furtki uciekały do barłogu w północno-wschodnim krańcu zagrody. Zostawialiśmy mięso i dopiero po dłuższej chwili odważały się wrócić na żer.

Kiedy po raz pierwszy poszedłem bez kijka, sprawdziłem płot, co należało do moich obowiązków. Ale zamiast zgodnie z planem opuścić zagrodę, postanowiłem usiąść i zostać. Nieuzbrojony i z duszą na ramieniu usiadłem na wzniesieniu, na którym widywałem je codziennie, i zastygłem w oczekiwaniu.

Myślałem, że podobnie jak łosie i jelenie, które napotykałem w dzieciństwie, wilki też poczują się przy mnie swobodnie.

Źle myślałem.

Po pięciu dniach przesiadywania w wilczej zagrodzie pod obstrzałem dziwnych spojrzeń innych dozorców nie podszedł ani jeden.

Wielokrotnie zadawano mi pytanie, co skłoniło mnie do wyboru tej drogi. Po części fakt, że zwierzęta zawsze grały ze mną w otwarte karty, w przeciwieństwie do ludzi. Po części zaś to, że łatwo się nie poddaję. Dlatego zamiast odpuścić i powrócić do pracy z kijkiem narciarskim, zweryfikowałem obrany przez siebie plan działania.

I zrozumiałem, że pozbycie się kijka wcale nie umniejszało mojej przewagi. W dzieciństwie wykradałem się z domu o zmierzchu i świcie, aby podglądać zwierzęta, za dnia prawie niewidoczne. Chcąc zachęcić wilki, musiałem podejść je wówczas, kiedy to one będą górą. Dlatego udałem się do przełożonego i poprosiłem o pozwolenie nocowania w zagrodzie.

Zważcie, że gdy o osiemnastej zamykano ogród, wszyscy dozorczy maszerowali do domu. Zostawał jeszcze nadzór elektroniczny, ale tylko w razie nagłych wypadków. Przełożony odparł, że mogę robić, co chcę, ale widziałem po jego minie, że przewiduje mój rychły pogrzeb.

Trudno opisać, jakie to uczucie po raz pierwszy zamknąć się w zagrodzie. Najpierw czułem tylko wszechogarniającą panikę. Ciemność zdawała się tętnić wokół i nie widziałem korzeni wystających z ziemi. Słyszałem szmer, gdy wilki przemykały, ale wiedziałem też, że w razie potrzeby umieją skradać się bezszelestnie. Na oślep dotarłem tam, gdzie zwykle – na wzniesienie – i usiadłem. Siedziałem jak trusia, otoczony kakofonią obcych dźwięków. Sam tego chciałeś, pomyślałem.

Próbowałem zamknąć oczy i się zdrzemnąć, ale nie mogłem się odprężyć. Zacząłem

liczyć gwiazdy i zanim się obejrzałem, na horyzoncie zamajaczyło żółtko słońca.

Wspaniale było pracować z wilkami w ciągu dnia, ale moje zadanie sprowadzało się do pilnowania odwiedzających, żeby nie robili głupot w rodzaju karmienia podopiecznych lub podchodzenia za blisko płotu. Nocą byłem sam na sam z tymi dostojnymi zwierzętami, królami i królowymi półmroku. Oni nie martwili się, z czego opłacą rachunki, co zjedzą na śniadanie lub poczną z rysą w betonowym stawie wylanym przez człowieka. Dla nich liczyło się tylko, że są razem i nic im nie grozi.

Przez kolejne cztery noce po wyjściu ostatniego dozorca zamykałem się w zagrodzie. Wilki trzymały się ode mnie z daleka. Za piątym razem, tuż po północy, wstałem i przeszedłem na tyły zagrody. Dwa wilki skierowały się do miejsca, w którym dotąd siedziałem. Obwąchały ziemię, jeden nasikał. Następnie oddaliły się od wzniesienia i przez resztę nocy wpatrywały się we mnie żółtymi ślepiami.

Szóstej nocy podszedł do mnie wilk o imieniu Arlo. Okrążył mnie, węsząc, po czym znów się oddalił.

To samo zrobił siódmej i ósmej nocy.

Dziewiątej również, ale zamiast odejść, zawrócił i ugryzł mnie w kolano.

Nie zabolalo jakoś specjalnie; mógł przegryźć mi gardło, gdyby chciał. Skubnął mnie tylko, ale przeraziłem się nie na żarty.

Prawdziwa moc wilka nie leży w jego szczękach, których nacisk może wynosić do piętnastu kilogramów na centymetr kwadratowy. Sęk w tym, aby mieć taką moc i wiedzieć, kiedy jej nie wykorzystać.

Nawet nie drgnąłem. Doszedłem do wniosku, że jeśli spróbuję wstać i odejść, Arlo powali mnie na ziemię i nie skończy się na skubnięciu w kolano. Sparaliżowany strachem czekałem, aż się oddali. Nie ruszyłem się aż do wschodu słońca.

Dużo później dowiedziałem się, że ten strach pewnie uratował mi życie. Kiedy w stadzie zjawia się nowy – na przykład samotnik na czyjeś miejsce – reszta poddaje próbie jego wytrwałość i sprawdza, czy nie zagrozi rodzinie. Ów test ma postać ugryzienia: jeśli nowy nie odłoni gardła w dowód swojej uległości, członkowie stada robią, co trzeba, aby go ukarać. Gdybym drgnął, kiedy Arlo mnie ugryzł, albo wstał i wybiegł z zagrody, mogłem przypłacić to życiem.

Następnej nocy Arlo znowu mnie ugryzł. Po dwóch tygodniach moje kolana, łydki i kostki przedstawiały oplakany widok. Po czym któreś nocy otarł się o mnie. Był lekko wilgotny od deszczu i w pierwszej chwili uznałem, że chce się wysuszyć, lecz wycierał o mnie pysk, czubek głowy i ogon. Kiedy naparł na mnie całą siłą swoich pięćdziesięciu kilo i upadłem do tyłu, skubnął mnie znowu, w ramach kolejnego ostrzeżenia. I dalej się ocierał, aż też zacząłem pachnieć jak mokry pies.

I właśnie dlatego to robił. Po upływie paru tygodni zaczął przyprowadzać do mnie pozostałych członków stada. Czujnie siadali obok, a on gryzł mnie w nogę. W ten sposób pokazywał im, że przestrzegam zasad.

I zasługuję na zaufanie.

GEORGIE

– Piłaś? – pytam wstrząśnięta. – Ty?

Policjanci poszli, wypłoszeni przez pielęgniarkę po tym, gdy Cara wybuchnęła gwałtownym szlochem, skręcając się z bólu. Nie wiem, co doprowadziło mnie do większej furii: ich zarzuty czy kłamstwa Cary.

– Tylko jedno piwo...

– W czym? W wiadrze? – pytam. – Badania krwi nie kłamią, Caro.

– Pojechałam na imprezę z Mariah – mówi. – Wcale nie chciałam, chodziło o jakiegoś chłopaka z liceum w Bethlehem, którego poznała. I gdy zrobiło się gorąco, zadzwoniłam po tatę. To szczerza prawda, przysięgam.

– Czemu nie powiedziałaś nic lekarzom, kiedy pytali, czy jesteś pod wpływem alkoholu bądź narkotyków?

– Ponieważ wiedziałam, czym to pachnie. Popelniłam błąd, tak? Jesteś taka święta?

Nawet nie masz pojęcia.

– Skoro wstydziałaś się przed lekarzami, mogłaś chociaż powiedzieć mnie. Czułam się jak idiotka przed tymi policjantami.

Carze drgają usta.

– Myślisz, że jak się czuję? Gdyby nie ja... gdybym nie piła... tata byłby cały i zdrow. Nie znalazłby się na tej drodze.

Słabnie złość, wywołana informacją, że moja nieletnia córka piła na wachcie Luke'a. Gdybym dowiedziała się w inny sposób, dostałby za swoje. Nakrzyczałabym na niego, że jest nieodpowiedzialny, zażądałabym opieki rodzicielskiej.

Teraz mogę sobie krzyczeć.

– Caro. – Siadam na skraju łóżka. – To był wypadek. Wypadek. Nie możesz się obwiniać.

Odsuwa się gwałtownie.

– Nie było cię tam! – warczy.

Wyczuwam aluzję. Nie wiem tylko, czy bardziej ma mi za złe rozmowę, czy może to, że byłam wtedy z moją drugą rodziną.

Chciałabym wierzyć, że gdyby nadal mieszkała ze mną, nie tknęłaby alkoholu. I nie znajdowałybyśmy się teraz w szpitalu. W przeciwieństwie do Luke'a, zawsze zaabsorbowanego wilkami, wiedziałabym, co robi moja córka, i nie puściłabym jej na imprezę w dzień powszedni. Ale łatwo mówić po fakcie. Rzecz w tym, że nawet gdyby Cara nie wyprowadziła się do taty, pewnie sama musiałabym po nią jechać w czwartkowy wieczór.

W moim życiu zdarzyło się parę chwil, kiedy nagle mogłam spojrzeć na siebie z boku i stwierdzić, co doprowadziło mnie do danej sytuacji. Jak wówczas, kiedy rano przeczytałam pożegnalny list od Edwarda. Albo w dzień ślubu z Joem, gdy – może po raz pierwszy w życiu – czułam się absolutnie szczęśliwa. Gdy urodziły się bliźnięta. I teraz, w sercu koszmaru – moja pierwsza rodzina znowu razem, raz jeszcze złączona za sprawą dynamicznej osobowości Luke'a.
Uważaj, czego sobie życzysz.

– Powiesz tacie, żeby dał mi szlaban – dodaje Cara. – Kiedy się obudzi.

Nie mam serca sprostować, że pytanie brzmi „jeśli”.

Co znaczy, że nie tylko ona na tej sali kłamie jak z nut.

Poznałam Luke'a, gdy miałam zrobić o nim materiał dla telewizji lokalnej. Bez względu na mało obiecujące początki, byłam pewna, że zostanę następną Katie Couric. Nieważne, że poziom miejscowych prezenterek był żenujący – zdarzało się, że pijąc za każdy błąd językowy w dzienniku, w ciągu pół godziny obalałam butelkę wina. Mnie przydzielono ostatnie trzy minuty

wiadomości: miałam prezentować intrygujących mieszkańców naszego stanu.

Spotykałam wielu dziwaków – żona farmera przebierała kocięta w ręcznie uszyte kostiumy i fotografowała je w scenach ze słynnych obrazów; piekarz przypadkiem upiekł bułkę będącą wierną podobizną naszego gubernatora; filigranowa nauczycielka wygrała na północy zawody drwali. Któregoś dnia moja ekipa (czyli ja i chłopak dźwigający kamerę) została oddelegowana do jedyne go zoo w New Hampshire, do sennego parku z jazdą na kucykach, ubijaniem masła i garstką dzikich zwierząt.

Dostaliśmy cynk od widza, który poszedł z dzieckiem do zoo i zdumiał się na widok tłumu zebranego wokół niewielkiej zagrody wilków. Podobno jeden z dozorców, niejaki Luke Warren, nocował w zagrodzie, spędzając tam również część dnia. Jego przełożeni – najpierw nastawieni dość sceptycznie – zrozumieli, że wilki zaakceptowały Luke'a jako członka stada, i postanowili zrobić z tego główną atrakcję parku, którego dochody nagle wzrosły razy cztery.

Kiedy z Alfredem, moim kamerzystą, dotarliśmy do zagrody, musieliśmy przepychać się przez tłum oblegający ogrodzenie. Wewnątrz znajdowało się pięć wilków i jeden człowiek. Luke Warren siedział pomiędzy dwoma zwierzętami, ważącymi co najmniej po pięćdziesiąt kilogramów. Na nasz widok podszedł do bramki, przy wtórze szeptów i wytykania palcami. Pozdrowił ludzi, którzy zasypali go pytaniami na temat wilków, po czym zwrócił się do mojego kamerzysty.

– Ty pewnie jesteś George.

Wysunęłam się naprzód.

– Nie. To ja. Georgie.

– A to niespodzianka. – Luke się zaśmiał.

Mogłam powiedzieć to samo. Spodziewałam się zobaczyć czubka jak większość tych, z którymi robiłam wywiady – z niezdrową pasją na granicy obsesji. Ale Luke Warren był wysoki i umięśniony, miał jasne włosy do ramion i tak błękitne oczy, że na chwilę zapomniałam, co tutaj robię. Był ubrany w znoszony kombinezon.

– Tylko się przebiorę – dodał, rozpinając zamek. Miał pod spodem oliwkowy mundur dozorczy. – Wilki przywykły do jego zapachu, ale nie grzeszy świeżością.

Zniknął za drzwiami służbówki i po chwili wrócił odświeżony i uczesany.

– Możemy zaczynać...? – spytałam.

– Ależ bardzo proszę – odpowiedział. Zaprowadził nas do ławki, skąd roztaczał się najlepszy widok na wilki, bo to one – podkreślił – są prawdziwymi gwiazdami.

– Kręcimy – oznajmił Alfred.

Złożyłam ręce na kolanach.

– Od jakiegoś czasu nocuje pan w zagrodzie...

Luke skinął głową.

– Dokładnie cztery miesiące.

– Noc w noc?

– Tak jest. Przyzwyczailem się, nawet jest mi wygodniej niż w łóżku.

Zastanawiałam się, o co mu chodzi. Ktoś, kto od czterech miesięcy sypia wśród dzikich zwierząt, albo chce zwrócić na siebie uwagę, albo jest psychicznie chory. Przyszło mi do głowy, że zabiega o swój program w telewizji. Jak każdy.

– Nie boi się pan, że wilki zaatakują pana w czasie snu?

– Powiem wprost – odparł z uśmiechem. – Pierwszej nocy nie zmrużyłem oka. Lecz na ogół wilk bardziej boi się człowieka niż na odwrót. Pozwoliłem się prowadzić, nie narzucając im własnej woli, zaakceptowały mnie jako podrzędnego członka watahy.

A jednak czubek, pomyślałam.

– Zasadnicze pytanie brzmi „dlaczego”, Luke?

Wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem, chcąc naprawdę poznać wilki, nie można skupić się tylko na obserwacji. Większość biologów nie przyzna mi racji, argumentując, że wystarczy podgląd okiem kamery oraz wnioski na podstawie znajomości ludzkiej natury, ale czy to nie zacofane? Chcąc zrozumieć świat wilków, należy w nim zamieszkać. Przemówić ich językiem.

– Twierdzi pan, że zna język wilków?

Uśmiechnął się przekornie.

– Biegle. Mógłbym nauczyć panią kilku zwrotów. – Wstał i postawił stopę na ławce, nachylając się niżej. – Wyróżniamy trzy rodzaje wycia – zaczął. – Jest wycie lokalizujące, na określenie miejsca pobytu watahy. Nie tylko własnej, również innych. Wycie defensywne ma nieco głębszy charakter. Oznacza „nie podchodź”, służy obronie terytorium i zamieszkującej je watahy. Trzeci rodzaj to wycie na zbiórkę. To klasyczne, hollywoodzkie wycie, żałobne i melancholijne. Naukowcy uważali kiedyś, że wyraża smutek, lecz tak naprawdę oznacza nawoływanie. Służy jako drogowskaz dla zbłąkanego członka rodziny.

– Zechce pan zademonstrować?

– Jeśli pani mi pomoże. – Pomógł mi wstać. – Proszę wziąć głęboki oddech, napełniając płuca. Przytrzymać powietrze i wypuścić. Za trzecim razem zawyć. – Trzykrotnie zaczerpnął tchu, przyłożył rękę do ust i w powietrze popłynął długi, dwutonowy odgłos, dryfując ponad wierzchołkami drzew. Wilki z zaciekawieniem zadarły głowy. – Pani kolej.

– Nie mogę...

– Ależ tak... – Od tyłu położył mi ręce na barkach. – Wdech – poinstruował. – Wydech. Wdech... wydech. Wdech... Gotowa? – I nachyliwszy się do mojego ucha, szepnął: – Teraz.

Przymknęłam oczy i powietrze zebrane w płucach rozlało się dźwiękiem, który brał początek ze środka ciała i wypełni!

je aż po brzegi. Za moimi plecami Luke wył w nieco innej tonacji – niższej, z większym napięciem. Kiedy jego głos splótł się z moim, powstała z tego pieśń. Tym razem wilki w zagrodzie uniosły głowy, dając nam odpowiedź.

– Niesamowite! – zawołałam, wsłuchana w płynący falami odgłos. – One wiedzą, że nie jesteśmy wilkami?

– A czy to ważne? – odpowiedział Luke. – To było wycie lokalizujące. W wersji podstawowej.

– Pokaże pan jeszcze raz?

Zaczerpnął tchu, układając usta na kształt litery O. Dźwięk brzmiał zupełnie inaczej, niczym esencja żalu. Usłyszałam w nim łkanie saksofonu i pękniętego serca.

– A ten co znaczył?

Patrzył na mnie tak, że nie mogłam odwrócić wzroku.

– Czy to ty? – szepnął. – Czy to ciebie szukam?

Cara usiłuje – bezskutecznie – zjeść galaretkę. Goni miskę lewą ręką, lecz ilekroć próbuje nabrać na łyżkę, miska ucieka bądź ląduje do góry dnem.

– Dawaj. – Siadam na łóżku i biorę łyżkę.

Otwiera usta jak pisklę, przetyka.

– Jeszcze się gniewasz?

– Tak. – Wzdycham. – Co nie znaczy, że cię nie kocham. – Patrę, jak znów rozchyła usta, i przypominam sobie, że trudno było przestawić ją na stały pokarm. Najczęściej wgniatła go sobie we włosy, malowała nim palcami po stole bądź wypluwała mi w twarz. Na bilansach zawsze była na skraju niedożywienia, a ja musiałam się tłumaczyć przed pielęgniarką, że nie

głodzę dziecka, lecz ono głodzi siebie.

Gdy miała roczek, po jednym z meczów Edwarda wstąpiliśmy do McDonalda. Podczas gdy ja zajęłam się wyciąganiem słoiczków i szukaniem śliniaczka, Cara sięgnęła do tacki Edwarda i po chwili zaczęła w spokoju przeżuwać frytkę.

– Nie będzie jadła swojego jedzenia? – spytał Edward.

– No cóż – odpowiedziałam. – Wygląda, że nie jest już dzidziusiem.

Rozważył moje słowa.

– A czy nadal jest Carą?

Chwila nieuwagi, a ludzie, których znasz, zmieniają się nie do poznania. Twój synek mieszka na drugiej półkuli, córeczka wymyka się nocą na imprezę, a z byłego męża uchodzi życie. Dlatego w nauce piruetu grunt to nie tracić z oczu punktu przed sobą: wszyscy chcemy umieć odnaleźć punkt wyjścia.

Cara odsuwa tacę i zaczyna przerzucać kanały w telewizorze.

– Nic nie ma.

Jest piąta, wszystkie programy nadają lokalne wiadomości.

– Dziennik to nie nic – oponuję. Patrzę na ekran: pracowałam kiedyś w tej stacji.

Prezenterka ma dwadzieścia parę lat i zbyt mocno pomalowane oczy. Gdybym została w wiadomościach, byłabym dziś producentką. Kimś, kto stoi poza kadrem, nie martwiąc się o pryszcze, odrosty i kilka zbędnych kilogramów.

– Daniel Boyle – mówi prezenterka – prokurator z Grafton County, wygrał kontrowersyjną sprawę, będącą przedmiotem wielkiego zainteresowania miejscowych konserwatystów. Sędzia Martin Crenstable ogłosił dzisiaj, że Merilee Swift, która w grudniu przeszła wylew, zostanie utrzymana przy życiu przez kolejne pół roku, dopóki jej dziecko nie urodzi się w wyznaczonym terminie. Boyle postanowił osobiście poprowadzić sprawę, kiedy mąż i rodzice kobiety poprosili szpital o odłączenie jej od respiratora.

– Świnia – mruczę pod nosem. – Nie kiwnąłby palcem, gdyby nie wybory.

Na ekranie widać „Danny’ego”, jak sam każe się nazywać.

– Jestem dumny, że strzegę interesów ofiar, które nie mogą przemówić własnym głosem – oznajmia. – Życie to życie. Wiem, że gdyby pani Swift mogła wyrazić swoje zdanie, chciałaby mieć pewność, że jej dziecku nic nie grozi.

– Na miłość boską – burczę, wrywając pilot Carze. Przełączam na inny kanał i zamieram bez ruchu.

Ponad ramieniem prezenterki widać zdjęcie Luke’a z wilkiem liżącym go po twarzy.

– Dowiedzieliśmy się, że Luke Warren, przyrodnik i działacz na rzecz ochrony środowiska, który wślawił się swoją zażyłością z wilkami, jest w stanie krytycznym po wypadku samochodowym. Zapamiętamy go z programu w telewizji kablowej, w którym opowiadał o swoich doświadczeniach w redmondzkim ogrodzie zoologicznym.

Naciskam guzik pilota i ekran gaśnie.

– Plotą trzy po trzy, byle zwiększyć oglądalność – tłumaczę. – Nie musimy tego słuchać.

Cara odwraca twarz do poduszki.

– Mówią o nim, jakby już nie żył.

Nie do wiary, że po sześciu latach rozłąki Edward wciąż jest z dala ode mnie, chociaż dzieli nas tylko jedno piętro.

Nie muszę tłumaczyć żadnej matce, co znaczy rozstanie z synem. Dzieje się to na wiele naturalnych sposobów: obóz letni, studia, małżeństwo, praca. Jakby w utkanej przez ciebie materii nagle pojawiła się dziura, i jakkolwiek chcesz ją załatać, zostaje prześwit. Nie sądzę, by ktokolwiek łatwo pogodził się ze świadomością, że dziecko już go nie potrzebuje, ale mnie

rzucono na głęboką wodę. Edward odszedł w wieku zaledwie osiemnastu lat, w trakcie składania papierów na różne uczelnie. Myślałam, że zostało mi co najmniej pół roku na przecięcie z mężnym uśmiechem pępowiny, że przecież nic się nie stało. Ale on nie poszedł do college'u. Pewnego okropnego ranka przeczytałam liścik syna, mając w sercu ziejącą ranę.

Nie chcę zostawiać Cary, więc czekam, dopóki nie zaśnie, i schodzę na OIOM. Edward siedzi na krześle z głową pochyloną nad złożonymi dłońmi, jakby się modlił. Czekam, nie chcąc mu przeszkadzać, po czym widzę, że zasnął.

Mam okazję przyjrzeć się uważniej Luke'owi. Przez to całe zamieszanie ostatnio bardziej skupiłam się na reakcji córki niż własnej.

Zawsze myślałam o nim jako o czasowniku. Czymś w ruchu bardziej aniżeli w spoczynku. Widok jego nieruchomej postaci nasuwa mi wspomnienie chwil, gdy budziłam się wcześniej, aby mu się przyjrzeć: rzeźbiony zarys ucha, złocisty horyzont żuchwy, opalizujące blizny na rękach i szyi, nagromadzone przez lata.

Chyba wydaję jakiś odgłos, bo Edward budzi się nagle i wlepia we mnie wzrok.

– Przepraszam. – Sama nie wiem, do kogo się zwracam.

– Dziwnie, co? – Edward podnosi się i staje obok mnie. Uświadamiam sobie, że pachnie jak mężczyzna. Dezodorantem Old Spice i kremem do golenia. – Cały czas mi się zdaje, że on śpi.

Obejmuję go w pasie i przyciągam bliżej.

– Chciałam przyjść wcześniej, ale...

– Cara – odpowiada.

Staję twarzą do niego.

– Nie wiedziała, że tutaj jesteś.

Uśmiecha się krzywo.

– Stąd to ciepłe powitanie.

– Nie myśli wyraźnie.

– Najwyraźniej myśli, że jestem dupkiem. – Kiwa głową. – I w pewnym sensie ma rację.

Patrzę na Luke'a. Jest nieprzytomny, ale czuję się niezręcznie, rozmawiając tak przy nim.

– Muszę napić się kawy – oznajmiam, i Edward idzie za mną do poczekalni. To smętny pokoik z szarymi ścianami i bez okien. W rogu stoi ekspres do kawy oraz puszka z datkami, do której można wrzucić dolara za kubek. Dwa tapczany i kilka dodatkowych krzeseł, stare czasopisma oraz karton wysłużonych zabawek.

Nalewam kawę dla Edwarda, który opada na tapczan.

– Twoja siostra jeszcze tego nie wie, ale bardzo cię potrzebuje.

– Nie zostanę – oświadcza natychmiast. – Znikam stąd, gdy tylko...

Nie kończy zdania, a ja nie robię tego za niego.

– Czuję się jak skończony mistyfikikator. Niby wiem, że muszę tam być i rozmawiać z lekarzami, bo jestem jego synem i to mój obowiązek. Ale coś mi mówi, że dawno przestał być moim ojcem i nie ucieszyłby się na mój widok.

Kawa z sykiem wypełnia kubek. Zdaję sobie sprawę, że nie wiem, jaką pije Edward. Kiedyś znałam każdy szczegół na jego temat – skąd pochodzi blizna na plecach, gdzie ma pieprzyki, a gdzie łaskotki, i w jakiej pozycji układa się do snu. Czego jeszcze nie wiem o moim dziecku?

– Wróciłeś, bo cię poprosiłam – odpowiadam po prostu, podając mu kubek czarnej kawy. – Postąpiłeś, jak należało.

Wodzi palcem po brzegu kubka.

– Mamo. A co, jeśli.

Siadam obok niego.

– Jeśli co?

– No wiesz.

Rzeczywistość w murach szpitala jest odwrotnie proporcjonalna do nadziei. Edward nie musi wdawać się w szczegóły: chodzi o to, o czym uparcie staram się nie myśleć. Zwątpienie jest jak farba; z chwilą gdy rozleje się po utkanej przez ciebie tkaninie złudzeń, nigdy nie pozbędziesz się plamy.

Tyle chciałabym Edwardowi powiedzieć. Że to niesprawiedliwe, że tak nie można. Że po tym wszystkim, czego doświadczył Luke, po tym, jak mógł umrzeć z wyiębienia lub zagryziony przez dzikie zwierzę, powód tak banalny jak wypadek samochodowy zdaje się wołać o pomstę do nieba.

Ale mówię tylko:

– Zostawmy na razie ten temat.

– To ponad moje siły, mamo.

– Każdy może tak powiedzieć. – Masuję skronie. – Słuchaj, co ci mówią lekarze, żebyś mógł to w swoim czasie przekazać siostrze.

– Mogę cię o coś spytać? – rzuca Edward. – Czemu ona mnie nienawidzi?

Myślę, jak tu się wykręcić, ale przypominam sobie Carę i jej pijacki wyskok oraz to, jak nadrabiam przy niej miną, chociaż rokowania są katastrofalne.

– Obwinia cię.

– Mnie? – Edward wytrzeszcza oczy. – Za co?

– Za rozwód mój i taty.

Edward krztusi się ze śmiechu.

– Obwinia mnie. Za to? Nawet mnie tutaj nie było.

– Miała jedenaście lat. Zniknąłeś bez pożegnania. Luke i ja zaczęliśmy się kłócić z powodu tego, co się stało.

– Co się stało – powtarza cicho Edward.

– Z punktu widzenia Cary, stanowiłeś pierwsze ogniwo łańcucha zdarzeń prowadzących do rozbicia jej rodziny.

Przez czterdzieści osiem godzin, od czasu telefonu ze szpitala, trzymałam się w ryzach. Byłam silna, bo tego oczekiwała po mnie córka. Kiedy dzieje się coś złego, wyjścia są dwa: tragedia albo przeszywa cię jak miecz, albo daje ci siłę. Rozpadasz się na kawałki i płaczesz lub mówisz: „No dobrze. I co dalej?”

Może z powodu zmęczenia, ale pozwalam sobie na łzy.

– Wiem, że czujesz się winny, że tutaj jesteś, po tym, co zaszło między tobą a ojcem.

Lecz nie jesteś w tym odosobniony – mówię. – Bo na przekór wszystkiemu myślę, że to będzie pierwsze ogniwo łańcucha zdarzeń, które znów nas połączy.

Edward nie wie, co począć z płaczącą matką. Wstaje i podaje mi plik serwetek z koszyka. Obejmuje mnie niezdarnie.

– Nie rób sobie nadziei – mruczy i na mocy niemego porozumienia razem wychodzimy z poczekalni.

Żadne z nas nie komentuje tego, że nie napiłam się kawy, po którą przyszedłam.

LUKE

W świecie wilków wypełnienie wakatów w stadzie leży w interesie wszystkich członków. Rodzina, która straciła jednego ze swoich członków – zginął lub przepadł – staje się niepełna. Wataha rywalizująca z nią o rewir nagle staje się realnym zagrożeniem i wycie defensywne przybiera formę pytania, zaproszenia dla samotnych wilków w okolicy, aby przyłączyli się do nich i razem uderzyli na wroga.

Co skłoniłoby samotnika do odpowiedzi?

Wyobraź sobie, że zostałeś sam w lesie. Jesteś potencjalną ofiarą innego zwierzęcia, wrogiem przeciwnej drużyny. Wiesz, że większość stad żeruje między zmierzchem i świtem, więc wolisz przemieszczać się za dnia – przez co stajesz się widoczny i narażony na niebezpieczeństwo. Próbujesz nie zostawiać śladów i sikasz do potoków, aby nie dać się wysledzić. Każdy zakręt, każde napotkane zwierzę niesie zagrożenie. Największe szanse na przeżycie daje przynależność do grupy.

Grunt to trzymać się razem. Pokładasz wiarę w drugim członku rodziny. Mówisz: jeśli pomożesz mi przetrwać, odwdzięczę ci się tym samym.

EDWARD

A więc siostra nienawidzi mnie, bo zmarnowałem jej dzieciństwo. Gdyby dostrzegła ironię tego stwierdzenia, Boże, ale mielibyśmy ubaw. Może kiedyś, gdy będziemy starzy i zgrzybiali, jeszcze się z tego pośmiejemy.

Już to widzę.

Niesamowite, że gdy powstrzymujesz się od uzasadnienia, ludzie zawsze wyczytają coś między wierszami. Weźmy list (zostawiłem go matce na mojej poduszce), w którym napisałem, że ją kocham i że to nie jej wina. I że nie mogę spojrzeć ojcu w oczy.

To wszystko było prawdą.

– Spragniony? – mówi jakaś kobieta, a ja widzę, że cola, którą nalewam z automatu w szpitalnej kafeterii, przelała się z kubka prosto na moje buty.

– Boże – mruczę, puszczając kurek. Rozglądam się za czymś do wytarcia, ale serwetki są wydzielane przez obsługę w ramach zrywu na rzecz ochrony środowiska. Patrzę na kasjerkę, która mruży oczy i potrząsa głową.

– Luellen? – krzyczy przez ramię. – Zawołaj sprzątaczkę.

– Proszę. – Kobieta obok mnie wyciąga z torebki paczkę chusteczek i próbuje mi wytrzeć przemoczoną koszulę i spodnie. Usiłuję odebrać jej mokry zwitek i zderzamy się głowami.

– Au!

– Przepraszam – mówię. – Jestem trochę roztrzęsiony.

– Widzę. – Uśmiecha się, pokazując dołeczki. Jest chyba w moim wieku. Ma szpitalny identyfikator, ale chodzi bez fartucha. – Wie pan co, ja stawiam. – Napelnia drugi kubek, a następnie przekłada mój banan i jogurt na swoją tacę. Podaje kasjerce identyfikator, po czym idzie do stolika, a ja za nią.

– Dzięki. – Pocieram ręką czoło. – Ostatnio niewiele sypiam. Jest pani bardzo uprzejma.

– Jesteś bardzo uprzejma, Susan – odpowiada.

– Mam na imię Edward.

– Bardzo mi miło, Edwardzie. Poprawiałam cię tylko, żebyś zapamiętał moje imię na później.

– Później?

– Kiedy do mnie zadzwonisz...?

Nie nadażam za tą rozmową.

Susan się wzdryga.

– Cholera. Co też mi strzeliło do głowy. Chyba mam zepsuty radar. Głupio wyszło, nie? Podrywać kogoś w szpitalnej kafeterii? Przecież możesz być pacjentem lub przywiozłeś żonę na porodówkę, ale wyglądałeś tak bezradnie... a moi rodzice poznali się na pogrzebie... że nie chciałam przepuścić okazji, aby cię lepiej poznać...

– Zaraz... Chciałaś mnie poderwać?

– Owszem.

Uśmiecham się po raz pierwszy od początku tej rozmowy.

– W takim razie trafiłaś jak kulą w płot. – Teraz to ona ma zdumioną minę. – Kibicuję przeciwnej drużynie – dorzucam tonem wyjaśnienia.

Susan wybucha śmiechem.

– Mój radar jest zdecydowanie do wymiany. Do końca życia będę podpierać ścianę.

– I tak czuję się zaszczycony – odpowiadam.

– I do tego się najesz. Nie musimy psuć atmosfery. – Wskazuje na miejsce naprzeciw siebie. – Zatem co sprowadza cię do Beresford Memorial?

Waham się, myśląc o nieruchomym ojcu na OIOM-ie.

O siostrze, która mnie nienawidzi, okręconej bandażami jak ranny żołnierz.

– Spokojnie. Nie mam zamiaru naruszać zasad prywatności, pomyślałam tylko, że byłoby miło chwilę pogadać. Chyba że musisz lecieć...?

Powinienem iść do ojca. Zostawiłem go po raz pierwszy od dwunastu godzin, byle coś przegryźć, żeby mieć paliwo na kolejne pół doby. Ale siadam naprzeciwko Susan. Pięć minut, obiecuję sobie.

– Nie – mówię; pierwsze z serii kłamstw. – Nigdzie mi się nie spieszy.

Gdy wracam do sali ojca, czeka na mnie dwóch policjantów. Nawet mnie to nie dziwi. Kolejny punkt na długiej liście rzeczy niespodziewanych.

– Pan Warren? – pyta pierwszy policjant.

Dziwnie to słyszeć. W Tajlandii nazywano mnie „Ajarn Warren” – nauczyciel Warren – i nawet wtedy czułem się nieswojo, jak w za luźnej koszuli. Nigdy nie wiem, kiedy właściwie człowiek staje się dorosły i zaczyna odpowiadać na takie tytuły, ale chyba jeszcze wszystko przede mną.

– Nazywam się Whigby, a to jest sierżant Dumont – mówi policjant. – Przykro nam z powodu pańskiej. – Urywa przed słowem „strata”. – Z powodu tego, co się stało.

Podchodzi Dumont z papierową torebką.

– Przynieśliśmy rzeczy, które pański ojciec miał przy sobie w chwili wypadku.

Pomyśleliśmy, że chciałby pan je zatrzymać.

Sięgam po torebkę. Okazuje się lżejsza, niż myślałem.

Mówią do widzenia i zwracają do drzwi. Whigby odwraca się w progu.

– Oglądałem każdy odcinek na Animal Planet – oświadcza. – Pamięta pan ten o wilku, który prawie się otrul? Płakałem jak dziecko, słowo daję.

Mówi o Wazoli, młodej samicy, sprowadzonej przez ojca do Redmond z zoo, gdzie była źle traktowana. Wybudował dla niej zagrodę i przeniósł tam dwóch braci, tworząc nowe stado. Któregoś dnia po godzinach do zoo włamał się aktywista na rzecz praw zwierząt i podmienił mięso z masarni na mięso zatrute strychniną. Jako wadera Wazoli jadła pierwsza – i wpadła nieprzytomna do stawu. Kamerzyści nakręcili, jak ojciec ją wyławia, niesie do swojej przyczepy i trzyma owiniętą we własny koc, dopóki nie odzyskała przytomności.

Policjant nie mówi mi tylko, że jest wielbicielem wilków. Mówi: *pamiętam twojego tatę z tamtych czasów. I: to nieruchome ciało nie jest prawdziwym Lukiem Warrenem.*

Po ich wyjściu siadam obok ojca i przeglądam zawartość torebki. Okulary słoneczne, paragon ze sklepu, trochę drobnych. Czapka baseballowa z przeżutym daszkiem. Portfel.

Odkładam torebkę, obracając w rękach ten ostatni. Jest prawie nieużywany, pewnie ojciec rzadko go nosił. Musiał zostawiać go w schowku, żeby nie padł ofiarą ciekawskiego stworzenia. Już jako dwunastolatek, wychodząc z tatą na zakupy, pamiętałem o zabranii gotówki, by oszczędzić sobie wstydu przy kasie.

Z wystudiowaną obojętnością otwieram portfel. Wewnątrz znajdują się czterdzieści trzy dolary, karta Visa oraz wizytówka weterynarza z Lincoln, specjalizującego się w leczeniu dużych zwierząt. Jest karta na punkty ze sklepu z karmą, z odręcznym dopiskiem ojca na odwrocie. Zdjęcie Cary na kiczowatym, niebieskim tle, jak zawsze na szkolnych fotografiach. Nic, co świadczyłoby o istnieniu mojej osoby.

Oddam wszystko Carze.

W laminowanej przegródce znajduję prawo jazdy. Ojciec na zdjęciu jest zupełnie do siebie niepodobny; ma włosy zaczesane do tyłu i patrzy w obiektyw, jakby ktoś go znieważył.

W prawym dolnym rogu widnieje małe serduszko.
Przypominam sobie, jak w wieku szesnastu lat wypełniałem papiery na własne prawo jazdy.

– Czy chcę być dawcą narządów? – krzyknąłem do matki.

– Nie wiem – odkrzyknęła z kuchni. – A chcesz?

– Skąd mam wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli nie jesteś pewien, to nic nie zaznaczaj.

Wszedł ojciec, żeby coś przegryźć po drodze do Redmond. Pomyślałem sobie, że nawet nie wiedziałem o jego obecności. Pojawiał się i znikał; nie byliśmy dla niego domem, tylko miejscem, gdzie mógł się przebrać, wziąć prysznic i od czasu do czasu coś przekąsić.

– Jesteś dawcą narządów? – spytałem.

– Słucham?

– W prawie jazdy. No wiesz. Chyba miałbym opory. – Skrzywiłem się. – Moje rogówki w oczach obcej osoby. Wątroba w cudzym ciele.

Usiadł przy stole naprzeciw mnie, obierając banana.

– Cóż, gdyby przyszło co do czego – odparł i wzruszył ramionami. – Twoje opory nie miałyby racji bytu.

Koniec końców nie zaznaczyłem tamtej rubryki. Bo jeśli ojciec coś popierał, ja byłem tego zagorzałym przeciwnikiem.

Najwidoczniej on jednak był innego zdania.

Ktoś cicho puka do drzwi i wchodzi Trina z opieki społecznej. Już mi się przedstawiła; pracuje z doktorem Saint-Clare'em. To ona pchała wózek Cary podczas jej pierwszej wizyty na OIOM-ie.

– Witaj, Edwardzie – mówi. – Mogę na chwilę?

Kiwam głową i siada na krześle obok mnie.

– Jak się czujesz?

Dziwne pytanie z ust kogoś, kto robi to zawodowo. Czy ktokolwiek na moim miejscu odpowiada „Świetnie!”?

Kręciłaby się tutaj, gdyby spodziewała się takiej odpowiedzi?

Nie pojmowałem, po co mojemu nieprzytomnemu ojcu ktoś z opieki społecznej. Potem zrozumiałem, że przydzielono ją mnie i Carze. Dawniej kojarzyłem tę funkcję z opieką zastępczą – więc nie byłem pewien, co to ma wspólnego ze mną – ale Trina bardzo się przydaje. Jeśli chcę porozmawiać z doktorem Saint-Clare'em, biegnie go poszukać. Gdy zapominam nazwisko ordynatora, ona mi je podrzuca.

– Słyszałam, że rozmawiałeś dzisiaj z doktorem Saint-Clare'em – mówi.

Zerkam na profil ojca.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Widziałaś, żeby ktoś wyzdrowiał? Ktoś... kto był w takim stanie?

Mówiąc to, nie mogę patrzeć na łóżko i wpatruję się w płamę na podłodze.

– Istnieje wiele przypadków wyzdrowień – odpowiada Trina. – Ale z tego, co słyszałam od doktora Saint-Clare'a, stan twojego ojca jest katastrofalny, a szanse na wyleczenie w najlepszym razie znikome.

Krew uderza mi do twarzy. Przyciskam dłońmi policzki.

– Zatem do kogo należy decyzja? – pytam cicho.

Wie, o co mi chodzi.

– Gdyby przywieziono go przytomnego – mówi łagodnie Trina – poproszono by go o wskazanie pełnomocnika. Kogoś, kto miałby prawo podejmować w jego imieniu wszystkie decyzje w kwestii postępowania medycznego.

– Chyba wyraził chęć bycia dawcą narządów.

Trina kiwa głową.

– Przepisy regulują, w jakiej kolejności można zwracać się w tej sprawie do członków rodziny osoby niezdolnej wypowiedzieć się we własnym imieniu.

– Ale na jego prawie jazdy widnieje symbol dawcy.

– Cóż, to nam nieco upraszcza sprawę. Ten symbol oznacza, że jest zarejestrowanym dawcą i formalnie udzielił zgody na przekazanie narządów. – Po chwili wahania dodaje: – Ale najpierw, Edwardzie, trzeba zająć się czymś innym. W naszym stanie nie istnieje prawna hierarchia w kwestii decyzji o odłączeniu chorego od respiratora. Podejmuje ją najbliższy krewny.

– Nie rozmawiałem z ojcem od sześciu lat – przyznaję. – Nie wiem, co je na śniadanie, a co dopiero, czego oczekiwałby ode mnie w takiej sytuacji.

– W takim razie – kwituje Trina – moim zdaniem musisz porozmawiać z siostrą.

– Kiedy ona nie chce ze mną rozmawiać.

– Na pewno? A może to ty nie chcesz rozmawiać z nią?

Po jej wyjściu odchyłam głowę w tył i wdycham. Trina ma absolutną rację – ukrywam się u ojca, ponieważ jest nieprzytomny i nie może mnie zbesztać za ucieczkę sprzed sześciu lat. Z kolei siostra jest do tego bardzo skora. Po pierwsze, dostanę za to, że wyjechałem bez słowa. A po drugie, że wróciłem, uzurpując sobie jej rolę: rolę osoby najlepiej znającej ojca. Osoby, którą najchętniej ujrzałby teraz obok siebie, gdyby dano mu wybór.

Uświadamiam sobie, że wciąż ściskam w ręku jego portfel. Wyjmuję prawo jazdy i pocieram palcem serduszko, symbol dawcy narządów. Ale gdy wsuwam je z powrotem do przegródki, widzę, że kryje coś jeszcze.

To zdjęcie, przycięte do wymiarów kieszonki. Halloween '92. Miałem na głowie czapkę baseballową obszytą futerkiem, z dwoma spiczastymi uszami po bokach. Buzię pomalowaną na szaro. Miałem cztery lata i chciałem być przebrany za wilka.

Ciekawe, że nawet wówczas wiedziałem, że kocha te zwierzęta bardziej niż mnie.

Ciekawe, dlaczego zachował to zdjęcie, na przekór wszystkiemu.

Mimo siedmioletniej różnicy wieku byłem zazdrosny o Carę.

Miała kasztanowe kędziorki i pyzate policzki; ludzie zaczepiali matkę na ulicy, żeby jej powiedzieć, jakie ma prześliczne maleństwo. Dopiero potem zauważali naburmuszonego drugoklasistę, idącego obok – za chudego, zbyt nieśmiałego.

Ale nie zazdrościłem jej wyglądu, tylko wyobraźni. Nie należała do dziewczynek, które tylko bawią się lalkami. Rozkładała je po całym domu, po czym wymyślała jakąś skomplikowaną opowieść, na przykład: sierotka płynie na gapę przez ocean na statku pirackim w poszukiwaniu kobiety, która sprzedała ją po urodzeniu, by ocalić męża przed dożywociem za kratkami. Nauczyciele w podstawówce zawsze rozwodzili się nad jej marzycielską naturą. Kiedyś mamę wezwano do dyrektora, bo Cara wmówiła całej klasie, że jej dziadek jest astrofizykiem i o szóstej wieczorem słońce gruchnie w ziemię, powodując śmierć wszystkich mieszkańców.

Pomimo znacznej różnicy wieku czasem zgadzałem się z nią pobawić. Najbardziej lubiła chować się w szafie i wymyślać różne historie. Opowiadała o planetach, które mijaliśmy, o kosmitach z sześciorgiem oczu i górach trzęsących się jak zielona galareta.

Wierzcie mi, chociaż miałem już swój rozum, marzyłem tylko o tych górach i kosmitach. Chyba nawet w dzieciństwie – kiedy zrozumiałem, że jestem inny – moim największym

marzeniem była możliwość zmiany oraz bycia takim jak inni. Po czym zaglądałem do szafy i widziałem tylko półki.

Nic dziwnego, że gdy ojciec zamieszkał w lesie, Cara wymyślała alternatywne wersje zdarzeń: „Jest na wykopaliskach z egiptologami w Kairze”. „Ćwicz przed wyprawą w kosmos”. „Kreć film z Bradem Pittem”.

Nie mam pojęcia, czy naprawdę wierzyła w to, co mówi, ale powiem wam jedno: żałuję, że tak łatwo nie umiałem usprawiedliwić ojca.

Oddział ortopedii, na którym leży Cara, różni się znacznie od OIOM-u. Po pierwsze, tętni życiem, a grobowa cisza, która każe zniżyć głos do szeptu piętro niżej, ustępuje miejsca szmerom rozmów pielęgniarek z pacjentami, skrzypieniu wózka wolontariusza oraz kakofonii głosów z kilkunastu migoczących w salach telewizorów.

Kiedy wchodzi do Cary, ogląda *Koło Fortuny*.

– Ulubieńcy bogów umierają młodo – oznajmia, odgadując hasło.

Matka zauważa mnie pierwsza.

– Edward? Wszystko w porządku?

Ma na myśli ojca. Jakżeby inaczej. Widok miny Cary skręca mi wnętrzności.

– Wszystko dobrze. To znaczy, niedobrze. Ale bez zmian. – Od razu muszę się pograć.

– Mamo, czy mógłbym chwilę porozmawiać z Carą na osobności?

Matka zerka na Carę, ale zaraz kiwa głową.

– Zadzwoń do bliźniąt.

Siadam na zwolnionym przez nią krześle i przysuwam je bliżej łóżka.

– Boli? – Wskazuję na bark Cary.

Siostra nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Obrywałam gorzej – mówi gładko.

– Ja, hm... przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Wzrusza ramionami, usta ma zaciśnięte w wąską kreskę.

– No. Więc po co tutaj jesteś? – pyta po chwili. – Czemu nie wrócisz tam, skąd przyjechałeś, i nie zostawisz nas w spokoju?

– Wrócę, jeśli tego sobie życzysz – zapewniam. – Ale najpierw chciałbym opowiedzieć ci o tym, co robiłem. I spytać, co u ciebie.

– Mieszkam z tatą. Wiesz, z tym facetem piętro niżej, którego udajesz, że znasz lepiej niż ja.

Pocieram twarz.

– Naprawdę musimy to przerabiać?

– Ach. Ojej. Masz rację. Co też ja wyprawiam? Przecież powinnam przyjąć cię z otwartymi ramionami. Przemilczeć fakt, że rozwaliłeś naszą rodzinę, bo jesteś samolubnym gnojkiem i wyjechałeś, zamiast próbować załagodzić sytuację. A teraz wracasz w aurze bohatera i udajesz, że on cię obchodzi.

Nie przekonam jej, że nawet odległość nie wymaże kogoś z naszego serca. Wierzcie mi. Próbowałem.

– Wiem, dlaczego wyjechałeś – uzupełnia Cara, wysuwając podbródek. – Ujawniłeś się i tata dostał szału. Mama mi powiedziała.

Była za mała, żeby to wówczas zrozumieć, ale już nie jest, zresztą prędzej czy później zaczęłyby zadawać pytania. A matka skwapliwie udzieliła na nie odpowiedzi, nie zastanawiając się, czy są słuszne.

– Wiesz co? Mam w nosie, czemu wyjechałeś. Chciałabym tylko wiedzieć, po co tutaj jesteś, skoro nikt nie chce cię widzieć.

– Mama chce mnie widzieć. – Biorę głęboki oddech. – Jestem, bo tego chcę.
– Znalazłeś w Tajlandii Jezusa, Buddę czy co tam jeszcze? Pragniesz odpokutować przeszłość, aby wejść na wyższy szczebel karmy? Mam dla ciebie wiadomość, Edwardzie: ja ci nie wybaczę. I już.

Jeszcze chwila, a pokaże mi język. Jest zraniona, mówię sobie. I zła.

– Słuchaj, jeśli chcesz mnie nienawidzić, bardzo proszę. Jeśli przez kolejne sześć lat mam cię przeproszać, załatwione. Ale teraz nie chodzi ani o ciebie, ani o mnie. Mamy mnóstwo czasu, żeby wszystko sobie wyjaśnić. Tata wręcz przeciwnie, więc skupmy się na nim.

Gdy pochyla głowę, biorę to za zgodę.

– Lekarze mówią, że taki uraz to nie przelewki.

– Nie znają go – ucina Cara.

– Są lekarzami, Caro.

– Ty też go nie znasz.

– A jeśli nigdy się nie obudzi? – przerywam. – Co wtedy?

Widzę po jej pobladłej twarzy, że jeszcze nie przyjmuje tego do wiadomości. Nie dopuszcza do siebie wątplenia, żeby nie zakiełkowało w jej sercu jak chwast i nie zapuściło korzeni.

– O czym ty mówisz? – szepcze.

– Przecież on nie będzie wiecznie podłączony do respiratora, Caro.

Wytrzeszcza oczy.

– Jezu. Aż tak go nienawidzisz, że mógłbyś go zabić?

– Nie nienawidzę go. Wiem, że mi nie wierzysz, ale kocham go i staram się kierować tym, czego sam życzyłby sobie w tej sytuacji.

– Masz osobliwy sposób okazywania miłości.

Szyderstwo zgrzyta jak gwóźdź po szkłe.

– Nie wmówisz mi, że tata chciałby leżeć podłączony do maszyny. Mieszkać z kimś, kto zmieniałby mu pieluchę.

I że nie tęskniłby za pracą z wilkami.

– Ma silną wolę walki, nie podda się. – Cara kręci głową. – Nie wierzę, że o tym rozmawiamy. Nie wierzę, że twoim zdaniem masz prawo mi mówić, czego chciałby lub nie chciał tata.

– Jestem realistą, nic więcej – oświadczam. – Bądź przygotowana na trudne wybory.

– Wybory? – wypływa to słowo. – Wiem co nieco o trudnych wyborach. Załamać się czy zacisnąć zęby, kiedy rodzice się rozwodzą? Opuszczona przez jedyną osobę, która zrozumiałaby, co czuję. Zamieszkać z matką czy z ojcem, gdyż bez względu na to, co postanowię, zranię któregoś z nich. Stałam przed trudnym wyborem i wybrałam tatę. Więc jak śmiesz mi mówić, że mam postawić na nim krzyżyk?

– Wiem, że go kochasz. Wiem, że nie chcesz go stracić.

– Przed wyjazdem powiedziałaś mamie, że chcesz go zabić – wybucha Cara. – Jak widać, teraz masz okazję.

Nie mam pretensji do mamy, że jej o tym powiedziała. To szczerza prawda.

– To było dawno temu. Wszystko się zmienia.

– Właśnie. Dlatego za dwa tygodnie, może dwa miesiące lub dłużej tata wyjdzie stąd o własnych siłach.

Neurologdy twierdzą inaczej. Zresztą sam widzę, jak jest. Ale zdaję sobie sprawę, że Cara ma rację. Co daje mi prawo do podejmowania decyzji, skoro nie należę do rodziny?

– Głupio wyszło z tym moim wyjazdem – mówię. – Ale teraz tutaj jestem. Wiem, że

cierpisz, i tym razem nie musisz przechodzić przez to sama.

– Jeśli chcesz mi to wynagrodzić, powiedz lekarzom, że chcę sama decydować o tacie.

– Jesteś za młoda. Nie wezmą pod uwagę twojego zdania.

Nie odrywa ode mnie wzroku.

– Ale ty mógłbyś.

Tak naprawdę chcę, żeby ojciec obudził się i wyzdrowiał, ale nie dlatego, bo na to zasługuje.

Bo chcę stąd jak najszybciej wyjechać.

Cara ma rację. Nie należę do rodziny od sześciu lat. Nie mogę tak po prostu przyjść i się rozgościć. Mówię o tym matce po wyjściu od Cary.

– Wracam do domu.

– Jesteś w domu.

– Mamo – perswaduję. – Komu chcemy zamydlić oczy? Cara mnie tutaj nie chce. Co ja mogę wiedzieć o tym, czego życzyłby sobie tata? Przeszkadzam tylko, zamiast pomagać.

– Jesteś zmęczony. Przemęczony. Od dwudziestu czterech godzin siedzisz w szpitalu.

Odpocznij w prawdziwym łóżku. – Sięga do torebki, wyjmując pęk kluczy i jeden odłącza.

– Nie wiem, gdzie teraz mieszkasz – zauważam. Już samo to świadczy, że tutaj nie pasuję.

– Ale wiesz, gdzie ty mieszkałeś – odpowiada. – Mam zapasowy klucz, na wypadek gdyby Cara zgubiła swój. Oczywiście dom jest pusty. Najlepiej będzie, jak pójdziesz sprawdzić, czy wszystko gra.

Bo akurat w Beresford są włamywacze.

Matka wsuwa mi klucz do ręki.

– Odpocznij – powtarza.

Wiem, że powinienem odmówić, wyznaczyć granicę. Pojechać na lotnisko i zarezerwować pierwszy lot do Bangkoku. Ale w głowie mi huczy, a z żalu ścisną w gardle.

– Jedna noc – zapowiadam.

– Edwardzie – mówi matka, gdy kieruję się do drzwi. – Nie było cię sześć lat. Ale przedtem mieszkałeś z nim przez osiemnaście. Masz w tym większy udział, niż ci się zdaje.

– Tego się obawiam.

– Że nie podejmiesz właściwej decyzji?

Potrząsam głową.

– Podejmę – mówię. – Pytanie tylko, z jakich pobudek.

Czuję się jak Alicja w Krainie Czarów.

Dom, do którego wchodzę, wygląda znajomo, a zarazem zupełnie inaczej. Stoi kanapa, na której po szkole oglądałem telewizję, ale nie jest czerwona, tylko w paski. Na ścianach wiszą zdjęcia taty z wilkami, pomieszane ze szkolnymi fotografiami Cary. Mijam je powoli, patrzę, jak się zmieniała.

Potykam się o buty, ale to już nie są tenisówki mojej siostrzyczki. Stół w jadalni ginie pod stertami zeszytów i książek: rachunki, historia świata, Wolter. Na kuchennym blacie stoi pusty kartonik po soku pomarańczowym, trzy brudne talerze i rolka papierowych ręczników. Bałagan kogoś, kto sądził, że później wróci posprzątać.

Obok widzę prawie puste opakowanie po płatkach „Życie”, bardziej metafora aniżeli przejaw bałaganiarstwa.

Dom pachnie. Nie jest to przykry zapach – pachnie lasem, dymem i świerkiem. Wiecie, jak to jest, gdy wchodzimy do cudzego domu i czujemy pewien określony zapach... ale gdy wracamy do siebie, nie pachnie nam niczym szczególnym? Ot, kolejne potwierdzenie, że jestem

tutaj obcy.

Naciskam migający guzik automatycznej sekretarki. Dwie wiadomości. Jedna od dziewczyny o imieniu Mariah, do Cary.

„Musimy pogadać, masz zapchaną skrzynkę. Zadzwoń!”.

Druga jest od Waltera z Redmond. Sześć lat temu opiekował się wilkami pod nieobecność taty – ćwiartował cielaki z masarni i dzwonił w środku nocy, jeśli tata był z nami, a nie w przyczepie. Pewnie dalej robi to samo, bo prosił o lekarstwo dla jednego z podopiecznych.

Ojciec od dwóch dni nie pokazał się w Redmond. A co, jeśli Walter nie został poinformowany?

Wciskam po kolei wszystkie guziki, ale nie mam pojęcia, jak wywołać ostatni przychodzący numer. Ale gdzieś musi być książka adresowa lub baza danych w komputerze.

Gabinet ojca.

Tak go nazywał, chociaż ojciec – o ile wiedziałem – nigdy tam nie zaglądał. W praktyce był to nasz pokój gościnny, tyle że z szafką na dokumenty, komputerem i biurkiem, zresztą raczej nie mieszkaliśmy gości. To właśnie tam, dwa razy w tygodniu, siadałem, by opłacić rachunki – tak jak obowiązkiem Cary było napełnianie i opróżnianie zmywarki. Kiedy ojciec wyjechał do Kanady, by przyłączyć się do wilczego stada, musieliśmy zacisnąć pasa. Z pewnością liczył, że matka zajmie się rodzinnymi finansami, ale zapomniała o terminach i po tym, gdy dwukrotnie wyłączono nam ogrzewanie z powodu niezapłacenia rachunku, postanowiliśmy, że obowiązek ten spadnie na mnie. I tak już w wieku piętnastu lat wiedziałem, ile kosztuje utrzymanie domu. Dzięki karcie debetowej poznałem tajniki rat procentowych. Pilnowałem płatności. A po powrocie ojca stanęło na tym, że tak będzie dalej. Miał tyle do roboty, że nie starczało mu czasu na księgowość.

Pewnie myślicie, że to dziwne powierzać nastolatkowi rodzinne finanse, i nie świadczy dobrze o moich rodzicach. Podobnie jak zabieranie dziecka do wilczej zagrody. Ale nikt nie mrugnął okiem, gdy dwunastoletnia Cara zagościła w serii na Animal Planet. Ojciec miał bajeczną siłę przekonywania.

Nie zmienił się fotel przy biurku – to jeden z tych ergonomicznych kolosów z dźwigniami i drążkami, które można dopasować do pleców. Mama wygrzebała go na jakiejś wyprzedaży za dziesięć dolarów. Ale w miejsce komputera stacjonarnego pojawił się smukły MacBook Pro z żółtookim wilkiem na wygaszaczu; patrzy tak przenikliwie, że przez chwilę nie mogę odwrócić wzroku. Otwieram szuflady; jedna jest wypchana kopertami – na niektórych widnieje napis „zaległe”. Przeglądam je jak zahipnotyzowany. Sięgam do szuflady po prawej stronie po książeczkę czekową, długopis i znaczki. Plik kopert jest tak gruby, jakby od mojego wyjazdu nikt nie płacił rachunków.

Co bynajmniej by mnie nie zdziwiło.

Zapomniałem, po co tutaj przyszedłem. Odruchowo zaczynam układać pocztę, wypisywać czek, fałszować podpis ojca. Ilekroć otwieram kopertę, serce podskakuje mi w piersi: podświadomie spodziewam się nagłówka sprzed sześciu lat, rachunku, który odebrał mi mowę. Tego, którym chciałem pomachać przed nosem i zażądać, by okłamał mnie jeszcze raz.

Ale nic takiego nie znajduję. Same rachunki, wyciągi z kart kredytowych z wyczerpanym limitem i ostrzeżenia z firm windykacyjnych. Po zapłaceniu telefonu, elektryczności i opału muszę zrobić przerwę, bo książeczka czekowa niebezpiecznie świeci pustką.

Gdzie, do cholery, podziały się pieniądze?

Stawiam na Redmond. Ojciec ma obecnie pięć zagród dla wilków – pięć oddzielnych watah do utrzymania. I córkę. Potrząsając głową, otwieram górną szufladę i upycham w niej niezapłacone rachunki. To nie moja sprawa. Nie jestem jego księgowym. Nikim już dla niego nie

jestem.

Dopiero wtedy ją zauważam – pośliznęła się, wygniecioną kartkę papieru, która utknęła na metalowej prowadnicy. Wkładam głęboko rękę, próbując ją wyciągnąć. Urywam kawałek, lecz udaje mi się wyjąć kartkę i wygładzam ją na biurku obok laptopa.

I nagle znowu mam piętnaście lat.

Było to wieczorem w przeddzień wyjazdu ojca, Cara i ja się schowaliśmy.

Od rana były wrzaski. Matka krzyczała, potem ojciec, a potem ona wybuchała płaczem. Jeśli to zrobisz, powiedziała, możesz już nie wracać.

Nie mówisz poważnie, burknął.

Cara spojrzała na mnie. Żuła koniec warkocza, który wypadł jej z ust jak mokry pędzel. Czy ona mówi poważnie?, spytała.

Wzruszyłem ramionami. O miłości wiedziałem tylko, że zawsze jest jednostronna. Levon Jacobs, który siedział przede mną na algebrze, miał skórę w odcieniu gorącej czekolady i znał statystyki każdego gracza z Boston Bruins, ale zwracał się do mnie tylko po ołówki. Poza tym, jak pozostali chłopcy w klasie, lubił dziewczęta. Matka kochała ojca, ale on myślał tylko o swoich głupich wilkach. Ojciec kochał wilki, ale sam przyznawał, że one nie odwzajemniają tej miłości, a myśl, że jest inaczej, byłaby przypisywaniem im ludzkich cech.

To wariactwo, wrzasnęła matka. Tak się nie robi, kiedy się ma rodzinę, Luke. I gdy jest się dorosłym.

Zupełnie jakbym ci robił na złość, odpowiedział ojciec. To nauka, Georgie. To moje życie.

Właśnie, zawołała matka. Twoje życie.

Cara przywarła do mnie plecami. Była taka chudziutka, że poczułem kręgi jej kręgosłupa. Nie chcę, żeby umarł.

Miał zamieszkać w lesie bez jedzenia, dachu nad głową ani żadnej osłony prócz płóciennego kombinezonu. Zamierzał wyruszyć jednym z kanadyjskich szlaków migracji wilków i przeniknąć do watahy, jak to wcześniej czynił ze stadami na uwięzi. Gdyby mu się udało, byłby pierwszym człowiekiem, który zgłębiłby ją od podszewki.

Jeśli dożyje chwili, aby o tym opowiedzieć.

Głos ojca stał się miękki jak filc.

Georgie, powiedział. Nie bądź taka. Nie ostatniego wieczoru.

Cisza.

Tataś obiecał mi, że wróci, szepnęła Cara. Mówił, że gdy będę starsza, zabierze mnie ze sobą.

Tylko nie mów mamie, odpowiedziałem.

Rodzice ucichli. Może się pogodzili. Klócili się tak od pół roku, odkąd ojciec zdradził się z planowanym wyjazdem do Quebecu. Chciałem, żeby już wyjechał, przynajmniej oznaczałoby to kres awantur.

Usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi i po chwili rozległo się pukanie do mojego pokoju. Gestem nakazałem siostrze milczenie i uchyliłem drzwi. Za progiem stał tata. Edwardzie, powiedział. Musimy porozmawiać.

Lecz gdy otworzyłem szerzej drzwi, pokręcił głową i dał znak, żebym poszedł za nim. Rzuciwszy ostrzegawcze spojrzenie Carze, ruszyłem za tatą do pokoju, nazywanego gabinetem, mieszczącego zbiór kartonów, biurko oraz stertę listów, których nikomu nie chciało się przejrzeć. Ojciec zdjął ze składanego krzesła stos książek, żebym mógł usiąść, a następnie poszperał w szufladzie i wyjął dwa kieliszki oraz butelkę whisky.

Dla ścisłości: wiedziałem o tej butelce. Pociągnąłem nawet parę łyków. Tata prawie nie

pił – wilki wyczuwały alkohol na kilometr – więc nie zauważył, że powoli ubywa mu whisky. Miałem piętnaście lat i wiedziałem też, że na strychu, wśród starych roczników „Life’a”, leżą dwa numery „Playboya” – z grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego i marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku – które wielokrotnie przeglądałem w nadziei, że widok gołej babki wzbudzi we mnie iskrę pożądania. Ale nie podejrzewałem, że ojciec zaproponuje mi drinka, nie przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia.

Byliśmy jak dwa bieguny. Nie chodzi o moją orientację – o ile mi wiadomo, ojciec nie miał nic przeciwko homoseksualistom. Po prostu kiedy on uosabiał współczesną wersję trapera – zwalisty, pierwotny i muskularny – mnie ciągnęło bardziej do Melville’a i Hawthorne’a. Kiedyś napisałem dla niego wiersz na Gwiazdkę (przechodziłem etap fascynacji Miltonem). Ochał i achał, przejrzał go pobieżnie, po czym usłyszałem, jak pyta matkę, o co w nim w ogóle chodzi. Wiem, że szanował mój głód nauki, może nawet rozpoznawał w nim własną potrzebę obcowania z naturą. Poprzez książki uciekałem tak jak on dzięki pracy, przy czym on byłby tak samo zafrasowany *Ulissesem* jak ja nocą w lesie.

Będiesz głową rodziny, oznajmił tonem, z którego było zwątpienie, czy podołam wyzwaniu. Nalał po centymetrze brunatnego płynu do każdej szklanki i podał mi jedną. Duszkciem wychylił swoją; ja pociągnąłem dwa łyki, ale zapiekło mnie w przełyku i odstawiłem szklankę.

Kiedy mnie nie będzie, być może staniesz przed trudnymi decyzjami, podjął ojciec.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Nie miałem pojęcia, o czym mówi. To, że miał biegać z wilkami, nie znaczyło, że nie będę musiał ścielić łóżka i odrabiać lekcji.

Nie sądzę, by do tego doszło, ale... Sięgnął po kartkę leżącą na biurku i pchnął w moją stronę.

Tekst napisano odręcznie i bez owijania w bawełnę.

W sytuacji gdy nie będę zdolny sam decydować o swoim zdrowiu, wszelkie decyzje co do ewentualnego leczenia pozostawiam mojemu synowi Edwardowi.

Poniżej miejsce na jego podpis. I na mój.

Serce zabiło mi jak młotem.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Prosiłem twoją matkę – dodał – ale nie robi nic, co równałoby się przyzwoleniu na tę wyprawę. A przecież trzeba wziąć pod uwagę... każdą możliwość.

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Jaką możliwość?

Oczywiście znałem odpowiedź. Chciałem tylko, żeby powiedział to głośno: ryzykował życie dla zwierząt. Były dla niego ważniejsze od nas.

Nie odpowiedział wprost.

– Słuchaj, odparł. To naprawdę bardzo ważne.

Podniosłem kartkę. Czulem pod palcami nierówności w miejscach, gdzie długopis przebił na drugą stronę, i aż mnie zemdlilo na myśl, że zaledwie przed dwiema minutami mój ojciec brał pod uwagę własną śmierć.

Podał mi długopis. Niechcący upuściłem go na podłogę. Kiedy obaj się schyliliśmy, palcami musnął moją dłoń. I jakby prąd mnie przeszedł. Wtedy zrozumiałem, że podpiszę, chociaż nie chciałem. Bo w przeciwieństwie do matki byłem za słaby, aby pozwolić mu odejść – może na zawsze – z myślą, że miało być inaczej. Dzięki niemu miałem szansę stać się kimś, kim dotąd nie byłem: synem, jakiego zawsze chciał, chłopcem, na którym mógł polegać. Miałem być kimś, do kogo chciałby wrócić, bo inaczej skąd pewność, że to w ogóle nastąpi?

Podpisał się na dole i wręczył mi długopis. Tym razem nie dałem mu się wyslizgnąć. Wykaligrafowałem pierwszą literę mojego imienia.

I znieruchomiałem.

Skąd będę wiedział, co robić?, spytałem. A jeśli dokonam niewłaściwego wyboru?

Zrozumiałem, że naprawdę traktuje mnie poważnie: przestał się krygować. Nie zapewnił, że wszystko będzie dobrze; nie skłamał.

– To proste. Jeśli sam nie będę mógł zdecydować i ktoś zapyta cię o zdanie... niech pozwolą mi odejść.

Kiedy ktoś mówi, że wejście w dorosłość może nastąpić z dnia na dzień, jest w błędzie. Może nastąpić znacznie szybciej, w jednej chwili. Chwyciłem długopis, dopisałem nazwisko. Potem ująłem szklankę whisky i wypilem do dna.

Następnego ranka, kiedy się obudziłem, ojca nie było.

Dłuższą chwilę wpatruję się w pajęcze pismo mojego piętnastoletniego ja, niczym w lustro własnego umysłu. Zapomniałem o tym świstku aż do dzisiaj – ojciec tak samo. Rok i trzysta czterdzieści siedem dni później wyłonił się z kanadyjskiej puszczy z włosami do pasa i zakrzepłym brudem na brodatej twarzy, napędzając stracha dzieciom na parkingu przy autostradzie. Wrócił do domu, który funkcjonował bez niego; powoli oswajał się na nowo z prysznicem, gotowanym jedzeniem oraz ludzką mową. Nigdy nie nawiązał do tamtej rozmowy, podobnie jak ja.

Nieraz słyszałem kroki w środku nocy; zakradałem się na dół i widziałem ojca na trawniku za domem, śpiącego pod gwiazdami. Powinienem był wiedzieć, że gdy człowiek raz zadomowi się pod gołym niebem, dom stanie się dla niego więzieniem.

Wychodzę z gabinetu z poślódką kartką w dłoni. Po ciemku idę na górę, mijając różowy pokój Cary, i z wahaniem stoję przed drzwiami swojej dawnej sypialni. Zapalam światło i widzę, że nic się nie zmieniło. Na łóżku wciąż leży niebieska narzuta, a plakaty U2 i Green Day wiszą na ścianach.

Przechodzę do sypialni rodziców, zajmowanej dzisiaj przez ojca. Patchworkowa narzuta zniknęła, ustępując miejsca ciemnozielonej, położonej z żołnierską precyzją, z kocem złożonym schludnie na wierzchu. Na stoliku nocnym stoi szklanka z wodą i budzik. Telefon.

To nie dom, który zapamiętałem. Nie mój. Sęk w tym, że Tajlandia również nim nie jest.

Od paru dni myślę o tym, co dalej – nie tylko w kontekście ojca. Mam życie za granicą, właściwie niewarte wzmianki. Nudną pracę, paru znajomych, którzy – podobnie jak ja – uciekają przed czymś lub przed kimś. Choć przyjechałem tutaj niechętnie, gotów naprawić, co trzeba, a następnie wrócić do azylu na drugiej półkuli, sytuacja uległa zmianie. Nic tutaj nie naprawię – ani ojca, ani siebie, ani rodziny. Mogę spróbować jedynie załatać dziury i mieć nadzieję, że łąta nie puści.

Z daleka łatwiej było wierzyć, że tam jest moje miejsce, i na nowo rozpamiętywać stare dzieje nad kolejnym drinkiem. Ale wszystko się zmieniło, gdy ujrzałem niechęć w oczach siostry i zdjęcia, na których mnie zabrakło. Teraz nie czuję się niezależny i pewny siebie. Gryzie mnie sumienie.

Kiedyś podjąłem radykalną, przełomową decyzję, by rozpocząć nowe życie. Stoję w jej obliczu raz jeszcze.

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do mojej gospodyni w Chiang Mai, przemiłej wdowy, która przynajmniej raz w tygodniu zaprasza mnie do siebie na obiad, opowiada o swoim mężu i tym, jak się poznali. Łamanym tajskim mówię jej o ojcu, proszę, aby spakowała moje rzeczy i wysłała je pod wskazany adres. Następnie dzwonię do przełożonego w szkole językowej i zostawiam mu wiadomość na sekretarce z przeprosinami, że odchodzę w trakcie semestru, ale robię to z powodu ważnej sprawy rodzinnej.

Zdejmuję buty i się kładę. Składam kartkę na pół, potem znowu na pół, i chowam do

kieszeni koszuli.

To było dawno temu, ale kiedyś ojciec powiedział mi, czego życzyłby sobie w sytuacji, w której jest obecnie. A ja dawno temu obiecałem spełnić jego wolę.

Może nie dane mi będzie opowiedzieć mu, co robiłem po wyjeździe, może nigdy mnie nie zrozumie. Może nie dane mi go będzie przeprosić, doczekać, aż zrobi to samo. Pewnie się nigdy nie dowie, że wróciłem do niego, żeby być przy nim.

Ale ja będę wiedział.

W Tajlandii zawsze miałem kłopoty z zaśnięciem. To zapewne wina hałasu, upału, szumu wielkiego miasta. Ale dzisiaj zasypiam od razu. Śnię o sosnowych igłach pod bosymi stopami, o zimie, która przenika przez skórę, aż do głębi.

LUKE

Wchodząc do lasu na północ od rzeki Świętego Wawrzyńca, miałem na sobie ocieplany kombinezon nieprzemakalny, ocieplane buty i długą bieliznę. Do kieszeni schowałem zapasowe skarpetki, czapkę i rękawiczki, a do tego kłębek drutu, sznurek, batoniki zbożowe i suszoną wołowinę. Ostatnie osiemnaście dolarów dałem kierowcy, który przewiózł mnie przez granicę. Prawo jazdy wsunąłem do zapinanej kieszeni kombinezonu. Gdyby coś nie poszło, może chociaż po tym udałoby się mnie zidentyfikować.

Nie wziąłem plecaka i śpiwora ani kuchenki kempingowej i zapalek. Chciałem podróżować bez balastu, wieść życie możliwie zbliżone do życia samotnego wilka. Chodziło przecież o znalezienie stada, liczyłem, że jakieś pozwoli mi się przyłączyć. Ostatnim człowiekiem, z jakim – na blisko dwa lata – zamieniłem słowo, był kierowca, który mnie podrzucił. „Bonne chance”, rzucił na pożegnanie, a ja podziękowałem mu i zanurkowałem w rząd sosen na poboczu. Bez fanfar. Dzisiaj pewnie miałbym napisy reklamowe na kombinezonie, popijałbym napój izotoniczny, a moją wędrówkę transmitowano by na żywo w telewizji i przez Internet. Ale wówczas szczęśliwie panował spokój, tylko ja i wilki.

Mógłbym wam powiedzieć, że byłem twardy, niezłomny i odważny. Owszem, przez pierwsze dwanaście godzin. Podążałem dawnymi szlakami wycinki drewna i czasem pokonywałem dziennie dystans ponad trzydziestu kilometrów; zawsze starałem się nie oddalać od rzeki. Badałem odchody dla sprawdzenia, jakie gatunki zamieszkują okolicę, i robiłem sidła na wiewiórki, które obdzierałem ze skóry i zjadałem na surowo. Sikałem do strumieni, żeby zgubić drapieżniki. Jednakże mój wewnętrzny chojrak zniknął około siódmej wieczorem, kiedy słońce podpałało wierzchołki sosen i z wolna zniknęło za horyzontem.

Wtedy byłem przerażony.

Wyobraźcie sobie swój najgorszy koszmar. A teraz, że się urzeczywistnił. Oto, co znaczy poczuć ciemność, zamykającą się wokół nas jak pięść. Każdy szmer, każdy trzask i szelest spadającego liścia staje się potencjalnym zagrożeniem. Kiedy natura gasi światło, nie sposób go zapalić z powrotem. Pierwsze cztery noce spałem na drzewie z obawy, że zostanę pożarty przez niedźwiedzia lub pumę. Piątej nocy spadłem z drzewa i zrozumiałem, że tak samo mogę po prostu skrócić kark. Potem już spałem na ziemi – ale jak zając pod miedzą, podskakując przy najbliższym szmerze.

Powoli oswajałem się z nową rzeczywistością. W ciągu tygodnia zrozumiałem, że w lesie czas płynie wolniej. Wiatr nie jest tylko wiatrem – to sieć komunikacyjna przyrody, niosąca informacje o zmianach pogody, zwierzętach, które zjawiają się w okolicy lub ją opuszczają, potencjalnych drapieżnikach. Nikt nie narzeka na deszcz: pozwala odetchnąć od robactwa i dostarcza pitną wodę. Śnieg też jest pożyteczny, bowiem łatwo wytropić na nim kolejny obiad. Szum drzew, ptasi trzel i chrobotanie gryzoni stanowią klucz do twojego przetrwania; tutaj liczy się dobre ucho i sokoli wzrok. W kwestii życia lub śmierci natura gra na cały regulator.

Wszyscy pytają, o czym myślałem, sam jeden przez tak długi czas. Prawdę mówiąc, o niczym. Byłem zbyt pochłonięty koniecznością przeżycia oraz czytaniem znaków, które jawiły się moim oczom jak hieroglify bez klucza do odpowiedzi. Rozmyślając o Carze, Edwardzie i Georgie, mógłbym przeoczyć coś ważnego, a na to nie mogłem sobie pozwolić. Dlatego nie myślałem. I przetrwałem. Całymi dniami zachwyciałem się pięknem pajęczyny rozpiętej między gałęziami, poszarpaną linią górskiej przełęczy w oddali, purpurowym całunem zmierzchu otulającym las. Tropiłem stada jeleni i patrzyłem, jak dwa bobry konstruują bezbłędną tamę. I spałem, bo drzemki za dnia były bezpieczniejsze aniżeli nocą.

Przez miesiąc nie natrafiłem na żaden ślad wilków i przyszło mi do głowy, czy aby się nie

pomyliłem.

W czwartym tygodniu lunęło jak z cebra. Oddaliłem się od rzeki i skuliłem pod iglakami, gdyż korzeniami chłoną wilgoć i ziemia pod nimi jest suchsza niż gdzie indziej. Niezdolny do polowania, rozdygotany i głodny, zachorowałem. Przemoczony do nitki, zapadałem w rozgorączkowany sen i znów budziłem się z myślą, co ja tutaj, do licha, robię. Zdawało mi się, że las ma nogi, a drzewa korzeniami kopią mnie w nerki i brzuch. Kaszlałem, aż wymiotowałem żółcią. Chwilami pragnąłem, aby dziki kot lub niedźwiedź skróciły mi cierpienia.

Patrząc wstecz, myślę sobie, że musiałem się rozchorować. Musiałem wyzbyć się resztek człowieczeństwa, abym mógł zacząć postępować jak wilk, a nie jak człowiek. W takich opałach wilk się nad sobą nie użala. Wilki się nie poddają. Oceniają sytuację i pytają: „Co mogę zjeść? Jak mam się ochronić?”. Nawet ranne, biegną, póki nie opadną z sił.

Był dopiero październik, ale na tej wysokości już sypnął śnieg. Gdy gorączka opadła, obudziłem się pod kocykiem ze śniegu, który strząsnąłem, siadając. Rozejrzałem się, chcąc sprawdzić, czy nic mi nie grozi, i wtedy go zobaczyłem, odcisnięty w śniegu niecały metr ode mnie: ślad wilka.

Dźwignąłem się z ziemi i przeczesalem okolicę w poszukiwaniu innych śladów – dowodu obecności watahy – ale nic nie znalazłem. To zwierzę szukało swojej watahy lub było samotnikiem.

Wilk wiedział, gdzie jestem. Mógł łatwo do mnie wrócić, a że odzyskałem przytomność, wziąć za intruza, z którym trzeba zrobić porządek. Najrozsądniejszym wyjściem było chyłkiem ruszyć w drogę, lecz ja zrobiłem coś szalonego i tak ostentacyjnego, jakbym posłał w niebo racę.

Odrzuciłem w tył głowę i zawylem.

CARA

Gdy Mariah widzi mnie w szpitalnym łóżku, wybucha płaczem. Co za idiotyzm: jestem pacjentką, ale to ja muszę dać jej chusteczki i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Wpycha mi fioletowego misia, trzymającego balonik z napisem: GRATULACJE.

– Skończyły się misie dla rekonwalescentów – rzuca tonem wyjaśnienia, pociągając nosem. – Boże święty, Cara. Nie mogę w to uwierzyć. Strasznie cię przepraszam.

Wzruszam ramionami – a dokładniej, wzruszyłabym, gdyby nie unieruchomiony bark. Uświadamiam sobie, że czuje się tak samo winna, że wyciągnęła mnie na imprezę, jak ja z powodu tego, że zadzwoniłam po tatę. Gdyby nie Mariah, nie byłoby mnie w Bethlehem; gdyby nie ja, ojciec nocą nie znalazłby się na szosie. Nawet nie miałam ochoty wyjść; początkowo miałyśmy zamówić pizzę i obejrzeć film. Ale Mariah zastosowała stary chwyt: „Ja bym to dla ciebie zrobiła”. I poszłam, jak ostatnia kretyńka.

– To nie twoja wina – mówię, nie wierząc we własne słowa.

Matka, która od jakiegoś czasu mieszka w szpitalu, jest w świetlicy z bliźniętami i Joe. Nie przyprowadziła ich do mnie. Boi się, że widok sińców i bandaży przyprowadzi je o koszmara i Joe miałby za dużo na głowie pod jej nieobecność. Czuję się jak potwór Frankensteina, którego trzeba ukryć przed światem.

Mariah unika mojego wzroku.

– Czy twój tata... czy on...

– Tyler – wpadam jej w słowo.

Zerka na mnie, twarz ma czerwoną i zapuchniętą.

– Co?

– Opowiedz mi, jak było. – Z powodu Tylera poszliśmy na tamtą imprezę, to on zaprosił Mariah. – Odwiózł cię do domu? Umówiliście się? Napisał?

Sama czuję, że mój głos jest nienaturalnie spięty. Mariah krzywi się i znowu zaczyna płakać.

– Leżysz w szpitalu, miałaś operację i twój tata jest w śpiączce, a chcesz gadać o facecie? To nieważne. On nie jest ważny.

– Owszem, nie jest – odpowiadam cicho. – Ale gadałybyśmy o nim, gdybym nie leżała w szpitalu i gdyby się nie wydarzyła żadna z tych rzeczy. Jeśli ty i ja porozmawiamy o Tylerze, wtedy na pięć sekund wrócę do normalności.

Mariah wyciera nos rękawem i kiwa głową.

– To palant – oświadczam. – Upił się i zaczął mi opowiadać, jak to jego była powiększyła sobie w lecie cycki i że chciał ją bzyknąć.

– Bzyknąć? – powtarzam. – Tak się wyraził?

– Ohyda, nie? – Potrząsa głową. – Nie wiem, co ja sobie myślałam.

– Że wygląda jak Jake Gyllenhaal – przypominam. – Tak mówiłaś.

Mariah odchyła się na krześle.

– Jeśli następnym razem będę cię gdzieś wlokła dla faceta, to mi przyłóż, dobra?

Tak dawno się nie uśmiechałam, że mi twarz drętwieje.

– Masz to jak w banku – obiecuję.

Wysłuchuję opowieści, że nasza nauczycielka francuskiego jest chyba chora na głowę, bo jak inaczej zadałaby do nauczenia się na pamięć pięć wierszy w ciągu jednego tygodnia? I że gotkę Lucille DeMars, która rozmawia tylko z pacynką ze skarpety noszoną na prawej ręce i nazywa to sztuką, ponoć przyłapano w sali muzycznej z praktykantem.

Nie mówię przyjaciółce, że na widok ojca poczułam, jakby powietrze stężało wokół

i żadną miarą nie mogłam wciągnąć go w płuca.

Nie mówię, że bez przerwy chce mi się płakać.

Nie mówię, że gdy po południu poszłam do świetlicy i wrzuciłam w wyszukiwarkę hasło „urazy głowy”, wyskoczyło mi więcej opowieści o ludziach, którzy nie odzyskali zdrowia, niż tych, którzy wrócili do siebie.

Nie mówię, że po tylu latach tęsknoty za bratem najchętniej bym go stąd wyrzuciła. Bo wtedy lekarze, pielęgniarki i wszyscy opiekujący się moim tatą zamiast z nim rozmawialiby ze mną.

Nie mówię, że trudno mi zasnąć, a gdy wreszcie przemykam oczy, budzę się z krzykiem, bo śni mi się wypadek.

A już na pewno nie mówię o tym, co stało się tuż przed nim. I po nim.

Przez całe czterdzieści minut, kiedy jest ze mną, udaję, że nic się nie zmieniło.

Przez wyjazd brata ominęło nas tyle wspólnych chwil. Na przykład nigdy nie wziął w obroty mojego pierwszego chłopaka, nie uczył mnie jeździć na pustym parkingu i nie kupił piwa, które mogłam wypić chyłkiem na balu maturalnym. Po jego wyjeździe i rozstaniu rodziców pisałam do niego co wieczór. Gdzieś w szafie, pod zabawkami, z którymi nie mam serca się rozstać, i za małymi ciuchami, tkwi kartonik po butach z tymi listami; nie wysłałam, bo nie miałam adresu.

Szczerze mówiąc, wyobrażałam sobie też nasze pojednanie. Sądziłam, że nastąpi tuż przed moim ślubem – Edward zjawi się, gdy ruszę do ołtarza, z zapewnieniem, że nie mógł przegapić takiej okazji. W scenie rodem z kina rodzinnego rozplątywał się, że wyrosłam na wspanialszą, niż się spodziewał. Ale czekało mnie tylko sztywne powitanie przy respiratorze ojca. Mama mówiła, że Edward zajął do mnie parę razy, gdy byłam nieprzytomna, ale pewnie tylko zmyśla, żeby mi poprawić humor.

Dlatego wciąż nie mogę uwierzyć, że przyszedł ze mną porozmawiać. Za nim migocze telewizor, na którym leci *Koło Fortuny*.

– Boli cię? – pyta Edward.

Nie, zostałam, bo tu świetnie karmią, odpowiadam w duchu. Ktoś kupuje samogłoskę. „A”.

– Obrywałam gorzej – mówię.

Wiem od taty, że ranny wilk nie jest sobą. Możesz być dla niego jak brat, ale bez wahania rozszarpie ci gardło. Gdy pojawia się ból, rozwój wypadków jest nieprzewidywalny. Powiedziałam Edwardowi, że nie boli, ale to kłamstwo. Bark może nie, dzięki lekom, ale morfina nie działa na serce.

To jedyny powód, dla którego chłosczę go każdym słowem, choć najchętniej wpadłabym w czyjeś objęcia.

– Wiem, dlaczego wyjechałeś – dodaję. – Mama mi powiedziała.

Nie obchodzi mnie, że jest gejem, ale prawdziwy powód jego wyjazdu zawsze był owiany tajemnicą. Najpierw mama mówiła, że pokłócił się z tatą. Wreszcie powiedziano mi, że ujawnił się przed tatą, który ponoć tak mu nagadał, że Edward musiał wyjechać. Widzę to tak: miliony nastolatków ujawniają się przed rodzicami, narażając się na głupie reakcje. Edward zwał, bo nie podobało mu się stanowisko ojca. Mama obwiniła tatę, no i się rozstali. Oto historia mojego życia, pod szyldem impulsywnej decyzji brata.

– Wiesz co? – wybucha. – Mam w nosie, czemu wyjechałeś.

To szczerza prawda. Naprawdę mnie nie obchodzi. Chciałabym tylko wiedzieć, dlaczego moja osoba nie wystarczyła, żeby zostać.

Jestem niebezpiecznie bliska łez; w szpitalu nie sposób się wyspać, bo ktoś bez przerwy

cię budzi, żeby zmierzyć ci ciśnienie lub temperaturę. No bo przecież nie z powodu Edwarda. Nie po to obwarowywałam się murem, by tak łatwo przelazł na drugą stronę.

– Znalazłeś w Tajlandii Jezusa, Buddę czy co tam jeszcze? – pytam. – Mam dla ciebie wiadomość, Edwardzie: ja ci nie wybaczę. I już.

Mówię jak rozpuszczony bachor. To przez niego. Nienawidzę tego, co ze mną robi, bardziej niż tego, że siedzi na dole i się panoszy.

Edwardowi nawet nie drży powieka, jakby we mnie czytał, i wie, że wcale nie mówię tego, co myślę.

– Ale teraz nie chodzi ani o ciebie, ani o mnie – mówi spokojnie. – Mamy mnóstwo czasu, żeby wszystko sobie wyjaśnić. Tata wręcz przeciwnie.

Jestem w szoku, że liczy na moją współpracę. Przez chwilę czuję się idiotycznie szczęśliwa – jak wówczas, gdy odbierał mnie ze szkoły swoim rękem, a koleżanki wracały do domów z mamami w wytworkniejszych środkach transportu. Nawet pozwolił mi go nazwać. *Lufa. Żmija. Lucyfer*, proponował. *Coś ostrego*. Ale ja nazwałam go Henriettą.

– Przecież on nie będzie wiecznie podłączony do respiratora, Caro.

Może to skutek leków, a może zwykły wstrząs, ale nie od razu kojarzę. Nie od razu dociera do mnie, że brat, który po kłótni z ojcem uciekł z domu, tak długo hodował w sobie nienawiść, że po latach w końcu odebrała mu rozum.

– Aż tak go nienawidzisz, że mógłbyś go zabić?

Oczy mu ciemnieją. Mam to samo, kiedy jestem zła.

Dziwnie oglądać to w cudzej twarzy.

– Musisz być przygotowana na trudne wybory.

Tego już za wiele. I kto tu mówi o wyborach – mój brat, który sześć lat temu zostawił rodzinę? Nie ma pojęcia, co to znaczy słyszeć przez ścianę płacz matki i patrzeć, jak obca kobieta podchodzi w Redmond do taty i zostawia mu kartkę z numerem telefonu. Być na drugim ślubie matki, po czym wrócić do domu, gdzie ojciec pije do lustra i pyta, jak było. Nie ma pojęcia, co to znaczy być odpowiedzialnym za sprawunki, żeby domownicy nie umarli z głodu, podrabiać podpisy na karcie ocen i zmyślać wymówki za ojca, który znów zapomniał o wywiadówce. Iść do matki, widzieć ją z bliźniętami i czuć się zepchniętą na margines. Nie ma pojęcia.

Podjęmowałam pewne wybory, by ratować rodzinę, którą Edward uparł się zniszczyć. Bo gdy przychodzi co do czego, za jedyną osobę, której możesz ufać, oddałbyś życie. I zrobię to dla ojca, niech Edward sobie myśli, co chce.

Nie mogę na niego patrzeć, więc spoglądam ponad jego ramieniem. Uczestnik *Koła Fortuny* traci kolejkę.

– Wiem, że cierpisz – mówi po chwili Edward. – Tym razem nie musisz sama przez to przechodzić.

– „To”?

Odwraca wzrok.

– Utratę bliskiej osoby.

Bardzo się myli. Stoi na wyciągnięcie ręki, ale w życiu nie czułam się tak osamotniona jak w tej chwili. I robię to co wilk przyparty do muru.

– Masz rację. Ponieważ uczynię, co w mojej mocy, żeby tata wyzdrowiał.

Edward zaciska usta.

– Jeśli chcesz, żeby cię traktować poważnie, zachowuj się jak dorosła. Słyszałaś, co mówią lekarze. On nie wróci, Caro.

Patrzę wyzywająco.

– Ty wróciłeś.

Próbuje oponować, ale sięgam po pilot i włączam głos. Słysząc dzwonek, gdy uczestnik wygrywa tysiąc dwieście dolarów za wybranie „k”. Pogłaśniam i brawa zagłuszają słowa Edwarda.

Zachowuję się jak dwulatek. Ale może to i dobrze, dwulatki z zasady potrzebują rodziców.

Gapię się w ekran, dopóki Edward nie daje za wygraną i wychodzi z sali. Pod nosem rozwiązuję zagadkę. „Krew nie woda”.

Następny uczestnik wybiera „p” i nie trafia.

Ludzie bywają tacy głupi.

Po raz pierwszy stanęłam oko w oko z wilkiem w wieku jedenastu lat. Ojciec właśnie stworzył zagrodę w Redmond. Odczekał, aż wszyscy wyjdą, po czym wprowadził mnie za pierwsze ogrodzenie i stanęliśmy przy drugim. Wewnątrz znajdowały się Wazoli, Sikwła i Kladen, pierwsze wilki sprowadzone do parku. Kazał mi przykucnąć i unieść pięści, tak że dotykałam tylko kostkami drutu. Dzięki temu miały się oswoić z moim zapachem.

Wazoli, wadera, natychmiast uciekła na drugi koniec zagrody.

– Ona bardziej boi się ciebie niż ty jej – powiedział cicho tata.

Sikwła był testerem, a Kaden beta. Wielki, z czarnym zygzakiem na grzbiecie i ogonie, jakby ktoś pomalował go markerem, podszedł do płotu i utkwiał we mnie wzrok. Odruchowo cofnęłam się w stronę ojca, który stał za mną.

– Wyczuwają twój strach – szepnął. – Nie ustąp ani o milimetr.

Cichym, opanowanym głosem wyjaśniał mi, co dalej: otworzy bramkę do zagrody, po czym zamkniemy ją za sobą, otworzy furtkę wewnętrzną i wejść do środka. Mam być cicho i się nie ruszać. Wilki mogą mnie zignorować lub uciec, ale jeśli zaczekam, mogą też podejść bliżej.

– Wyczują przyspieszone tętno – dodał szeptem – więc nie okaz strachu.

Matka nie chciała, bym wchodziła do zagrody, co było całkiem uzasadnione – ktoś dobrowolnie narażałby dziecko na niebezpieczeństwo? Ale ja od miesiący patrzyłam, jak ojciec przenika do watahy. Może nie posunęłabym się do rwania surowego mięsa zębami, jak on, ale miał nadzieję, że Wazoli urodzi młode, i chciałam pomóc w opiece nad nimi.

Nie bałam się Wazoli. Jako alfa nie zbliży się za nic w świetle – od tego miała pozostałych, którzy najpierw zorientują się w sytuacji. Kladen był wielki, prawie sześćdziesiąt kilo mięśni, ale nie przerażał mnie tak jak Sikwła, który nie dalej jak miesiąc temu ugryzł jednego z dozorców w palec aż do kości. Wilk ocierał się o ogrodzenie; tamten wsunął rękę, żeby go poklepać, i ani się obejrzał, jak wilk odwrócił się i go capnął. Z krzykiem próbował wyszarpnąć dłoń, co sprawiło tylko, że Sikwła mocniej zacisnął zęby. Gdyby stał nieruchomo, pewnie skończyłoby się na strachu.

Widok dozorczy z obandażowaną dłonią przyprawiał mnie o ciarki.

Ojciec zapewnił, że Sikwła zostawi mnie przy nim w spokoju.

– Gotowa? – spytał, a ja pokiwałam głową.

Otworzył drugą bramę i weszliśmy do środka. Przykucnęłam tam, gdzie mi kazał.

Nadszedł Kladen. Wstrzymałam oddech, lecz skierował się w stronę zagajnika na tyłach zagrody. Potem zjawił się Sikwła.

– Spokojnie – mruknął ojciec, gdy nagle Kladen rzucił się na niego i na powitanie przygniótł do ziemi.

Na chwilę straciłam czujność, na co Sikwła skorzystał z okazji i skoczył mi do gardła.

Poczułam jego zęby na szyi oraz mokry oddech. Miał sztywną, chropowatą i mokrą sierść.

– Nie ruszaj się – przykazał ojciec, wciąż leżący na ziemi.

Sikwla był testerem, na tym polegało jego zadanie.

Z założenia stanowiłam zagrożenie; to, że przyszłam z ojcem, którego akceptowały, wcale nie znaczyło, że jestem tutaj mile widziana. Sikwla wytyczał poprzeczkę w imieniu całej watahy; musiał sprawdzić, czy sprostam.

Ale wtedy o tym nie myślałam. Kołatała mi tylko jedna myśl: Zaraz umrę.

Wstrzymałam oddech. Nie przelykałam śliny. Próbowалаm zapanować nad biciem serca. Sikwla wciąż zaciskał mi zęby na gardle. Chciałam odepchnąć go z całej siły, ale tylko przymknęłam oczy.

Puścił.

W międzyczasie ojciec odsunął Kladena i chwycił mnie w objęcia. Rozplakałam się dopiero na widok łez w jego oczach.

Myślę o tym, gdy po trzeciej nad ranem wypelzam z łózka. To niełatwe, mając tylko jedną rękę do dyspozycji, i jestem pewna, że obudzę matkę, która śpi obok na rozkładanym krześle. Ale tylko przewraca się na drugi bok i pochrapuje, więc wymykam się na korytarz.

Pokój pielęgniarek jest na prawo, windy na lewo, dzięki czemu nie muszę minąć dyżurki, narażając się na wypytywanie, czemu łażę po nocy. Przemykam pod ścianą, przyciskając do brzucha zabandażowaną rękę, żeby nie urazić barku.

Wiem, że brata nie ma. Matka wspomniała, że dała mu klucz do naszego domu, co niezbyt mi się podoba. Nie sądzę, by myszkował po moim pokoju – nie mam nic do ukrycia – ale zawsze. Nie podoba mi się, że przebywa tam pod moją nieobecność.

Na OIOM-ie nikt nie zauważa dziewczyny w szlafroku, która wysiada z windy. I całe szczęście, bo nie umiałabym wyjaśnić, jak zawędrowałam tutaj z ortopedii.

Ojciec leży skąpany w niebieskim świetle, otacza go poświata monitorów. Wygląda tak samo jak wczoraj – to chyba dobrze? Gdyby – jak określił to Edward – miał „nie wrócić”, chyba nastąpiłoby pogorszenie?

Jest wystarczająco miejsca, bym usiadła na łóżku i położyła się obok na zdrowym boku. Bark boli mnie od tego jak diabli. Z powodu bandaża nie mogę go objąć, on mnie również, więc po prostu leżę obok, wtulając twarz w szorstką bawełnę jego koszuli. Patrzę na monitor wyświetlający jego miarowy puls.

Po tym, gdy po raz pierwszy znalazłam się w zagrodzie wilków, obudziłam się w nocy i zobaczyłam ojca siedzącego na łóżku, z twarzą na tle blasku księżyca.

– Kiedyś w puszczy gonił mnie niedźwiedź. Byłem pewny, że już po mnie. Nie sądziłem, że może mnie spotkać coś straszniejszego – powiedział. – Myliłem się. – Wyciągnął rękę i wsunął mi kosmyk za ucho. – Najstraszniejsza na świecie jest myśl, że umrze ktoś, kogo kochasz.

Napływają łzy, łaskocze mnie w gardle. Biorę głęboki oddech i mrugam powiekami.

Wyczuwają twój strach, tego mnie nauczyły. Nie ustąją ani o milimetr.

LUKE

Minęły dwa tygodnie, a wilk, który zjawił się w czasie mojej choroby, nie dał znaku życia. Aż nagle któregoś ranka, pijąc ze strumienia, zobaczyłem odbicie tuż obok mojego. Wilk był duży i szary, z paskami czerni na czubku głowy i uszach. Serce zatłukło mi się w piersi, ale się nie odwróciłem. Odwzajemniłem w taflę jego spojrzenie i czekałem, co zrobi.

Odszedł.

Wszelkie wątpliwości co do sensu moich poczynań rozwiały się natychmiast. Stało się to, na co liczyłem: jeśli to zwierzę było naprawdę dzikie, budziłem w nim taką samą ciekawość jak ono we mnie. A jeśli tak się stało, być może zdołam zgłębić jego zachowanie od środka, zamiast obserwować je z zewnątrz.

Pragnąłem tylko znów ujrzeć tego wilka, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Pozostawienie w okolicy przynęty prócz wilka zwabiłoby również niedźwiedzie. Gdybym zawołał, mógłby odpowiedzieć – nawet jeśli był samotnikiem, posiadanie towarzysza lepsze jest od życia w pojedynkę – jednakże wówczas zdradziłbym swoją pozycję przed innymi drapieżnikami. I, prawdę powiedziawszy, jako że odkąd znalazłem się w lesie, nie natrafiłem na ślad innych wilków, skąd mogłem mieć pewność, że tamten nie jest jedynym w okolicy?

Zrozumiałem, że następny krok wymaga ode mnie wyjścia z cienia. Mało powiedziane: rzucenia się na głęboką wodę.

Zmieniłem harmonogram, tak aby spać w ciągu dnia i wędrować po zmroku. Podróżowałem po ciemku, choć moje ciało i oczy nie były do tego przystosowane. Przyjmując taką opcję, ryzykowałem bardziej niż podczas nocy spędzonej w zagrodzie: po pierwsze, jednej nocy pokonywałem ponad piętnaście kilometrów w egipskich ciemnościach, a po drugie, w zagrodzie nie musiałem martwić się o inne zwierzęta. Tymczasem tutaj, gdy potknąłem się o korzeń, rozchlapałem kałużę czy choćby nastąpiłem na gałąź, alarmowałem wszystkie stworzenia w okolicy. Nawet będąc cicho, znajdowałem się na straconej pozycji: obdarzone lepszym wzrokiem i słuchem zwierzęta śledziły każdy mój ruch. Gdybym upadł, byłoby po mnie.

Pamiętam, że pierwszej nocy pocilem się jak mysz, mimo przymrozku. Robiłem krok i zamierałem, nasłuchując, czy coś zmierza w moją stronę. Ale choć na niebie świeciła ledwie garstka gwiazd, a księżyc zasłonił się chmurą, mój wzrok nauczył się rozróżniać cienie. Nie potrzebowałem ostrości widzenia, wystarczył mi ruch albo błysk oczu.

Wobec przymusowej ślepoty zmuszony byłem polegać na pozostałych zmysłach. Oddychałem głęboko, żeby łapać zapach zwierząt przyczajonych po drodze. Nadstawiałem ucha, nasłuchując kroków. Starłem się podążać z wiatrem.

I gdy długie palce świtu objęły horyzont, czułem, jakbym przebiegł maraton, jakbym pokonał armię. Przetrwałem noc w kanadyjskiej puszczy, otoczony drapieżnikami. Byłem cały i zdrów. I nie liczyło się nic więcej.

GEORGIE

Piątego dnia po wypadku wiem z góry, jaką zupę podadzą w kafeterii, o której zmieniają się pielęgniarki i gdzie trzymają w świetlicy torebki z cukrem. Zapamiętałam numer wewnętrzny do dyspozytorni posiłków, żeby zamawiać dla Cary dodatkowy budyń. Znam nazwiska fizjoterapeutów. Noszę przy sobie szczoteczkę do zębów.

Zeszłego wieczoru, akurat gdy pojechałam do domu, Cara dostała gorączki – w miejsce urazu wdała się infekcja. Wprawdzie pielęgniarki zapewniły, że tak bywa i moja nieobecność jest bez znaczenia, ale czuję się winna. Powiedziałam Joemu, że zostanę w szpitalu, aż wypiszą Carę. Końska dawka antybiotyków pomogła obniżyć gorączkę, ale Cara jest markotna i nieswoja. Gdyby nie to nagłe pogorszenie, pewnie wyszłaby już dzisiaj. I choć wiem, że to niemożliwe – że nie można zmusić się do infekcji – coś mi mówi, że jej ciało usiłuje w ten sposób zostać bliżej Luke’a.

Nalewam sobie piąty tego dnia kubek kawy w ciasnym kantorku z ekspresem, przyniesionym przez pielęgniarkę o dobrym sercu. Niesamowite, jak rzeczy niezwykle stają się codziennością. Jeszcze przed tygodniem zaczynałam rano prysznicem, pakowałam dla bliźniąt drugie śniadanie i odprowadzałam je na autobus. Teraz to naturalne, że od paru dni chodzę w tych samych ciuchach i nie czekam na autobus, tylko na obchód.

Przed paru dniami myśl o obrażeniach Luke’a była niczym cios w brzuch. Dzisiaj czuję tylko odrętwienie. Parę dni temu musiałam prawie zmuszać Carę do leżenia w łóżku, tak rwała do ojca. Teraz, na pytanie opiekunki społecznej, czy chce go odwiedzić, tylko kręci głową.

Myślę, że Cara się boi. Nie tego, co zobaczy, lecz tego, czego nie zobaczy.

Sięgam do małej lodówki po kartonik z mlekiem, ale wyslizguje mi się z rąk i spada na podłogę. Mam pod nogami białą kałużę.

– Psiakrew – mamroczę.

– Proszę.

Jakiś mężczyzna podaje mi brązowe serwetki. Próbuje wytrzeć plamę, ale jestem bliska łez. Raz – choć raz – coś mogłoby być łatwe.

– Wie pani, co mówią. – Mężczyzna przykuca, by mi pomóc. – Nie warto nad nim płakać.

Najpierw widzę jego czarne buty, potem granatowe nogawki munduru. Sierżant Whigby bierze ode mnie serwetki i wrzuca je do kosza.

– Nie ma pan nic innego do roboty? – pytam sztywno. – Nigdzie się pan nie spieszy? Może trzeba pomóc staruszce przejść przez jezdnię?

Uśmiecha się.

– Zdziwiłaby się pani, jakie te dzisiejsze staruszki samowystarczalne. Pani Ng, naprawdę nie chcę zawracać pani głowy w takiej sytuacji, ale...

– To niech pan nie zawraca – błagam. – Proszę dać nam spokój. Niech moja córka wyjdzie ze szpitala, a były mąż... – Nie czuję się na siłach dokończyć zdania. – Musimy się jakoś ogarnąć.

– Obawiam się, że nie mogę, proszę pani. Jeśli pani córka prowadziła po pijanemu, może stanąć pod zarzutem nieumyślnego spowodowania śmierci.

Joe wiedziałby, co powiedzieć. Ale został w moim dawnym życiu, pakuje kanapki dla dzieci i odprowadza je na autobus. Prostuję plecy i z zaskakującą pewnością siebie kieruję wzrok na policjanta.

– Po pierwsze, Luke żyje. Co znaczy, że pański zarzut nie ma racji bytu. Po drugie, o moim byłym mężu można wiele powiedzieć, ale nie jest głupi i nie pozwoliłby córce prowadzić po pijanemu, więc jeśli nie ma pan dowodów świadczących przeciwko niej, jest po prostu

nioletnią, która popełniła głupstwo, upiła się i zadzwoniła do taty, żeby po nią przyjechał. Jeśli zamierza pan aresztować ją za picie alkoholu, rozumiem, że pozostali uczestnicy imprezy są już za kratkami. A jeśli nie, proszę iść za moją radą i poszukać sobie innych zajęć.

Wymijam go i z uniesionym podbródkiem wracam do Cary. Joe byłby ze mnie dumny, ale jest adwokatem, dla niego to norma. Dla odmiany myślę o Luke'u. *Jest w tobie ogień*, mawiał. Dlatego chciał się ze mną ożenić. Mówił, że pod jedwabną bluzką i dyplomem z dziennikarstwa kryje się niezłomny duch walki. Wierzył chyba, że ktoś z taką iskrą w sobie mógł zrozumieć mężczyznę, który na co dzień igrał ze śmiercią. Zdziwił się, że marzyłam o domu z ogrodem, dzieciach, psie. Może i miałam w sobie iskrę, lecz chciałam obwarować ją mocnymi ścianami, żeby nie zgasła.

Po powrocie do Cary widzę, że zostawiłam kawę z sierżantem Whitbym, a córka siedzi na łóżku, wzrok ma przytomny. Jest zarumieniona i ma spocone czoło, znaczy, że spadła jej gorączka.

– Mamo – rzuca pośpiesznie. – Wiem, jak ratować tatę.

LUKE

Trzy tygodnie później wędrowałem na północny wschód, kiedy wilk wyszedł zza drzewa na wprost mnie. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy był to ten sam szary wilk, którego widziałem nad strumieniem, czy może inny. Patrzył mi w oczy prawie pół minuty, co zdaje się niczym wieczność, kiedy stoisz twarzą w twarz z dzikim zwierzęciem. Nie obnażył zębów, nie warknął ani nie okazał strachu, co nasunęło mi przypuszczenie, że od dawna wie o mojej obecności.

Odwrócił się i wszedł w las.

Potem widywałem go co parę dni, w najmniej spodziewanych chwilach. Na przykład, kiedy wyciągałem z sideł zwierzynę. Albo otwierałem oczy po drzemce. Stał w pewnym oddaleniu ode mnie. Nie odzywałem się do niego. Nie chciałem, żeby postrzegał mnie jako człowieka. Ilekroć się pojawiał, kładłem się na ziemi bądź przewracałem na plecy, odsłaniając szyję i brzuch w uniwersalnym geście zaufania. Dawałem mu do zrozumienia, że mógłby mnie zabić – szybko lub wolno, jakkolwiek sobie życzył – i prosiłem: „Pokaż mi swoje stanowisko”.

Spodziewałem się, że zamanifestuje swoją dominację, łapiąc mnie za gardło, i puści, jakby chciał powiedzieć: „Mógłbym cię skrzywdzić, ale tego nie zrobię”, co rozstrzygnie kwestię naszej hierarchii.

Pewnego wieczoru, gdy siedziałem pod drzewem i rozmyślałem, czy pachnie śniegiem, wilk wyszedł na polanę przede mną. Ale za nim pojawił się drugi. I trzeci. A potem jeszcze trzy. Wypadały zza drzew, przecinając przestrzeń przede mną. Cztery samce i dwie samice; „mój” wilk na oko był jednym z młodszych. Pewnie został wysłany przez waderę, żeby mnie wy badać.

Następnego dnia próbowałem je odszukać, ale choć tropiłem tygodniami, zapadły się pod ziemię. Byłem zdruzgotany: czy naprawdę nie mogę się spodziewać nic więcej? Znalazłem się tak blisko, żeby doznać rozczarowania? Wróciłem do starych nawyków – nocą wędrowałem, lecz za dnia wracałem do miejsca, gdzie po raz pierwszy spotkałem całe stado.

Minęło parę tygodni i wróciły. Ich liczba skurczyła się do pięciu sztuk – brakowało jednego samca – i sprawiały wrażenie bardziej płochliwych niż za pierwszym razem. Usadowały się w odległości około trzydziestu pięciu metrów ode mnie. Znany mi młody wilk bawił się z siostrą; tarzali się i gonili po śniegu jak szczenięta. Czasami jeden ze starszych ostrzegał ich gardłowym pomrukiem, aż wreszcie zmęczeni padli na ziemię.

Chciałbym móc wytłumaczyć wam, jakie to uczucie, znajdować się tak blisko nich. Wiedzieć, że spośród wszystkich miejsc w lesie wybrały to obok mnie. Wierzyłem, że było to celowe z ich strony: istniało wiele zakątków, gdzie nie musiałyby uważać na intruza. Mieszanina euforii i nadziei – poczucia, że na swój sposób zostałem wybrany – pomagała mi przetrzymać tygodnie, podczas których nie dawały znaku życia, tygodnie lodowych burz i śnieżyc, gdy zdawało się, że jestem ostatnim pozostałym przy życiu stworzeniem we wszechświecie.

Spałem w ciągu dnia, gdy było najcieplej, ale nawet wtedy mróz często dawał się we znaki. Znajdowałem sobie wówczas schronienie: jaskinię w skale, wydrążone w środku powalone drzewo, a nawet norę w zaspie śniegu, coś w rodzaju własnego igloo. Wnętrze mościłem gałęziami sosen i zasłaniałem nimi wejście dla osłony przed wiatrem i śniegiem. Jadłem, cokolwiek mogłem złowić, a w ostateczności łamałem przegniły konar i wydłubywałem mrówki.

Którejś nocy rozległo się wycie. Głuche, zbolące i żałobne, takim przyzywa się zbłąkanego członka watahy. Przypuszczałem, że chodzi o wielkiego, szarego samca, który nie wrócił. Wyły trzy noce z rzędu, a czwartej im odpowiedziałem. Zawyłem, jak zawyłyby samotny wilk, szukający swojego miejsca w stadzie.

Na początku cisza aż dzwoniła w uszach.

A potem, o cudzie, odpowiedziały.

EDWARD

Wilk przeżuł pas wynajętego samochodu.

– Jasna cholera – mówię, odsuwając pas na bezpieczną odległość od klatki. – Nie nauczyłeś cię dobrych manier?

Zastanawiam się, czy wykupione przeze mnie dodatkowe ubezpieczenie pokrywa szkody spowodowane przez dzikie zwierzęta.

I czy narobię sobie kłopotów.

Ale przede wszystkim dręczy mnie myśl, jak dałem się Carze w to wrobić.

Rano popędziłem do szpitala uzbrojony w jak najlepsze chęci oraz świstek z moim podpisem. Próbowałem pokazać go Carze już wcześniej, ale przyjeżdżałem nie w porę: najpierw sprawdzano jej szwy, następnie była myta przez pielęgniarkę, ojciec trafił na kolejne prześwietlenie, a jeszcze później dostała gorączki. Dzisiaj jej pokażę, obiecałem sobie. Może nie wierzy, że mam prawo występować w imieniu ojca, ale udowodnię jej, że nie ma racji.

Zajrzawszy do niego (bez zmian, jakbym potrzebował dodatkowych argumentów), udałem się na oddział ortopedii. Cara siedziała na łóżku, spocona i rozczochna. Matka stała obok niej. Obie odwróciły się, kiedy wszedłem.

– Chcę ci coś pokazać – zacząłem, ale Cara wpadła mi w słowo.

– Wilki – oznajmiła. – Oto, czego mu trzeba.

– Słucham?

– Zawsze powtarzał, że komunikują się na innej płaszczyźnie niż ludzie. Nie może usłyszeć nas, więc musimy przewieźć go do Redmond.

Zamrugalem.

– Zwariowałaś? Chcesz wieźć nieprzytomnego faceta do gównianego zoo?

– Ach tak, zapomniałam, z kim gadam – warknęła. – Jasne, lepiej od razu go zabić.

Świstek palił mnie przez kieszeń.

– Cara – powiedziałem spokojnie. – Żaden lekarz się na to nie zgodzi.

– W takim razie musisz przywieźć wilka tutaj.

– Bo to przecież bardziej higieniczne, prawda? – Spojrzałem na matkę. – Tylko mi nie mów, że się na to zgadzasz.

Cara nie dopuściła jej do głosu.

– Wiesz dobrze, że tata poruszyłby niebo i ziemię, żeby ratować swoje zwierzęta. Nie sądzisz, że zrobiłyby dla niego to samo? – Postawiła nogi na podłodze.

– A ty dokąd? – zaniepokoiła się matka.

– Dzwonię do Waltera – oznajmiła Cara. – Jeśli wy mi nie pomożecie, on owszem.

Popatrzyłem na matkę.

– Wytłumaczysz jej, że to niemożliwe?

Matka dotknęła zdrowego ramienia Cary.

– Kochanie. Edward ma rację.

Te słowa z jej ust, z czyichkolwiek ust. Nie potrafię opisać tego, co czułem. Gdy jest się czarną owcą w rodzinie, każdy przejaw aprobaty wręcz zapiera dech w piersi.

I chyba dlatego postąpiłem tak, a nie inaczej.

– Jeśli to zrobię – zwróciłem się do Cary – jeśli to dla ciebie zrobię i nie zadziała... czy wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia?

Wymieniliśmy spojrzenia i bez słowa kiwnęła głową.

– Niech Walter da ci Zazigodę – zdecydowała. – Jego zabieramy do szkoły. Kiedyś się przestraszył i mało nie wypadł przez okno.

Matka westchnęła.

– Edwardzie. Jak masz zamiar.

– I musi jechać na przednim siedzeniu – przerwała jej Cara. – Ma chorobę lokomocyjną. Zapiąłem kurtkę.

– Jeśli chcesz wiedzieć – odparłem – stan taty jest bez zmian.

Cara uśmiechnęła się do mnie, po raz pierwszy, odkąd wróciłem do domu.

– Już niedługo – powiedziała.

Park zoologiczny w Redmond to żaloszny anachronizm z epoki przed 3D i PlayStation, Disneyland dla ubogich. Zimą jest jeszcze bardziej przygnębiający niż w sezonie. Zamknięty dla wszystkich prócz paru dozorców, sprawia wrażenie zapomnianego przez cały świat. Wrażenie to pogłębiło się z chwilą gdy minąłem roгатki i wszedłem za bramę, gdzie spłowiwały dinozaur z soplami zwisającymi z podbródka zaryczał na powitanie i z trudem machnął zaśnieżonym ogonem.

Kierowałem się w stronę wilczych zagród i czułem, jakbym cofał się w czasie. Dwa wilki podbiegły do płotu, wypatrując z nadzieją przekąski. Stara przyczepa ojca stała na wzniesieniu, ponad zagrodami. Dym unosił się z komina, ale nikt nie odpowiedział, gdy zapukałem do drzwi.

– Walter? – zawołałem. – Tu Edward. Syn Luke’a. – Lekko pchnąłem drzwi i otoczyły mnie wspomnienia. Nic się nie zmieniło. Wciąż stała sofa z piankowymi poduszkami nadgryzionymi przez niezliczone wilczęta, na której czytałem, kiedy ojciec wygłaszał codzienną pogadankę dla turystów. Toaleta, gdzie wodę spuszczało się nogą, to samo wąskie łóżko.

To był kiepski pomysł; nie powinienem tutaj przyjeżdżać, muszę wrócić do szpitala... Wypadłem z przyczepy i usłyszałem stukot w drewnitni, gdzie przechowywano w lodówkach mięso dla wilków. Zajrzałem do środka i zobaczyłem Waltera w rzeźnickim fartuchu, ćwiartującego jelenia wielkim nożem. Półkrwi Abenaki, Walter mierzy ponad metr dziewięćdziesiąt, jest łysy i wytatuowany. Kiedy byłem dzieckiem, fascynował mnie i przerażał jednocześnie.

Podniósł na mnie wzrok, jakby zobaczył ducha.

– To ja – powiedziałem. – Edward.

Upuścił nóż i zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Edward – powtórzył. – Jak dwie krople wody... – Cofnął się, marszcząc czoło. – Czy on...?

– Nie – zapewniłem pospiesznie. – Bez zmian.

Wyjrzałem na zewnątrz, gdzie trzy wilki obserwowały mnie zza ogrodzenia. Ojciec zwykł opowiadać o mądrości w ich oczach; nawet laik czuje się niepewnie, po raz pierwszy stając z nimi oko w oko. One nie patrzą na ciebie, tylko w głąb twojej istoty. Może Cara ma rację, przyszło mi do głowy.

Ubiegłego wieczoru zadzwoniłem do Waltera z domu ojca i przedstawiłem sytuację, lecz dopiero teraz wyluszczyłem mu, co mnie sprowadza – a dokładniej, jak zdaniem Cary podziałałaby na ojca wilcza obecność. Słuchał w milczeniu, z założonymi rękami, a usta drgały mu tak, jakby chciał przeżuć plan i wypluć to, co mu się nie spodoba.

– Chcesz wprowadzić wilka do szpitala.

– No – potwierdziłem, spuszcżając głowę. – Wiem, jak to brzmi.

– Sę w tym, że nie potrafisz się z nim obchodzić. Może wygląda jak pies, ale to nie znaczy, że nim jest. Jechać z tobą?

Rozważyłem taką możliwość.

– Lepiej nie – odparłem. – Po co masz się narażać?

Wyszedłem za nim z drewnitni i skierowaliśmy się w stronę zagród. Kiedy zbliżyliśmy się

do ogrodzenia, wybiegły ku nam dwa wilki. Mniejszy miał tylko trzy nogi.

– Cześć, chłopcy. – Walter wskazał na tego, który biegał wzdłuż płotu, całkiem swobodnie, mimo braku kończyny. Jego spojrzenie zakłuło mnie jak drzazga. – To Zazigoda. Jego imię znaczy „leniwy”. Twój tata ma poczucie humoru.

Sięgnął do woreczka z mięsem i do lasu na tyłach zagrody rzucił zamrożoną wiewiórkę. Drugi wilk pobiegł, lecz Zazigoda czekał na swoją kolej. Ale Walter zamiast wiewiórki dobył z kieszeni kostkę sera Philadelphia. Odłamał rożek i Zazi zaczął go lizać.

– Nabiał je uspokaja – wyjaśnił Walter.

Przypomniałem sobie mgliście opowieści ojca o tym, jak to wadera każe zabić stadu karmiącą lanię, bo wie, że hormony w jej organizmie uspokoją tych, którzy ją zjedzą. I gdy wilczęta przyjdą na świat, reszta watahy będzie łagodniejsza i bardziej skłonna je zaakceptować.

– Uratowaliśmy Zaziego – podjął Walter, bez wahania wchodząc do zagrody. – Myśliwy znalazł go, gdy miał około roku. Noga uwięzła mu w sidłach na niedźwiedzie i ją odgryzł. Twój tata się nim opiekował. Weterynarz postawił na nim krzyżyk; był rzekomo za słaby, w ranę wdała się infekcja i miał nie doczekać końca tygodnia. Ale Zazi, gdzie tam. Wiesz, jak to w życiu są ludzie i ludzie? Tak samo wśród wilków, są wilki i wilki. Zazi należy do tych ostatnich. Powiesz mu, że nie da rady, a pokaże ci, że się mylisz.

Zastanawiałem się, czy dlatego Cara wytypowała właśnie jego. Ponieważ historia Zaziego wiernie odzwierciedlała to, czego życzyła sobie dla ojca.

Walter podniósł na mnie wzrok.

– Dzięki opiece twojego taty zawsze czułem się przy ludziach swobodniej niż pozostałe. Nadaje się dla dzieci, do filmowania, zawsze bierzemy go do pokazów. – Wciągnął do środka klatkę i z łatwością wepchnął wilka do środka. – Kiedyś zabraliśmy go do szkoły. Twój tata zawsze wybiera z klasy dwójkę dzieci, które mogą podejść i go pogłaskać. Żeby przestały bać się wilków, tylko zaczęły się nimi interesować. Najpierw przygląda się dzieciom, żeby nie padło na klasowych dowcipnisiów, i ustala zasady, by nikogo nie narażać. Wystarczy nieostrożny ruch albo chwila dekoncentracji i nieszczęście gotowe.

Walter pochylił się nad klatką i dał wilkowi polizać rękę przez siatkę.

– Kiedyś przywieziono na wózku niepełnosprawnego chłopca. Miał może dziesięć lat i nigdy nie powiedział ani słowa, był upośledzony. Opiekun spytał, czy chłopiec może dotknąć wilka. Twój tata nie wiedział, co odpowiedzieć. Z jednej strony nie chciał dyskryminować małego, a z drugiej wiedział, że zwierzak wyczuje lęk i skoczy na chłopca w przekonaniu, że musi się bronić. Zazi nie jest hybrydą, tylko dzikim zwierzęciem. Spytał opiekuna, czy chłopiec umie okazywać niepewność lub strach, na co ten odpowiedział, że nie, w ogóle. Na przekór zdrowemu rozsądkowi twój ojciec postawił Zaziego na stole, gdzie znalazł się na wysokości wózka. Zazi popatrzył na chłopca, a następnie pochylił się i zaczął lizać mu usta. Twój tata chciał mu przeszkodzić, pewny, że wilk wyczuł obiad, a chłopiec przestraszył się i go odepchnie. Lecz nim zdążył to zrobić, chłopiec poruszył ustami. Dźwięk był gardłowy i prawie niedosłyszalny, ale ten chłopiec wypowiedział przy nas pierwsze słowo: „wilk”.

Złapałem drugi uchwyt klatki i ruszyliśmy pod górkę.

– Jeśli mówisz mi to, bym nie martwił się, że wiozę do szpitala dzikie zwierzę, odpuść sobie.

Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem.

– Mówię, bo cuda to dla niego chleb powszedni.

Walter podsunął mi pewien pomysł. *Może wygląda jak pies, ale to nie znaczy, że nim jest.* Nikt nie byłby na tyle głupi, żeby pchać się do szpitala z dzikim zwierzęciem, toteż każdy uzna siłą rzeczy, że Zazi to pies. Co znaczy, że muszę tylko wymyślić sensowną bajeczkę, dlatego

zjawiłem się z psem.

Wyjścia są dwa. Po pierwsze, dogoterapia. Nie wiem, czy szpital stosuje takie metody, ale słyszałem o wyszkolonych ochotnikach, którzy chodzą na oddziały dziecięce z labradorami, spanielami i pudłami, żeby chorym dzieciom poprawić humor. O ile mi wiadomo, te psy są zazwyczaj starsze, opanowane i bardzo łagodne, czyli Zazi odpada w przedbiegach.

Drugim typem psa, jaki widywałem w szpitalu, to pies przewodnik.

Na stacji benzynowej kupuję paskudne, czarne okulary za dwa dziewięćdziesiąt dziewięć. Dzwonię na komórkę mamy, żeby czekała na mnie u taty z Carą. Następnie parkuję przy szpitalu, możliwie jak najdalej od innych pojazdów.

Fotel pasażera odsunąłem do tyłu, żeby zmieścić klatkę, zajmującą każdy centymetr wolnej powierzchni. Wysiadam, otwieram drzwi i świdruję wzrokiem wilka przez metalową kratę.

– Słuchaj no – mówię. – Mnie też wcale się to nie podoba.

Zazi odwzajemnia spojrzenie.

Próbuję sobie wmówić, że nie wbije mi w rękę zębów, kiedy otworzę klatkę. Walter założył mu szelki, wystarczy tylko przypiąć smycz.

A co tam. Jeśli mnie capnie, przynajmniej jestem w szpitalu.

Błyskawicznie otwieram klatkę i przypinam ciężki karabińczyk do metalowej zaczepki na szelkach. Wilk z wdziękiem wyskakuje na chodnik i zaczyna mnie ciągnąć. Ledwo mam czas zamknąć drzwi i wyszarpnąć z kieszeni ciemne okulary.

Obsikuje każdy słup, który mijamy po drodze. Kiedy szarpię smyczą, żeby go ponaglić, pokazuje zęby.

Jeśli ochotnicy w recepcji dziwią się na widok ślepego wlokącego psa, zachowują to dla siebie. Oddycham z ulgą, że jedziemy sami na trzecie piętro.

– Grzeczny chłopiec – chwalebę, kiedy Zazi kładzie się ze skrzyżowanymi łapami.

Lecz gdy rozlega się dzwonek obwieszczający koniec podróży, zrywa się na równe nogi i gryzie mnie w kolano.

– Psiakrew! – stękam. – Za co?

Sprawdzam, czy mnie skaleczył, ale drzwi się otwierają, a za nimi stoi wolontariuszka z naręczem segregatorów.

– Cześć – mówię w nadziei, że nie zauważy wilka na smyczy.

– O! – mówi zdziwiona. – Witaj.

Doznaję olśnienia, że skoro jestem ślepy, nie powinienem jej widzieć.

Nagle Zazi zaczyna ciągnąć jak dziki. Ledwo za nim nadążam, zapominając o wolontariuszce. Za nami sunie pielęgniarka, postawna jak Amazonka. Jest wyższa ode mnie, a sądząc po bicepsach, w mocowaniu na rękę nie miałbym z nią szans. Widziałem ją pierwszego dnia po przyjeździe, ale nie pokazywała się aż do dzisiaj, toteż nie poznaje mnie i nie kwestionuje mojego „kalectwa”.

– Przepraszam pana! Przepraszam!

Tym razem zachowuję czujność i odwracam się, dopiero kiedy mnie woła.

– Mówi pani do mnie? – pytam.

– Tak. Pan z wizytą...?

– Do Warrena. Luke’a Warrena. Jestem jego synem, a to mój pies przewodnik.

Staje z założonymi rękami.

– Na trzech nogach.

– Pani żartuje? – Posyłam jej uwodzicielski uśmiech. – Zapłaciłem za cztery.

Pielęgniarka zachowuje kamienną twarz.

– Musimy poprosić o zgodę lekarzy pana Warrena.
– Pies przewodnik ma wstęp do wszystkich miejsc publicznych oraz tam, gdzie nie stanowi bezpośredniego zagrożenia – recytuję to, co wyczytałem w Google’u jeszcze na stacji benzynowej. – To niesłychane, że szpital pogwałciłby ustawę o prawach osób niepełnosprawnych.
– Psy przewodnicy mają wstęp na OIOM tylko w szczególnych przypadkach. Zechce pan chwilę poczekać, a ja...
– Niech pani dzwoni do departamentu sprawiedliwości – mówię, a Zazi znów zaczyna mnie ciągnąć.
Szacuję, że zostało mi góra pięć minut, zanim ochrona mnie wyrzuci. Pielęgniarka coś krzyczy, ale my pędzimy już korytarzem do sali ojca.
Cara siedzi na wózk, matka stoi za nią. Ojciec wciąż leży nieruchomy na łóżku, opleciony rurkami wbitymi w gardło i wypełzającymi spod koca.
– Zazi! – krzyczy Cara i wilk doskakuje do wózka. Stawia przednie łapy na kolanach mojej siostry i liże ją po twarzy.
– Ugryzł mnie – oznajmiam.
Matka wciska się w kąt, niezbyt zachwycona jego bliskością.
– Czy to aby bezpieczne? – pyta.
Rzucam jej znaczące spojrzenie.
– Teraz pytasz?
Ale Zazi odwrócił się od Cary i popiskuje przy łóżku ojca. Jednym ruchem wskakuje na wąski materac i staje nad nim okrakiem. Delikatnie omija rurki i węszy pod kołdrą.
– Mamy niewiele czasu – mówię.
– Patrz – odpowiada Cara.
Zazigoda obwąchuje włosy ojca, szyję. Omiata językiem jego policzek.
Ojciec się nie rusza.
Wilki skomli i znów liże go po twarzy. Łapą drapie koc.
Słysząc pisk i przenosimy wzrok na urządzenia za łóżkiem. Trzeba wymienić kroplówkę.
– Teraz mi wierzysz? – pytam Carę.
Ma zaciśnięte zęby i determinację wypisaną na twarzy.
– Jeszcze chwileczkę – błaga. – Zazi wie, że tam jest.
Ściągam okulary i stoję przed nią, aż musi na mnie spojrzeć.
– Ale tata nie wie, że tutaj jest Zazi.
Chce odpowiedzieć, ale drzwi się otwierają i wchodzi pielęgniarka z ochroniarzem.
Wpycham okulary na nos.
– Moja siostra to wymyśliła – mówię bez namysłu.
– Aha, zwał wszystko na mnie – burczy Cara.
Pielęgniarka zaraz dostanie apopleksji.
– Na. Łóżku. Jest. Pies – cedzi. – Zabierzcie. Psa. Z łóżka!
Ochroniarz łapie mnie za ramię.
– Proszę natychmiast zabrać psa.
– Nie widzę tutaj żadnego psa – odpowiadam.
Pielęgniarka mruży oczy.
– Koniec wygłupów, draniu.
Ściągam okulary.
– Ach, macie na myśli jego? – pytam, wskazując na Zaziego, który zeskakuje z łóżka i przywiera do mojej nogi. – To nie żaden pies, tylko wilk.

Po czym łapię smycz i pędzimy na złamanie karku.

Po interwencji kuratorki szpital postanawia nie wnieść skargi. Jako jedyna z personelu Trina rozumie, po co musiałem to zrobić. Bez tego Cara uparcie trwałaby przy swojej wersji, nie przyjmując do wiadomości żadnych argumentów. Skoro zobaczyła na własne oczy, że nawet wilki nie wzbudziły w nim żadnej reakcji, musi pojąć, że już nie ma nadziei.

Zazi chyba też coś wyczuwa. Bez oporów wraca do klatki i przesyfia całą drogę powrotną. Tym razem, gdy podjeżdżamy do przyczepy, Walter z twarzą jak krajobraz wychodzi mi na powitanie; czeka na dobre wieści, na opowieść o cudownym powrocie do świata żywych. Ale mam ściśnięte gardło, więc pomagam mu wyładować klatkę i razem niesiemy ją do zagrody, pod czujnym okiem wilka zza płotu. Walter wypuszcza Zaziego i oba wilki znikają wśród drzew na tyłach zagrody. Patrzę, jak Walter zamyka pierwszą furtkę i podchodzi do drugiej. W rękach trzyma smycz i szelki.

– I co? – ponagla.

– Walter – odzywam się wreszcie, wypróbując rozmiar i kształt tych słów. – Cokolwiek się stanie, masz pracę. Sam tego dopilnuję. Tata życzyłby sobie, aby zwierzętami zajmował się ktoś zaufany.

– Ani się obejrzyysz, jak wróci i zaczniesz mi wytykać błędy – odpowiada Walter.

– No – przytakuję. – Na pewno.

Obaj nie wierzymy we własne słowa.

Mówię mu, że muszę wracać do szpitala, lecz najpierw staję i przyglądam się mechanicznym dinozaurom. Strzepuję śnieg z żeliwnej ławki i czekam dwanaście minut do pełnej godziny, żeby usłyszeć tyranozaura. Znowu nie może machać ogonem z powodu śniegu.

W dzinsach i adidasach przesadzam płot i ląduję po kolana w zaspie. Zaczynam odgarniać gołymi rękami. Mija parę sekund, po czym palce mam czerwone i zdrętwiałe z zimna, czuję, że w skarpetkach topi się śnieg. Grzmocę plastikowy, zielony ogon tyranozaura, żeby skruszyć lód, ale trzyma jak cholera.

– No dalej – wrzeszczę, uderzając kolejny raz. – Ruszże się!

Mój głos roznosi się echem wśród pustych budynków, ale coś się dzieje, gdyż ogon kołysze się na boki, kiedy sztuczny tyranozaur naciera na sztucznego welociraptora. Przez chwilę stoję i patrzę, z dłońmi wciśniętymi pod pachy. Udaję, że tyranozaur pokona ten ostatni odcinek dzielący go od ofiary, zamiast stać w miejscu. I że zdołałem cofnąć czas.

*** Wiele może się wydarzyć w ciągu sześciu dni. Jak powiedzieliby Izraelczycy, w ciągu sześciu dni można stoczyć wojnę. Przejechać Stany Zjednoczone. Niektórzy wierzą, że właśnie tyle zabrało Bogu stworzenie wszechświata.

A ja wam mówię, że w ciągu sześciu dni wiele może się też nie wydarzyć.

Na przykład człowiekowi, który doznał rozległego urazu mózgu, może się nie pogorszyć ani nie poprawić.

Od czterech dni wracam wieczorami do domu ojca, gdzie nasypuję sobie zwietrzałe płatki i oglądam telewizję. Nie śpię w jego łóżku, w zasadzie niewiele śpiam. Siedzę na kanapie i oglądam niezliczone odcinki *Różowych lat siedemdziesiątych*.

Dziwnie opuszczać szpital, gdy zaczyna się nocny dyżur. Dzień jakby minął mnie bokiem, a gwiazdy migoczą na śniegu, który spadł niepostrzeżenie. Moje życie posuwa się naprzód na zasadzie pustych klatek, bez głównego bohatera, ten zapętlił się w czasie. Przynoszę rzeczy, które mogą przydać się ojcu, gdyby się obudził: szczotkę do włosów, książkę, list – co sprawia tylko, że dom zdaje się po powrocie jeszcze bardziej pusty, jakbym stopniowo upłynął wszystkie sprząty.

Po awanturze z wilkiem wróciłem do szpitala i poszedłem do Cary. Chciałem pokazać jej

list znaleziony w szufladzie. Ale zastałem tam sztab fizjoterapeutów – debatowali nad dalszą rehabilitacją i sprawdzali zakres ruchu Cary, aż miała łzy w oczach. Nasza rozmowa znów musiała zaczekać.

Kiedy następnego ranka idę do jej sali, dopada mnie Trina z opieki społecznej.

– Dobrze się składa – mówi. – Słyszałeś?

– O czym? – W głowie zapala mi się światełko.

– Właśnie szłam po ciebie na dół. Zwołaliśmy u Cary naradę rodzinną.

– Naradę rodzinną? – powtarzam. – Namówiła cię?

– Do niczego mnie nie namawiała, Edwardzie. To spotkanie ma na celu zapoznanie was z sytuacją medyczną waszego ojca. Zaproponowałam, aby odbyło się u Cary z uwagi na jej wygodę.

Idę za Triną do sali, gdzie zastaję grono pielęgniarek; niektóre znam z widzenia. Jest tam również doktor Saint-Clare, główny neurolog, i doktor Zhao z OIOM-u. Widzę też księdza; tak przynajmniej zakładam, bo ma koloratkę. Błyska mi myśl, że to podstęp, że ojciec już zmarł i to najlepszy sposób, aby przekazać nam tę wiadomość.

– Pani Ng – mówi Trina. – Obawiam się, że muszę panią prosić o opuszczenie sali.

Matka mruga powiekami.

– A Cara?

– Niestety, to spotkanie dla członków rodziny pana Warrena – tłumaczy kuratorka.

Matka odwraca się do wyjścia, ale Cara łapie ją za rękaw.

– Nie odchodź – szepcze. – Nie chcę zostać z tym sama.

– Kochanie. – Matka odgarnia Carze włosy z twarzy.

Wchodzę do sali i wyminąwszy wszystkich, stoję obok matki.

– Nie zostaniesz sama. – Biorę Carę za rękę.

Wracają wspomnienia: przechodzimy przez ulicę, odprowadzam młodszą siostrę do szkoły. Nie puszczam jej ręki, dopóki nie stanie obiema nogami po drugiej stronie. „Wzięłaś kanapki?”, pytam, na co kiwa głową. Widzę, że chętnie zatrzymałaby mnie dłużej, bo fajnie być jedyną piątoklasistką rozmawiającą z maturzystą, ale ja wracam pospiesznie do samochodu. Ona o tym nie wie, ale nie odjeżdżam, póki nie znikna za drzwiami, na wszelki wypadek.

– A więc – oznajmia doktor Saint-Clare – możemy zaczynać. Zebraliśmy się tutaj, aby poinformować was, jak przedstawia się sytuacja waszego ojca. – Kiwa na pielęgniarkę, która stawia na łóżku laptop, żeby wszyscy zobaczyli zdjęcia. – Jak wiecie, trafił do szpitala przed sześciu dniami z rozległym urazem mózgu. Oto zdjęcia z przeprowadzonej wówczas tomografii. – Wskazuje na jedną stronę obrazka, która wygląda jak zamazane dzieło abstrakcjonisty. – Wyobraźcie sobie, że tutaj mamy nos, a tutaj ucho. Patrzymy od dołu. Ten biały obszar to krew dokoła mózgu i jego komór, a ta rozległa masa to krwiał płąta skroniowego.

Klika myszką i obok pierwszego zdjęcia wyskakują następne.

– To normalny mózg – objaśnia i w zasadzie nie musi dodawać nic więcej. Widzimy niezmaconą czerń połączeń mózgu. Ostro zarysowane linie i krawędzie. Uporządkowane, zorganizowane i niebudzące wątpliwości.

Jakże różne od widoku mózgu mojego ojca.

Nie mogę uwierzyć, że ten rozmyty obraz to suma osobowości, myśli i poczynań ojca. Wytrzeszczam oczy, zachodząc w głowę, która przegródka skrywa zwierzęce instynkty nabyte w lesie. I gdzie mieści się język – niewerbalne gesty, którymi porozumiewał się z wilkami, i słowa, o których zapominał przed laty: że nas kocha i że za nami tęskni.

Doktor Saint-Clare klika i na monitorze pojawia się trzecie zdjęcie, nieco mniej rozbielone wokół krawędzi, ale za to z szarą plamą, której nie było wcześniej. Wskazuje na nią

palcem.

– W tym miejscu znajdowały się przyśrodkowe struktury płata skroniowego. Poprzez usunięcie ich oraz krwiaka zdołaliśmy w pewnym stopniu zredukować obrzęk mózgu.

Wspomniął, że wycięcie fragmentu mózgu nie wpłynie na osobowość ojca, ale przypuszczalnie pozbawi go części wspomnień.

Pytanie, których?

Z roku spędzonego w lesie z wilkami?

Pierwszego spotkania z matką?

Chwili, gdy zrozumiał, że go nienawidzę?

Neurochirurg był w błędzie, gdyż utrata jednego z tych wspomnień odmieniłaby ojca oraz to, kim się stał.

Cara ciągnie mnie za rękaw.

– To chyba dobrze, nie? – pyta szeptem.

Doktor Saint-Clare naciska inny guzik, odświeżając obraz na monitorze. Widzimy mózg pod innym kątem, przekrzywiam głowę, usiłuję się połapać.

– To pień mózgu – tłumaczy lekarz. – Krwotoki ogarnęły rdzeń i sięgają do mostu. – Wskazuje jeden fragment.

– Oto część mózgu odpowiedzialna za oddychanie. A ta za przytomność. – Odwraca się w naszą stronę. – Od chwili przewiezienia waszego ojca do szpitala nie odnotowaliśmy tutaj żadnej poprawy.

– Nie możecie przeprowadzić drugiej operacji? – odzywa się Cara.

– Pierwsza miała na celu obniżenie ciśnienia śródczaszkowego, ale w tej chwili chodzi o coś innego. Hemikraniektomia i pentobarbital nie pomogą. Obawiam się, że obrażenia waszego ojca mają charakter nieodwracalny.

– Nieodwracalny? – powtarza Cara. – Jak to?

– Przykro mi. – Doktor Saint-Clare chrząka. – Z uwagi na niepomyślne rokowania istnieje konieczność podjęcia decyzji co do dalszego podtrzymywania go przy życiu.

– „Niepomyślne” to nie to samo co „beznadziejne” – upiera się Cara. – On nadal żyje.

– Owszem, teoretycznie – wtrąca doktor Zhao. – Należy jednak postawić pytanie, co składa się na sensowną egzystencję. Nawet gdyby wyzdrowiał, co w przypadku takich obrażeń stanowiłoby ewenement, jego życie w niczym nie przypominałoby dotychczasowego.

– Skąd pan wie, co będzie za miesiąc? Albo za rok? Przecież może dojść do przełomowego odkrycia, które go wyleczy – argumentuje Cara.

Mam do siebie żal, ale chcę to usłyszeć.

– Co to znaczy, że jego życie nie przypominałoby dotychczasowego?

Neurochirurg przenosi na mnie wzrok.

– Nie mógłby samodzielnie oddychać, jeść ani korzystać z łazienki. W najlepszym razie wymagałby całodobowej opieki.

Trina występuje naprzód.

– Wiem, jakie to dla ciebie trudne, Caro. Pomyśl jednak, czego życzyłby sobie, słysząc słowa doktora.

– Życzyłby sobie wyzdrowieć! – Cara płacze, z trudem łapiąc oddech. – Minął niespełna tydzień!

– Rzeczywiście – przyznaje doktor Saint-Clare. – Jednakże doznał obrażeń, które nie ustąpią wraz z upływem czasu. Istnieje mniej niż jeden procent szansy, że z tego wyjdzie.

– Widzi pan? – wybucha Cara. – Sam pan to przyznał. Jest szansa.

– Co nie ma nic wspólnego z prawdopodobieństwem. Myślisz, że tata chciałby być

podtrzymywany przy życiu rok, dwa lub dziesięć lat licząc na jeden procent prawdopodobieństwa, że może odzyska przytomność i już na zawsze będzie sparaliżowany? – pytam.

Rzuca mi zdesperowane spojrzenie.

– Lekarze czasami się mylą. Pamiętasz Zaziego? Wpadł w sidła i odgryzł sobie nogę.

Weterynarze nie dawali mu szans.

– Różnica polega na tym, że tata nie jest wilkiem – zaznaczam.

– Różnica polega na tym, że chcesz go zabić – mówi Cara.

Trina kładzie rękę na zdrowym barku Cary, która próbuje się spod niej wywinąć i krzyczy z bólu.

– Idźcie sobie! – szlocha. – Wszyscy!

Rozlega się pisk paru urządzeń za jej plecami. Jedna z pielęgniarek patrzy na monitor i marszczy brwi.

– Dosyć tego – oznajmia. – Żegnaj państwa.

Lekarze wychodzą jeden za drugim, wymieniając uwagi ściszym głosem. Jedna pielęgniarka siłą unieruchamia rozhisteryzowaną Carę, podczas gdy druga mocuje kroplówkę z morfiną.

Matka wpada do środka.

– Co się stało? – Spogląda na mnie, na pielęgniarki, a potem na Carę. Dopada łóżko, obejmuje Carę i pozwala jej się wypłakać. Siostra patrzy na mnie ponad jej ramieniem.

– Powiedziałam, wynocha – mamrocze, aż dociera do mnie, że miała na myśli nie tylko lekarzy.

W ciągu paru sekund morfina zaczyna działać i Cara wiotczeje. Matka kładzie ją na poduszkach i szeptem wypytuje pielęgniarkę o powód zamieszania. Siostra ma szklisty wzrok, zwiotczała szczękę i prawie zasypia, ale jeszcze podchwytuje mój wzrok.

– Ja nie mogę – bełkocze. – Niech to się skończy.

To brzmi jak prośba. Jakbym po raz pierwszy od sześciu lat mógł przyjść z pomocą mojej siostrze. Patrzą na nią.

– Ja się tym zajmę – obiecuję ze świadomością, ile musiały ją kosztować te słowa. – Zatrąszczę się o wszystko.

Po wyjściu od Cary zastaję doktora Saint-Clare'a w dyżurce pielęgniarek, rozmawia przez telefon. Odkłada słuchawkę w chwili, gdy staję na wprost niego.

– Mógłbym pana o coś spytać? – zagajam. – Chciałbym wiedzieć, co by się stało, gdybyśmy... wie pan.

– Gdybyście?

– Gdybyśmy postanowili... – Słowa nie przechodzą mi przez gardło. Wzruszam ramionami, pocierając czubkiem buta linoleum.

Ale wie, o co chodzi.

– No cóż – odpowiada. – Nie czułby bólu. Rodzina może asystować przy wyłączeniu respiratora. Niewykluczone, że pański ojciec oddychałby przez chwilę samodzielnie, ale jego serce niebawem przestałoby bić. Zwykle prosimy rodzinę o opuszczenie sali na czas usuwania rurki intubacyjnej, po czym może wrócić i zostać przy zmarłym, jak długo chce. – Dodaje po chwili wahania: – Ale to zależy od okoliczności.

– Na przykład?

– Na przykład tego, czy pański ojciec wyraził chęć zostania dawcą narządów.

Cofam się myślami o cztery dni – naprawdę minęło aż tyle czasu? – gdy przeglądałem zawartość jego portfela. Do serduszka na prawie jazdy.

– Jak wygląda procedura? – pytam.

– Bank narządów otrzymuje powiadomienie o każdym przypadku rozległego urazu mózgu, bez względu na deklarowane intencje pacjenta. Przyjeżdżają porozmawiać z rodziną i odpowiedzieć na ewentualne pytania. Jeśli pański ojciec jest zarejestrowanym dawcą i rodzina zrezygnuje z dalszego podtrzymywania go przy życiu, datę ustalimy w porozumieniu z bankiem narządów, tak aby jego życzeniu stało się zadość. – Doktor Saint-Clare mierzy mnie baczny spojrzeniem. – Jednak zanim to nastąpi – dodaje – pan i pańska siostra musicie być zgodni co do dalszych działań.

Odprowadzam go wzrokiem i podkradam się do drzwi sali Cary. Chylikiem zaglądam do środka. Cara śpi. Matka siedzi przy łóżku z głową na złożonych dłoniach, jakby się modliła.

Może się modli.

Gdy odprowadzałem Carę do szkoły, a potem czekałem, aż wejdzie do środka, nie chodziło tylko o dopilnowanie, żeby nikt jej nie porwał. Chodziło o to, że nie mogłem być tym, kim ona: dziewczyną o roztańczonych warkoczach, z plecakiem jak różowa żółwia skorupa, z głową pełną „a może” i „co jeśli”. Mogła sobie wmówić wszystko: że krasnoludki mieszkają pod grzybami, że mama płacze w nocy, bo czyta smutną książkę, że to nic wielkiego, gdy tata zapomina o moich urodzinach lub jej występie, bo pochłania go uczenie polskich rolników, iż najlepszą metodą na odstraszenie wilków jest puszczenie im taśm z nagrany wyciem. Ja już byłem skażony i pozbawiony złudzeń, że świat fantazji pokona rzeczywistość. I co rano pilnowałem, żeby nikt nie rozwalił jej dzieciństwa tak jak mnie.

Myśli, że ją porzuciłem, wiem, ale może wróciłem w samą porę. Tylko ja jeden mogę odroczyć jej wejście w dorosłość. Sprawić, by nie obwiniała się za decyzję, której słuszość może kwestionować do końca życia.

Ja nie mogę, powiedziała.

Niech to się skończy.

Cara mnie potrzebuje. Nie chce już rozmawiać z lekarzami, pielęgniarkami i kuratorkami. Chce uniknąć podjęcia takiej decyzji.

A więc podejmę ją za nią.

Najlepszy dzień, jaki spędziłem z ojcem, okazał się katastrofą.

Było to tuż po narodzinach Cary. Matka naczytała się książek o wychowaniu, tak aby jej siedmioletnie oczko w głowie nie zgłupiało wraz z pojawieniem się noworodka. (Wprawdzie próbowałem nakarmić kiedyś Carę monetą, jak gdyby była automatem do gry, ale to inna historia). Autorzy książek radzili: „Niech maleństwo przyniesie braciszкови prezent”. I gdy pojechałem do szpitala obejrzeć różowy tłumoczek, będący moją młodszą siostrą, matka poklepała łóżko obok siebie.

– Patrz, co dostałeś od Cary – powiedziała, wręczając mi długi, cienki pakunek. Zagapiłem się na jej brzuch, nie mogąc się nadziwić, że po pierwsze, pomieścił dziecko, a po drugie, prezent takich rozmiarów, ale zaraz przystąpiłem do odwijania ozdobnego papieru i po chwili trzymałem w rękach własną wędkę.

Jako siedmiolatek nie przypominałem innych chłopców, którzy darli spodnie na kolanach i rozczłonkowali muchy. Przesiadywałem w swoim pokoju, pochłonięty lekturą lub rysowaniem. Dla człowieka pokroju mojego ojca, który z trudem wpasowywał się w tradycyjną rodzinę, tak niekonwencjonalny syn musiał stanowić nie lada łamigłówkę. Dosłownie nie wiedział, co ze mną począć. Próby spędzania razem czasu były dość opłakane. Pakowałem się w trujący bluszcz. Doznawałem takiego poparzenia słonecznego, że mi oczy puchły. Doszło do tego, że gdy musiałem jechać z nim do Redmond, brałem książkę i czekałem na niego w przyczepie.

O wiele bardziej ucieszyłaby mnie plastelina, akwarele bądź kolorowe pisaki.

– Nie umiem łowić – zauważyłem.

– Tatuś cię nauczy! – wykrzyknęła matka.

Już to słyszałem. „Tatuś nauczy cię jeździć na rowerze”. „Tatuś po południu zabierze cię na basen”. Ale zawsze coś wypadło i schodziłem na drugi plan.

– A może pojedziecie od razu, Luke? Cara i ja będziemy mogły się zdrzemnąć.

Ojciec popatrzył na nią.

– Teraz? – Ale nie zamierzał dyskutować z kobietą, która właśnie urodziła dziecko.

Przeniósł wzrok na mnie i skinął głową. – To świetna pora na ryby – oznajmił, budząc we mnie nadzieję, że może to początek czegoś nowego między nami. Czegoś wspianiałego. W telewizji tatusiowie bez przerwy łowili z synami ryby. Prowadzili poważne rozmowy. Może wędkowanie okaże się tym, co nas łączy, tylko jeszcze o tym nie wiem.

Pojechaliśmy do Redmond.

– Zrobimy tak – powiedział tata. – Ja nakarmię wilki, a ty pójdziesz wykopać robaki.

Pokiwałem głową. Dokopałbym się do Chin, jeśli trzeba. Byłem sam na sam z ojcem i pokocham wędkowanie, choćby miało mnie to kosztować życie. Oczami wyobraźni zobaczyłem przyszłość, w której my dwaj umacniamy więź nad zastępami okoni i szczupaków.

Zabrał mnie do szopy z narzędziami za klatką małp i wygrzebał zardzewiały szpadeł. Następnie udaliśmy się do sterty nawozu za ptaszarnią, gdzie dozorca jeździł z taczkami po czyszczeniu klatek. Zruszył warstwę czarnoziemu i wziął się pod boki.

– Dziesięć robaków – oświadczył. – Ubrudzisz ręce.

– Nie szkodzi – odpowiedziałem.

Poszedł do wilków, a ja ostrożnie wydłubałem z ziemi tuzin dżdżownic i umieściłem je w woreczku strunowym, który mi zostawił. Przyniósł drugą wędkę, po czym wyszliśmy tylną bramą za lwami i podążyłem za nim do lasu, odgarniając paprocie na błotnistej ścieżce. Komary mnie gryzły i dociekałem, kiedy wreszcie dotrzemy na miejsce (gdziekolwiek się znajdowało), ale nie poskarżyłem się ani słowem. Słuchałem pogwizdywania taty i wyobrażałem sobie, jak super byłoby pokazać wędkę Loganowi z sąsiedztwa, który przechwalał się grą komputerową otrzymaną na urodziny.

Po około dziesięciu minutach znaleźliśmy się na skraju autostrady. Ojciec wziął mnie za rękę, rozejrzał się i przebiegliśmy na drugą stronę. Woda lśniła jak pierścionek mamy, który czasem puszczał zajączki po suficie. Zobaczyłem płot, a na nim białą tablicę z czarnym napisem.

– Co to znaczy WSTĘP WZBRONIONY? – zapytałem.

– Nic takiego – odparł tata. – To niczyja ziemia, my ją tylko pożyczamy.

Podsadził mnie na płot, przeskoczył na drugą stronę i usiedliśmy na brzegu zbiornika. Wędka taty była zardzewiała, a od mojej bił blask nowości. Biało-czerwony szałwik na końcu wyglądał jak małeńka boja. Ukląkłem, przysiadłem na piętach, a potem znów ukląkłem.

– Pierwsza zasada wędkowania – powiedział ojciec – to siedzieć spokojnie.

Pokazał mi, jak odczepić haczyk, po czym sięgnął do woreczka po dżdżownicę.

– Dziękuję – mruknął pod nosem.

– Za co?

Spojrzał na mnie.

– Moi przyjaciele Indianie mawiają, że zwierzę, które oddaje życie, aby nakarmić inne zwierzę, zasługuje na hołd za swoją ofiarę – odparł, nadziewając dżdżownicę na haczyk.

Nie przestawała się wić. Mało nie zwymiotowałem.

Ojciec ukląkł za mną i otoczył mnie ramionami.

– Wciskasz ten przycisk – położył mój kciuk na kołowrotku – i przytrzymujesz. Bierzesz

zamach od prawej strony. – Zakołysaliśmy się; w ostatniej chwili zwolnił przycisk i żyłka poszybowała nad taflą srebrzystym półksiężycem. – Spróbujesz?

Mogłem to zrobić sam, ale chciałem znów poczuć jego serce, niczym bębenek między moimi łopatkami.

– Pokażesz mi jeszcze raz? – poprosiłem.

Pokazał dwa razy. A potem sięgnął po swoją wędkę.

– Kiedy spławik zacznie chodzić z góry na dół, nie ciągnij. Skubanie a połknięcie przynęty to dwie różne sprawy. Jeśli zostanie pod wodą, wtedy zacznij ciągnąć i nawijać żyłkę.

Patrzyłem, jak dziękuje kolejnej dżdżownicy i nadziewa ją na haczyk. Tak mocno ścisnąłem wędkę, że zbiełały mi palce. Wiał wiatr ze wschodu i spławik podskakiwał przez to trochę na wodzie. Bałem się, że przegapię rybę, mylnie biorąc ją za wiatr. Ale obawiałem się też, że za szybko wciągnę żyłkę i moja dżdżownica na próżno odda życie.

– Ile to potrwa? – zapytałem.

– Druga zasada wędkowania – odparł ojciec. – Uzbrój się w cierpliwość.

Nagle coś szarpnęło wędkę, jakbym obudził się ze snu w trakcie zabawy w przeciąganie liny. Z wrażenia mało jej nie upuściłem.

– Rybarybaryba! – krzyknąłem, zrywając się na równe nogi, a ojciec się uśmiechnął.

– No to ciągnij, brachu – zachęcił. – Tylko powoli.

Ale nim zdążył mi pomóc, sam też coś złowił. Wstał, a jego wędka wygięła się w pałąk, kiedy ryba oddaliła się od brzegu. Tymczasem moja z pluskiem wzburzyła taflę. Kręciłem jak oszalały, aż znalazła się na wysokości mojej piersi.

– I co teraz? – stęknąłem.

– Trzymaj – poinstruował ojciec. – Wciągnę swoją i ci pomogę.

Był to okoń w tygrysie paski, z płetwami o ząbkowanych krawędziach. Oczy miał dzikie i szkliste jak porcelanowa lalka należąca kiedyś do mojej prababci, zbyt stara i cenna, żeby się nią bawić. Próbowałem go złapać, lecz wyslizgiwał mi się z ręki.

Ale ojciec kazał mi trzymać, więc trzymałem, mimo obaw, że dziabnie mnie płetwą, chociaż śmierdział kaloszem i chlastał ogonem.

Ścisnąłem rybę, która mimo swoich piętnastu centymetrów mnie wydawała się ogromna. Nie obejmowałem palcami całego brzucha i dalej wiła się jak oszalała, próbując oswobodzić się z haczyka, który przebił srebrzyste podgardle; zemdlilo mnie na ten widok. Ścisnąłem mocniej, żeby mi się nie wymknęła.

Ale chyba trochę za mocno.

Okoń wybałuszył oczy i spod ogona trysnęły mu wnętrzności. Ze zgrozą rzuciłem wędkę i zapatrzyłem się w pokrytą rybimi flakami swoją dłoń oraz martwego okonia wciąż dyndającego na żyłce.

Nie mogłem się powstrzymać, wybuchnąłem płaczem.

Płakałem nad rybą i robakiem, które zginęły bez sensu. Płakałem, bo nawaliłem.

Płakałem, bo to znaczyło, że ojciec nie zabierze mnie więcej na ryby.

Popatrzył na mnie i szczątki okonia.

– Coś ty narobił? – spytał. W tej samej chwili pękła jego żyłka i drugą rybę szlag trafił.

– Zabiłem ją – wyszłochałem.

– I tak miałeś – zauważył.

Te słowa wcale nie dodały mi otuchy i rozplakałem się jeszcze głośniejsze.

Ojciec rozejrział się niespokojnie. Nie on pielęgnował mnie w chorobie i uspokajał, kiedy miałem zły sen, tylko mama. W obliczu takiej hysterii nie był – delikatnie mówiąc – w swoim żywiole.

– Nie płacz – powiedział, ale ja się zatraciłem w rozpacz, aż mnie zatkało. Z nosa mi ciekło, co nasunęło skojarzenie z flakami i nakręciło mnie jeszcze bardziej.

Powinien mnie przytulić. Zapewnić, że nic się nie stało i spróbujemy jeszcze raz.

Ale wypalił tylko:

– Słyszałeś kawał o muchach? Nie? Pewno i tak masz je w nosie.

Nie wiem, co go napadło. Ale sytuacja była tak niezręczna, tak odmienna od tego, czego potrzebowałem, że ucichłem z wrażenia. Wstrząsany czkawką, patrzyłem na niego zza mokrych rzęs.

Tymczasem on mężnie brnął dalej w dowcipkowaniu.

– Dlaczego lekarze piszą czerwonymi długopisami? Na wypadek gdyby musieli pobrać krew.

Wydmuchałem nos w rękaw, a on zdjął koszulę, delikatnie otarł mi twarz i wziął mnie na kolana.

– Przychodzi pół baby do lekarza, lekarz pyta „co pani jest?”, a baba: „Ba!”.

Nie rozumiałem tych kawałów, byłem za mały. Poza tym nigdy nie uważałem ojca za żartownisia. Ale mnie obejmował, tym razem bez wędki.

– To był wypadek – wybąkałem i znów zebrało mi się na płacz.

Ojciec sięgnął po nóż, który nosił w kieszeni, po czym przeciął żyłkę i kopnął szczątki ryby do wody, żebym nie musiał na nie patrzeć.

– Czy wiesz, jak się nazywa syn optyka? – spytał. – Synoptyk. – Wytarł ręce o spodnie. – Trzecia zasada wędkowania: co dzieje się przy stawie, zostaje przy stawie.

– Nie znam żadnych kawałów – odpowiedziałem.

– Dziadek opowiadał mi je, kiedy się bałem.

Nie mieściło mi się w głowie, że mój dzielny tata mógł się bać czegokolwiek.

Pomógł mi wstać i podniósł wędki. Żyłki zatańczyły w powietrzu jak sploty pajęczyny.

– Twój tata też opowiadał kawały? – zagadnąłem.

Tata odsunął się o krok, który wydał mi się niczym kilometr.

– Nie znałem mojego taty – rzekł, odwracając się ode mnie.

I zrozumiałem, że to jedyne, co nas łączy.

Siedzę po ciemku u ojca, zielona poświata z monitora pada na łóżko. Opieram łokcie na kolanach, podbródek na dłoniach.

– Czy wiesz, dlaczego słonie trąbią? – mamroczę.

Cisza.

– Bo nie potrafią grać na fortepianie.

Oczy mnie pieką. Suche. Bez łez.

– Słyszałeś o paranoicznym dyslektyku? – pytam. – Zawsze boi się, że kogoś śledzi.

Dawniej głupie kawały pomagały ojcu odpędzić strach. Ale na mnie to nie działa.

Ktoś puka cicho do otwartych drzwi. Wehodzi kobieta.

– Edward? – pyta. – Nazywam się Corinne D’Agostino. Jestem koordynatorem w banku narządów.

Ma zielony sweter z wyhaftowanymi liśćmi i krótko przycięte brązowe włosy. Jak na ironię, przypomina mi Piotrusia Pana. Tutaj nie ma żadnej Nibylandii, żadnej krainy wiecznego dzieciństwa.

– Przykro mi z powodu twojego ojca.

Kiwam głową; wiem, że tego oczekuje.

– Opowiedz mi coś o nim. Co lubił robić?

Tego się nie spodziewałem. Ja miałbym odpowiedzieć na to pytanie?

– Wciąż przebywał poza domem – mówię wreszcie. – Badał zachowania wilków, mieszkając z watahą.

– Niesamowite – odpowiada Corinne. – Od czego się zaczęło?

Czy kiedykolwiek zadałem mu to pytanie? Chyba nie.

– Uważał, że na wilkach ciąży niezasłużenie zła sława. – Przypominam sobie fragment pogadanki na użytek turystów, którzy latem tłumnie zjeżdżają do Redmond. – Chciał obalić mity.

Corinne przysuwa sobie krzesło.

– Wygląda, że kochał zwierzęta. Tacy ludzie często pomagają bliźnim.

W przypiływie nagłego znużenia pocieram twarz. Nie mam ochoty dłużej owijać w bawełnę, pora z tym skończyć.

– Proszę posłuchać, z jego prawa jazdy wynika, że chciał być dawcą narządów. Dlatego chciałem z panią rozmawiać.

Kiwa głową i za moim przykładem przechodzi do konkretów.

– Rozmawiałam z doktorem Saint-Clare'em i zapoznałam się z sytuacją twojego ojca. Rozumiem, że jego obrażenia wykluczają powrót do normalnego życia, nie naruszyły jednak narządów wewnętrznych. Donacja z ustaniem czynności krążenia to prawdziwy dar dla cierpiących.

– Będzie go bolało?

– Nie – zapewnia Corinne. – Nadal jest pacjentem i jego komfort to dla nas rzecz nadrzędna. Możesz być z nim do końca.

– Jak wygląda procedura?

– DCD, donacja z ustaniem czynności krążenia, różni się od DBD, donacji ze śmiercią mózgu. Zaczęlibyśmy od zweryfikowania twojej decyzji o odłączeniu respiratora i stanowiska pana Warrena. Następnie ustalilibyśmy z chirurgami najlepszy moment na przeprowadzenie procedury. – Splata dłonie między kolanami, po czym wychyla się naprzód i przytrzymuje mój wzrok. – Jest możliwa obecność rodziny. Byłbyś tutaj, wraz z neurochirurgiem, lekarzami z OIOM-u i pielęgniarkami. Dostałby morfinę. Monitorowano by ciśnienie tętnicze i ktoś z personelu odłączyłby respirator. Bez tlenu jego serce przestanie bić i będziesz mógł się pożegnać. Weźmiemy go na salę operacyjną. Po pięciu minutach od ustania akcji serca zostanie stwierdzony zgon i kolejny zespół lekarzy przystąpi do pobierania narządów. Na ogół w takich przypadkach pozyskuje się nerki i wątrobę, jednakże bywa, że serce i płuca również.

Ta rozmowa nad nieprzytomnym ciałem ojca zakrawa na okrucieństwo. Patrząc na niego, na jeszcze świeże szwy na skroni.

– A potem?

– Po pobraniu narządów zostanie przewieziony do szpitalnej kostnicy, która skontaktuje się ze wskazanym przez ciebie domem pogrzebowym – tłumaczy Corinne. – Otrzymasz także list z informacjami o biorcach narządów twojego ojca. Nie podajemy nazwisk, jednakże to często pociecha dla rodziny, usłyszeć o ludziach, którym przeszczep uratował życie.

Gdybym spojrział w oczy człowieka, mającego przeszczepioną rogówkę ojca, czy wciąż miałbym poczucie, że nie spełniam oczekiwań?

– Musisz o czymś wiedzieć, Edwardzie – dodaje. – DCD nie daje stuprocentowej pewności na powodzenie, podobnie jak donacja ze śmiercią mózgu. W dwudziestu pięciu procentach przypadków pacjenci nie kwalifikują się na dawców.

– Dlaczego?

– Ponieważ istnieje możliwość, że akcja serca nie ustanie w przedziale czasowym niezbędnym do pobrania narządów. Czasem po odłączeniu respiratora pacjent nie przestaje oddychać. Nazywamy to oddechem agonalnym, serce pacjenta wciąż bije. Jeśli trwa to ponad

godzinę, DCD kończy się niepowodzeniem, gdyż narządy nie nadają się do pobrania.

– A ojciec?

– Umiera – odpowiada po prostu. – Zajęłoby to kolejne dwie lub trzy godziny, które spędziłby spokojnie we własnym łóżku. – Corinne się waha. – Nawet jeśli się nie powiedzie, wciąż mówimy o wspianym darze. Uszanowałbyś wolę ojca, a to nie byle co.

Dotykam jego ręki na kołdrze. Jest jak dłoń manekina, zimna i woskowa.

Jeśli spełnię ostatnią wolę ojca, czy zmaże to karmiczną tablicę? Otrzymam rozgrzeszenie za to, że nienawidziłem go, ilekroć nie przychodził na obiad, za zniszczenie małżeństwa rodziców i dzieciństwa Cary, za ucieczkę?

Corinne wstaje.

– Na pewno musisz to sobie przemyśleć – mówi. – I przedyskutować z siostrą.

Siostra zdała się na mnie, nie czuje się na siłach.

– Już rozmawialiśmy – odpowiadam. – Jest niepełnoletnia. Ostateczna decyzja należy do mnie.

Corinne kiwa głową.

– Zatem jeśli nie masz więcej pytań...

– Mam – mówię. – Mam jeszcze jedno pytanie. – Podnoszę wzrok na zarys jej sylwetki w półmroku. – Jak szybko możecie to zrobić?

Tego samego wieczoru mówię matce, że rozmawiałem z Carą, która nie jest w stanie dłużej znosić tego koszmaru, a ja nie chcę, żeby cierpiała. Mówię matce, że postanowiłem pozwolić tacie odejść.

Nie mówię tylko kiedy. Na pewno myśli, iż zostało jeszcze parę dni, zdąży przygotować psychicznie Carę, ale to bez sensu. Żeby chronić Carę, trzeba załatwić to jak najszybciej, po co rozdrapywać rany? Mam nie tylko podjąć decyzję, ale doprowadzić ją do końca, by oszczędzić siostrze bolesnych dylematów.

Matka obejmuje mnie, kiedy drzę, sama też się rozkleja. Rozstała się z ojcem, co nie znaczy, że kiedyś go nie kochała. Wiem, że wróciły wspomnienia i pewnie dlatego nie zadaje zbyt wielu pytań, na które nie mógłbym szczerze odpowiedzieć. Jeśli sobie przypomni, będzie już po sprawie.

Gdy wraca do sali Cary, podpisuję dokumenty, dzwonię do domu pogrzebowego z listy od Corinne i wychodzę ze szpitala. Ale zamiast wrócić do domu ojca, jadę na autostradę, mijam Redmond i parkuję na poboczu opodal zbiornika, gdzie przed laty poszliśmy wędkować.

Chwilę trwa, nim odnajduję ścieżkę prowadzącą do zagród. W ciemności wyrzucam sobie, że nie wziąłem latarki i muszę polegać na wątłym blasku księżyca. Brnę po kolana w śniegu i trzęsę się, przemoczony.

W przyczepie na wzniesieniu pali się światło. Walter jeszcze nie śpi. Mógłbym zapukać do drzwi i powiedzieć mu o decyzji podjętej w imieniu ojca. Może postawiłby butelkę na stół i napilibyśmy się za faceta, który splótł nasze ścieżki.

Chociaż nie, Walter pewnie nie ma butelki. Ojciec zawsze powtarzał, że czuły węch wilków wychwytuje nie tylko woń szamponu i mydła, ale i tego, co zjadłeś, nawet po paru dniach. Wychwytuje strach, podniecenie, satysfakcję. Wilczę rodzi się ślepe i głuche, ale ma węch, którym rozpoznaje matkę i członków stada.

Ciekawe, czy wiedzą, że tutaj jestem, czy rozpoznały we mnie jego syna.

Nagle słyszę żałobny dźwięk, który załamuje się, wznosi i łączy z następnym. Chwila ciszy i rozbrzmiewa ponownie, dźwięczny niczym jęk smyczka na strunach skrzypiec.

W odpowiedzi coś we mnie śpiewa jak kamerton.

Najpierw myślę, że wszczynają alarm, bo wyczuły intruza, nawet z daleka.

Potem uświadamiam sobie, że to elegia.

Requiem.

Pieśń za członka watahy, który nie wraca.

I po raz pierwszy od telefonu w Tajlandii, po raz pierwszy od powrotu do domu i dawien dawna, zaczynam płakać.

To pogrzeb. Tyle że jeszcze nie mamy ciała.

Stoję niepewnie przy łóżku ojca. Jest punkt dziewiąta. Na sali operacyjnej czeka zespół chirurgów od przeszczepu. Jest Corinne, dwie pielęgniarki z OIOM-u i Trina oraz kobieta w kostiumie, podobno z działu prawnego. Domyślam się, że szpital woli mieć wszystko dopięte na ostatni guzik.

Trina staje obok mnie.

– W porządku? – pyta ściszym głosem. – Przynieść ci krzesło?

– Postoję – odpowiadam.

Za pięć minut stwierdzą zgon ojca i ktoś inny dostanie nowy kredyt na życie.

Do sali wchodzi doktor Saint-Clare i doktor Zhao z OIOM-u.

– Gdzie jest córka pana Warrena? – pyta ten ostatni.

Wszystkie oczy kierują się w moją stronę.

– Kazała mnie się wszystkim zająć.

Doktor Zhao marszczy brwi.

– Jeszcze wczoraj nie była zachwycona perspektywą odłączenia respiratora.

– Edward zapewnił mnie przed podpisaniem dokumentów, że nie oponowała – wtrąca doktor Saint-Clare.

Czy oni nie rozumieją, że tego życzyłby sobie mój ojciec? Wypełniam jego wolę i chronię Carę. Oszczędzam siostrze decyzji, która złamałaby jej serce. Nie zmarnuje sobie życia, niańcząc kalekę.

– Wszystko pięknie – odzywa się prawniczka i robi krok naprzód. – Ale chcę usłyszeć to od samej Cary.

LUKE

Dwa dni po tym, gdy wataha zawyła w odpowiedzi, siedziałem pod drzewem, rozplątując sidła, kiedy nagle wychynął wielki samiec i pędem ruszył w moją stronę. Pozostałe cztery wilki pojawiły się jak duchy między drzewami i stanęły w szeregu niczym gwardziści. Byłem bezbronny i ogarnęła mnie pewność, że czas pożegnać się z tym światem. Mogłem przewrócić się na plecy i odsłonić szyję, ale nie wiedziałem, czy zdążę poprosić o zaufanie, nim wilk zatopi we mnie zęby.

W ostatniej chwili zatrzymał się tuż przede mną. Wyciągnął szyję, jakby chciał mnie powąchać bez przysuwania się bliżej. Potem bez ostrzeżenia capnął mnie w kolano, dokładnie w to samo miejsce, gdzie przed laty Arlo w zoo. Następnie odwrócił się i dołączył do pozostałych, które na wyścigi zaczęły go lizać po pysku.

Następnego dnia wrócił, tym razem z dwoma młodymi, samcem i samicą; trzymały się blisko, pilnie śledząc rozwój sytuacji. Obwąchał mi buty i okrążył mnie, jakby chcąc wykluczyć ewentualne zagrożenie. Wilczki zbliżyły się zaciekawione, ale kłapnęły na nie zębami. Trzykrotnie ugryzł mnie, podszczypując pod kolanami, i opierał się o mój bark. Po każdym ugryzieniu słał mi nieprzeniknione spojrzenie, po czym ocierał się o mnie jak kot o drapak.

Stanął za moimi plecami, dwoje młodych pozostawił z przodu. Spociałem się – wolałbym nie tracić go z oczu – i w tej samej chwili złapał mnie zębami za kark, o włos od tętnicy.

Młoda wilczyca rzuciła się naprzód i ugryzła mnie w kolano w chwili, gdy samiec puścił mój kark. A gdy wszyscy troje wrócili do dwóch wilków na skraju polany, zrobiłem coś, co nie mieści mi się w głowie po dziś dzień.

Poszedłem za nim.

Lazłem na czworakach, potykając się o własne nogi. Wielki samiec dwukrotnie obejrzał się i musiał mnie zauważyć. Uznałem, że gdyby miał coś przeciwko temu, bez trudu dałby mi nauczkę, ale on tylko podązał naprzód. W życiu nie znajdowałem się tak blisko dzikiej watahy; czułem zapach ich ubłoconych łap i wilgotnej sierści.

Jednym z dwóch wilków, które zostały na uboczu, była wadera, mniejsza od pozostałych, z czarnymi pasmami na ogonie, grzbiecie i czubku głowy, jakby namalowanymi farbą. Patrząc na mnie, obnażyła zęby i podwinęła język.

Gdy dzieliło nas około dwudziestu metrów, zaczęła warczeć.

Młode natychmiast podbiegły do niej i obrzuciły mnie złowieszczym spojrzeniem. Wielki samiec stanął między nami, ale kłapnęła na niego i dołączył do szeregu.

Splaszczyla uszy i zaszczekała, ostrzegawczo i głucho. Potem odwróciła się i poprowadziła resztę w głąb lasu.

Samiec zawahał się, podchwytyjąc mój wzrok.

Wiele powiedziano o spojrzeniu szarego wilka. Jest wyważone, stoickie i dziwnie ludzkie. Wilk rodzi się z niebieskimi oczami, ale po sześciu lub ośmiu tygodniach zmieniają kolor na złocisty. Jeśli kiedykolwiek miałeś szczęście patrzeć wilkowi w oczy, wiesz, że przesywają na wskroś. Rejestrują każde włókno w twoim ciele. I znają cię lepiej niż ty samego siebie.

Wilki i ja zmierzyliśmy się wzrokiem. Następnie schylił łeb i odwróciwszy się, pomknął w las.

Nie widziałem ich przez sześć tygodni. Od czasu do czasu słyszałem wycie, lecz nie było to wołanie w celu zastąpienia brakującego członka watahy, tylko ostrzeżenie, aby pozostałe stada i zwierzęta trzymały się z daleka. Cofnięto moje zaproszenie. Odgrywałem w myślach tamtą scenę, zastanawiałem się, czy ostatnie spojrzenie samca miało dać mi do zrozumienia, że

dostałem szansę, ale zawiodłem. Ale to, że nie rozszarpał mi gardła, przeczyło takiej hipotezie. I nawet jeśli nie budziłem sympatii wadery, większość stada nie podzielała jej zdania.

Zjawili się pierwszego dnia zwiastującego nadejście wiosny – przyszło ocieplenie i mogłem napić się wody spod lodu bez użycia drąga lub kamienia, a także rozpiąć kombinezon i ochłodzić się wiatrem. Jak poprzednim razem, nadeszły bezszelestnie, niczym kłęb szarej mgły. Przykucnąłem natychmiast, by znajdować się niżej od nich. Nawet wadera przysunęła się bliżej.

Były ożywione i rozochoczone, bardziej aktywne niż ostatnio. Czulem obezwładniającą ulgę, że wróciły, że nie jestem sam w tej głuszy. Basior znowu natarł na mnie, przygniatając całym ciężarem. W akcie uległości oferowałem mu swoje życie, tak uszczęśliwiony jego widokiem, że nie bałem się tak, jak powinienem.

Może straciłem czujność, może sprawiły to roztopy i dałem się ponieść euforii, że przetrwałem zimę – istnieje mnóstwo powodów, dla których nie przewidziałem tego, co nastąpiło. Naraz duży wilk zniknął i jego miejsce zajęła wadera. Przednimi łapami wcisnęła moje barki w ziemię, wsparta całym ciężarem na dolnej połowie ciała. Zawisła centymetr od mojej twarzy, warczała i kłapała. Gdy samiec przysunął się bliżej, skoczyła na niego z zębami i uciekł jak niepyszny.

Gorący oddech owiewał mi twarz, a ślina kapała na czoło, lecz ilekroć czulem, że to koniec, ona się wycofywała. Całe pięć minut leżałem jak kłoda, a potem mnie puściła. Zeskoczyła, lecz zamiast zniknąć w lesie, położyła się w słońcu na kamieniu. Duży samiec rozsiadł się obok.

Zaskoczyło mnie, że wołały zostać ze mną, zamiast ulotnić się jak zwykle, po czym oniemiałem, gdyż pozostałe trzy wilki wyszły zza drzew, wkroczyły na polanę i wyciągnęły się obok mnie. Młodsza samica ziewnęła i skrzyżowała przednie łapy.

Nie dotykaliśmy się, ale czulem żar bijący od nich i po raz pierwszy od miesięcy było mi tak ciepło. Nie ruszałem się przez ponad godzinę. Leżąc pomiędzy nimi w plamie światła, przysłuchiwałem się ich oddechom.

W przeciwieństwie do wilków nie mogłem spać. Po części czulem się zbyt podniecony, po części zerkałem na waderę.

Zrozumiałem, że nie chciała mnie zabić.

Dawała mi nauczki.

W ciągu tamtych pięciu minut mogłem umrzeć. W zamian otrzymałem kredyt na życie.

CARA

Wychodzę ze szpitala. Gorączka mi spadła i wygląda na to, że przeżyję, więc mam zwolnić łóżko dla kogoś bardziej potrzebującego. Pech, że nie mogę jeszcze wrócić do szkoły, bo nie dam rady utrzymać ołówka ani rozpiąć spodni w łazience. Ale fajnie, że zamieszkam z mamą i będę miała mnóstwo czasu na obadanie tematu urazów głowy. Przypadków, gdy na przekór rokowaniom pacjenci odzyskali zdrowie.

Mama obiecuje, że przed wyjściem zajrzemy do taty.

Od godziny jestem gotowa. Siedzę na łóżku, wykąpana i ubrana. Odłączyli mi kroplówkę. Pielęgniarki mówią, że papiery są gotowe do podpisania; jeszcze tylko ortopeda się powymądrza i będziemy wolne.

Mama rozmawia przez telefon z Joem, mówi, że wracamy do domu. Ma roztańczony wzrok, jak jeszcze nigdy, odkąd tu jesteśmy. Ona też chce wrócić do dawnego życia. Ale ona ma trochę łatwiej.

Kiedy drzwi się otwierają, wstaje.

– Muszę kończyć, skarbie – mówi do słuchawki i się rozłącza. Obie odwracamy głowy, ale zamiast lekarza wchodzi Trina z opieki społecznej w towarzystwie kobiety, którą widzę po raz pierwszy. Ma na sobie ołówkową spódnicę i jedwabną bluzkę w odcieniu soczystej zieleni.

– Caro – mówi Trina – to Abby Lorenzo, prawniczka reprezentująca szpital.

Ogarnia mnie panika: przed oczami stają mi dwaj policjanci i badanie krwi, które wykazało, że piłam. Czuję suchość w gardle, usta mam jak wiór.

Wiedzą, co się stało?

– Chciałam zapytać o twojego ojca – mówi prawniczka, a ja zastygam jak słup soli, nogi wrastają mi w ziemię.

– Jesteś zdenerwowana – stwierdza Trina, marszcząc brwi. – Edward twierdzi, że rozmawialiście.

– Nie rozmawiałam z nim od wczoraj – odpowiadam.

Czuję na ramieniu uścisk matki.

– Syn ustalił z Carą, że on ma podejmować decyzje co do dalszego postępowania wobec ojca.

– Słucham? – Mrugam zdziwiona. – Żartujesz sobie?

Prawniczka patrzy na Trinę.

– A zatem nie wyraziłaś zgody na odłączenie ojca od respiratora w dniu dzisiejszym?

Nawet nie myślę. Na bosaka zeskakuję z łóżka i zdrowym barkiem przepycham się między nimi. I biegnę. Na schody, piętro niżej, przyciskając do piersi złamaną rękę, obolałą od wstrząsów.

Bo ratując ojca, tym razem zrobię to jak należy.

LUKE

Moi przyjaciele Indianie nazywają to tańcem śmierci: moment, gdy dwa drapieżniki mierzą się wzrokiem. Dla wilka w świecie naturalnym mózg nie ma wyboru. Nie mówi, na przykład: „Nadchodzi niedźwiedź, już po mnie”, tylko myśli „Co wiem o tym niedźwiedziu?”. „Co wiem o moim otoczeniu?”. „Których członków rodziny mam bronić?”. Nagle niedźwiedź przestaje być zagrożeniem. Wie, że jesteś drapieżnikiem, a ty wiesz o nim to samo. Szanujecie swoje terytorium; odwracacie się powoli, oko w oko. Przestrzeń między wami to różnica między życiem a śmiercią. Czy widzi w tobie ofiarę? A może równego przeciwnika, który nie pozostanie mu dłużny? Gdy zasiejesz w nim tę wątpliwość, istnieje duża szansa, że cię nie ruszy.

EDWARD

Metr sześćdziesiąt burzy z piorunami: rozplamionej, zapłakanej i z rozwianym włosiem. Pędzi prosto na mnie.

– Stać! – krzyczy Cara. – On kłamie!

Lekarze wyszli w oczekiwaniu na zielone światło od prawniczki. Corinne krąży niespokojnie, czas mija nieubłaganie. Robiłem to, o co poprosiła mnie Cara. Chciała, żeby to się skończyło, ale była zbyt blisko z ojcem; to zrozumiałe. Jak małe dziecko, które nadstawia rękę do zastrzyku, ale zaciska powieki, nie chcąc patrzeć, dopóki nie będzie po wszystkim.

Ale chyba zmieniła zdanie. Chce wydrapać mi oczy, ale pielęgniarka zatrzymuje ją w pół kroku.

– Znaczy, że nie wyraziłaś zgody na pobranie narządów? – pyta Corinne.

– Mało ci zabić ojca? – wrzeszczy Cara. – Musisz jeszcze pokroić go na kawałki?!

Może powinienem był ją spytać, czy chce przy tym być. Po wczorajszych słowach uznałem jednak, że emocjonalnie nie byłaby w stanie. Jej wybuch tylko to potwierdza.

– Tata nie chciałby tego, sam mi powiedział.

Do sali wchodzi prawniczka z Triną i matką.

– Tak się składa, że mnie powiedział co innego – odpowiadam.

– Kiedy? – burczy. – Nie mieszkasz z nami od sześciu lat!

– Dosyć tego dobrego – wtrąca prawniczka. – Dzisiaj do niczego nie dojdzie, tyle wam powiem. Poproszę o wyznaczenie kuratora do zbadania tej sprawy.

Cara oddycha z ulgą. Opiera się o matkę, która patrzy na mnie z osłupieniem.

Robię następną rzecz, bo tak nakazuje list, który mnie pali w kieszeni.

A może wiem lepiej niż Cara, jak to jest żyć ze swoim wyborem.

Albo choć raz chcę być synem, jakiego życzyłyby sobie mój ojciec.

Pochyłam się z rękami na kolanach, jakby rozczarowany. Potem rzucam się naprzód, odpycham pielęgniarkę siedzącą obok respiratora w oczekiwaniu na znak, który nie nastąpi.

– Przepraszam – mówię głośno – do ojca, siebie, siostry – i wyszarpuję wtyczkę z gniazdka.

Wołając jednego wilka, zapraszasz watahę.

Prysłowie bułgarskie

CZĘŚĆ DRUGA

CARA

Słyszę alarm, ale w pierwszej chwili nie wiem, co się dzieje.

Potem spoglądam nad ramieniem matki i widzę Edwarda na kolanach, z wtyczką od respiratora. Ściska ją w rękę, jakby nie wierzył własnym oczom.

Zaczynam krzyczeć i wybucha piekło.

Pielęgniarka obok Edwarda odzyskuje równowagę, druga wzywa ochronę. Wbiega rosły salowy i odepchnąwszy matkę, dopada Edwarda. Wali jego ręką o podłogę, aż ten puszcza kabel; pielęgniarka natychmiast podłącza z powrotem aparat i go resetuje.

Wszystko trwa może dwadzieścia sekund. To najdłuższe dwadzieścia sekund mojego życia.

Wstrzymuję oddech, dopóki pierś ojca nie zaczyna znów wznosić się i opadać; wtedy wybucham płaczem.

– Edwardzie – mówi ze zgrozą matka. – Co to miało znaczyć?

Ale zjawia się ochrona i dwaj mężczyźni w obcisłych mundurach łapią Edwarda pod pachy i podnoszą go z ziemi.

Wpada zdyszany doktor Saint-Clare. Pochyla się nad ojcem, a pielęgniarka zdaje mu relację z tego, co zaszło.

Czuję, że matka sztywnieje za moimi plecami.

– Dokąd go zabieracie? – pyta, idąc za strażnikami, którzy wywlekają Edwarda z sali. Prawniczka Abby Lorenzo podąża ich śladem.

– Stójcie! Błagam. Siedzi tutaj bez przerwy, prawie nie sypia – perswaduje matka. – Musiał stracić głowę.

– Nie wierzę, że go bronisz! – wtrącam.

Widzę jej wzburzony wzrok, jest rozdarta. Cofam się o krok, zwiększając dzielącą nas odległość. Sama zaczęła.

Rzuca mi przepraszające spojrzenie.

– To mój syn – mamrocze i wychodzi z sali.

Trina staje obok mnie.

– Caro, może usiądziemy gdzieś, porozmawiajmy spokojnie, mama to załatwi.

Udaję, że nie słyszę.

– Czy z tatą wszystko w porządku? – pytam doktora Saint-Claire'a.

Neurochirurg patrzy na mnie. Wiem, co sobie myśli. *Nie było i nie jest.*

– Zależy, jak długo był bez tlenu – odpowiada. – Jeśli ponad minutę, może być kiepsko.

– Caro – powtarza Trina. – Proszę.

Bierze mnie za zdrową rękę i pozwalam się odprowadzić, ale w głowie mam zamęt. Kim trzeba być, żeby odłączyć respirator własnemu ojcu, i to własnoręcznie? Ile miał w sobie nienawiści, żeby knuć za moimi plecami i wmawiać wszystkim, że się zgodziłam, a potem bez skrępułów wziąć sprawę w swoje ręce?

Trina prowadzi mnie korytarzem do poczekalni. Na OIOM-ie jest ich kilka, dla rodzin, przed którymi długie oczekiwanie. Ta jest pusta, z niewygodnymi, pomarańczowymi kanapami i czasopismami z dwa tysiące trzeciego roku na stolikach. Czuję się niemożliwie mała, pominięta.

– Wiem, że jesteś zdenerwowana – mówi Trina.

– Zdenerwowana? Mój brat okłamał wszystkich, żeby zabić ojca. Fakt, jestem trochę zdenerwowana. – Przecieram ręką oczy. – Tata przestał oddychać. Jaki to ma wpływ na jego rekonwalescencję?

Przez chwilę zwleka z odpowiedzią.

– Doktor Saint-Clare powiadomi nas, kiedy tylko będzie coś wiedział. Na pociechę ci powiem, że do śmierci mózgu dochodzi po dziesięciu minutach bez tlenu.

– Co jeśli mój brat spróbuje znowu?

– Po pierwsze, nie damy mu ku temu okazji – oświadcza Trina. – Szpital wniesie skargę o napaść; Abby wiezie go na policję. A po drugie, nawet jeśli Edward jest uprawniony do podejmowania decyzji względem waszego ojca, nie zgodzilibyśmy się na odłączenie od respiratora, gdyby nie pewność co do twojej zgody. Powiedziano mi, że Edward ją uzyskał, ale ktoś powinien zapytać ciebie bezpośrednio. Bardzo mi przykro, Caro. Mogę cię zapewnić, że to się więcej nie powtórzy.

Nie wierzę w ani jedno słowo. Skoro raz ich okpił, znajdzie sposób, żeby zrobić to ponownie.

– Chcę zobaczyć ojca – nalegam.

– Na pewno – odpowiada Trina. – Ale dajmy lekarzom chwilę na badania.

Ojciec nauczył mnie, że wilki odczytują emocje i choroby jak ludzie nagłówki. Wiedzą, że kobieta jest w ciąży, zanim ona się dowie, i traktują ją z większym wyczuciem; wypatrzą turystę z depresją i próbują go zająć. Środowisko medyczne już wie, że ten gatunek potrafi zwężyć niewidoczne dolegliwości, na przykład choroby serca lub nowotwory. Innymi słowy, wilka nie oszukasz.

Ale z pewnością możesz oszukać człowieka.

Wbijam wzrok w kolana i wytrzeszczam oczy, aż zaczynają łzawić, a następnie patrzę na Trinę.

– Chcę do mamy – mówię cichutkim głosem.

– Pewnie jest na dole, rozmawia z prawnikami. – Trina wstaje. – Pójdę po nią. Zaczekaj, dobrze?

Ależ czekam, odliczając do trzystu, póki nie nabieram pewności, że sobie poszła. Potem wychylam głowę za drzwi i spokojnie kieruję się w stronę schodów. Pamiętam z poprzedniej wizyty, że wejście na izbę przyjęć leży w zupełnie innej części szpitala, i właśnie tam zmierzam. Do wyjścia, gdzie nie wpadnę na matkę, na brata ani na nikogo, kto mógłby mnie powstrzymać.

Nie myślę o tym, co zrobię, gdy znajdę się na zewnątrz bez telefonu, kurtki i środka transportu.

Nie myślę o tym, że w zasadzie nie zostałam wypisana.

Kołacze mi w głowie, że cel uświęca środki i ktoś musi powstrzymać mojego brata.

Serio, powinnam zostać zawodową kłamczuchą. Chyba mam dar: nabrałam policjantów, matkę, opiekunkę społeczną i jedną panią w Starbucksie opodal szpitala. Przekonałam ją, że pokłóciłam się z chłopakiem i wysadził mnie z samochodu bez płaszcza, torebki i telefonu, więc czy mogłaby mi pożyczyć swój, żebym zadzwoniła po mamę? Ręka obandażowana jak złamane skrzydło dopełniła reszty. Miła pani nie tylko pożyczyła komórkę, ale postawiła mi gorącą czekoladę i babeczkę z makiem.

Nie dzwonię do mamy. Wybieram numer Mariah. Chyba jest mi coś winna. Gdyby nie latała za jakimś frajerem, nie wylądowałabym na imprezie w Bethlehem. A gdybym nie wylądowała na imprezie w Bethlehem, nie wypiłabym ani kropli. I ojciec nie musiałby po mnie przyjeżdżać. Resztę już wiecie.

Mariah jest na francuskim.

– Czekaj – szepcze do słuchawki i w tle głosu madame Gallenaut odmieniającej czasownik „essayer” słyszę pytanie: – Czy mogę iść do łazienki?

J'essaie.

Tu essaies.

Próbuję. Próbujesz.

– *En français* – komenderuje madame.

– *Puis-je aller aux toilettes?*

W głosie Mariah słycać niepokój.

– Cara? – mówi. – Wszystko gra?

– Nie – odpowiadam. – Burdel, że szkoda gadać. Odbierz mnie ze Starbucksa na rogu przed zakrętem do szpitala.

– Co ty tam robisz?

– Długo by opowiadać. Przyjedź teraz.

– Jestem na francuskim. Mam okienko na piątej.

Wytaczam najcięższą artylerię.

– Zrobiłabym to dla ciebie. – Powtarzam te same słowa, którymi Mariah skłoniła mnie do wyprawy do Bethlehem.

Chwila ciszy.

– Będę za dziesięć minut – mówi wreszcie.

– Mariah – rzuca na pożegnanie. – Zatankuj samochód.

Biuro prokuratora powiatowego nie przypomina kancelarii z telewizji. Jest beznadziejnie umeblowane, a sekretarka tłucze w klawiaturę komputera, który mało się nie rozleci. Na ścianie wisi oprawiony plakat z Machu Picchu oraz dwa zdjęcia – jedno przedstawia rozanielonego Obamę, na drugim Danny Boyle ściska dłoń gubernatora Lyncha. W kącie dogorywa roślina o gumowatych liściach.

Mariah czeka na parkingu w samochodzie. Nie była zachwycona perspektywą przejażdżki do North Haverhill, ale mnie zawiozła, a nawet pomogła wymyślić bajeczkę, która otworzy mi drzwi do biura prokuratora.

– Danny Boyle – powiedziała. – Pasuje do elfa z irlandzkich płatków śniadaniowych.

Dało mi to do myślenia – ktoś o takim nazwisku musiał mieć krewnych w Killarney, a zaciekły obrońca praw dzieci nienarodzonych musiał być gorliwym katolikiem. A każdy katolik w mojej szkole ma chmurę kuzynów.

Podchodzę do biurka sekretarki i czekam, aż skończy rozmawiać przez telefon.

– Dzięki, Margot – mówi. – Tak, chodzi o materiał z wiadomości na temat jego ostatniej wygranej sprawy. Format DVD byłby super.

Gdy odkłada słuchawkę, siłą się na swój najbardziej żalony uśmiech. Obandażowane ramię zobowiązuje.

– W czym mogę pomóc? – pyta sekretarka.

– Zastałam wujka Danny’ego? – pytam. – To ważna sprawa.

– Ojej, a wiedział, że przyjdiesz? Jest bardzo zajęty...

Zabarwiam głos nutą hysterii.

– Wujek nie mówił pani, że miałam wypadek samochodowy? Do tego właśnie pokłóciłam się z mamą i zapowiedziała mi, że do czterdziestki nie siądę za kierownicą, będę płacić pełną składkę ubezpieczenia, mam poszukać kogoś, kto opłaci mi studia i... Boże, czy nie mogłabym porozmawiać z wujkiem Danny’em? – Zaczynam płakać.

Rany, powinnam dostać Oscara.

Sekretarka mruga pod naporem słów, po czym otrząsa się i wstaje, by poklepać mnie po zdrowym barku.

– Idź do niego, skarbie – mówi. – Powiadomię go, że przyszła siostrzenica.

Kiedy pukam do drzwi ze złotym napisem na szkle DANNY BOYLE, PROKURATOR

POWIATOWY, każe mi wejść. Jego włosy lśnią jak skrzydło kruka i chyba ma za sobą parę nieprzespanych nocy. Podnosi się zza biurka, mierząc mnie wzrokiem.

– W telewizji wygląda pan na wyższego – mówię śmiało.

– A ty nie wyglądasz na moją siostrzenicę – odparowuje. – Słuchaj, mała, nie mam czasu pomagać ci w projekcie na WOS. Od Pauli dostaniesz biuletyn o samorządzie powiatowym...

– Mój brat właśnie chciał zabić ojca i potrzebuję pańskiej pomocy – wpadam mu w słowo.

Danny Boyle marszczy brwi.

– Że co proszę?

– Ojciec i ja mieliśmy wypadek samochodowy – spieszę z wyjaśnieniem. – Nie odzyskał przytomności. Brat wyjechał sześć lat temu po kłótni z tatą. Mieszkał w Tajlandii, ale wrócił do domu po naszym wypadku. Minęło dopiero siedem dni, terapia wymaga czasu, ale brat widzi to inaczej. Chce odłączyć respirator, przekazać jego narządy do transplantacji i wrócić do swojego życia. Przekabacił lekarzy, a gdy narobiłam krzyku, Edward popchnął pielęgniarkę i sam wyciągnął wtyczkę.

– I co?

– Pielęgniarka podłączyła respirator, ale lekarze jeszcze nie wiedzą, czy ojciec nie ucierpiał bardziej z braku tlenu. – Biorę głęboki oddech. – Widziałam pana w dzienniku. Jest pan dobrym prawnikiem. Czy może pan oskarżyć Edwarda?

Przysiada na krawędzi biurka.

– Słuchaj, mała...

– Cara – poprawiam. – Cara Warren.

– Cara. Bardzo mi przykro z powodu twojego taty i zachowania brata. Ale to sprawa rodzinna. Ja zajmuję się karnymi.

– To usiłowanie zabójstwa! – oponuję. – Może i jestem dopiero licealistką, ale wiem, że gdy ktoś odpycha pielęgniarkę i odłącza od respiratora nieprzytomnego pacjenta, z pewnością chce go zabić! Czy to nie oczywiste?

– Samo usiłowanie pozbawienia życia to nie wszystko – zaznacza Boyle. – Musisz jeszcze dowieść złej woli sprawcy.

– Mój brat nienawidzi ojca. Dlatego wyjechał przed sześciu laty.

– Możliwe – przyznaje Boyle – ale wyjęcie wtyczki to co innego niż atak z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Pomodlę się za twojego ojca, ale nie mogę ci pomóc.

Prostuję plecy.

– Jeśli pan tego nie zrobi, brat spróbuje znowu. Pójdzie do sądu i będzie przekonywał, że moje zdanie się nie liczy, ponieważ jestem młodsza od niego. I osiągnie swój cel. Ale stojąc pod zarzutem przestępstwa, nie będzie mógł zostać pełnomocnikiem taty. – Kiedy Boyle patrzy na mnie zdziwiony, wzruszam ramionami. – Google – dorzucam tonem wyjaśnienia. Po drodze sprawdziłam na telefonie Mariah.

Boyle wzdycha.

– No dobrze. Zobaczę, co da się zrobić. – Sięga po notatnik i pióro. – Podaj mi swoje nazwisko i numer.

Wpisuję dane do notesu.

– Może tata jest w kiepskim stanie – mówię – ale to nie daje Edwardowi prawa do zabawy w Boga. Życie – cytuję Boyle'a – jest życiem.

Wracając do sekretariatu, czuję na plecach wzrok Boyle'a jak strzałę między łopatkami.

LUKE

Wielokrotnie pytano mnie, dlaczego dzikie wilki przyjęłyby do siebie człowieka. Po cóż zawracać sobie głowę istotą tak powolną, która potyka się w ciemności, nie potrafi płynnie mówić ich językiem i mimowolnie kwestionuje przywództwo alfy? Przecież wiedziały, że nie jestem wilkiem, i musiały zdawać sobie sprawę, że nie pomogę im nic upolować ani nie obronię ich zębami i pazurami. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to, że uświadomiły sobie konieczność poznania człowieka, tak jak ja odczuwałem konieczność poznania ich. Ludzki świat coraz bardziej wdziara się do świata wilków. Zamiast nie przyjmować tego do wiadomości, postanowiły jak najwięcej dowiedzieć się o człowieku. Zdarza się, że z tego samego powodu stado wciela w swoje szeregi zbłąkanego psa; przyjęcie mnie przybliżyło je po prostu o krok.

Gdy zaczęły sprawiać wrażenie odprężonych w mojej obecności, moim celem stało się ruszyć za nimi. Nie był to najlepszy pomysł – mogłem się zgubić, a gdyby zaczęły polować, zwyczajnie zostać w tyle. Zająć tak daleko i zrezygnować – to nie wchodziło w grę, więc gdy wstały i zaczęły odchodzić, poszedłem za nimi.

Nawet mogłem nadążyć. Ale zapadła noc, było ciemno choć oko wykol, więc gdy tylko weszliśmy w las, straciłem je z oczu. Wracając na polanę, uderzyłem głową w zwisającą gałąź i straciłem przytomność.

Kiedy się ocknałem, słońce stało już wysoko na niebie, a młoda wilczyca lizła rozcięcie na moim czole. (Ze wszystkich ran odniesionych w tamtym okresie w żadną nie wdała się infekcja. Gdybym mógł zabutelkować magiczne właściwości wilczej śliny, byłbym bogaczem). Usiadłem ostrożnie, z obolałą głową, i patrzyłem, jak wilczyca podnosi udziec jelenia, jeszcze z kopytem. Wytarzała go trochę w ziemi, grzebiąc łapami, i rzuciła mi na nogę.

Dopiero później się dowiedziałem, że wadera zna wartość wszystkich pokarmów. Zjedz coś, co da ci siłę i sprawność na użytek watahy, a zdasz egzamin; zjedz odpowiednik tortu czekoladowego w naszym świecie, a będziesz musiał sikać do strumieni, aby zamaskować swój zapach, bo inaczej przepadniesz. Są pokarmy odżywcze, zjadane codziennie dla podtrzymania zdrowia i energii. Pokarmy towarzyskie pomagają wzmacniać obowiązującą hierarchię – kiedy sześć wilków ucztuje na jednej zwierzynie, alfa dostaje narządy wewnętrzne, beta umięśniony zadek i uda, a omega zawartość jelit oraz szyję, kręgosłup i żebra. Na testera przypada około siedemdziesięciu pięciu procent mięsa i dwadzieścia pięć procent pokarmów roślinnych, na wilki podporządkowane pół na pół części mięsa i zawartości żołądka, a na zwiadowcę siedemdziesiąt pięć procent zawartości żołądka i reszta mięsa. Gdy połaszczysz się na cudzy kasek, choćby przypadkiem, lądujesz na plecach. Pokarmy emocjonalne, takie jak mleko bądź zawartość żołądka, nasuwają wilkowi wspomnienie czasów harmonii, gdy przyjmował wszystko, co dostawał od matki: podaj je starszym wilkom, a złagodnieją jak baranki. Na początku nie wiedziałem, czy młoda wilczyca mnie podpuszcza, sprawdzając, czy spróbuję odebrać jej porcję. Ale podniosła udziec i upuściła go jeszcze raz, toteż podniosłem jelenią nogę do ust i zacząłem jeść.

Jak smakowała?

Jak najwyborniejszy filet.

Minęły miesiące, odkąd jadłem coś bardziej konkretnego niż wiewiórka lub królik. Dostałem udziec od dzikiego wilka, który może nie chciał, żebym z nimi polował, ale respektował moje prawo do obiadu.

I gdy szarpałem mięso zębami, obserwował mnie spokojnie.

Od tamtej pory, po powrocie z każdego polowania wilki przynosiły mi prowiant. Bywało, że oblepiony odchodami albo obsikany. Po polowaniu dotrzymywały mi towarzystwa lub

pozwalają za sobą iść, po czym nagle znikają jak kamfora. Czasami wyłem, a gdy znajdowały się w zasięgu słuchu, odpowiadały. W drodze powrotnej wyły do mnie i ten dźwięk niezawodnie rzucał mnie na kolana. Był jak telefon od ukochanej osoby dryfującej na krze: wróciłam, jestem bezpieczna i znowu twoja.

I dzięki niemu zrozumiałem, że mam nową rodzinę.

GEORGIE

Wiedziałam, że mój syn jest gejem, na długo przed nim. Miał w sobie delikatność, zdolność widzenia świata we fragmentach zamiast w całości, co wyróżniało go spośród innych chłopców z przedszkola. Kiedy sięgali po kij, miał być karabinem lub batem, dla Edwarda zaś był łyżką do pieczenia babek z błota, czarodziejską różdżką. Podczas dziecięcych przebiezań nigdy nie był rycerzem, tylko księżniczką. Chcąc dowiedzieć się, co mnie pogrubia, nie zwracałam się po radę do Cary, tylko do Edwarda.

Można by pomyśleć, że ktoś taki jak Luke – tak męski, że zębami rwał mięso z wilkami u boku – mógł mieć problem z synem gejem, ale ja nie brałam tego pod uwagę. Twardo wyznawałam pogląd, że nic nie jest w stanie zachwiać rodziną. Tak jak wilki zachowywały indywidualność w obrębie watahy bez ciągłego zabiegania o to, aby się wykazać, członek rodziny zasługiwał według Luke’a na szacunek i miał swoją z góry określoną pozycję. Kiedyś wspomniał mi nawet, że w porze godowej dochodzi do zbliżeń pomiędzy osobnikami tej samej płci, co wynika bardziej z chęci dominacji aniżeli seksualności. Dlatego tak bardzo wstrząsnęło mną, kiedy Edward ujawnił się przed Lukiem, który powiedział...

No właśnie. Prawdę mówiąc, nie mam bladego pojęcia, co powiedział Luke.

Wiem tylko, że Edward pojechał do Redmond porozmawiać z ojcem, a po powrocie do domu nie odezwał się do nikogo. Na moje pytanie, co się stało, Luke poczerwieniał.

– Błąd – odpowiedział.

Dwa dni później Edwarda już nie było.

Nieważne, ile razy maglowałam go w ciągu kolejnych sześciu lat: nigdy nie zdradził mi, co obraźliwego usłyszał od ojca. I jak to czasem bywa z wyobraźnią, niewiedza okazała się gorsza od wiedzy. Często, gdy leżałam w łóżku, snując najrozmaitsze teorie co do ich rozmowy i uwłaczającej reakcji Luke’a. Edward przyniósł mu serce na dłoni. Ale co dostał w zamian? Czy Luke powiedział mu, że może się zmienić, jeśli tylko chce? Czy powiedział, że zawsze przeczuwał, iż z jego synem jest coś nie tak? Ponieważ nie wiedziałam, co tak naprawdę się wydarzyło, a żadna ze stron nie chciała mnie wtajemniczyć, wyobrażałam sobie najgorsze.

Nie znacie smaku porażki, dopóki wasz osiemnastoletni syn nie porzuci rodziny. Zawsze tak o tym myślałam, bo Edward miał za dużo oleju w głowie, by wskoczyć w autobus do Bostonu, a nawet Kalifornii. Nie, on zabrał paszport z szuflady w gabinecie Luke’a i za pieniądze uzbierane latem za korepetycje (i odkładane na studia) kupił bilet tam, gdzie niełatwo byłoby go wytropić. Zawsze był w gorącej wodzie kąpany – już w przedszkolu, kiedy rzucił farbami w chłopca, który wyśmiewał się z jego obrazka, i później, gdy nakrzyczał na niesprawiedliwą nauczycielkę, nie bacząc na konsekwencje. Lecz takiego zachowania nie rozumiałam. Nigdy nie zapuścił się dalej niż Waszyngton: cóż mógł wiedzieć o egzotycznych krajach, szukaniu lokum i własnego miejsca na świecie? Powiadomiłam policję, ale jako osiemnastolatek w świetle prawa był już dorosły. Dzwoniłam do niego na komórkę, lecz numer został odłączony. Budziłam się w środku nocy i na dwie cudowne sekundy zapominałam, że go nie ma. A gdy prawda wkradała się pod kołdrę, Ignąc do mnie niczym zazdrosny kochanek, wybuchałam płaczem.

Którejś nocy pojechałam do Redmond, pozostawiwszy w domu śpiącą Carę, co też nie świadczy o mnie najlepiej. W przyczepie zastałam tylko asystentkę Luke’a, studentkę o imieniu Wren, z wilkiem wytatuowanym na prawej łopatkę. Czasem zastępowała Waltera, kiedy Luke nie mieszkał z watahą, a ostatnio było to częste. Gdy zapukałam, leżała owinięta kocem i przysypiała. Przeraziła się na mój widok – nic dziwnego, kipiałam złością – i wskazała w stronę zagród. Mimo późnej pory Luke urzędował ze swoją wilczą rodziną, a gdy stanęłam jak duch za płotem, właśnie mocował się z wielkim, szarym okazem. Z zaskoczenia zrobił coś, co nigdy mu

się nie zdarzało: wypadł z roli i na chwilę stał się z powrotem człowiekiem.

– Georgie? – powiedział czujnie. – Coś nie gra?

Prawie się roześmiałam: a co gra? Radził sobie z nieobecnością syna, szukając pocieszenia w rodzinie – nie u mnie i Cary, tylko u swojego braterstwa wilków. Tak dawno nie pokazał się w domu, że nie widział, jak stawiam nakrycie dla Edwarda i wybucham płaczem; nie siadał na łóżku syna i nie brał do rąk poduszki, która wciąż pachniała Edwardem.

– Muszę wiedzieć, co mu powiedziałaś, Luke. Muszę wiedzieć, dlaczego wyjechał.

Wyszedł przez obie bramki i też stanął przy płocie.

– Nic mu nie powiedziałam.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Masz o nim złe zdanie, bo jest gejem? Bo nie lubi dzikich zwierząt i przesiadywania pod gołym niebem? Bo jest inny niż ty?

Już miał wybuchnąć, ale szybko się opanował.

– Za kogo ty mnie uważasz?

– Myślę, że Luke'a Warrena interesuje tylko Luke Warren. Nie wiem, może się boisz, że Edward popsuje ci wizerunek. – Podniosłam głos do krzyku.

– Jak śmiesz. Kocham mojego syna. Kocham go.

– W takim razie dlaczego uciekł?

Luke się zawahał; nie pamiętam nawet, co powiedział po tej krótkiej pauzie, ale nie liczyło się nic prócz intermedium, które przeciągnęło się w nieskończoność. Bo ta jedna chwila zawahania stała się płótnem, na którym wymalowałam wszystkie swoje największe lęki.

Trzy tygodnie po wyjeździe Edward przysłał mi kartkę z Tajlandii. Załączył swój nowy numer. Napisał, że dostał pracę jako nauczyciel angielskiego, znalazł mieszkanie, i że kocha mnie i Carę. O ojcu ani słowa.

Powiedziałam Luke'owi, że chcę zobaczyć syna. Na kartce wprawdzie nie było adresu nadawcy, a Tajlandia to duży kraj, lecz znalezienie białego, osiemnastoletniego nauczyciela angielskiego nie powinno nastręczać trudności. Zadzwoiłam do biura turystycznego zarezerwować lot, z zamiarem wykorzystania pieniędzy, które trzymaliśmy na lokacie.

Po czym jeden z ukochanych wilków zachorował i musiał mieć operację. I lokatę szlag trafił.

Tydzień później wniosłam pozew o rozwód.

Jako powód podałam różnice nie do pogodzenia. Mój syn odszedł z powodu męża, któremu nigdy nie wybaczę.

Ale jedno wciąż trzymam w tajemnicy: to ja kazałam wtedy Edwardowi jechać do Redmond, ja nakłoniłam go do ujawnienia się przed ojcem jak przede mną. Gdybym tego nie zrobiła – gdyby ich rozmowa odbyła się w mojej obecności – czy Luke też zareagowałby tak gwałtownie? Czy Edward zostałby w domu?

Jeśli tak na to spojrzeć, straciłam go na sześć lat z własnej winy.

I nie dopuszczę do tego drugi raz.

Otwarcie mówię, że daleko mi do ideału. Używam nici dentystycznej tylko przed wizytą u dentysty. Zdarza się, że jem z podłogi. Raz nawet dałam klapsa jednemu z bliźniąt, gdy wybiegło na środek jezdni.

Wiem, jak to wygląda, kiedy zostawiam córkę, sponiewieraną i roztrzęsioną, aby pójść za synem, który próbował odłączyć ojcu respirator. Wiem, że ludzie gadają, gdy idę za strażnikami i prawniczką, wołając do Edwarda, aby nie myślał, że jest sam.

Ładna ze mnie matka.

Ale gdybym nie pobiegła za Edwardem – gdybym nie próbowała go tłumaczyć – czy nie

wypadłabym jeszcze gorzej?

Nie radzę sobie ze stresem. Nigdy sobie nie radziłam – dlatego nie występowałam w programach Luke’a, a gdy zamieszkałam w Kanadzie z wilkami, zaczęłam brać prozac. Przez ostatni tydzień trzymałam się przez wzgląd na Carę, chociaż szpital przypomina mi upiorne miasteczko, a na widok szwów na ogolonej głowie Luke’a mam ochotę uciec z podkulonym ogonem. Zachowałam spokój, kiedy policja zadawała pytania, na które nie chciałam znać odpowiedzi. Ale teraz skaczę w oko cyklonu.

– Jestem pewna, że Edward może to wyjaśnić – mówię do prawniczki.

– Będzie miał okazję – odpowiada. – Na policji.

Jak na komendę drzwi się rozsuwają i wchodzi dwaj policjanci.

– Będziemy potrzebować zeznania pielęgniarki – oznajmia jeden, podczas gdy drugi zakuwa Edwarda. – Edwardzie Warren, jest pan aresztowany za napaść. Ma pan prawo zachować milczenie...

– Napaść? – Nie wierzę własnym uszom. – Nikomu nie zrobił krzywdy!

Prawniczka zerka na mnie.

– Pchnął pielęgniarkę. I obie wiemy, że to nie wszystko.

– Mamo – wtrąca Edward. – Nic nie szkodzi.

Czasem odnoszę wrażenie, że od zawsze żyję rozdarta w dwie strony: chciałam pracować, a przy tym marzyłam o rodzinie. Uwielbiałam nieskrępowaną naturę Luke’a, która niekoniecznie czyniła go najlepszym kandydatem na męża i ojca. Chcę być dobrą matką dla Cary, ale mam też dwójkę małych dzieci, one wymagają mojej niepodzielnej uwagi.

Kocham córkę. Ale syna również.

Stoję jak wrośnięta w podłogę, kiedy ochroniarze oraz prawniczka wychodzą, a policjanci prowadzą Edwarda w blask tak oślepiający, że odwracam głowę i tracę go z oczu.

Drzwi zasuwają się z cichym szmerem. Wygrzebuję z torebki telefon i dzwonię do męża.

– Joe – mówię, kiedy odbiera. – Potrzebuję twojej pomocy.

LUKE

Wadera potrafi wskazać ofiarę spośród setek sztuk, tylko na podstawie jej zapachu. Łoś z ranką na przedniej nodze ciągnie za sobą woń ropy. Alfa bierze to za oznakę słabości i podąża za nim jak na sznurku. Wącha kępy trawy, którymi się żywił, i wie po zapachu jego zębów, ile ma lat. Na długo przed spotkaniem wie o nim wszystko.

Wreszcie odrywa nos od ziemi i węszy w powietrzu. Kurz z sierści łosia pozostawia drobinki na wietrze, więc nawet z odległości wielu kilometrów wie, że to nadal to samo zwierzę. Puszczą się biegiem, z łowczymi dotrzymującymi jej kroku, a gdy dogania stado, zostaje na uboczu – jest zbyt cenna, żeby się narażać – i daje pozostałym znak do ataku. Na kręgosłupie wilka w okolicy ogona znajduje się gruczoł fiołkowy. Chcąc pokierować łowczym, wadera przekrzywi ogon na lewą stronę, wypuszcza zapach kierujący. Jeśli łowczy ma przyspieszyć, wadera zakręci młynka ogonem. Jeżeli zwolnić, ogon idzie w dół. Za pomocą tych znaków oraz zapachu porozumiewa się ze swoim zespołem i nim kieruje. Nawet jeśli inny łoś znajduje się bliżej, łowczy nie uderzą, dopóki nie dostaną sygnału, ich celem będzie zwierzę, które wskazała.

Wadera posyła dwóch na wprost barków łosia, po czym nasłuchuje bicia jego serca. Łoś może tupnąć, parsknąć lub zarzucić łbem na dowód swojej siły, lecz pozostaje to bez wpływu na adrenalinę. Gdy na znak alfy pojawia się trzeci wilk i serce łosia zaczyna mocniej bić, może nakazać im go sterroryzować, co trwa parę godzin, a czasami tygodni.

Nie chodzi o okrucieństwo: zdarza się, że wadera wie, na przykład, o liczniejszej i silniejszej watasze na wschodzie. Kiedy łoś się przestraszy, jego organizm nasiąknie adrenaliną – to emocjonalna cena śmierci. Gdy stado naje się jego mięsa, rywale na wschodzie wyczują tę adrenalinę w moczu i odchodach pozostawionych na granicy jej terytorium. I nagle jej wataha urośnie w siłę. Wilki ze wschodu nie odważą się kraść pożywienia i zabijać potomstwa tych, z których woni biją emocje, siła i dominacja.

Innymi słowy: to, co z jednej strony wydaje się okrutne i bezlitosne, z drugiej stanowić może jedyny sposób, aby ochronić własną rodzinę.

EDWARD

Powiedzmy, że nie byłem najpopularniejszym uczniem w gimnazjum. Ot, milczek i kujon, jechałem na samych piątkach i ode mnie ściągało się zadanie domowe. Na przerwach częściej przesiadywałem z książką, zamiast wyżywać się na boisku do koszykówki. Minie sporo czasu, nim odkryję zalety treningu kondycyjnego, a więc byłem dość anemiczny. I rzecz jasna nie oglądałem się za dziewczętami, którym majtki wystawały spod spódniczek – lecz chyłkiem zerkałem na chłopców, którzy to robili.

Miałem przyjaciół, ale byli do mnie podobni – woleli wtapiać się w tło, niż zwracać uwagę, gdyż to drugie znaczyło często kłopoty ze strony bardziej wyszczekanych kolegów. I dlatego w dniu trzynastych urodzin wiedziałem, że postąpiłem słusznie, chociaż kosztowało mnie to tydzień zawieszenia i miesiąc szlabanu.

Staliśmy w kolejce po obiad i musieliśmy wpuścić przodem inne klasy. Opanowałem tę część dnia do perfekcji: nigdy nie stawałem na czele kolejki (miejsce zarezerwowane dla najbardziej lubianych) ani na tyłach (terytorium klasowych urwisów), ponieważ każde z tych miejsc czyniłoby mnie łatwym celem. Wciskałem się do środka, między dziewczynkę w ortopedycznym gorsecie i drugą, która niedawno przyjechała z Gwatemali i prawie nie znała angielskiego. Innymi słowy, próbowałem stać się niewidzialny, kiedy naraz zdarzyło się coś strasznego: otóż nauczycielka, miła, stara i głucha jak pień, postanowiła umilić sobie czas oczekiwania złożeniem mi życzeń.

– Czy wiecie, że Edward kończy dzisiaj trzynaście lat? – zapytała pani Stansbury. – Zaśpiewajmy mu sto lat. Sto lat, sto lat...

Spiekłem raka. Bądź co bądź, nie byliśmy w przedszkolu. Śpiewanie komuś na urodziny wyszło z mody mniej więcej wówczas, gdy przestaliśmy wierzyć w Świętego Mikołaja.

– Niech pani przestanie – szepnąłem.

– Czy zamierzasz jakoś uczcić ten dzień? – ciągnęła pani Stansbury.

– No – odezwał się jakiś chłopak, ale tak, żeby nauczycielka nie słyszała. – Pojeździ na rowerku. Edward lubi sobie popedałować. Nie, Eddie?

Wszyscy gruchnęli śmiechem, oprócz dziewczynki z Gwatemali, która chyba nie zrozumiała.

Pani Stansbury wyjrzała na korytarz, czy wszyscy już weszli. Niestety, to nie była jeszcze nasza kolej.

– Niech żyje, żyje nam – zaintonowała ponownie. – Sto lat, sto...

Zacisnąłem dłonie w pięści i krzyknąłem:

– Zamknij się!

To pani Stansbury usłyszała.

Dyrektor też, parę minut później. I moi rodzice. Ukarano mnie za chamstwo wobec nauczycielki, która chciała po prostu być miła.

Miesiąc po tym, gdy tata dał mi szlaban (bo „podwładny nigdy nie postąpiłby tak wobec przywódcy stada”), spytał, czy czegoś mnie to nauczyło. Nie odpowiedziałem, gdyż zrobiłbym dokładnie to samo.

Chcę przez to zaznaczyć, że my, którzy najpierw działamy, a dopiero potem myślimy, wiemy aż za dobrze, co może nas czekać. Ale wiemy też, że czasami to jedyne wyjście.

W pokoju przesłuchań panuje ziąb nie do wytrzymania. Cynicznie założyłbym, że chcą w ten sposób skłonić ludzi do gadania, gdyby nie fakt, że wielkodusznie przynieśli mi kawę i kawałek ciasta. Wielu z nich to wielbiciel mojego ojca i jego programu; chętnie wymieniam sławę taty na posiłek. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłem; ciasto smakuje jak manna z nieba.

– Może opowiesz mi, co się dzisiaj stało, Edwardzie.

– Detektyw siada naprzeciw mnie.

Otwieram usta, po czym znów je zamykam. Lata *Prawa i porządku* w tajskiej telewizji ostatecznie czegoś mnie nauczyły.

– Chcę rozmawiać z moim prawnikiem – oznajmiam.

Detektyw kiwa głową i wychodzi.

Nieważne, że nie mam prawnika.

Ale po chwili drzwi znów się otwierają i wchodzi mężczyzna. Jest drobny i żylasty, czarne włosy wpadają mu do oczu; ma na sobie garnitur z krawatem i niesie aktówkę. Dopiero po chwili go rozpoznaję, bo widzieliśmy się tylko raz – przed dwoma dniami, gdy przyprowadził do szpitala bliźnięta mamy.

– Joe. – Wzdycham. Nie pamiętam, żebym tak ucieszył się kiedyś na czyjś widok.

Zapomniałem, że drugi mąż mamy jest prawnikiem. Robiłem w życiu głupie, pochopne rzeczy, ale po raz pierwszy zakuto mnie za coś w kajdanki.

– Rozmawiałem z twoją matką – mówi. – Co się, do licha, stało?

– Nie popchnąłem pielęgniarki, niech sobie mówią, co chcą. Przewróciła się, kiedy... – Nie kończę.

– Kiedy co?

– Kiedy odłączyłem ojcu respirator – uzupełniam.

Joe zastyga.

– Czy muszę pytać dlaczego...?

Kręcę głową.

– Chciałem przekazać jego narządy do transplantacji. Tego sobie życzył; z prawa jazdy ojca wynika, że jest dawcą. Chciałem wypełnić jego ostatnią wolę, tak? Ale wpadła Cara i zrobiła scenę. Jakby chodziło o nią, a nie o tatę.

– Georgie wspomniała, że Cara była przeciwna odłączeniu respiratora. Musiałeś o tym wiedzieć.

– Wczoraj mi mówiła, że dłużej nie ma siły, że nie może rozmawiać z lekarzami o tacie, a co dopiero podejmować decyzje. Nie chciałem nikogo skrzywdzić, próbowałem pomóc.

Ucisza mnie ruchem dłoni.

– Opowiedz dokładnie, co się wydarzyło.

– Pochyliłem się i wyszarpnąłem z gniazdka wtyczkę respiratora. Nie pchnąłem pielęgniarki, po prostu stała między mną a ścianą. Ja tylko wyjąłem wtyczkę, bo tak miało być...

Joe nie prosi, żebym się tłumaczył. Bierze fakty takimi, jakimi się wydają.

– Za tego rodzaju wykroczenia można odpowiadać z wolnej stopy – oświadcza. –

W naszym stanie, jeśli nie byłeś notowany i masz tutaj rodzinę, areszt nie jest koniecznością. Fakt, od dłuższego czasu mieszkasz gdzie indziej, ale chyba zdołamy to obejść.

– I co?

– Na razie zajmujemy się kaucją.

Kiwam głową.

– Joe? Ja... nie mam pieniędzy na kaucję.

– Spłacisz dług, opiekując się bliźniętami, żebym mógł się nacieszyć piękną żoną – odpowiada. – Mówię poważnie, Edwardzie. Twoim zadaniem jest siedzieć, milczeć i zdać się na mnie. Żadnych wybuchów. Żadnych bohaterских zrywów. Zrozumiano?

Potwierdzam, ale prawdę mówiąc, nie lubię być niczym dłużnikiem. Tak długo żyłem na własny rachunek, że czuję się niezręcznie, jakbym nagle stanął goły pośrodku zatłoczonej ulicy.

Kiedy wstaje od stołu, nagle wiem, co mi się w nim podoba.

– Jesteś pierwszą osobą, która nie mówi, jak bardzo jest jej przykro z powodu mojego ojca – wyrażam na głos zdziwienie.

Joe Ng przystaje w progu.

– Świat zna twojego ojca jako genialnego przyrodnika i badacza dzikich zwierząt. No cóż, dla mnie jest człowiekiem, który zatrul życie Georgie i poświęcił małżeństwo na rzecz kundli – mówi bez ogródek Joe. – Miło mi cię reprezentować, ale nie robię tego z sympatii dla Luke’a Warrena.

Uśmiecham się, po raz pierwszy od długiego czasu.

– Jakoś to przeżyję.

Cela na komendzie jest bardzo mała i ciemna, wychodzi na ścianę z paroma pożółkłymi plakatami i kalendarzem z dwa tysiące piętego roku. Czekam na decyzję o zwolnieniu mnie z aresztu.

Ojciec zwykł mawiać, iż zwierzę odczuwa niewolę, jeśli jego dom nie wydaje się granicą obszaru, tylko klatką. Nie chodzi o ograniczoną przestrzeń, lecz o brak warunków naturalnych: bądź co bądź, zwierzęta mają przy sobie rodziny, toteż biorąc je do niewoli, zmieniamy tylko ich zdolność do samoobrony. Z chwilą postawienia płotu są jak na widelcu.

Ale gdy wzbogacisz ich zagrody, w niewoli mogą się czuć szczęśliwe. Jeśli puszczasz wilkom z taśmy wycie obcej watahy, samce jednoczą się wobec rzekomego zagrożenia. Gdy od czasu do czasu zmienisz im otoczenie albo puścisz wycie kilku watah naraz, samice podejmą działania w celu zabezpieczenia stada. Czy lepiej się rozdzielić? Wyć na inną modłę? Zbadać okolice nowego głazu? Gdy urozmaicisz im polowanie, zamiast po prostu stawiać ofiarę za płotem (gdzie od razu ginie), uczysz wilki, jak zachowywać się w lesie wobec drapieżnika. Jeżeli w naturalnych warunkach wilk zabija raz na dziesięć polowań, w niewoli masz trzymać go w niepewności, czy dzisiaj zaspokoi apetyt. Innymi słowy, klatka przestaje być klatką, kiedy przekonasz wilka, że aby przeżyć, potrzebuje rodziny.

Na dźwięk kroków zrywam się i łapię za kratę, oczekuję wiadomości o przybyciu urzędnika przyjmującego poręczenie sądowe. Ale smród gorzelni uderza mnie jak obuchem, na długo zanim widzę jego źródło: pijanego osobnika podtrzymywanego przez policjanta. Kołysze się w przód i w tył, spocony i czerwony jak burak; zdaje się, że wymiotował sobie na kraciatą koszulę.

– Przyprowadziłem ci kolegę – informuje policjant i otwiera tamtemu drzwi.

– Szczęśliwego Nowego Roku – bełkocze mężczyzna, chociaż mamy luty. Następnie pada twarzą na cementową podłogę.

Ostrożnie robię krok nad nim.

Kiedyś, gdy miałem dziesięć lat, siedziałem pod rzędem pustych krzesełek opodal zagrody w Redmond. Codziennie o trzynastej ojciec wygłaszał tam pogadankę dla turystów, ale przeważnie było to wymarzone miejsce do czytania w zatłoczonym i przegrzanym parku. Nie zwracałem uwagi na ojca, który w sąsiedniej zagrodzie kopał staw; wilki relegowano do innej części. Nagle z przerwy obiadowej wrócił Lark, pomocnik taty przed Walterem. Potykał się, wymachując rękami. Gdy przeszedł obok wilków, oszalały: rzucały się na siatkę, skomlały i kłapały zębami, biegając tam i z powrotem jak zawsze, gdy wyczuwały jedzenie.

Tata rzucił narzędzia i pobiegł do bramki, gdzie powalił Larka na ziemię.

– Piłeś? – warknął, dusząc go przedramieniem.

Miał twarde zasady wobec ludzi, którzy pracowali ze zwierzętami: żadnych pachnących szamponów i mydeł, żadnych dezodorantów. I ani kropli alkoholu. Wilk wyczuwa go bezbłędnie jeszcze parę dni po wypiciu.

– Świętowaliśmy z chłopakami – wymamrotał Lark. Właśnie urodziło mu się pierwsze

dziecko.

Wilki uspokoiły się wreszcie. W życiu nie widziałem, żeby tak zachowywały się przy kimś, zwłaszcza przy dozorczy. Jeśli ktoś je denerwował, na przykład dzieci drące się pod płotem, uciekały za drzewa, na tyły zagrody.

Ojciec puścił Larka, który, kaszląc, pokulał się na bok.

– Zwijaj manatki – powiedział.

Lark próbował się wyklócać, ale tata nie zwrócił na niego uwagi i podjął przerwana pracę. Oczekałem, aż Larry przestanie kłać na czym świat stoi i poczłapie do przyczepy po swoje rzeczy. Następnie wszedłem za pierwszą bramkę i usiadłem pod płotem zagrody.

– Nie obchodzi mnie, że się napił – rzucił z goryczą ojciec, jakbyśmy podjęli przerwana rozmowę i czuł się w obowiązku przedstawić argumenty na swoją obronę. – Ale żeby w robocie. – Wbił szpadel w ziemię i podważył ciężką bryłę. – Zastanów się. Pijany, chwiejący się facet. Jak to wygląda, twoim zdaniem?

– Uhm... pijany, chwiejący się facet? – powtórzyłem.

– Otóż wilkowi do złudzenia przypomina ranne cielę. A to uruchamia instynkt łowiecki. Nieważne, że wilki znają Larka i widzą go codziennie. Poprzez swoje ruchy zatracił w ich oczach swoją tożsamość. Zabiłyby go, gdyby mogły.

Ponownie wbił szpadel w ziemię, aż stanął na baczność jak żołnierz.

– To dobra życiowa lekcja, Edwardzie, bez względu na to, czy kiedykolwiek będziesz pracował z wilkami – oznajmił ojciec. – Nieważne, co dla kogoś robisz, nieważne, że w dzieciństwie karmisz go z butelki, przytulasz na dobranoc i zaspokajasz jego głód: jeden niewłaściwy ruch w niewłaściwym czasie i staniesz się dla niego nie do poznania.

Oczywiście po latach te słowa przybiorą charakter osobisty. To on zrobił niewłaściwy ruch w niewłaściwym czasie. Ze wstrząsem uświadamiam sobie, że po dzisiejszym ranku mógłby mi zarzucić to samo.

Pijak u moich stóp zaczyna chrapać. Po chwili wchodzi policjant.

– Czas na przedstawienie – oznajmia. Patrzę na zegarek i widzę, że spędziłem tutaj trzy godziny, głównie w klepsydrze wspomnień o ojcu.

Czego to dowodzi? A tego, że może was dzielić piętnaście tysięcy kilometrów. Możesz przysięgać, że więcej nie wymówisz jego imienia. Możesz chirurgicznie usunąć go ze swojego życia.

Ale prześladować cię będzie zawsze.

Wracamy do tego samego pokoju przesłuchań co wcześniej, tyle że oprócz detektywa i Joego jest tam również facet z fatalną zaczeską i oczami tak przekrwionymi, że gdybyśmy nie znajdowali się na komendzie, pomyślałbym, że jest nawalony.

– No dobrze – mówi urzędnik. – Idę do okulisty z zapaleniem spojówek, więc bierzmy się do roboty. Co my tu mamy, Leo?

Detektyw podaje mu kartkę.

– To poważna sprawa, Ralph. Chodzi nie tylko o napaść drugiego stopnia; oskarżony zakłócił też pracę personelu szpitala i naraził zdrowie pacjenta.

Co to znaczy?, myślę sobie. Ojcu zrobiło się gorzej?

Prosimy o wyznaczenie kaucji w wysokości pięciu tysięcy dolarów – uzupełnia detektyw.

Urzędnik czyta dokument wręczony mu przez detektywa.

– Wyciągnął wtyczkę? – mówi, spoglądając na Joego.

– Panie Ng? Co pan ma do powiedzenia?

– Mówimy o moim pasierbie – zaczyna Joe. – To miasto, w którym dorastał, gdzie jest otoczony przyjaciółmi i rodziną. Ma powiązania z tutejszą społecznością i nie dysponuje

środkami, które umożliwiłyby mu ucieczkę. Daję panu moje słowo, że osobiście nie spuszczę go z oka.

Urzędnik pociera oczy.

– Celem wyznaczenia kaucji jest zapewnienie jego obecności w sądzie. W Beresford nie praktykujemy aresztów prewencyjnych, panie Warren, dlatego wyznaczam kaucję w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Zostaje pan zwolniony pod warunkiem, że jutro rano stawi się w sądzie, nie zakłóci porządku i będzie zachowywał się jak człowiek. Do czasu zakończenia sprawy nie wolno panu opuszczać stanu New Hampshire. Dodatkowo zostanie pan poddany badaniu psychiatrycznemu i wydam zakaz przebywania na terenie szpitala i w jego okolicy.

– Chwileczkę – oponuję, łamiąc obietnicę daną Joemu.

– Wykluczone. W szpitalu leży mój ojciec, który umiera.

– Chętnie byś mu pomógł...

– Nie pozwalam dręczyć mojego klienta – oznajmia Joe. Urzędnik podnosi rękę.

– Zamknijcie się. Obaj. Mam zapalenie spojówek; jeszcze mi potrzebna migrena.

Weźmiecie się za łby w sądzie.

– Co z moim ojcem? – naciskam.

Joe z całej siły nadeptuje mi na nogę.

– Mówił pan coś, panie Warren? – pyta urzędnik. Patrzą na niego.

– Już nic – mamroczę. – Nic nie mówiłem.

LUKE

To straszne przeżycie, kiedy od kłapiących pysków po bokach dzieli cię niespełna piętnaście centymetrów. Wszystko albo nic, a że wilki zwykle nie jadły od paru dni, to dla nich również walka o przetrwanie. Gdy przesuniesz się za daleko na lewo lub obrócisz w niewłaściwą stronę, zaraz przywołają cię do porządku, warczeniem i gryzieniem. Ale mimo szału, pobudzenia i natłoku spiętrzonej energii każdy robi, co do niego należy, więc twoja kara to nic w porównaniu z losem, który czeka zwierzynę.

Przeważnie wiedziały, że za nimi nie nadażę i będę raczej kulą u nogi niż pomocą. W razie zwykłego pościgu byłem zbyt powolny; nie miałem zębów ani pazurów, a moja cienka skóra stanowiła mizerną ochronę. Ale kiedy spadł śnieg, dotychczasowe metody łowieckie zastąpiono zasadzką. Podczas paru miesięcy, gdy na ziemi leżało ponad pół metra śniegu, moja obecność była mile widziana.

W czasie zasadzki stado polega na masie dużych samców. Czasem ofiara musi zawrócić i wpaść w zarośla, gdzie zostanie otoczona przez pozostałe wilki, a myśliwi przegryzą jej gardło. Siedziałem w niewielkim zagłębieniu w śniegu wraz z młodymi i alfą, w oczekiwaniu, aż duży, czarny wilk i druga dorosła samica zapędzą zdobycz w naszą stronę.

Czekaliśmy od paru dni – bez ruchu, bo zruszylibyśmy śnieg, a wtedy nici z zasadzki. Marzłem mimo wilków po obu stronach, i zacząłem błądzić myślami. Wilki były mistrzami kamuflażu. Znały kierunek wiatru oraz sposoby na zamaskowanie swojego zapachu. Ale czy jeleń też polegał na swoim instynkcie, który podpowie mu, że gdy wilk goni go w takim tempie i szyku, w grę nie wchodzi pościg, ale zasadzka? Czy na podstawie zmiany wiatru zwietrzy kłopoty?

Nagle powróciłem do rzeczywistości, bo alfa zaczęła jeść śnieg. Młody samiec natychmiast poszedł jej śladem i zanurkował nosem w śniegu. Młoda wilczyca sięgnęła do gałęzi, z której zwisał soplek na podobieństwo choinkowej ozdoby, po czym rozgryzła go i zaczęła ssać jak lizak.

Co one wyprawiają? Od trzech dni, które tutaj spędziliśmy, nie widziałem czegoś podobnego. Może potrzebowały trochę ruchu, bo zasiedzieliśmy się w jednym miejscu. Może chciało im się pić.

Ale dotąd żaden się nie wiercił, a skoro mnie nie dokuczało pragnienie, im zapewne również.

Zastanawiałem się, czy aby nie są odwodnione głębokim śniegiem, gdy alfa bezszelestnie kłapnęła na mnie zębami, zmarszczyła nos i znów schowała go w śniegu. Zrozumiałem. Począłem zgarniać biały puch i go zajadać, jakbym robił to nie od dzisiaj.

Nagle mnie olśniło: zdradzały nas oddechy zawieszane w powietrzu. Przytrzymanie na języku lodu bądź śniegu niwelowało obłok z ust.

Po chwili do zagajnika wpadł jeleń.

Alfa jakimś cudem wiedziała, że nadciąga ta chwila. Ale co ma robić, jeśli nie jednoczyć rodzinę, tak by w odpowiedniej chwili wszyscy zrobili to, co im się każe?

CARA

Po powrocie do domu słusznie spodziewam się wybuchu trzeciej wojny światowej. Matka podbiega do samochodu Mariah i próbuje wywlec mnie ze środka, zbyt późno przypominając sobie o złamanym barku. Wzdrygam się, gdy łapie mnie za rękę, po czym widzę, jak Mariah bezgłośnie życzy mi powodzenia i odjeżdża na pełnym gazie.

– Masz szlaban do... do dziewięćdziesiątki! Na miłość boską, Caro, gdzieś ty była? Tego nie mogę jej powiedzieć, więc tylko wbijam wzrok w ziemię.

– Przepraszam – mówię. – Po tym, gdy Edward... no wiesz... nie mogłam tam wysiedzieć. Nie mogłam tego znieść i uciekłam. Mariah po mnie przyjechała.

Matce coś przelacza się w głowie i nagle obejmuje mnie tak, że nie mogę oddychać.

– Moja kochana. Tak się martwiłam... Wracam na górę, a ciebie nie ma. Ochrona cię wszędzie szukała. Nie wiedziałam, czy mam zostać w szpitalu, czy wrócić tutaj...

W uchylonych drzwiach widzę główki bliźniąt i już wiem, dlaczego a) matka wróciła do domu i b) nie powinnam się łudzić, że stoję na czele jej priorytetów.

– Elizabeth, Jackson, jazda do domu, bo złapiecie zapalenie płuc – nakazuje. Następnie znów zwraca się do mnie. – Czy ty masz pojęcie, co ja przeżyłam? Powiadomiłam nawet policję.

– Uhm, żeby odwrócić jej uwagę od Edwarda.

Tak szybko daje mi w twarz, że nie widzę nadlatującej ręki. Nigdy dotąd mnie nie uderzyła i chyba jest tak samo wstrząśnięta jak ja. Wyrwam się, podnosząc dłoń do policzka.

– Idź do siebie, Caro – mówi drżącym głosem.

Ze łzami w oczach wbiegam do domu. Elizabeth i Jackson siedzą na schodach.

– Masz karę – oznajmia Jackson.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że w twojej szafie nie ma potwora? Kłamałam. – Wymijam ich i idę do pokoju, po czym zatraskuję drzwi i rzucam się na łóżko twarzą w dół.

Wiem, że nie płaczę z bólu; upokorzenie bolało bardziej niż policzek. Płaczę, bo czuję się jak ostatni człowiek na świecie. Nie należę do tej nuklearnej rodziny; matka trzyma stronę brata, a ojciec dryfuje poza moim zasięgiem. Zostałam sama jak palec, co znaczy, że nie mogę po prostu siedzieć beczynnym w oczekiwaniu, aż ktoś weźmie sprawę w swoje ręce.

Nie obawiam się, że szpital znów spróbuje odłączyć ojca od respiratora, choćby na prośbę mojego brata. Sęk w tym, że jeśli nie znajdę sposobu, Edward pójdzie o krok dalej i postara się o pełnomocnictwo, czego ja nie mogę, bo mam dopiero siedemnaście lat.

Ale nie zaszkodzi spróbować.

Uspokajam się i wycieram twarz gazą temblaka. Sięgam po laptop i włączam go po raz pierwszy od tygodnia, przeskakując sto tysięcy mejli od Mariah z zapytaniem, czy nic mi nie jest, które musiała wysłać, zanim dowiedziała się o wypadku.

Wpisuję hasło w wyszukiwarkę i otwieram pierwszy wynik, który pokazuje się na ekranie.

Kate Adamson, całkowicie sparaliżowana w 1995 roku po przebytych wylewie, nie mogła nawet mrugać powiekami. Personel medyczny odłączył ją na osiem dni od sondy pokarmowej, by następnie podłączyć raz jeszcze po interwencji jej męża. Dzisiaj jest prawie zdrowa – mimo częściowego paraliżu lewej strony odzyskała pełnię władz umysłowych i prowadzi działalność społeczną. Klikam kolejny link.

Rom Houben, ofiara wypadku samochodowego przez dwadzieścia trzy lata pogrążona rzekomo w stanie wegetatywnym, w rzeczywistości przez cały czas zachowywał pełną świadomość, niezdolny porozumieć się z otoczeniem. Za pomocą testu Glasgow lekarze pierwotnie określili jego stan jako nieodwracalny, lecz opracowane w 2006 roku badania dowiodły prawidłowego

funkcjonowania mózgu Houbena. Obecnie komunikuje się za pośrednictwem komputera. „Dogonił go postęp medycyny”, mówi jego lekarz, doktor Laureys, którego zdaniem pacjenci w śpiączce często padają ofiarami błędnej oceny lekarskiej. I jeszcze jeden:

Carrie Coons, osiemdziesięciosześcioletnia mieszkanka Nowego Jorku, przez ponad rok znajdowała się w stanie wegetatywnym. W myśl życzenia rodziny sąd przystał na odłączenie sondy pokarmowej, jednakże odzyskała przytomność, zaczęła normalnie przyjmować pokarmy i porozumiewać się z otoczeniem. Jej przypadek stawia pytanie o wiarygodność diagnozy o nieodwracalnej utracie świadomości oraz kwestionuje prawo do odłączania aparatury podtrzymującej życie. Zaznaczam te strony. Przygotuję prezentację, wrócę do biura Danny'ego Boyle'a i udowodnię mu, dlaczego czyn Edwarda nie różni się od przystawienia ojcu kolby do głowy.

Kiedy dzwoni podłączony do ładowarki telefon, myślę, że to Mariah z pytaniem, czy matka zjadła mnie żywcem. Ale na wyświetlaczu widnieje obcy numer.

– Łączę z prokuratorem powiatowym – słyszę głos Pauli i zaraz mam na linii Danny'ego Boyle'a.

– Naprawdę chcesz w to brnąć? – pyta.

Myślę o biednej Kate Adamson, Romie Houbenie i Carrie Coons.

– Tak.

– Jutro w Plymouth obraduje sąd przysięgłych. Chciałbym, żebyś przyjechała i złożyła zeznanie.

Nie mam pojęcia, jak tam dojadę. Nie mogę wymagać od przyjaciółki, żeby znowu zwagarowała. Nie mam samochodu, nie mogę ruszać ręką. Aha, no i mam szlaban.

– Czy byłaby możliwość, aby po drodze zajechał pan do Beresford? – pytam możliwie jak najuprzejmiejszym tonem.

– Na miłość boską – odpowiada Danny Boyle. – Rodzice nie mogą cię odwiedzić?

– Matka poruszy niebo i ziemię, żeby uchronić syna przed odsiadką. Ojciec pewnie by mnie zawiózł, ale walczy o życie w szpitalu w Beresford.

Chwila ciszy.

– Adres poproszę.

*** Tego wieczoru Joe nie wraca do domu. Okazuje się, że sąd zlecił nadzór nad Edwardem i Joe uznał rozsądnie, że na razie lepiej trzymać go z dala ode mnie. Dziwne, że po prostu nie zamieni się z mamą, żeby zamieszkała z synem w swoim dawnym domu, choćby na jedną noc. No ale on świata poza mamą nie widzi i stanie na głowie, by uchronić ją przed nawrotem złych wspomnień.

Znaczy to również, że następnego ranka, gdy przyjeżdża po mnie Danny Boyle, mama czeka na końcu ulicy na szkolny autobus, kompletnie nieświadoma faktu, że przejeżdżające obok srebrne BMW za chwilę stanie przed jej domem.

Wsiadam do samochodu, a Danny Boyle wytrzeszcza na mnie oczy.

– W coś ty się, do cholery, ubrała?

Natychmiast uświadamiam sobie swój błąd. Chciałam się wystroić do sądu – to chyba normalne, nie? – ale mam tylko dwie eleganckie sukienki, jedną bez ramiączek, a drugą jaskraworóżową z poduchami w stylu lat osiemdziesiątych, którą musiałam włożyć na tematyczne wesele siostry Joego. Matka uparła się skrócić ją do kolan, żeby nadawała się do noszenia, chociaż moim zdaniem pasowała tylko na bal przebierańców.

– Wyglądasz, jakbyś się urwała z fanklubu Pat Benatar – oświadcza Danny.

– Zgadł pan – mówię z podziwem. Zapinam pas i zasłaniam twarz, kiedy mijamy matkę na przystanku.

– Domyślam się, że mama nie wie, co knujesz – rzuca Danny.

Podejrzewam, że jest zbyt pochłonięta Edwardem, aby w ogóle dostrzec moją nieobecność.

– Słuchaj – ciągnie Danny. – Dążysz do zmiany kwalifikacji czynu, co znaczy, że muszą być spełnione trzy kryteria: zła wola, premedytacja oraz chęć pozbawienia życia. Nie musimy ich dowodzić przed ławą przysięgłych, ale grunt to zasiać w sędziach wątpliwość. Niespełnienie któregoś z warunków przekreśla twoje roszczenia. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Patrzę na niego. Bardziej liczy się to, czego nie mówi.

– Zrobię, co pan każe, byle ratować tatę.

Z zadowoleniem kiwa głową.

– Mogę pana o coś spytać? – rzucam. – Dlaczego zmienił pan zdanie?

– Wczoraj dzwoniła moja siostra, roztrzęsiona pewnym incydentem w pracy. – Przesuwa dłoń na kierownicy. – Jakiemś facetowi odbiło w sali jego ojca, gdzie miała dyżur przy respiratorze. – Zerka na mnie. – Jest pielęgniarką, którą popchnął twój brat.

Spodziewam się widoku wytwornej sali z siwowłosym sędzią na podium. Ku mojemu zdziwieniu sąd przysięgłych okazuje się grupką zwykłych ludzi w dzinsach i swetrach, skupionych przy stole w pokoju bez okien.

Czym prędzej wciągam sweter na zbyt strojną suknię.

Na stole widzę magnetofon, co wzmaga moją treść, ale skupiam się na twarzy Danny'ego Boyle'a, jak mi polecił.

– To Cara Warren – oświadcza zebrany. – Czy ktoś zna świadka?

Ludzie przy stole kręcą głowami. Blondynka z pazim do brody przypomina jedną z moich nauczycielek. Wstaje i wyciąga Biblię.

– Proszę unieść prawą rękę. – Przerywa, spojrzawszy na mój temblak. Przy stole słychać niepewne chichoty. – Proszę unieść lewą rękę i powtarzać za mną.

Jak w telewizji: przysięgam mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg.

– Caro – mówi Danny Boyle. – Podaj, proszę, swoje nazwisko i adres.

– Nazywam się Cara Warren i mieszkam przy Statler Hill czterdzieści sześć, w Beresford w stanie New Hampshire – recytuję.

– Z kim?

– Do zeszłego tygodnia mieszkałam z tatą.

Prokurator powiatowy wskazuje na temblak.

– Co ci się stało w rękę?

– Tydzień temu mieliśmy z ojcem poważny wypadek samochodowy. Złamałam łopatkę, a tata do dzisiaj nie odzyskał przytomności.

– Jest w śpiączce?

– Lekarze nazywają to stanem wegetatywnym.

– Masz innych krewnych?

– Mamę, wyszła ponownie za męża. I brata, którego nie widziałam od sześciu lat. Mieszka w Tajlandii, ale na wieść o wypadku wrócił do Stanów.

– Jak się między wami układa? – pyta Danny.

– Nijak – mówię obojętnie. – Wyjechał i nie chciał mieć z nami do czynienia.

– Jak długo ojciec przebywa w szpitalu?

– Od ośmiu dni.

– Co mówią lekarze?

– Jeszcze za wcześnie na diagnozę – odpowiadam. To przecież prawda, nie?

– Omawiałaś z bratem sytuację ojca?
Czuję nagłą pustkę w żołądku.

– Tak. – Łzy napływają mi do oczu. – Chciałby już mieć to z głowy. Twierdzi, że nic się nie zmieni. Ale ja chcę mu pokazać, jak bardzo się myli.

– Czy ojciec kontaktował się z twoim bratem podczas jego pobytu w Tajlandii?

– Nie.

– Wspominał o nim kiedykolwiek?

– Nie. Pokłócili się, dlatego mój brat wyjechał.

– Kontaktowałaś się z bratem, Caro? – pyta Danny.

– Nie. – Patrzę na jedną z przysięgłych; kręci głową. Nie wiem, czy to reakcja na wyjazd Edwarda, czy nasz brak kontaktu.

– Wczoraj wspomniałaś mi o pewnym bardzo niemiłym incydencie – ciągnie prokurator powiatowy.

– Owszem.

– Czy mogłabyś opowiedzieć o nim sądowi?

Przećwiczyliśmy to w samochodzie. Szesnaście razy, dla ścisłości.

– Brat postanowił odłączyć ojca od respiratora, bez konsultacji ze mną. Dowiedziałam się przez przypadek i pobiegłam do sali ojca. – Widzę to jak na dłoni, słyszę pisk odłączanej aparatury. – Byli tam lekarze, pielęgniarki i prawniczka ze szpitala oraz inni ludzie, których nie znałam. Mój brat też. Krzyczałam, żeby przestali, żeby nie zabijali mojego ojca, i wszyscy odeszli od łóżka. Wszyscy, oprócz mojego brata. Schylił się, udając, że chce złapać oddech, i wyszarpnął ze ściany wtyczkę respiratora.

Z wahaniem rozglądam się po zebranych. Twarze przysięgłych są gładkie i pozbawione wyrazu. Nagle przypominam sobie słowa Danny'ego na temat trzech kryteriów morderstwa. Premedytacja, chęć pozbawienia życia i zła wola. Nie ulega wątpliwości, że Edward starannie wszystko zaplanował, inaczej nie zwołano by lekarzy i pielęgniarek. Jest pewne, że chciał ojca zabić. Zostaje tylko zła wola.

Myślę o złożonej przysiędze, całej prawdzie i tylko prawdzie. Bądź co bądź, nie podniosłam jednak prawej ręki, no bo jak? Może więc zaprzysiężono mnie też na niby i nie zaszkodzi niewinnie skłamać, jak na użytek mamy – że umyłam zęby, wyprowadziłam psa i nie odstawiłam do lodówki pustego kartonika po mleku, zamiast go wyrzucić do śmieci.

Przecież to nie kłamstwo, jeśli cel uświęca środki? Jeśli dzięki niemu dają ojcu szansę na wyzdrowienie? Zanim mój mały wybieg wyjdzie na jaw, może uda się zyskać parę godzin lub kilka dni.

– Wyszarpnął wtyczkę ze ściany – powtarzam – i krzyknął: „Zdychaj, draniu!”.

Jedna z przysięgłych zasłania usta, jak gdyby sama to powiedziała.

– Został obezwładniony – mówię dalej – a pielęgniarka znów podłączyła respirator.

Lekarze ojca ustalają, czy chwilowy brak tlenu nie spowodował szkody dla zdrowia.

– Czy można powiedzieć, że stosunki między twoim ojcem i bratem były bardzo napięte?

– Zdecydowanie.

– A czy wiesz dlaczego?

Kręcę głową.

– Wiem, że pokłócili się, kiedy miałam jedenaście lat, Edward wyprowadził się z domu i więcej ze sobą nie rozmawiali.

– Nazwał ojca „draniem” w gniewie, tak?

Przytakuję.

– Twoim zdaniem kierowała nim chęć pozbawienia go życia, tak?

Patrzę mu prosto w oczy.

– Zgadza się. I moim zdaniem nie odpuści.

LUKE

Zdarza się, że w niewoli wilk dożywa jedenastu, dwunastu lat, choć słyszałem o jeszcze starszych przypadkach. Z kolei na wolności ma szczęście, jeśli dożyje sześciu. Nabyta wiedza i doświadczenie mają wymiar bezcenny, dlatego alfa spędza większość czasu z młodymi, wysyłając na polowania i zwiady swoich podwładnych. I dlatego po śmierci alfy wiele stad się rozpada, jakby centralny układ nerwowy nagle zatracił łączność z mózgiem.

Zatem co się dzieje, gdy ginie alfa?

Łatwo o przypuszczenie, że następuje wewnętrzny awans i miejsce alfy zajmuje beta, czyli numer dwa. Ale w wilczym świecie jest inaczej. Na wolności rozpoczyna się proces rekrutacji. Samotnicy otrzymują zew na znak, że w stadzie zwolniło się miejsce. Kandydaci zostaną poddani próbie w celu wybrania najmądrzejszego, najbardziej niezawodnego i zdolnego obronić rodzinę.

Oczywiście w niewoli jest inaczej. Rola decydenta przypada osobnikowi z niższego szczebla hierarchii, co nie przynosi nic dobrego.

Czasem oglądamy dokumenty o wilkach, które awansują na pozycję lidera – omega zostaje alfą, i tak dalej. Ja w to nie wierzę. Myślę, że ich twórcy stawiają z gruntu błędne założenia. Na przykład, przeciętnemu człowiekowi alfa kojarzy się ze śmiałkiem, który umie zapanować nad sytuacją i przeforsować swoje zdanie. Tymczasem w świecie jest to wypisz, wymaluj rysopis bety. Podobnie omega – lękliwe, nieśmiałe zwierzę z końca szeregu – mylnie postrzegany jest jako ten, który dba wyłącznie o siebie, sierota stada.

Innymi słowy: w puszczy nie ma bajek o Kopciuszku. Pokorny wilk, który pnie się na szczyt hierarchii, od samego początku był alfą.

EDWARD

Kiedy wchodzę do kuchni, Joe podnosi głowę znad płatków i rubryki sportowej.

– Masz zamiar tak iść? – pyta tonem kogoś, kto miał na myśli coś zupełnie innego.

Nigdy nie przywiązywałem wagi do ciuchów; pod tym względem daleko mi do stereotypowego geja. Mogę nosić dzinsy z czasów liceum i bluzę wyświeconą na łokciach. Oczywiście miałem wykrochmalone koszule i krawaty do pracy, lecz spodziewam się, że są w paczce gdzieś między Ameryką i Chiang Mai. Przyjechałem z bagażem podręcznym, toteż nie mam zbyt dużego wyboru.

– Wybacz – mówię. – Nie przewidziałem, że będzie mi potrzebny strój do sądu.

– Masz przynajmniej koszulę z kołnierzykiem?

Kiwam głową.

– Dzinsową.

Joe wzdycha.

– Chodź ze mną.

Odstawia talerz i wychodzi z kuchni, kierując się na piętro do pokoju ojca. Dopiero po chwili załapuję, w czym rzecz.

– Daj spokój – mówię, gdy otwiera szafę. – Gdy dorastałem, nawet nie miał krawata.

Ale Joe sięga w czeluści szafy i wyciąga białą koszulę, jeszcze w folii z pralni.

– Przymierz – rozkazuje. – Krawat możesz pożyczyć ode mnie. Mam zapasowe w bagażniku.

– Ja się w niej utopię. Ojciec jest wielki jak tur.

Joe wzdryga się prawie niezauważalnie.

– Uhm, zauważyłem.

Idzie po krawat, a ja siadam na łóżku, próbując nie wnikać w symbolikę tej chwili. Jako nastolatek czułem, że ojciec przerasta mnie pod każdym względem, dosłownie i w przenośni. Włożenie jego koszuli byłoby jak dziecięca przebieranka, próba wpasowania się w zbyt obszerne ramy.

Zrywam folię i przystępuję do rozpinania koszuli. Kiedy w ogóle zaczął się tak ubierać? Nie przypominam go sobie ubranego inaczej niż w flanelową koszulę, kombinezon i znoszone buciory. Trudno się stroić, jeśli człowiek przesiaduje na okrągło w wilczej zagrodzie; wkłada to, co ochroni go przed pazurami, zębami i deszczem. Czyżby się zmienił, kiedy mnie nie było, i nauczył wtapiać się w tłum tak gładko, jak wtapiał się między wilki? Zaczął chodzić do winiarni, na wieczorki poetyckie, do teatru?

Czyżby ojciec wszechobecny w moich myślach stał się innym człowiekiem?

Jeśli tak, czy mogę mieć pewność, że słowa wypowiedziane nad szklanką whisky, kiedy miałem piętnaście lat, są wciąż aktualne?

Tak, mówię sobie. Muszą, nie dopuszczam innej możliwości.

Ściągam bluzę i wkładam ojcowską koszulę. Bawełna chłodzi skórę, opadają poły.

Zapinam guziki i wsuwam dłoń do wykrochmalonej kieszonki na piersi, rozklejając złączony materiał.

Kiedy byłem mały, ojciec miał wełnianą kurtkę w czerwono-czarną kratę, którą wkładał do pracy. Miała dwie kieszenie na piersi i zawsze po powrocie do domu kazał mi wybierać jedną. Jeśli trafiłem, znajdowałem wewnątrz coś słodkiego. Dopiero po latach zrozumiałem, że nie było właściwej i niewłaściwej kieszeni: obie kryły słodcyce, co niezmiennie stawiało mnie na wygranej pozycji.

Bez namysłu nurkuję w szafie i szukam tej kurtki. Najpierw myślę, że jej nie ma, po czym

znajduję ją za steranym kombinezonem.

Dostrzegam swoje odbicie w lustrze przylepionym od wewnątrz szafy. Ku mojemu zdumieniu koszula wcale nie jest za duża, jakby szyta na miarę, wypełniam ramiona, a rękawy są w sam raz. Ze wstrząsem uświadamiam sobie, jak łudząco jestem do niego podobny.

I sięgam po kraciatą kurtkę.

– To demonstracja – powtarza Joe, chyba po raz setny, odkąd zszedłem na dół ubrany do wyjścia. – Chcesz rozjuszyć sędziego?

– Nie demonstracja, tylko kurtka – kwituję. – Jest mróz, do jasnej cholery. Do tego w New Hampshire. Nie wmówisz mi, że wszyscy pozwani noszą garnitury od Armaniego.

Wołanie „Wstać, sąd idzie!” uniemożliwia nam dalszą kłótnię i na sali zjawia się sędzia Nettie McGrue.

To filigranowa kobieta o przerażająco żółtych włosach i spiczastym nosie. Koronka spiętrzona nad kołnierzem togi nie wiezieć czemu nasuwa mi skojarzenie z kolczatką.

– Słucham pana, mecenasie – oznajmia.

Siedzący obok mnie Joe wstaje.

– Wysoki sędzie, stawiliśmy się w sprawie Edwarda Warrena.

– Niech pan tu podejdzie, panie Warren – komenderuje sędzia, gdy Joe trąca mnie łokciem. – Pańskie dane poproszę.

Idziemy do przodu sali, gdzie podaję swoje nazwisko i adres, a dokładnie adres ojca.

– Panie Warren – mówi sędzia. – Widzę, że ma pan obrońcę... Niech obrońca się przedstawi.

– Joe Ng, wysoki sędzie.

– Panie Warren, jest pan oskarżony o napaść drugiego stopnia na Maureen Cullen, pielęgniarkę ze szpitala Beresford Memorial. Czy ma pan coś do powiedzenia?

Zaciskam palce na mankiecie kurtki.

– Jestem niewinny, wysoki sędzie.

– Widzę, że wyznaczono kaucję w wysokości pięciu tysięcy. Panie Warren, podtrzymuję warunki zwolnienia: podda się pan badaniom psychiatrycznym i ma pan zakaz wizyt u ojca oraz wstępu do szpitala Beresford Memorial.

– Świdruje mnie bystrym spojrzeniem czarnych oczu. – Czy to jasne, że jeśli w ciągu dziesięciu dni nie podda się pan badaniu i złamię zakaz wizyt u ojca, zostanie pan aresztowany? Rozumiemy się co do warunków zwolnienia?

Każę mi podnieść prawą rękę i przysiąc, że stawię się za dziesięć dni na przesłuchanie wstępne, cokolwiek to znaczy.

– Następną sprawą – oznajmia i już po wszystkim.

Całość trwała góra dwie minuty.

– Już? – Spoglądam ze zdziwieniem na Joego.

– Wolałbyś dłużej? – Wyciąga mnie z sali rozpraw.

Podążam za nim przez parking do samochodu.

– I co teraz? – pytam. Słowa na mrozie zmieniają kształt. Przytupuję, gdy otwiera samochód.

– Teraz masz robić, jak sąd nakazał. Pójdiesz na badania i będziesz siedział jak trusia, a ja pomyślę, jak to załatwić. – Zapuszcza silnik i wrzuca wsteczny. – Odwiozę cię do domu ojca.

Przerywa mu ryk *Bohemian Rhapsody* zespołu Queen. Zaskoczony chcę ściszyć radio, ale nawet nie jest włączone.

– Joe Ng – rzuca w przestrzeń Joe.

– Joe? – płynie głos przez system głośnomówiący. – Tu Danny Boyle, prokurator

powiatowy.

– Danny – mówi czujnie Joe. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– W zasadzie to jest na odwrót. Twój pasierb stanął dzisiaj pod zarzutem próby morderstwa.

– Że co proszę? – wybucham.

Joe daje mi łokciem pod zebro.

– Wybacz, muszę ściszyć radio. – Gromi mnie wzrokiem i przykłada palec do ust. – Chyba coś ci się pomyliło – ciągnie. – Oskarżono go o napaść drugiego stopnia.

– Otóż, jesteś w błędzie. – W głosie pobrzmiwa nieskrywane zadowolenie. – Mam przed sobą papiery. Prawdę mówiąc, dzwonię z zawodowej grzeczności. Po co robić przedstawienie, lepiej sam zawieź go na policję.

– Tak zrobię – odpowiada Joe. – Dzięki za telefon. – Wciska guzik na kierownicy, rozłączając rozmowę i patrzy na mnie. – Ty – oznajmia – ale wdepnąłeś.

*** – Nie próbowałem zabić ojca. – Obstawę przy swoim, kiedy Joe jednym haustem opróżnia kubek z kawą i podstawia go kelnerce. – To znaczy, próbowałem, ale nie z pobudek osobistych. On sam tego chciał.

– A niby skąd to wiesz?

Sięgam do kieszeni po list, który na jego prośbę podpisałem, ale przypominam sobie, że został w bluzie.

– Mam list, w którym upoważnia mnie do podejmowania decyzji o swoim leczeniu, w razie gdyby sam nie był do tego zdolny – wyjaśniam. – Mówił, że gdyby kiedykolwiek znalazł się w takiej sytuacji, nie życzy sobie być sztucznie podtrzymywany przy życiu.

Joe unosi brwi.

– Kiedy to podpisał?

– Gdy miałem piętnaście lat – przyznaję, na co Joe chowa twarz w dłoniach.

– Coś wymyślę – obiecuje – ale musisz dokładnie opowiedzieć mi, co się wczoraj stało.

– Już opowiadałem...

– Jeszcze raz.

Wciągam powietrze. Mówię mu o spotkaniu przy łóżku Cary, o tym, że neurochirurg i lekarz z OIOM-u wykluczyli szansę na poprawę, że zaistniała konieczność podjęcia decyzji co do dalszego postępowania. Mówię o gwałtownej reakcji Cary oraz interwencji pielęgniarki.

– Cara powiedziała, że nie może tego zrobić – tłumaczę. – Nie mogła dłużej słuchać lekarzy, powtarzających jej, że nie ma nadziei, więc obiecałem jej, że się wszystkim zajmę. Tak też zrobiłem.

– Czyli nie powiedziała wprost, że masz odłączyć ojcu respirator.

– Jasne, że nie. Żadne z nas tego nie chciało. To naturalne, skoro wiąże się ze śmiercią bliskiej osoby, prawda? Ale nie przyjmowała do wiadomości, że ojciec nigdy już nie będzie żył.

– Kiwam głową. – Możemy czekać tydzień, miesiąc, rok, ale nie zdarzy się żaden cud. To feler, lecz mamy do wyboru umieszczenie go w domu opieki lub odłączenie respiratora, tymczasem Cara wzbrania się przed jednym i drugim. Może nie było mnie tutaj, gdy dorastała, co nie zmienia faktu, że jestem jej starszym bratem i to ja mam ją chronić: przed chuliganami, natrętami i dylematami tego typu. I dlatego postanowiłem wziąć na siebie, żeby nie musiała żyć z poczuciem winy.

– W przeciwieństwie do ciebie – zauważa Joe.

Patrzę na niego.

– No tak.

– I co zrobiłeś?

– Porozmawiałem z lekarzem ojca. Szukałem potwierdzenia, że naprawdę nie ma nadziei. Żadnej. Wspomniałem mu, że chcę rozmawiać z fundacją zajmującą się przeszczepem narządów.

– Po co?

– Z prawa jazdy ojca wynika, że chciał być dawcą – mówię. – Spotkałem się z przedstawicielką fundacji, podpisałem papiery i wyznaczyli termin na rano.

– Czemu zataiłeś to przed Carą?

– Dostała środki usypiające. Była tak roztrzęsiona po rozmowie z lekarzami. – Wzruszam ramionami. – Jeśli mi nie wierzysz, spytaj matkę.

– I co dalej?

– O dziewiątej zebraliśmy się u ojca i lekarz z OIOM-u spytał o Carę. Ani się obejrzałem, jak wpadła do sali z wrzaskiem, że morduję ojca. – Sięgam po widelec i obracam go w dłoni. – Prawniczka kazała się wstrzymać, ale mnie kołatało w głowie, że dłużej tego nie wytrzymam. Cara może mieć klapki na oczach, ale nie będzie lepiej, choćbyśmy stanęli na głowie. Więc pochyliłem się i wyszarpnąłem ze ściany wtyczkę respiratora. – Zerkam na Joego. – Po drodze wpadłem na pielęgniarkę, ale jej nie popchnąłem.

– Pielęgniarka to najmniejsze z twoich obecnych zmartwień – oznajmia Joe. – Czy mówiłeś coś, wyjmując wtyczkę?

Kręcę głową.

– Chyba nie.

– Czy zrobiłeś coś, co nasunęłoby ludziom podejrzenie, że jesteś zły na ojca?

– Nie wczoraj.

Joe siada wygodniej.

– Czyli tak: muszą udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że zamierzałeś zabić ojca, z góry to zaplanowałeś i działałeś w złej wierze. Ewidentnie chciałeś przyspieszyć jego śmierć. Premedytacja się liczy, nawet jeśli wpadłeś na to chwilę przed podjęciem działania. Ostatnią deską ratunku, naszym jedynym punktem zaczepienia, jest brak złego zamiaru.

– Wiesz, co jest złe? Utrzymywanie kogoś na siłę przy życiu za pomocą maszyn – przekonuję. – Dlaczego jest w porządku sztucznie wydłużać życie, ale odłączyć respirator już nie?

– Nie wiem, Edwardzie, ale nie mamy czasu na dyskusję o filozofii eutanazji – ucina Joe.

– Co się stało, gdy wyjąłeś wtyczkę?

– Salowy mnie obezwładnił, zjawiała się ochrona i poszliśmy na korytarz, skąd zgarnęła mnie policja.

Patrzę, jak Joe wyjmuje z kieszeni długopis i bazgrze coś na serwetce.

– Czyli tak: nie mówimy o morderstwie, tylko akcie miłosierdzia.

– Właśnie.

– Chcę zobaczyć ten list podpisany przez twojego ojca – dodaje.

– Mam go w domu.

– Później odbiorę.

– Czemu nie teraz?

– Bo jadę porozmawiać ze wszystkimi, którzy byli wtedy w sali twojego ojca. – Z rozmachem kładzie na stół dwadzieścia dolarów. – A ty – dodaje – jedziesz na policję.

Trafiam na tego samego urzędnika co za pierwszym razem.

– Panie Warren – mówi na mój widok – nie przyznajemy punktów lojalnościowych za częste wizyty.

Jak w koszmarnym śnie: kolejna skarga, kolejny detektyw z drwiącą miną i Joe u mojego boku. Urzędnik odczytuje zarzut, ale tym razem widzę po jego minie, że jest zdziwiony.

– Próba morderstwa to poważne przestępstwo – oświadcza. – W dodatku to drugie aresztowanie w tak krótkim czasie. Nie podoba mi się to, panie Warren. Wyznaczam kaucję na pięćset tysięcy dolarów.

– Co? – Joe zrywa się z krzesła. – Aż tyle?!

– Omówicie to w poniedziałek z sędzią – kwituje urzędnik.

Joe zwraca się do policjanta.

– Czy mógłbym zamienić słówko z moim klientem?

Tamci wychodzą, zostawiając nas w pokoju przesłuchań. Joe kręci głową. Chyba żałuje, że poślubił kobietę z bagażem w postaci synalka, który z uporem maniaka pakuje się w kłopoty.

– Spokojnie – zapewnia. – Sędzia rzadko podtrzymuje takie kaucje.

– Ale co teraz?

– Potrzebujemy pięćdziesięciu tysięcy dolarów zaliczki na kaucję. – Joe wbija wzrok w podłogę. – A ja nie mam do dyspozycji takich pieniędzy.

– Nie rozumiem.

– To znaczy – mówi Joe – że musisz spędzić weekend w więzieniu.

Gdybyście powiedzieli mi tydzień temu, że trafię do zakładu karnego w stanie New Hampshire, postukałbym się w głowę. Mało tego, wierzyłem, że ojciec będzie już na nogach, a ja w drodze do moich uczniów w Chiang Mai.

Ale życie lubi stawiać na swoim.

Oficer dyżurny stuka jednym palcem po klawiaturze. Dziwne, że nie nabrał jeszcze wprawy. Albo nie poszedł na kurs maszynopisania. Jest taki powolny, że zaraz zaśnie.

– Proszę opróżnić kieszenie – mówi.

Wyciągam portfel, w którym mam trzydzieści trzy amerykańskie dolary i trochę tajskich drobnych, klucz do domu ojca oraz kluczyki wynajętego samochodu.

– Kiedy dostanę to z powrotem?

– Przy wyjściu – informuje oficer. – Albo pieniądze pójdą na poczet rozprawy.

Nie dopuszczam do siebie takiej możliwości. Doszło do nieporozumienia, Joe wyjaśni je sędziemu w poniedziałek.

Ale w moim umyśle czają się wątpliwości. Czy urzędnik wyznaczyłby tak wysoką kaucję, gdyby chodziło o błahostkę? Czy prokurator powiatowy osobiście zadzwoniłby do Joego z informacją o postawionych mi zarzutach? I czy odwieziono by mnie do więzienia policyjnym transportem?

Nie znam się na prawie, to jasne. Ale z mojej znajomości podstaw wynika, że o ile zarzut o napaść leżał w gestii szpitala, zarzut usiłowania morderstwa płynie z wyższej instancji.

Jakim cudem wieść dotarła tak szybko do prokuratora powiatowego?

Ktoś musiał mu donieść.

Na pewno nie lekarze – spójrzmy prawdzie w oczy – oni nie owijali w bawełnę, że rokowania są złe. Na pewno nie szpitalna prawniczka, która (gdyby wszystko poszło według planu) ucieszyłaby się z wolnego łóżka dla naprawę potrzebującej osoby. I na pewno nie osoba od przeszczepów, gdyż klóciłoby się to z interesem jej organizacji.

Zostają pielęgniarki. Spotykałem najróżniejsze, niektóre wesołe, inne pełne życzliwości, jedne przynosiły mi jedzenie, inne książeczki do nabożeństwa. Niewykluczone, że któraś wyznaje wiarę w życie za wszelką cenę i odłączenie respiratora stanowiłoby dla niej obrazę moralną, choćby należało do jej obowiązków. Dorzućmy do tego histerię Cary i...

Nagle potykam się o własne myśli. Cara.

To ona mogła mnie wystawić. No bo kto wyznaczyłby na pełnomocnika domniemanego mordercę?

Czuję, że drzę, chociaż grzeją tutaj na potęgę. Siadam z założonymi rękami w nadziei, że nikt nie zauważy.

– Głuchy jesteś? – ryczy dyżurny oficer, stając nade mną. Tak się zamyśliłem, że nie słyszałem, co do mnie mówi.

– Nie. Przepraszam.

– Tędy, powiedziałem.

Prowadzi mnie do dusznej klitki.

– Rozbieraj się – rozkazuje.

Nie będę opowiadał wam o stereotypach na temat gejów i więzienia. Ale słysząc te słowa, muszę przestać udawać, że to nie dzieje się naprawdę. Ja, który nigdy w życiu nie przetrzymałem książki z biblioteki, ni stąd, ni zowąd staję się przestępcą. Poddadzą mnie rewizji osobistej, a potem zamkną w celi z kimś, kto zasłużył na to naprawdę.

– Tutaj, przy panu?

– Ach! – Policjant z udawaną zgrozą wytrzeszcza oczy.

– Najmocniej pana przepraszam! Pewnie zamówił pan prywatną kwaterę z widokiem na plażę. Niestety, w tej chwili ta opcja nie wchodzi w grę. – Bierze się pod boki.

– Ale masz wybór: sam się rozbierzesz albo ja ci pomogę.

Natychmiast łapię się za pasek. Rozpinam rozporek i staję plecami do policjanta. Ściągam kurtkę, a potem koszulę ojca. Na końcu skarpetki i majtki. Podnosi każdą sztukę odzieży i ogląda ją badawczo.

– Twarzą do mnie, podnieś ręce – komenderuje, więc robię to, przymykając oczy. Czuję na sobie jego wzrok, parzy mnie w skórę. Nakłada lateksowe rękawiczki i unosi mi jądra. – Odwróć się i pochyl – pada rozkaz, a gdy posłusznie staję tyłem, czuję, jak rozsuwa mi nogi i maca między nimi.

Kiedyś w barze w Bangkoku poznałem strażnika więziennego. Bawił nas opowieściami o więźniach smarujących się własnymi odchodami – „samoopalaczem”, jak nazywali to strażnicy – o mężczyźnie, który skakał z pryczy do sedesu jak do basenu, o tym, co znajdowano w szczelinach ciała: trzonki, puszkki z napojami, śrubokręty, ołówki, klucze, torebki z heroiną, a raz nawet żywego wróbla. „Za to kobiety!” oznajmił. „Z nimi dopiero trzeba uważać. Mogłyby przemycić toster”.

Pękałem ze śmiechu.

Ale to już przeszłość.

Policjant ściąga rękawiczki i wrzuca je do śmietnika. Następnie podaje mi worek. Wewnątrz znajduje się niebieski uniform, podkoszulki na zmianę, bielizna, klapki, ręcznik.

– Z pozdrowieniami od kierownika zmiany – mówi.

– Zażalenia proszę składać w recepcji. – Wybuchu śmiechem, zachwycony własnym dowcipem.

Prowadzi mnie do pielęgniarki, która sprawdza mi ciśnienie, oczy i uszy, po czym wpycha termometr do ust. Kiedy pochyla się, żeby mnie osłuchać stetoskopem, mamrocze:

– Zaszła pomyłka.

– Słucham?

Upewniam się, czy drzwi są domknięte i nikt nie słyszy.

– Jestem tutaj przez pomyłkę.

Klepie mnie po ramieniu.

– Ja też, kochany.

Przekazuje mnie innemu policjantowi, z nim podążam w czeluści więzienia. Napotykam podwójne bramki z wartownikami w wieżyczkach, którzy otwierają i zamykają drzwi. Kiedy

wchodzimy w jeden z korytarzy, policjant sięga do kontenera i podaje mi drugi worek.

– Prześcieradła, koce i powłóczki – wylicza. – Pranie co dwa tygodnie.

– Jestem tu tylko na weekend – tłumaczę.

Nawet na mnie nie patrzy.

– Skoro tak twierdzisz.

Idziemy wąskim przejściem, które brzęczy pod stopami. Cele znajdują się po jednej stronie. W każdej widnieje prycza, zlew, sedes i telewizor w plastikowej przezroczystej obudowie. Większość więźniów śpi, inni gwizdzą i pokrzykują, kiedy przechodzę.

Świeże mięso, słyszę.

Ooo, mamy chłoptasia.

Myślę o radach ojca, kiedy po raz pierwszy wchodziłem do wilczej zagrody: *Wiedzą, kiedy serce bije ci mocniej w piersi, więc nie okazuj strachu.* Patrę przed siebie. Zabrali mi zegarek, ale na pewno jest już późne popołudnie; jeszcze parę godzin i mnie tutaj nie będzie.

Ponownie słyszę w głowie jego głos. *Trudno opisać, jakie to uczucie, po raz pierwszy zamknąć się w zagrodzie. Na początku był tylko strach.*

– Vern – mówi policjant, przystając przed celą z jednym tylko lokatorem. –

Przyprowadziłem ci kolegę. Poznaj Edwarda. – Otwiera drzwi i czeka, aż spokojnie wejść do środka.

Zastanawiam się, czy ktoś kiedykolwiek odmówił. Uwiesił się krat, uczepił balustrady i zastygł w miejscu.

Kiedy drzwi się zatrzaszczają, spoglądam na więźnia na dolnej pryczy. Ma strzechę rudych włosów i brodę, w której zaplątały się resztki jedzenia. Jedno oko mu lata i zjeżdża na lewo, jakby nie było przycumowane w głowie. Ma wytatuowany każdy odkryty skrawek ciała, łącznie z twarzą, a do tego łapy jak grabie.

– Kurwa – oznajmia na powitanie. – Dali mi pedała.

Zastygam z workiem w dłoni. To wystarczy za potwierdzenie.

– Tylko spróbuj mi w nocy obciągnąć, a ci jaja odrąbię – zapowiada.

– Gdzieżbym śmiał. – Odsuwam się jak najdalej (co nie jest łatwe w klitce niecałe dwa metry na dwa i pół) i włączę na górną pryczę. Nie ścielę łóżka, tylko kładę się i patrzę na sufit.

– Za co wpadłeś? – pyta po chwili Vern.

Korci mnie przyznać, że za usiłowanie morderstwa. Może weźmie mnie za twardziela, z którym nie warto zadrzeć. Ale mówię tylko:

– Nie przechodziłem na pasach.

Vern prycha śmiechem.

– Jasne. Kapuję. Zagadkowy z ciebie koleś.

– Relatywnie...

– A żebyś wiedział, że nie dam sobie wsadzić rurki w dupę...

Przez chwilę nie wiem, o co mu chodzi.

– Nie mówię o lewatywie – prostuję. – Nie mam nic do ukrycia, po prostu nie powinno mnie tutaj być.

– Kurde, Eddie. – Vern rechocze. – Tak jak nas wszystkich.

Przewracam się na bok i zasłaniam głowę poduszką, żeby go nie słyszeć. Tylko dwie noce, myślę znowu. Wytrzymam.

A co, jeśli nie tylko dwie? Jeśli Joe nic nie wskóra i przyjdzie mi tutaj siedzieć pół roku lub rok w oczekiwaniu na rozprawę? Jeśli, Boże uchowaj, skażą mnie za próbę morderstwa? Nie mógłbym tak żyć, jak w klatce.

Boję się przymknąć oczy, nawet gdy po paru godzinach gaśnie światło. Wreszcie

zasypiam i śni mi się ojciec. Siedzi w więziennej celi i tylko ja mam klucz.

Sięgam do kieszeni, ale mam dziurę w podszewce i choć rozglądam się wszędzie, klucz przepadł.

LUKE

Widziałem kiedyś, jak wilk popełnia morderstwo.

Pewien samotnik uparcie naruszał terytoria okolicznych watah i kradł rolnikom zwierzęta. Ignorował wszystkie ostrzeżenia naszej watahy, ale to nie ja podjąłem decyzję do działania, tylko wadera. Ilekroć znajdował się w pobliżu, rosło napięcie, prowadząc do walk w obrębie naszego stada. Nocą rozbrzmiewało nawoływanie innych watah, kazały mu się wynosić.

Któregoś dnia duży, czarny wilk – beta – poszedł na zwiad w towarzystwie drugiej samicy. Nie było w tym nic dziwnego, na tym polegało jego zadanie. Ale tym razem nie wrócił. Minęły cztery dni... pięć... sześć. Zacząłem się niepokoić – obawiać, że przepadł na dobre – po czym samica wróciła sama, potwierdzając moje przypuszczenia. Tamtej nocy wycie brzmiało inaczej, pełne bólu i rozpaczony zawarty w pojedynczej nucie. I jak zawsze miało wskazywać drogę.

Znam na pamięć ten dźwięk. W lesie tracisz orientację, toteż gdy pojawia się znikąd niczym snop blasku latarni, wytycza ci szlak do swoich. Ale beta się nie pojawił. Minęły trzy noce i wołanie pozostało bez odpowiedzi.

Byłem pewien, że zginął.

Wreszcie którejś nocy doczekaliśmy się odpowiedzi. Nie ze strony czarnego wilka, tylko samotnika, który od dłuższego czasu dawał nam się we znaki.

Wadera nie przestawała nawoływać. Byłem daleki od kwestionowania jej pobudek, ale miałem złe przeczucia. Otwierała mu furtkę, żeby jeszcze bardziej uprzykrzył nam życie.

Wreszcie odważył się do nas zbliżyć. Wszyscy mieli się na baczności; bądź co bądź nie znaleźmy go i pierwsze spotkanie przypominało niezręczny taniec, początek aranżowanego małżeństwa. Jednakże w chwili gdy wkroczył na polanę, gdzie na niego czekaliśmy, zza drzew wyłonił się czarny wilk i go dopadł. Druga samica i młody samiec skoczyli na odsiecz.

Samotnik w ciągu paru minut był martwy. Leżąc na ziemi, wyglądał jak skrzyżowanie zdziczałego psa z dzikim zwierzęciem, co tłumaczyłoby jego złe zachowanie. Reszta watahy otoczyła betę, na powitanie lizały go po pysku i ocierały się solidarnie.

Chyba nie będzie nadużyciem nazwanie tego skoordynowanym atakiem. Fortel tego rodzaju – odesłanie bety, aby przyczał się w oczekiwaniu sposobnej chwili w celu zwabienia samotnika i wyeliminowania go przy pomocy reszty watahy – był przemyślany, podstępny i niezbędny, żeby zachować bezpieczeństwo rodziny.

Nazwiecie to morderstwem.

Wilk nazwałby to okazją.

CARA

Kiedyś zastanawiałam się nad więźniami, którzy dostali dożywocie. Co, gdyby któryś z nich miał zawał, skonał, po czym został reanimowany przez lekarzy? Czy znaczyłoby to, że odbył karę? Czy dlatego dożywocie bywa podwójne, a czasami nawet potrójne?

Pytam, bo mam szlaban do czasu, aż skończę sto dziewięćdziesiąt osiem lat.

Matka po powrocie z przystanku oczywiście nie zastała mnie w domu. Nie mogłam jej powiedzieć, że jadę do Plymouth zeznawać przed sądem przysięgłych, toteż zostawiłam jej łzawy liścik, że tata leży sam w szpitalu, więc pojedę do niego z Mariah, ale obiecuję się nie forsować, i niech nie czuje się zmuszona mi towarzyszyć, bo przeze mnie od tygodnia nie widziała się z bliźniętami, itp., itd. Uznałam, że współczucie weźmie górę nad złością, i intuicja mnie nie zawiodła: jak można się wściekać na dziecko, które wykrada się z domu, żeby odwiedzić nieprzytomnego ojca?

Kiedy proszę Danny'ego Boyle'a, żeby wysadził mnie na końcu ulicy, przyjmuje to bez mrugnięcia okiem. O dziwo, matka na powitanie bierze mnie w objęcia, przeprosza za wczorajszą awanturę i pyta: „Jak tam?”.

W pierwszej chwili myślę, że chodzi o zeznanie.

Ale zaraz przypominam sobie o moim fałszywym alibi.

– Bez zmian – odpowiadam.

Idzie za mną do kuchni, gdzie zaczynam penetrować szafki w poszukiwaniu szklanki.

– Caro – mówi – wiedz, że zawsze będzie to twój dom, jeśli tylko zechcesz.

Wiem, że ma dobre chęci, ale mój dom jest na drugim końcu miasta – do kompletu ze starą wersalką, zapadniętą w miejscach wysiedzianych przez tatę i mnie. W moim domu są naturalne szampony i krem do golenia, by nie drażnić zapachami wilków, kiedy tata z nimi pracuje. W moim domu znajduje się jedna łazienka z dwiema szczoteczkami do zębów, moją różową i niebieską taty. Tutaj muszę przetrząsnąć sześć szuflad, zanim znajdę to, czego szukam. Dom to miejsce, w którym wiesz, gdzie mieszkają sztucce, kryją się kubki i znajdują czyste talerze.

Odkręcam kran, żeby się napić.

– Uhm – mówię z zakłopotaniem. – Dzięki.

Próbuję wyobrazić sobie życie w miejscu, gdzie spod łóżka z wrzaskiem wyskakuje dzieciak, gdzie muszę wracać o określonej porze, a zamiast równouprawnienia dostaję listę obowiązków, które muszę wypełnić. Próbuję wyobrazić sobie życie bez taty. Trudno nazwać go ortodoksyjnym rodzicem, ale taki pasuje mi najbardziej. Pamiętacie burzę po tym, gdy Michael Jackson wystawił swoje dziecko przez barierkę? Dam głowę, że małego nikt nie spytał o zdanie. Pewnie był w siódmym niebie, bo dla niego najbezpieczniejsze miejsce na świecie to ramiona taty.

Słyszę trzaśnięcie drzwi i po chwili do kuchni wchodzi Joe, rozkojarzony i zmięty, ale matka wita go jak księcia z bajki.

– Wcześniej wróciłeś! – woła. – Oby to znaczyło, że oddalono zarzuty przeciwko Edwardowi...

– Georgie... – Joe wpada jej w słowo. – Ty lepiej usiądź.

Twarz matki tężeje. Odwracam się do zlewu, wylewam wodę i po raz kolejny napełniam szklankę w nadziei, że uniknę udziału w rozmowie.

– Miałem telefon od prokuratora powiatowego – tłumaczy Joe. – Zmienili kwalifikację czynu z napaści na usiłowanie morderstwa.

– Że co proszę? – Matka nie wierzy własnym uszom.

– Nie mam pojęcia, jak na to wpadli. Może to sprawa polityczna; kreuje się na obrońcę życia i pewnie liczy na głosy wszystkich konserwatystów w stanie. Potrzebuje kozła ofiarnego i padło na Edwarda. – Joe patrzy na matkę. – Byłaś przy tym. Czy Edward powiedział lub zrobił coś, co świadczyłoby o jego złej woli wobec ojca?

Owszem, myślę sobie. Próbował go zabić.

– Nie... nie pamiętam. To się stało tak szybko. Prawniczka wspomniała o odwołaniu procedury, a po chwili Edward leżał na podłodze, przygnieciony przez salowego. – Kieruje wzrok na mnie. – Może ty pamiętasz, Caro?

Nic nie powiedział. Właśnie w tym sęk. Nie zapytał mnie o zdanie, nie obchodziło go, że mogę myśleć inaczej.

– Muszę się położyć – odpowiadam, po raz drugi wylewając wodę do zlewu.

Matka siada przy stole.

– Gdzie jest teraz Edward?

Joe zwleka z odpowiedzią.

– Musi spędzić weekend w więzieniu. W poniedziałek stanie przed sądem.

Chyba nie wzięłam pod uwagę konsekwencji, że przeze mnie może trafić za kratki. I długo tam zostać. Chciałam go odsunąć, żeby zwrócić na siebie uwagę lekarzy, ale nie pomyślałam, co dalej.

Posłużyłam się wymówką, aby wyjść z kuchni, zanim Joe odkryje, że to wszystko moja sprawka. Ale dochodzę do wniosku, że chyba naprawdę muszę się położyć.

Bo to ja rozwalłam rodzinę.

Ja doprowadziłam matkę do płaczu.

I słuchałam tylko swoich racji.

Jednym słowem popełniłam wszystko to, co z uporem zarzucam bratu.

LUKE

Można wylecieć z watahy.

Byłem świadkiem skrajnych sytuacji. Są wilki bardzo szanowane za wiedzę i doświadczenie, które w razie choroby mogą liczyć na wsparcie całego stada. Pozostali przynoszą im jedzenie, grzeją i dostosowują tempo marszu do ich potrzeb.

Widywałem też spojrzenie, jakie alfa posyła tym, z których nie ma już pożytku dla stada. Czasem dzieje się tak z powodu choroby, czasem wieku. I może w czasie kolejnego zwiadu lub polowania odchodzą z własnej woli. Kładą się pod drzewem. I nie wracają.

JOE

W trzydziestosekundowym spocie kancelarii poważny i skupiony siedzę za biurkiem. „Joe Ng”, brzmi mój głos zza kadru. „Ng znaczy Niewinny”² – mówię i słyszę uderzenie młotka.

Żenada, wiem. Ng oczywiście wcale nie znaczy „niewinny”, ale nie oponuję, kiedy asystenci prawni nazywają mnie tak i przybijają mi piątkę. Pierwszy w mojej rodzinie skończyłem college, o studiach prawniczych nie wspominając. Mój ojciec był rybakim z Kambodży, a matka szwaczką; przenieśli się do Lowell w stanie Massachusetts tuż przed moim narodzeniem. Byłem złotym chłopcem, amerykańskim marzeniem w pieluszkach jednorazowych.

Całe życie dopisywało mi szczęście. Urodziłem się dziewiątego września o godzinie dziewiątej dziewięć – wszyscy wiedzą, że dziewiątka to w Kambodży szczęśliwa liczba. Matka lubi opowiadać, jak we wczesnym dzieciństwie zastała mnie za domem z wężem w garści; nieważne, że był to pospolity zaskroniec – fakt, że udusiłem go pulchnymi rączkami, musiał dowodzić mojej niezwykłości. Z kolei ojciec utrzymuje, że skończyłem prawo z wyróżnieniem nie z powodu samych piątek, tylko dzięki jego modlitwom do Ganesi o to, aby usunął mi spod nóg wszelkie przeszkody.

Podobnie jak cała Ameryka, pamiętam chwilę, kiedy Luke Warren wyłonił się z puszczy niczym zagubione ogniwo i wystraszył uczennice katolickiej szkoły – ich autobus zatrzymał się na przerwę obiadową przy autostradzie wzdłuż rzeki Świętego Wawrzyńca. Oglądałem wywiady, których udzielił Katie Couric, Andersonowi Cooperowi i Oprah. Może nawet przeczytałem o nim artykuł w „People”, ze zdjęciem Georgie siedzącej z nim na schodach domu, w którym prawie nie bywał.

Ale gdy Georgie zjawiała się w mojej kancelarii w Beresford z prośbą, abym reprezentował ją w czasie rozwodu, nie poznałem jej z wyglądu ani nazwiska. Pomyślałem tylko, że choć wybuliłem pięćdziesiąt tysięcy dolarów architektowi wewnątrz o imieniu Swag, dopiero jej obecność sprawiła, że wszystko zdawało się być na swoim miejscu.

Rozwód poszedł jak z płatka: Luke’a interesowała tylko wspólna opieka nad dziećmi i gówniana przyczepa na terenie parku w Redmond. Załatwiłem nawet Georgie część wpływów za programy o wilkach dla Animal Planet. Zwracałem się do niej per „pani Warren” i byłem stuprocentowym profesjonalistą, aż do chwili nadejścia orzeczenia z sądu. Wówczas zadzwoniłem do niej na komórkę z pytaniem, czy nie zechce się kiedyś ze mną umówić.

Nie chciało mi się wierzyć, że kobieta niegdyś zakochana w Luke’u Warrenie zainteresowałaby się kimś takim jak ja. Brzydki nie jestem, lecz daleko mi do umięśnionych herosów z okładek romansów. Mam niewielką łysinkę, o której próbuję zapomnieć, i przy wzroście metr sześćdziesiąt siedem jestem o centymetr niższy od Georgie, która chyba ma to w nosie.

Muszę przyznać, że co wieczór przed snem odmawiam krótką modlitwę za Luke’a Warrena. Bo gdyby nie był takim osłem, nie wypadłbym tak dobrze na jego tle.

Coś mi tutaj śmierdzi.

Przy kolacji Georgie trzyma się w ryzach, ale wiem, że myśli o Edwardzie. Pod pretekstem bólu głowy wykręca się od czytania bliźniętom bajki na dobranoc. Idzie do sypialni, ale nawet przez zamknięte drzwi słyszę, że płacze.

Gdy dzieci zasypiają, pukam do Cary. Ma zgaszone światło, ale słyszę muzykę. Kiedy wchodzę, siedzi na łóżku przy otwartym laptopie. Na mój widok zaraz go zatrząskuje.

– No co? – pyta wyzywającym tonem.

Jako prawnik Edwarda stąпам po grząskim gruncie, mimo jego pokrewieństwa z moją

pasierbicą. Teoretycznie nie powinienem tutaj być, a co dopiero wypytywać ją o okoliczności aresztowania Edwarda.

– Chciałem tylko spytać, jak się czujesz. Bark nie boli?

Wzrusza ramionami.

– Jestem twarda.

Wiem. Sporo mnie kosztowało, aby pokonać jej zasieki, gdy zacząłem się spotykać z Georgie. Była pewna, że poluję na pieniądze, które dzięki mnie zdobyła w wyniku rozwodu. Z powodu Cary wyszedłem z propozycją umowy o rozdzielności majątkowej – nie, żeby chronić jej matkę przede mną, ale żeby dowieść szczerości swoich uczuć.

– Wiesz, że nie mogę rozmawiać o tym, co wydarzyło się w szpitalu, Caro. Jednakże masz prawo dobrowolnie udzielić mi informacji. – Waham się przez chwilę. – Może dzięki temu ocalisz brata.

Oczy jej ciemnieją, trudno wyczytać z nich cokolwiek.

– Nie mam pojęcia, czemu Danny Boyle wziął się na Edwarda – odpowiada.

Przystaję z ręką na kłamce.

– Może powinienem uderzyć do Lyncha – myślę głośno.

– Do kogo?

Patrzę na nią i potrząsam głową.

– Nieważne.

Ale zamykając drzwi, myślę sobie, jakie to typowe, że nastolatka nie zna nazwiska gubernatora New Hampshire.

Tym bardziej dziwi więc znajomość danych prokuratora powiatowego, które nie padły dotąd w jej obecności.

Dzwonię do Danny'ego Boyle'a i umawiam się z nim na rano.

Jest dopiero wpół do ósmej, a ponieważ mamy sobotę, nie zastaję w biurze jego sekretarki. Boyle ma mokre włosy i zalatuje od niego chlorem.

– Cokolwiek masz do powiedzenia, Joe – mówi na wstępie, prowadząc mnie do gabinetu – możesz to powiedzieć w obecności sędziego.

Wskazuje na krzesło, ale nie siadam. Sięgam po jedno z oprawionych zdjęć na jego biurku. Z fotografii uśmiecha się dziewczyna mniej więcej w wieku Cary, ma policzki zaróżowione od słońca.

– Masz dzieci? – pytam.

– Nie – odpowiada, przewracając oczami. – Dla hecy stawiam na biurku zdjęcia przypadkowych młodych dziewcząt. Daj spokój, Joe. Nie mam czasu na pogaduszki, więc proszę do rzeczy.

– Ja mam bliźnięta. I dwoje pasierbów – ciągnę, jakby wcale się nie odezwał. – I sęk w tym, że ten cały koszmar uderza w moją rodzinę. Moja żona cierpi, a ja nie mam pojęcia, jak ją pocieszyć. Nie wiem, jak to naprawić bez szkody dla kogoś innego. – Patrzę na niego. – Zwracam się do ciebie nie jako adwokat, tylko mąż i ojciec. Oświeć mnie, zanim zbierze się ława przysięgłych.

– Zebrała się wczoraj – podkreśla Boyle. – Postaram się jak najszybciej dostarczyć ci zapis z posiedzenia.

– Nagranie mógłbyś mi dać teraz.

Patrzy na mnie długą chwilę, po czym sięga do szuflady biurka i wyjmuje płytę.

– Rodzina to świętość – oznajmia. – Dlatego ci to daję. – Łapię płytę i kieruję się do wyjścia. – I wiesz co, Joe! – woła za mną. – Dlatego chłopak tak łatwo się nie wywinie.

Biegnę do samochodu i wrzucam płytę do odtwarzacza. Słyszę rozmowę z sądem

przysięgłych i głos Danny'ego, który zadaje świadkowi pierwsze pytanie.

Następnie, dźwięczny jak dzwon, z głośników płynie głos Cary.

Nie trzeba mówić, że strażnicy obsługujący wykrywacz metalu przy wejściu do więzienia dziwią się na widok czterdziestosześcioletniego prawnika z aktówką w jednej i zabawkowym odtwarzaczem do karaoke w drugiej garści. Radia samochodowego do budynku nie wniosę, stację dysków w komputerze mam zepsuta, a koniecznie chcę to puścić Edwardowi. Brałem pod uwagę zakup nowego odtwarzacza za grosze, lecz mój wzrok padł na zabawkę, którą kupiliśmy Elizabeth na Gwiazdkę. Wrzucasz płytę z melodią, dzieciak łapie mikrofon i zaczyna śpiewać piosenkę z kreskówki.

Czuję się jak głupek, ale nie ma rady. Kładę toporną, kolorową zabawkę na taśmę i opróżniam kieszenie z drobnych. Strażnik uśmiecha się ironicznie.

– Przestań, Luther – mówię przyjaźnie. – Na pewno nie jestem jedynym skrytym wielbicielem Hannah Montany.

Edward już na mnie czeka. Omiotam go szybkim spojrzeniem; Georgie będzie chciała wiedzieć, jak przetrwał noc.

Ma przekrwione oczy, ale to norma – nie sędzę, aby się wyspał w celi. Jest rozedrgany, nie może usiedzieć w miejscu.

– Joe – mówi, gdy zostajemy sami. – Musisz mnie stąd wyciągnąć. Nie mogę tu zostać. Mój kumpel z celi to neofaszysta.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecuję. – Posłuchaj tego.

Stawiam między nami odtwarzacz i wciskam „play”.

Edward przysuwa głowę do głośnika.

– O co tu chodzi?

– To posiedzenie ławy przysięgłych. – I dodaję po chwili wahania: – Świadkiem jest Cara.

Edward wciska pauzę.

– Wystawiła mnie rodzona siostra?

– Nie mam pojęcia, jak dotarła do prokuratora powiatowego. Ani czemu postanowił jej wysłuchać. Ale owszem, zdaje się, że to jej sprawa.

– Ja ją zabiję – mamrocze Edward.

Łapię go za ramię.

– Uważaj na słowa, bo długo zabawisz w celi z Hitlerem juniorem. Żarty się skończyły, Edwardzie. Jak to mówią policjanci w czasie aresztowania, wszystko, co powiesz, może być wykorzystane przeciwko tobie. Coś, co powiedziałeś u ojca, choćby w przyływie emocji, musi być dla prokuratora podstawą, żeby cię skazać.

Ponownie włączam nagranie. Edwardowi drgają usta; jest zły, lecz udaje mu się opanować. To dobra nauczka przed wejściem na salę sądową.

Głos Cary brzmi bardziej dziecinnie niż w rzeczywistości. „Krzyczałam, żeby przestali, żeby nie zabijali mojego ojca, i wszyscy odeszli od łóżka. Wszyscy, oprócz mojego brata. Schylił się, udając, że chce złapać oddech, i wyszarpnął ze ściany wtyczkę respiratora”. Chwila ciszy. „I krzyknął: »Zdychaj, draniu!«”.

Edward zrywa się z krzesła.

– To kłamstwo! Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem! Mówiłem ci, jak było, i na pewno nie tak. Spytaj tych, którzy tam byli!

Mam taki zamiar. Ale nawet jeśli Cara skłamała pod przysięgą, najistotniejsze pytanie brzmi, czy Boyle o tym wiedział.

Napięty weekend to mało powiedziane. Georgie cała w nerwach, oczami wyobraźni widzi

syna gnijącego w więzieniu, choć zapewniam ją, że nic mu nie jest. Cara zamknęła się w pokoju, z dala od gniewu matki. Nawet bliźnięta marudzą, wyczuwają napiętą atmosferę. Postanowiłem nie mówić Georgie – ani Carze – że wiem o obarczającym Edwarda zeznaniu siostry. Po części robię to z lojalności wobec klienta. A po części mam silny instynkt samozachowawczy i nie chcę robić dymu, zanim wypowie się sędzia.

Dlatego chyba nigdy nie cieszyłem się tak z nadejścia poniedziałku. Stoję na parkingu, jeszcze zanim otwierają sąd. Sprawa jest niezwykła, o czym świadczy choćby tłok na sali. Zwykle na wstępnej rozprawie stawiają się pozwani i ich obrońcy, czasem gryzpiórek z lokalnej gazety w celu sporządzenia listy osób, które biją żonę, kradną telewizory lub włamują się do samochodów. Za to dzisiaj widzę kamery i coś mi mówi, że są tutaj z powodu Edwarda. I że Danny Boyle, który łaknie uwagi jak paprotka światła, dał im cynk.

Nasza sprawa przypada jako trzecia tego dnia.

– Stan New Hampshire przeciwko Edwardowi Warrenowi – rozlega się wołanie i z podziemnego labiryntu sądu wprowadzają Edwarda. Wygląda, jakby nie spał od tygodnia. Siada obok mnie, nerwowo podrygując nogą. Przy stole obok nas siedzi Danny Boyle w garniturze i koszuli tak wykrochmalonej, że mankietami i kołnierzem mógłby pewnie kroić kotlety. Upozował się prawie bokiem, żeby kamery filmowały jego profil, a nie tył głowy.

Uśmiecha się do mnie.

– Jak zawsze miło cię widzieć, Joe – oznajmia, chociaż przed sobotnim spotkaniem widzieliśmy się tylko raz na oficjalnej kolacji.

– I nawzajem – odpowiadam. – Świetny krawat. Podobno czerwień dobrze wypada w telewizji.

Rzadko mam na tapecie sprawy kryminalne. Spójrzmy prawdzie w oczy: New Hampshire nie jest bastionem zdeprawowania, toteż większość moich przypadków to sprawy cywilne lub o opiekę nad dziećmi, a nie usiłowanie morderstwa. Dlatego muszę przyznać, że choć nie okazuję tego tak jak Edward, też zżerają mnie nerwy.

Sędzia jest drobnym mężczyzną z posturą biegacza i wąsem jak kłamka.

– Proszę wstać, panie Warren – mówi. – Mam przed sobą akt oskarżenia numer 558, w myśl którego stoi pan pod zarzutem próby zamordowania Luke’a Warrena. Co pan na to?

Edward chrząka.

– Jestem niewinny.

– Widzę, że ma pan obrońcę. Chciałbym wysłuchać argumentów obu stron. Panie Boyle, co pan ma do powiedzenia na temat kaucji?

Prokurator powiatowy wstaje i marszczy brwi.

– To sprawa najwyższej wagi, wysoki sędzie – oświadcza.

– Istnieją niepodważalne przesłanki, że sprawca działał z premedytacją i rozmysłem.

Mamy do czynienia z planem autorstwa człowieka o wrogim nastawieniu wobec Luke’a Warrena, który walczy o życie w szpitalu i nie może się bronić. Obawiamy się, że syn pana Warrena nie ustanie w próbach zamordowania ojca i stanowi zagrożenie dla otoczenia. Nie było go sześć lat i nie miał kontaktu z rodziną, wysoki sędzie. Nic nie powstrzyma go przed opuszczeniem kraju w celu ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości.

Sędzia drapie się w policzek.

– Co pan ma do powiedzenia, panie Ng?

– Wysoki sędzie – zaczynam – mój klient wrócił do domu natychmiast po otrzymaniu wiadomości o tragicznym wypadku ojca. Gdyby faktycznie miał złe zamiary, czy wsiadłby do samolotu? Czy spędziłby w szpitalu ostatnie siedem dni?

– Czekał na odpowiedni moment... – mamrocze Danny Boyle.

– Edward Warren wrócił powodowany miłością i troską o dobro ojca. Nie żywi wobec niego wrogich uczuć, chce tylko wypełnić jego wolę, bo został do tego zobowiązany przez Luke’a Warrena. Nie ma motywu, śmierć ojca nie przyniosłaby mu żadnych korzyści majątkowych. Jeśli pan Boyle tak bardzo obawia się ucieczki Edwarda, chętnie oddamy w depozyt jego paszport. Może też co tydzień stawiać się w sądzie i przystanie na wszystkie warunki określone przed sądem.

– Wysoki sądzie – wtrąca Boyle – prosimy o wzięcie pod uwagę dobra osób, które należy chronić przed wybuchami Edwarda Warrena, a mianowicie Luke’a Warrena i jego córki Cary.

Sędzia patrzy na mnie i przenosi wzrok na Boyle’a.

– Wyznaczam kaucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów pod warunkiem oddania paszportu, poddania się badaniu psychiatrycznemu oraz niezbliżania się do ojca i siostry. W każdy czwartek ma się zgłaszać w ośrodku kuratorskim. Następny!

Wywołują kolejnych prawników, a ja podnoszę się z miejsca.

– Przykro mi, że nie dopiąłeś swego, Danny – mówię. – Szkoda takiego audytorium. Zatrząskuje teczkę i wzrusza ramionami.

– Widzimy się w sądzie, Joe.

Kwadrans później mamy podpisane wszystkie papiery niezbędne do zwolnienia Edwarda, który wbił się w kraciatą kurtkę ojca i bezmyślnie zapina i rozpina zamek, jakby miało go to uspokoić.

– Dokąd teraz idziemy?

– My nigdzie nie idziemy. Ja idę – odpowiadam, gdy zakręcamy.

Danny Boyle stoi przed wyjściem w asyście sześciu lub siedmiu dziennikarzy telewizyjnych.

– Nie nam decydować, jakie życie zasługuje na to, żeby trwać – mówi z emfazą. – Myślicie, że rodzice Helen Keller dali za wygraną? A rodzina Stephena Hawkinga? Życie to bezcenny dar, koniec i kropka. Wystarczy sięgnąć do Biblii: przedwczesne odebranie go bliźniemu to hańba i niesprawiedliwość. „Nie zabijaj” – cytuje Boyle. – Nie sposób ująć tego prościej.

Edward patrzy na niego w osłupieniu.

– Trzymajmy przy życiu, choćby na siłę i na przekór logice – woła.

Dziennikarze odwracają się, celują w nas kamery.

– Zamknij się – mówię, łapiąc Edwarda za ramię.

Ale jest wyższy i silniejszy, strząsa moją dłoń.

– Ilu z was wiozło do uśpienia stare, schorowane zwierzę, żeby przestało się męczyć?

Waszym zdaniem to też morderstwo?

– Edwardzie, przestań gadać! – krzyczę. Odciągam go z całej siły, byle dalej od

Danny’ego Boyle’a, który uśmiecha się szeroko.

Czemu nie? Edward właśnie porównał do psa rodzzonego ojca.

Chociaż mam ochotę związać Edwarda, żeby przestał podcinać gałąź, na której siedzi, w drodze powrotnej do domu jego ojca ograniczam się do wykładu i zapowiedzi, że następnym razem go zaknebluję, jeśli będę musiał. Potem jadę do szpitala i dzwonię do Georgie z informacją, że syn wyszedł za kaucją i jest wolny, przynajmniej na razie.

Po przyjeździe do szpitala dowiaduję się, że doktor Saint-Clare jest na sali operacyjnej. Kupuję kawę i staję przy biurku pielęgniarek na OIOM-ie.

– Dzieńdoberek. – Uśmiecham się do kobiety o kształtach bujnych jak letni łąn. – Pani wygląda mi na szefową.

Podnosi wzrok znad komputera.

– A pan na przedstawiciela handlowego. Proszę zostawić próbki na stole.
– Właściwie to jestem prawnikiem – prostuję.
– Wyrazy współczucia.
– Szukam pielęgniarki, która uczestniczyła w czwartkowym... incydencie? Ma szansę na odszkodowanie...
– No ba. Maureen to ma szczęście. Ja ugrzęzłam z chronicznym wymiotem spod 22B, a ona zbiera siniaki i dostanie za to pieniądze. – Wskazuje na kobietę w fartuchu, upychającą do kosza brudną pościel. – Tam jest.
Idę w tamtą stronę.
– Maureen? – pytam. – Nazywam się Joe Ng. Jestem prawnikiem.
– Och, na miłość boską. – Wzdycha. – Mój brat pana przysłał?
Pewnie dowiedział się o zajściu i wyczuł pieniądze. Dzięki takim jak on zarabiam na życie.
– Tak – kłamię.
– W sumie nie powinnam z panem rozmawiać. Całe to zamieszanie uderzy w szpital. – Maureen kiwa głową. – Ale ten biedny człowiek... tylko sześć dni w szpitalu, a syn odłącza mu respirator.
– Podobno rokowania nie są optymistyczne...
– Cuda się zdarzają – ucina Maureen. – Oglądam je każdego dnia.
– Co dokładnie zaszło?
– Syn podpisał papiery na przekazanie narządów i zaplanowano procedurę. Wszyscy myśleliśmy, że uzyskał zgodę siostry. Jest nieletnia, więc teoretycznie nie ma prawa głosu, lecz mamy zasadę, że na odłączenie respiratora muszą przystać wszyscy członkowie rodziny. Gdy prawniczka zrozumiała, że tak nie jest, poszła porozmawiać z dziewczyną.
– Gdzie pani wówczas była?
– Siedziałam przy respiratorze. – Unosi głowę. – Niekoniecznie zgadzam się z decyzjami podejmowanymi przez niektóre rodziny, ale muszę robić, co mi każą.
– Co robił syn pana Warrena?
– Czekał – oznajmia. – Z nami wszystkimi. Nie odzywał się. Łatwo sobie wyobrazić, że były to dla niego ciężkie chwile.
– A potem?
– Dziewczyna wpadła jak huragan. I zanim się obejrzałam, syn pchnął mnie na bok i wyciągnął wtyczkę.
– Co powiedział?
– Nic. – Maureen wzrusza ramionami. – To się stało błyskawicznie.
– Nie powiedział „Zdychaj, draniu”?
Prycha.
– Chyba zapamiętałabym coś takiego.
– Może nie usłyszała pani, bo panią popchnął?
– Nadwerężył mi biodro, nie uszy – odpowiada. – Muszę wracać do pracy. Poza tym mówiłam już to wszystko mojemu bratu w zeszłym tygodniu.
– Bratu?
– Tak. – Przewraca oczami. – Danny’emu Boyle’owi? Temu, który pana przysłał?
Słyszę, że Danny Boyle jest zajęty i muszę się umówić na spotkanie.
– Ależ mnie przyjmie – nalegam, po czym mijam sekretarkę i zaglądam do kolejnych pomieszczeń w poszukiwaniu sali konferencyjnej. Boyle siedzi naprzeciwko prawnika z klientem i na mój widok mało nie wychodzi z siebie.

– Jestem trochę zajęty – mówi z naciskiem.
Przybiega sekretarka.
– Próbowałam go zatrzymać, ale...
Uśmiecham się dobronudsznie.
– Radziłbym mnie wysłuchać, dla własnego dobra – oświadczam. – Zwłaszcza że pojedę stąd prosto do gazet.
Boyle spłaszczu usta w kurczowy uśmiech.
– Państwo wybaczą na chwilę – zwraca się do klienta i przechodzimy do jego gabinetu. Odprawia sekretarkę i zamyka za nami drzwi. – Lepiej się postaraj, Ng, bo osobiście zadbam o to, żebyś dostał nagane, jeśli...
– Nieźle wdepnąłeś, Danny – wpadam mu w słowo. – „Zdychaj, draniu”? Serio?
Wzrusza ramionami.
– Tak mi powiedziała. Zeznawała pod przysięgą.
– Powiem ci tak: rozmawiałeś ze swoją siostrą i doskonale wiesz, że Edward tego nie mówił. Rozmyślnie przyzwoliłeś na krzywoprzysięstwo w obecności ławy. Myślisz, że ta sprawa przyniesie ci rozgłos i stołek, ale większość ludzi w hrabstwie woli prokuratora o nieposzlakowanej opinii od kłamliwego szczura, który nagina prawo dla własnej korzyści politycznej.
– Ta dziewczyna przyszła do mnie – podkreśla Boyle. – A nie na odwrót. Nie moja wina, że kłamie.
Podchodzę bliżej i dźgam go palcem w pierś, chociaż jestem o dobrą głowę niższy.
– Słyszałeś kiedyś o należytej staranności, Danny? Rozmawiałeś z lekarzami Luke’a Warrena, czy Cara zdaje sobie sprawę z jego rokowań? Czy pytałeś świadków zdarzenia – oczywiście nie mam na myśli twoich krewnych – o ewentualne pobudki Edwarda? Czy może postanowiłeś uwierzyć na słowo zrozpaczonej siedemnastolatce, chcącej utrzymać ojca przy życiu za wszelką cenę?
Wyciągam z kieszeni telefon.
– Jak wolisz, mogę zadzwonić do „Union Leader” i jutro będziesz na pierwszej stronie. – Siadam na jego fotelu przy biurku. – Posiedzę tutaj, dopóki czegoś nie zrobisz.
Rzuca mi mordercze spojrzenie, a następnie podchodzi do biurka i wykręca numer. Ku mojemu zdumieniu, z głośnika nie płynie głos redaktora naczelnego największego dziennika w New Hampshire, lecz osoby dobrze mi znanej.
– Caro – mówi Boyle. – Mówi Daniel Boyle.
– Coś się stało? – pada odpowiedź.
– Nie... chciałbym ci tylko zadać ważne pytanie.
Chwila ciszy.
– Uhm. Słucham.
– Czy okłamałaś sąd przysięgłych?
Cara pospiesznie wyrzuca słowa.
– Przecież mówił pan, że mają uwierzyć w premedytację Edwarda, i że chciał zabić ojca, więc zrobiłam, co musiałam. Nie skłamałam, tylko zeznałam to, co pan kazał.
Boyle robi się szary jak papier. Coś pięknego.
– Nie kazałem ci nic mówić. Zeznawałaś pod przysięgą...
– W zasadzie nie. Prawą rękę mam na temblaku.
– A zatem przyznajesz, że twój brat nigdy nie wypowiedział pod adresem ojca słów „Zdychaj, draniu”?
Cara zwleka z odpowiedzią.

– Nawet jeśli – mamrocze – wiem, że tak pomyślał.
Rozpieram się na fotelu i kładę nogi na biurku Boyle’a.
– Walczy pan w imieniu ludzi, których nawet pan nie zna; mówimy o życiu mojego ojca – dodaje Cara. – Niech pan sobie wyobrazi, jak ja się czułam. Nie miałam wyboru.

Boyle na chwilę przymyka oczy.

– Otóż to, Caro. Postawiono zarzut w oparciu o fałszywe przesłanki. Nigdy nie brałem i nie wezmę udziału w oszustwie... i nie pochwalam krzywoprzysięstwa – zaznacza. – Źle mnie zrozumiałaś. Biorę poprawkę na twoje zdenerwowanie, zapewne nie byłaś sobą, lecz wycofam zarzut, by oszczędzić nam obojgu dalszych przykrości.

– Chwileczkę! – woła Cara. – I co ja mam teraz zrobić w związku z ojcem?

– To sprawa cywilna – ucina Boyle i przerywa połączenie.

Opuszczam nogi na podłogę.

– Ponieważ jesteś zajęty, masz czas do wieczora na przesłanie mi fotokopii oddalenia wniosku. I jeszcze jedno... – Mijam go z szerokim uśmiechem. – Niech twoja siostra wycofa skargę przeciwko Edwardowi.

Gdy poznałem Carę, była wściekłą na cały świat dwunastolatką. Rodzice się rozwiedli, brat uciekł, a mama spotykała się z facetem bez samogłosek w nazwisku, którego nie dało się wymówić. Dlatego zrobiłem coś, co na moim miejscu zrobiłby każdy mężczyzna: przyszedłem uzbrojony w prezenty. Nakupowałem jej rzeczy, które w moim mniemaniu ucieszyłyby każdą dwunastolatkę: plakat Taylora Lautnera, płytę Miley Cyrus i lakier do paznokci świecący w ciemnościach.

– Nie mogę się doczekać kolejnej części sagi *Zmierzch* – paplałem, ofiarowując jej to w obecności Georgie. – Moja ulubiona piosenka to *If we were a movie*. Omal nie wybrałem lakieru z brokatem, ale sprzedawczyni powiedziała, że ten jest fajniejszy, zwłaszcza że idzie Halloween.

Cara popatrzyła na matkę i rzekła bez mrugnięcia okiem: „Twój chłopak jest gejem”.

Po tym incydencie ulatniała się, ilekroć odwiedzałem Georgie lub po nią przychodziłem. Ale kiedy Georgie i ja postanowiliśmy się pobrać, uznałem, że wypadałoby dotrzeć do jej córki. Dlatego któregoś dnia sprezentowałem Georgie serię zabiegów u kosmetyczki, po czym wysprzątałem kuchnię i przystąpiłem do gotowania kambodżańskiej potrawy, którą dawniej przyrządzała dla mnie matka.

Powiedzmy, że jeśli nie znasz *prahoka*, to może lepiej niech tak zostanie. Jest podstawą diety kambodżańskiej oraz jednym ze specjałów kuchni regionalnej często niezrozumiałych dla outsiderów, jak flaki lub czernina. Moja matka używała jej jako sosu, lecz tamtego dnia smażyłem na niej liście bananowca.

Nie minęło wiele czasu, jak w kuchni zjawiała się Cara, rozczochrana i w piżamie, z oczami jeszcze zapuchniętymi od snu.

– Coś tu zdechło? – spytała.

– Przedstawiam ci – oznajmiłem – wyborny kambodżański posiłek własnej roboty.

Uniosła brew.

– Hm, wali jak spod pachy.

– To zapach sfermentowanej pasty rybnej. Za to durian faktycznie wali jak spod pachy – przyznałem. – To nasz rodzimy owoc. Ciekawe, czy mają go w spożywczym.

Cara wzdrygnęła się teatralnie.

– Uhm. W dziale zepsutych ryb.

– W pewnych rzeczach trzeba się rozsmakować – skwitowałem.

Miałem na myśli *prahok*, ale i własną osobę. Niewykluczone, że jako ojczym i partner jej

matki stanowiłem dodatek do rodziny, do którego przekona się z czasem.

– Spróbuj – namawiałem.

– Wolę umrzeć.

– Bałem się, że to powiesz – odparłem. – Dlatego przygotowałem też to. – Otworzywszy wok, nałożyłem jej trochę *mee kola*, potrawy z makaronem, której nie oprze się żadne dziecko.

Skubnęła rozdrobnione orzeszki ziemne na wierzchu i wpakowała palec w sos.

– Znośne – przyznała. I pożarła trzy pełne michy, podczas gdy siedziałem naprzeciw ze wzgardzonym *prahokiem*. W czasie posiłku zadawałem jej pytania – ostrożnie, jak podchodzę do świadków po ciężkich przeżyciach. Opowiadała mi, że rówieśnicy chcą zaprzyjaźnić się z nią tylko z powodu sławnego taty, i że łatwiej być samemu, niż zachodzić w głowę, czy ktoś dzieli się z tobą ciastkami z czystej sympatii, czy może nie. Opowiadała o nauczycielce, która pomyliła się przy układaniu testu i z uporem zaniżała uczniom oceny, zamiast się przyznać do błędu. Wyznała, że marzy o komórce, ale mama twierdzi, że jest za młoda. Twierdziła, że bracia Jonas to kosmici przysłani na Ziemię w celu zbadania ludzkich reakcji. I że lody są jej obojętne, ale gdyby wycofano twizzlery³, poszłaby się powiesić.

Wyszła z kuchni w przekonaniu, że zjadła śniadanie. Lecz ja, myjąc naczynia, wiedziałem, że lody zostały przełamane.

Gdy po ślubie wprowadziliśmy się do nowego domu, w niedzielne poranki wstawałem i zaczynałem pichcić. *Amok trei, ka tieu*. Robiłem desery w rodzaju *sankya lapov* i *ansom chek*. Georgie smacznie spała, ale Cara wstawała i dreptała do kuchni. Rozmawialiśmy, kiedy pomagała mi, krojąc papaję, imbir bądź ogórki. Następnie siadaliśmy przy stole i pochłanialiśmy nasze dzieło. W miarę gdy dorastała, nasze dyskusje uległy zmianie. Czasem narzekała na karę wymierzoną przez Georgie, w nadziei, że się za nią wstawię. Czasem kierowała rozmowę na mnie – wpytując, jak to jest być Amerykaninem pierwszego pokolenia, skąd wiedziałem, że chcę zostać prawnikiem, i czy denerwuję się narodzinami bliźniaków. Po przyjsciu na świat dzieci, a nawet gdy wyprowadziła się już do ojca, zawsze stawiałem dla niej nakrycie w niedzielne poranki.

I dlatego po powrocie do domu, kiedy opowiadam Georgie, co się stało, zaczynam gotować. Dawno nie byłem w azjatyckim sklepie, więc muszę poprzestać na tym, co mamy w lodówce.

– A więc jest wolny? – upewnia się Georgie. – Naprawdę wolny?

– Owszem – potwierdzam, przeczesując czeluści lodówki. – Mamy mięso na gulasz?

Nagle czuję na karku ręce żony, która przysuwa się, żeby mnie pocałować.

– Kocham cię – mówi, przywierając ustami do moich ust. – Mój bohater.

Mocno ją obejmuję i całuję, jakbym robił to po raz ostatni w życiu. Chciałbym nazwać się optymistą, ale czekam, aż coś gruchnie i Georgie oznajmi, że popełniła błąd i odchodzi. Gdy wszystko układa się po mojej myśli, muszę wierzyć, że dobra passa wkrótce się skończy.

Zwłaszcza że muszę wytłumaczyć jej, skąd w ogóle wziął się zarzut morderstwa.

– Georgie – zagajam – to Cara zeznawała przeciwko Edwardowi.

Potrząsa głową, jakby chcąc ją przewietrzyć.

– Bzdura. Cały czas była tutaj albo w szpitalu, nie stawiała się przed sądem przysięgłych.

– Ty zawiozłaś ją do szpitala?

– Nie, ale...

– No to skąd wiesz, że tam była?

Georgie zaciska usta.

– Nie zrobiłaby tego bratu.

– Owszem, gdyby mogła dzięki temu ocalić ojca – zaznaczam.

I tu ją mam: jeśli Luke Warren imponuje większości ludzi, którzy go znają, w oczach córki jest bez mała półbogiem.

– Ja ją zabiję – oznajmia spokojnie Georgie. – A potem spytam, co sobie wyobrażała.

– Zmieniłbym kolejność – podsuwam. Nalewam olej do woka, zwiększam płomień, by następnie z sykiem dorzucić kostki wołowiny oraz warzywa. Kuchnia wypełnia się aromatem cebuli i papryki.

Siada na stołku, pocierając skronie.

– Czy Edward wie?

– O czym niby miałby wiedzieć? – Zmartwiała Cara staje w drzwiach. – Coś z tatą?

Georgie patrzy na nią z zaciętą miną.

– Nawet nie wiem, co mam ci powiedzieć. Czy wiesz, jak czułabyś się po stracie ojca?

Jakbyś utraciła część siebie? Czulałam się tak, odkąd twój brat wyjechał z domu. Teraz wrócił, a ty chcesz go pogrążyć fałszywym oskarżeniem?

Cara robi się czerwona jak burak.

– On zaczął – rzuca.

– Ile ty masz lat, siedem? Nie chodzi o to, kto stłukł lampę! – krzyczy Georgie.

– Zabiłby tatę, gdybym nie zdążyła go powstrzymać – odpowiada Cara. – Mam siedemnaście lat i trzy czwarte, a nikogo to nie obchodzi – dodaje. – Odmawiacie mi prawa głosu. Powiedz mi, co innego mogłam zrobić, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Może dla odmiany zachowywać się jak dorosła, a nie obrażony bachor – ucina Georgie.

– Wtedy ludzie zaczną traktować cię poważnie.

– Krytykujesz moje postępowanie? – Cara śmieje się z niedowierzaniem. – Wiesz, co ja widzę? Widzę Edwarda, od sześciu lat wściekłego na tatę. Widzę lekarzy, którzy z ochotą zwolniliby łóżko dla pacjenta, płacącego za leczenie. I widzę, że w głębi duszy wolałabyś, żebym to ja znikła, nie on. – Wierzchem zdrowej ręki wyciera oczy. – A wiesz, czego nie widzę? Nie widzę nikogo, kto przejmowałby się mną lub ojcem.

– Naprawdę myślisz, że cię nie kocham? Ani Luke'a, skoro już o tym mowa?

To silniejsze ode mnie: wzdrygam się, krojąc sałatę i pomidory.

– Masz swoją idealną rodzinę – mówi z goryczą Cara. – Będę tu, póki nie wyciągniesz wtyczki, co?

Georgie odwraca się z impetem.

– To niesprawiedliwe – oświadcza. – Nigdy nie wybrałabym między tobą a bliźniętami.

– Ale wybrałaś Edwarda – kwituje beznamyślnie Cara. – W szpitalu posłałaś za nim.

Tłumaczyłaś jego postępek. Załatwiłaś mu prawnika.

– Ja go kocham, Caro. Robiłam, co musiałam.

Cara staje z założonymi rękami.

– Ja też robię, co muszę. Dla taty.

Zapada długie milczenie. Wreszcie Georgie podchodzi do Cary i odgarnia jej włosy z oczu.

– Nie tłumaczę postępku twojego brata ani nie kocham go bardziej niż ciebie. Ale Edward nie chce zabić ojca. Chce pozwolić mu umrzeć. To zasadnicza różnica, Caro, nawet jeśli jej nie dostrzegasz.

Wychodzi z kuchni, a Cara siada z rozmachem na stołku i zasłania ręką twarz.

– Nie chciałam jej denerwować.

Stawiam przed nią talerz z *loc lac*.

– Widać masz taki dar.

– Zawieziesz mnie do szpitala?

– Nie. Muszę porozmawiać z moim klientem. Jeśli chcesz odwiedzić ojca, musisz wznowić stosunki dyplomatyczne z matką.

– Ekstra – mamrocze. Wreszcie patrzy na mnie. – Edward wie, co zrobiłam?

– Owszem. – Podpieram się na łokciach naprzeciw niej. – Słyszał twoje zeznanie.

– Pewnie chce mnie zabić.

– Na twoim miejscu nie nadużywałbym tego słowa – ostrzegam. – Jeszcze sama wylądujesz w więzieniu. Za krzywoprzysięstwo.

– Nie dopuściłabym, żeby naprawdę poszedł siedzieć. Gdyby przyszło co do czego, powiedziałabym prawdę.

– Niestety, prawo nie ulega kaprysom siedemnastolatek. Nie miałabyś żadnego wpływu na wyrok.

Krzywi się z niechęcią.

– Nie chciałam kłamać. Tak mi się wymknęło.

– Jak wtedy, kiedy nie przyznałaś się do picia na balandze?

Podnosi na mnie wzrok. W szeroko otwartych oczach dryfują tajemnice jak ryby w mrocznych odmętach stawu.

– Tak – przyznaje.

– I nie tylko? – naciskam.

W milczeniu potrząsa głową.

Liczę, że kambodżański posiłek znów rozwiąże jej język. Mam nadzieję, że ponieważ nie należę do wszechświata tej rodziny, będąc jedynie jej satelitą, łatwiej skłonię ją do zwierzeń. Lecz nagle trzaskają drzwi i w korytarzu rozlega się szczebiot bliźniąt.

– Tatusiu! Tatusiu! – woła Elizabeth. – Narysowałam ci syrenkę!

– Rozwiążę ci bucik, Jackson – mówi Georgie. Nadal głos jej drży, ale ona pewnie cieszy się z chwilowego odwrócenia uwagi w postaci pulchnych rączek na szyi i zapachu dziecięcej skóry. Po chwili bliźnięta wpadają do kuchni i przywierają jak rzepy do moich nóg. Elizabeth pokazuje jeszcze mokry obrazek, farba spływa jej po dłoniach.

– Śliczna syrenka – chwalę. – Prawda, Caro?

Ale stółek jest pusty, a talerz z parującym *loc lac* stoi nietknięty – pierwsze kambodżańskie danie, którego nawet nie spróbowała.

Ależ człowiek potrafi zniknąć niepostrzeżenie.

I myślę o jej ojcu.

*** Później tego samego dnia dostaję esemesa od Danny'ego Boyle'a. Bez tekstu, tylko potwierdzenie wycofania skargi.

Jadę do dawnego domu Georgie. Edward otwiera mi drzwi, ubrany w koszulkę miejscowego liceum i wyświechtane spodnie dresowe.

– Zachował moje ubrania – oznajmia. – Były w kartonie na strychu. Myślisz, że to coś znaczy?

– Myślę, że za dużo myślisz – ucinam. Podaję mu paszport. – Gratulacje, odzyskujesz swoje życie.

– Nie rozumiem.

– Skargę oddalono, warunki zwolnienia zostały zniesione. Możesz jechać do szpitala i odwiedzić ojca, możesz wrócić do Tajlandii i robić, co ci się żywnie podoba. Jak gdyby nigdy nic.

Edward zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku.

– Brak mi słów, Joe. Na serio. To, co dla mnie zrobiłeś.

– Zrobiłem dla twojej mamy – kwituję. – Dlatego zrób coś dla mnie i weź pod uwagę jej

uczucia, kiedy znów dasz nogę.

Edward wbija wzrok w podłogę i kiwa głową.

– Wpadniesz do nas? Pogadałbyś z matką. Byłaby zachwycona.

– Zajrzę do szpitala – odpowiada Edward. – Sprawdzę, czy coś się zmieniło.

Zbieram się do wyjścia, gdy nagle słychać dzwonek do drzwi. Idę za nim do sieni.

W progu stoi mężczyzna w skórzanej kurtce i wełnianej czapce na głowie.

– Przepraszam za najście – mówi. – Szukam Edwarda Warrena.

– To ja – odpowiada Edward.

Mężczyzna podaje mu małą, niebieską kopertę.

– Wiadomość dostarczona – mówi, po czym uśmiecha się i odchodzi.

Edward wyjmuje ze środka dokumenty. „W sprawie Luke’a Warrena”, czytam napis na wierzchu.

– A to co znowu? – pyta Edward.

Biorę od niego papiery i rzucam na nie okiem.

– To z sądu – informuję. – Wyznaczono tymczasowego pełnomocnika twojego ojca; w czwartek odbędzie się przesłuchanie w celu ustalenia, kto powinien nim być na stałe.

– Przecież jestem jego synem – oponuje Edward. – Cara jest nieletnia.

– Niewykluczone, że w świetle ostatnich... okoliczności sędzia udzieli stałego pełnomocnictwa osobie wyznaczonej tymczasowo. – Patrzę na Edwarda. – Innymi słowy, nie wezmą pod uwagę ani ciebie, ani Cary.

Edward z trudem panuje nad sobą.

– Obcego człowieka? To wariactwo. Tak robi się z braku laku. Na miłość boską, podpisałem list, w którym ojciec wyznacza mnie na swojego pełnomocnika.

– Dlatego bądź miły, kiedy ta kobieta przyjdzie na rozmowę – proponuję. – Bo jestem prawie pewien, że Cara też dostała ten świstek i stanie na głowie, żeby ją do siebie przekonać.

W ośrodku kuratorskim obowiązuje procedura niepodobna do żadnej innej sprawy cywilnej. Chcąc wyznaczyć dla kogoś kuratora, powód musi udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że osoba ta jest nieodwracalnie upośledzona. Innymi słowy, by odebrać komuś prawa cywilne i obywatelskie, należy mieć ku temu dobre podstawy.

– Edwardzie – mówię. – Czas, żebyś mi pokazał ten list.

LUKE

Lata po powrocie z lasu, kiedy pracowałem z ukraińskimi rolnikami, ucząc ich, jak odstraszyć wilki od ziemi i bydła, zaobserwowałem rzecz niezwykłą. Istniała wataha, której młode zostały rozdzielone przez biologów. Jedno posłano w jedną, drugie w przeciwną stronę. Po latach utworzyły konkurencyjne stada i któregoś dnia byłem świadkiem ich spotkania na granicy obu terytoriów. Stały ze swoimi współbraćmi i zjeżone szczyrzyły kły.

Na swój widok brat i siostra wbiegli na pasmo ziemi niczyjej pomiędzy i przywitali się, tarzając w trawie, ucieszeni swoim widokiem.

Przestały, dopiero kiedy jeden ze starszych wilków przypomniał im, kim są obecnie.

I skoczyły sobie do gardeł, jakby widziały się po raz pierwszy w życiu.

GEORGIE

Nie wypada mówić, że jedno dziecko kochasz bardziej niż pozostałe. Kocham wszystkie moje dzieci, kropka.

I każde na swój sposób faworyzuję. Lecz zapytajcie rodzica, który doświadczył jakiegoś kryzysu związanego z dzieckiem – problemów zdrowotnych, egzaminów na studia, huśtawek emocjonalnych – a powie wam prawdę. Gdy coś zakłóca balans – kiedy jedno dziecko potrzebuje was bardziej niż reszta – ten brak równowagi staje się czarną dziurą. Za nic nie przyznacie się do tego, że najukochańsze jest to, które potrzebuje was bardziej rozpaczliwie niż rodzeństwo. Mamy nadzieję, że każde dziecko otrzyma to, co mu się należy. I że starczy nam zasobów dla każdego z osobna, w chwili kiedy zajdzie taka potrzeba.

Wszystko bierze w łeb, kiedy dzieci skaczą sobie do oczu i każde chce przeciągnąć cię na swoją stronę.

Latami po odejściu Edwarda budziłam się w środku nocy, snując najgorsze wizje tego, co mogło spotkać go w dalekim kraju. Wyobrażałam sobie aresztowania za narkotyki, deportacje, gwałty w ciemnych zaułkach. Stawał mi przed oczami obrabowany i pobity do nieprzytomności, zakrwawiony, pozostawiony samemu sobie. Jak w przypadku wyrwanego zęba, brak doskwiera mocniej niż obecność, więc zamartwiałam się o niego bardziej niż wówczas, gdy miałam go na wyciągnięcie ręki. Kochałam go w nadziei, że moc tej miłości sprowadzi go do mnie z powrotem.

Tymczasem Cara obwiniała mnie za rozwód, kiedy Luke wyprowadził się na dobre; nie mogła mi darować, że naszą starą, zepsutą rodzinę zastąpiłam nową, jak spod igły. Niekiedy ma rację, przyznaję. Gdy jestem z bliźniętami, nie mogę oprzeć się myśli, że to moja druga szansa i może zdołam złączyć je ze sobą bardziej aniżeli dwójkę moich starszych dzieci.

Jestem przed domem, pilnując dzieci, które bawią się w śnieżnej forticy, wzniesionej przed dwoma tygodniami – przed wypadkiem i powrotem Edwarda, zanim musiałam opowiedzieć się po czyjejś stronie. Po konfrontacji z Carą to wielka ulga siedzieć na ganku i słuchać Elizabeth i Jacksona, którzy udają, że zamieszkują lodowy pałac, a sople to czarodziejskie amulety. W tej chwili dałabym wszystko, by zastąpić marzeniami rzeczywistość.

Na dźwięk nadjeżdżającego samochodu podnoszę się i staję między ulicą i bliźniętami, jak gdyby to mogło je ochronić. Wychylają główki przez okna swojego małego igloo, gdy nieznajomy opuszcza szybę.

– Witam – mówi. – Szukam Georgiany Ng.

– To ja – odpowiadam. Zastanawiam się, czy Joe przysłał mi kwiaty; czasami to robi – nie w ramach przeprosin za zapomnianą rocznicę lub urodziny, jak Luke, tylko po prostu.

– To świetnie. – Mężczyzna podaje mi niebieską kopertę z urzędowym zawiadomieniem i wyjeżdża tyłem z podjazdu.

Joe nie musi mi nic tłumaczyć: to petycja o wyznaczenie stałego pełnomocnika dla Luke'a. Trafia do moich rąk, gdyż Cara, której dotyczy, jest niepełnoletnia. I dlatego wszystko sprysnęło się przeciwko niej.

– Hej, dzieciaki – wołam. – Pora na gorącą czekoladę! – Bliźnięta nie chcą jeszcze wracać, ale muszę porozmawiać z Carą. Przystaję więc na dodatkowe pół godziny przed telewizorem, następnie włączam im kreskówkę i idę na górę.

Cara siedzi przy biurku, ogląda na YouTube film, w którym jej ojciec w asyście dwóch wilków pochyla się nad truchłem upolowanego zwierzęcia, zjadając ze smakiem. Pewnie zamieścił go jakiś turysta; starczy wrzucić w wyszukiwarkę nazwisko Luke'a, a wyskoczą ich setki. Widok dorosłego mężczyzny między kłapiącymi szczękami dzikich bestii chyba nigdy nie

traci uroku nowości. Ciekawe, co powiedzieliby ci wszyscy dokumentarzyści amatorzy na wieść, iż po surowych cielęcych wnętrznościach Luke nabawił się takiego rozwolnienia, że odtąd kazał je Walterowi najpierw obsmażać, po czym upychać z powrotem w brzuchach w woreczkach foliowych. Wilki się nie połapały – sądziły, że je przypisaną dla siebie porcję cielaka – za to układ pokarmowy Luke’a odetchnął z ulgą.

Bez względu na to, jak bardzo chciał uchodzić za wilka, ciało odmawiało mu posłuszeństwa.

Na mój widok Cara odwraca się na krześle. Ma niepewną minę.

– Przepraszam za wychodzenie bez pozwolenia – zaczyna. – Ale gdybym powiedziała ci, gdzie chcę iść, nigdy byś mnie nie puściła.

Przysiadam na łóżku.

– Przeprasiny z zastrzeżeniem trudno nazwać przeprosinami – zauważam. – Ale wybaczam ci, bo wiem, jak to przeżywałaś. Trudniej wybaczyć to, co mówiłaś na dole. Między tobą i bratem nie ma rywalizacji. Między tobą i bliźniętami też nie.

Cara odwraca wzrok.

– Trudno rywalizować ze zbolałym uciekinierem lub słodkimi berbeciami.

– Nie ma żadnej rywalizacji, Caro – powtarzam z naciskiem. – Bo nie zamieniłabym cię na nic. I nikt nie pobije cię w byciu tobą, bo nie masz sobie równych.

Przygryza kciuk.

– Po wyjeździe Edwarda przychodziłaś do mnie w nocy i tuliłaś się do moich pleców. Myślałaś, że śpię, ale ja wiedziałam – mówi. – Wszystko bym oddała, by został tam, gdzie jest, i żeby to trwało. Byłyśmy we dwie, ale wszystko skończyło się z dnia na dzień. – Przęłyka ślinę. – Najpierw odszedł Edward, a potem ty. Przez długi czas byliśmy tylko ja z tatą.

Może sobie myśleć, że nie kocham jej tak jak brata, lecz faworyzują nie tylko rodzice. Zarówno Cara, jak i Edward bardziej kochali Luke’a. Jakżeby inaczej, skoro to on zabierał ich do lasu na podchody, uczył rozpoznawać jadalną koniczynę i kładł im na kolanach małe wilczki. Ja tylko kazałam sprzątać i jeść brokuły.

Chcę jej dosięgnąć, lecz mur, który wzniosła między nami, jest gruby i niewidzialny.

– Czy wiesz, że na wieść o drugiej ciąży wybuchnęłam płaczem?

Szczęka jej opada, jakby spodziewała się tego wyznania, ale nie sądziła, że zdobędę się na odwagę.

– Nie myślałam, że zdołam pokochać drugie dziecko tak jak pierwsze – ciągnę. – Lecz gdy po raz pierwszy wzięłam cię na ręce, stało się coś dziwnego. Poczulałam się tak, jakby moje serce nagle stanęło otworem. Jakby kryło w sobie sekretną przestrzeń, której istnienia nie podejrzewałam, i starczyło miejsca na was oboje. – Patrzę na nią. – I nie było odwrotu. Bez ciebie zrobiłoby się pusto.

Cara pochyla się naprzód, włosy zasłaniają jej twarz.

– Czasem trudno mi w to uwierzyć.

– Nie wybieram Edwarda. Wybieram was oboje. I dlatego daję ci to. – Wręczam jej dokument z sądu. – W czwartek sąd wyznaczy kuratora twojego ojca.

Cara wytrzeszcza oczy.

– I lekarze będą musieli go słuchać?

Przytakuję.

– List przyszedł do ciebie, bo jesteś moim opiekunem prawnym.

– Tak mi się zdaje. I zakładam, że Edward też go dostał.

Wstaje tak szybko, że krzesło odjeżdża do tyłu.

– Mają wybrać ciebie – oznajmia. – Musisz znaleźć prawnika.

Powstrzymuję ją ruchem dłoni.

– Nie zamierzam znów angażować się w życie twojego ojca, Caro. – Ani w śmierć, uzupełniam w duchu.

– Tylko przez trzy miesiące, dopóki nie skończę osiemnastu lat – błaga. – Masz tylko mówić to co ja, a lekarze będą cię słuchać. Kto wie, może nawet tata zdąży wyzdrowieć.

– Wiem, jak bardzo go kochasz, skarbie, ale wołałabym nie. Twój ojciec to jazda bez trzymanki, nie mam już siły na tyle wrażeń.

– Ty nie rozumiesz – nalega Cara. – Nie mogę go stracić.

– Ależ rozumiem – zapewniam łagodnie. – Kiedyś czułam dokładnie to samo. Ze świecą szukać drugiego takiego jak on. Ale musiałam pamiętać, że przestał być człowiekiem, w którym się zakochałam. Dokonał wielu niewłaściwych wyborów.

Cara podnosi wzrok; w suchych oczach maluje się determinacja.

– Tego nie wybrał – kwituje. – Może ciebie zostawił, mamó, ale mnie nie zostawiłby przynigdy.

Jej słowa niosą mnie wstecz. Jestem w ciąży z Carą, leżę w objęciach Luke'a. *Wadera może mieć ciężą urojoną*, mówi.

Dam głowę, że ta jest prawdziwa, zapewniam, obracając się nieco w nadziei na znalezienie wygodniejszej pozycji dla mojego balastu. *Kto chciałby markować coś takiego?*

Każdy wilk pokazuje się od jak najlepszej strony. Oferuje się do opieki nad młodymi lub udowadnia przed waderą, że wciąż robi to, co do niego należy, w celu zapewnienia bezpieczeństwa stadu. A gdy wadera przekabaci już wszystkich według swojego kaprysu, wyłącza hormony, które były w jej moczu, i mówi: „Tu was mam”.

Nieźle, odpowiadam.

Zakrywa dłońmi mój brzuch. *To jeszcze nic. Na cztery lub pięć miesięcy przed ciążą wie, ile urodzi młodych, zna ich pleć i potrafi przewidzieć, czy zostaną w stadzie, czy utworzą nowe, dodaje.*

Parskam śmiechem. *Chciałabym tylko wiedzieć, czy kupować różowe, czy niebieskie ubranka.*

To niesamowite, szepcze Luke. *Dzieci należą do rodziny, zanim jeszcze zostaną poczęte.*

Wiem, że Cara ma rację. Może i był niepoprawnym egoistą i fatalnym mężem, ale swoje dzieci kochał nad życie. Okazywał to w jedyny sposób, w jaki potrafił: wprowadzając je w świat, bez którego nie mógł żyć. Edward nie umiał się w nim odnaleźć. Cara była w swoim żywiole.

Broniłam Edwarda, kiedy potrzebował obrony; dla niej zrobię to samo. Nie zostanę pełnomocnikiem jej ojca, co nie znaczy, że nie mogę jej pomóc. Z werwą podnoszę się z miejsca.

– Czekam w samochodzie. Pojedziemy z bliźniętami, ale może zasną po drodze.

– Dokąd? – pyta Cara.

– Na poszukiwanie Danny'ego Boyle'a – odpowiadam. – Znajdzie dla ciebie prawnika.

Prokuratora powiatowego nie ma, lecz jak się okazuje, wystarczy pociągnąć za sznurki i zasięgnąć języka. Jeden telefon do dawnej koleżanki z pracy i dowiaduję się o konferencji prasowej w Beresford Grange Hall. Próba morderstwa w małym miasteczku w Nowej Anglii – choćby rzekoma – zakrawa na sensację i jest łakomym kąskiem dla żadnego uwagi prokuratora.

Kiedy przyjeżdżamy na miejsce, konferencja trwa w najlepsze. Bliźnięta zasnęły w samochodzie i obie tulimy jeden, wilgotny, ciepłutki balast w objęciach. Wśród tłumu dziennikarzy i kamerzystów rzucając się w oczy, więc choć trzymamy się na uboczu, wcale nie dziwi mnie, że Boyle zauważa Carę i na chwilę lekko traci wątek.

– Uważam się za bojownika sprawiedliwości – oznajmia. – I dlatego dołożę starań, aby nie wymknęła się spod kontroli. Dopóki mam tutaj coś do powiedzenia, nie staniemy się

społeczeństwem pieniaczy fingujących zarzuty w oparciu o fałszywe dowody.

I kto to mówi?

– A co z nieprzytomnym facetem od wilków? – woła jakiś dziennikarz i czuję, jak Cara wzdryga się obok mnie.

– Pamiętamy o nim i jego rodzinie w naszych modlitwach – oświadcza z powagą Boyle i unosi rękę. – Wybaczcie, moi drodzy, ale wystarczy na dzisiaj.

Przeciska się przez tłum w stronę Cary i łapie ją za ramię.

– Co cię tu przyniosło? – syczy.

– Jest pan moim dłużnikiem – odpowiada, zadzierając podbródek.

Boyle rozgląda się, czy nikt nie słyszy, po czym wlecze Carę do kuchni. Idę za nimi ze śpiącym Jacksonem w objęciach.

– Dłużnikiem? – pyta z niedowierzaniem Boyle. – Powinienem cię wsadzić za kratki. – Na mój widok marszczy brwi. – A to kto?

– Moja mama – odpowiada Cara.

Boyle nieco spuszcza z tonu. Bądź co bądź, należę do grona wyborców.

– Gdyby nie przekonanie, że nakręciłaś całą tę intrygę pod wpływem stresu, sam postawiłbym cię w stan oskarżenia. Nie jestem ci nic dłużny, jeszcze powinnaś mi dziękować.

– No cóż. – Cara nie traci pewności siebie. – Potrzebuję prawnika.

– Przecież powiedziałem, że sprawy cywilne to nie moja.

– Ojcu wyznaczono tymczasowego kuratora. Nawet nie wiem, kto to taki. Ale w czwartek mają wyznaczyć stałego i muszę przekonać sędziego, że jestem jedyną osobą, która chce utrzymać ojca przy życiu.

Jej postawa napędza mnie podziwem. Jest jak terier uwieszony nogawki listonosza. Małe toto, ale nie odpuści bez walki.

Boyle patrzy raz na nią, raz na mnie.

– Udała się pani córeczka, nie ma co.

I doznaję olśnienia. Już wiem, kogo Cara przypomina mi w tej chwili.

Mnie z dziennikarskich czasów, gdy rozmówca wykręca! się od odpowiedzi.

– Tak jest – potwierdzam. – Świetna, prawda?

Może Cara wolała zamieszkać z Lukiem zamiast ze mną i Joem. Może teraz chce poświęcić wszystko, aby mu zapewnić opiekę. Lecz na przekór jej wierności ojcu jest wykapaną córeczką mamusi.

Danny Boyle skrobie coś na odwrocie wizytówki.

– Kiedyś dla mnie pracowała, w tej chwili prowadzi kancelarię na pół etatu. Uprzedzę ją, że zadzwonicie. – Wręcza Carze wizytówkę. – I żebyś cię więcej nie widział – dodaje.

LUKE

W stadzie, gdzie bez przerwy sprawdza się wzajemny szacunek i dominację, panuje niezachwiana hierarchia. Gdy podchodzi do mnie wilk wyższy rangą, mam przesunąć broń – czyli zęby – horyzontalnie z prawa na lewo. Gdy z kolei ja przechodzę obok, powinienem unikać nadmiernego pośpiechu, bo zastygnie i wysunie głowę, trwając tak, póki nie stanę na ugiętych nogach. Z chwilą gdy na mnie spojrzy, nawiąże kontakt wzrokowy na znak przyzwolenia, mogę przysunąć się bliżej – lecz nawet wówczas mam przemknąć bokiem, odwrócić głowę i zęby na dowód, że nie stanowią zagrożenia.

Oczywiście początkowo o tym nie wiedziałem. Byłem tylko niemądrym człowiekiem z prawdziwym darem zapominania swojego miejsca w szeregu. Gdy po raz pierwszy spróbowałem się zbliżyć do bety bez oficjalnego zaproszenia, dał mi nauczkę. Znajdowaliśmy się na polanie i zaczęło padać – zaczynała paskudna, zimna mżawka. Beta miał szczęście przebywać pod najgęstsza osłoną drzew i uznałem, że zmieszczę się obok niego. I wraz z młodym samcem ruszyliśmy w tamtą stronę.

Beta zmrużył oczy i z jego gardła dobiegł głuchy charkot, ale nie załapałem. Gdy dzieliło nas mniej więcej pięć metrów, pokazał zęby. Młody natychmiast uskoczył w bok, lecz gdy ja nie zareagowałem, beta znów warknął, bardziej złowrogo.

Wciąż nie brałem tego za ostrzeżenie. Przecież to on pierwszy zbliżył się do mnie, zachęcił do wspólnej wędrówki z watahą, więc możecie sobie wyobrazić moją zgrozę, gdy naskoczył na mnie, kłapiąc zębami centymetry od mojej twarzy.

Ze strachu wrosłem w ziemię. Nie mogłem się ruszać ani oddychać. Beta chwycił mnie zębami, omiatając mi twarz oddechem. Gwałtownie obrócił moją głowę na lewo i w dół, ucząc prawidłowej reakcji. Następnie znów kłapnął, warknął głucho i obnażył zęby, po czym warknął ciszej w ramach kropki nad i...

Później tego samego dnia siedziałem z kolanami pod brodą, gdy znienacka doskoczył i złapał mnie za gardło od spodu. Czuję zęby zatopione w skórze i odruchowo przewróciłem się na plecy w geście całkowitego oddania. Zrozumiałem, że sprawdza, czy nie zapomniałem udzielonej nauki. Mocniej zacisnął zęby, aż oddech uwiązał mi w krtani. Wiesz, do czego jestem zdolny, mówił. Lecz nie zrobię ci nic więcej. Dlatego możesz mi ufać.

Najważniejszy wilk w stadzie to nie ten, który używa przemocy, lecz ten, który może, ale tego nie robi.

HELEN

To, że do pracy ubieram się wyłącznie w odcieniach szarości, ma wymiar metaforyczny, ale przede wszystkim oszczędza mi porannego dylematu, czy włożyć zieloną, czy może niebieską bluzkę, i czy przypadkiem nie jest zbyt jaskrawa jak dla kuratora z urzędu. Smutna prawda jest taka, że w sprawach osobistych bywam niezdecydowana aż do przesady, za to organizowanie życia innym idzie mi jak z płatka.

Biuro Kuratorów Publicznych w New Hampshire to organizacja non profit na usługach blisko tysiąca psychicznie chorych lub upośledzonych, cierpiących na alzheimera bądź w wyniku pourazowego uszkodzenia mózgu. Jesteśmy wyznaczani przez sędziów, którzy otrzymują prośby o kuratelę o charakterze czasowym lub stałym. Wczoraj szef dorzucił mi kolejną kartotekę na biurko. Nie po raz pierwszy wyznaczono mnie do tymczasowego pełnomocnictwa do osoby z urazem mózgu, ale to nietypowa sprawa. Przeważnie zwracają się do nas w przypadkach, gdy szpital nie może znaleźć osoby zdolnej lub skorej do podejmowania decyzji w imieniu chorego. Jednak z tego, co wyczytałam, w tym wypadku chętnych jest dwoje i sytuacja wymknęła się spod kontroli.

Jestem jedyną osobą w biurze, która nigdy nie słyszała o chorym, Luke'u Warrenie. Jest sławny, przynajmniej jak na przyrodnika. Miał program w telewizji kablowej, w którym pokazywał życie wilków, ale ja słucham tylko wiadomości i radia publicznego. To La-a (wymawiane „Ladasha”, co nasuwa mi refleksję, czy jest również zachwycona swoim mianem jak ja) przynosi mi książkę.

– Helen – mówi – pomyślałam, że ci się spodoba. Hank zapomniał ją zabrać, kiedy się wynosił, świnia.

Kto by pomyślał, że Luke Warren to nie tylko osobowość telewizyjna i badacz przyrody, ale również pisarz? Wodzę palcami po wypukłym tytule autobiografii. *Samotny wilk*, brzmi nagłówek. *Podróż w głąb kanadyjskiej puszczy*.

– Przejrzę i ci oddam – obiecuję.

La-a wzrusza ramionami.

– To Hanka. Jeśli o mnie chodzi, możesz ją spalić. – Muska okładkę, na której wilk liże Luke'a Warrena po twarzy. – Jakie to smutne. Pomyśleć, że można z tego... – przenosi dłoń na ciemną okładkę kartoteki – ...stać się tym.

Większość chorych, z którymi miałam do czynienia, nie wydawała autobiografii i nie miała na YouTube filmików z czasów swojej świetności. Tym łatwiej zyskać poczucie tego, kim był przed wypadkiem Luke Warren. Sięgam po książkę i czytam pierwszy akapit:

Bez przerwy zadają mi pytanie: Jak mogłeś tego dokonać? Jakim cudem porzuciłeś cywilizację i rodzinę w celu zamieszkania w kanadyjskiej puszczy z watahą dzikich wilków? Jak mogłeś wyrzec się prysznic, kawy, kontaktu z drugim człowiekiem, rozmowy, dwóch lat życia swoich dzieci?

Gdy zostaję czymś kuratorem, choćby tymczasowo, próbuję zgłębić tę osobę, odnaleźć łączące nas podobieństwo. Spytaście, co może łączyć z Lukiem Warrenem czterdziestoosmioletnią niezamężną kobietę z monochromatyczną garderobą i cichym głosem, lecz więź jest natychmiastowa i przesywa do głębi.

Luke Warren najchętniej zrzuciłby ludzką skórę i został wilkiem z prawdziwego zdarzenia.

Jak on, ja też od urodzenia marzę, aby być kimś innym, niż jestem.

Moja matka przysłała na świat jako Crystal Chandra Leer. Pracowała w klubie dla panów „Kici, kici” jako gwóźdź programu, aż do pewnej nocy suto zakrapianej tequilą, kiedy to barman

uwiódł ją na zapleczu na kartonach absoluta i jose cuervo. Gdy się urodziłam, był już wspomnieniem, i matka wychowała mnie sama, utrzymując się z organizowania domowych pokazów, z tym że zamiast garnków sprzedawała erotyczne gadzety. W przeciwieństwie do innych matek włosy miała tak tlenione, że bił od nich blask księżycowej poświaty. I każdy ciuch obszyty koronką. Nosiła wysokie obcasy, nawet w niedziele.

Koleżanki przestały mnie odwiedzać po tym, gdy chlapnęła kiedyś, iż w dzieciństwie cierpiałam na takie kolki, że uspokajał mnie jedynie wibrator pod kołderką. Począwszy od tamtej chwili obiecałam sobie stać się jej przeciwieństwem. Nie chciałam się malować i nosiłam bezkształtne sukienki w spranych kolorach. Ślęczałam nad książkami, więc skończyłam szkołę z najlepszym wynikiem w klasie. Nie umawiałam się z facetami. Nauczyciele, którzy spotykali matkę na konsultacjach, nie mogli uwierzyć w łączące nas pokrewieństwo, co wprawiało mnie w zachwyt.

Teraz matka mieszka w Scottsdale z mężem, emerytowanym ginekologiem, który kupił jej na Gwiazdkę różowy kabriolet z napisem 38DD na tablicy rejestracyjnej. Na ostatnie urodziny przysłała mi bon upominkowy z Sephory, a ja podarowałam go koleżance z okazji Dnia Sekretarki.

Na pewno nie chciała mi zrobić krzywdy, umieszczając na akcie urodzenia nazwisko biologicznego ojca. I z całą pewnością nie uważała, że w połączeniu z imieniem to jedynie urocza gra słów, a nie pseudonim artystyczny transseksualnej striptizerki.

Powiedzmy to sobie wprost: cokolwiek mówicie, kiedy się przedstawiam... już to słyszałam.

– Przyszłam do Luke’a Warrena – zwracam się do pielęgniarki w recepcji.

– Z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Helen Bedd⁴ – odpowiadam z godnością.

Posyła mi znaczący uśmiezek.

– Moje gratulacje, siostrze.

– Rozmawiałam wczoraj z jedną z pani koleżanek. Jestem kuratorem z urzędu. – Czekam, aż mnie odszuka na liście.

– Sala 12B, na lewo – informuje. – Chyba jest z nim syn.

Prawdę mówiąc, na to liczę.

Na wstępie uderza mnie fizyczne podobieństwo między ojcem i synem. Oczywiście mam na myśli Luke’a Warrena przed wypadkiem, jednak skulony na krześle młodzieniec stanowi wierną kopię mężczyzny z okładki książki, którą mam w torbie, nie licząc metroseksualnej fryzury.

– Edward, jak sądzę? – zagaduję na powitanie.

Mierzy mnie czujnym spojrzeniem przekrwionych oczu.

– Jeśli przysłał panią zarząd szpitala, nigdzie się stąd nie ruszę – oznajmia wojowniczo.

– Nie jestem z zarządu szpitala – wyjaśniam. – Nazywam się Helen Bedd i jestem tymczasowym kuratorem pańskiego ojca.

Jego twarz jest jak opera, począwszy od uwertury zdumienia, crescendo nieufności aż po arię olśnienia, że to ja w czwartek przedstawię sędziemu swoje wnioski. Podnosi się z wahaniem.

– Dzień dobry.

– Proszę wybaczyć, że zakłócam panu spokój – odpowiadam i po raz pierwszy tak naprawdę przyglądam się mężczyźnie na łóżku. Jest jak wszyscy chorzy, z którymi pracowałam: nieruchomy i pusty w środku. Jednak moje zadanie nie polega na postrzeganiu go takim, jaki jest teraz. Mam ustalić, jaki był, i myśleć na jego modłę. – Ale jeśli nie przeszkadzam, chętnie zamieniłabym z panem dwa słowa.

Edward marszczy brwi.

– Może powinienem zadzwonić do prawnika.

– Nie mam zamiaru dyskutować o incydentach ostatnich dni – zastrzegam. – To nie moja sprawa, jeśli to pana niepokoi. Interesuje mnie wyłącznie los pańskiego ojca.

Zerka na łóżko.

– Już się dokonał – mówi ściszym głosem. Za wezglowiem rozlega się pisk aparatury i pielęgniarka wchodzi opróżnić umieszczony z boku zbiornik z moczem. Edward odwraca oczy.

– Wie pan co, napiłabym się kawy.

Siadamy przy stoliku pod oknem w szpitalnej stołówce.

– Mogę sobie wyobrazić, jakie to dla pana trudne. Nie tylko z powodu tego, co spotkało pańskiego ojca. Bądź co bądź, przebywał pan z dala od domu.

Edward oplata palcami kubek.

– No cóż – przyznaje. – Nie sądziłem, że wrócę w takich okolicznościach.

– Kiedy pan wyjechał?

– Gdy miałem osiemnaście lat.

– Zachłysnął się pan dorosłością?

– Bynajmniej. Byłoby to do mnie niepodobne. Miałem świetne oceny, złożyłem podania na sześć uczelni i któregoś dnia po prostu wstałem i wyszedłem z domu.

– Dość radykalny krok – zauważam.

– Nie mogłem dłużej tam mieszkać. – Urywa z wahaniem. – Ojciec i ja... nie mogliśmy się dogadać.

– Wyjechał pan z powodu nieporozumień z ojcem?

Śmieje się ponuro.

– Można to tak nazwać.

– Nieźle musieliście się pokłócić, skoro w gniewie opuścił pan bliskich.

– Trochę mi się nzebierało – przyznaje. – Zniszczył mi dzieciństwo. Wyjechał na dwa lata, żeby zamieszkać z wilkami, na miłość boską. Bez przerwy powtarzał, że gdyby mógł, na zawsze zerwałby kontakt z ludźmi. – Obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem. – Proszę mi wierzyć, słyszeć coś takiego w telewizji z ust własnego ojca, kiedy ma się naście lat.

– Gdzie mieszkał pan do tej pory?

– W Tajlandii. Uczę angielskiego. – Kręci głową. – Uczyłem.

– Zatem wrócił pan na stałe?

– Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Ale już raz stanąłem na nogi. W razie potrzeby zrobię to ponownie.

– Pewnie chciałby pan wrócić do własnego życia – podsuwam.

Mruży oczy.

– Nie na tyle, żeby chcieć zabić ojca, jeśli ma pani to na myśli.

– Uważa pan, że właśnie to mam na myśli?

– Proszę posłuchać, nie chciałem tutaj wracać, fakt. Ale gdy matka zadzwoniła do mnie z wieścią o wypadku, wsiadłem w pierwszy samolot. Wysłuchałem wszystkiego, co miał do powiedzenia neurochirurg. Próbuję robić to, czego życzyłyby sobie mój ojciec.

– Z całym szacunkiem, ale skąd po sześciu latach nieobecności może pan to wiedzieć?

Edward podnosi wzrok.

– Kiedy miałem piętnaście lat, ojciec dał mi przed wyjazdem upoważnienie do decydowania o jego leczeniu, w razie gdyby sam nie mógł.

Pierwsze słyszę. Unoszę brwi.

– Ma pan ten list?

– Dałem go prawnikowi.
– Spora odpowiedzialność jak na piętnastolatka – zauważam. Dowiaduję się nie tylko, że Luke Warren odłączyłby sobie respirator. Dowiaduję się o jego ojcowskiej odpowiedzialności. Lub jej braku.

– Wiem. Początkowo nie chciałem, ale matka nie przyjmowała do wiadomości, że ojciec wyjeżdża na dwa lata... strasznie rozpaczala... a Cara była mała. Podczas jego nieobecności bywało, że leżałem w łóżku i modliłem się, żeby tam umarł i oszczędził mi takich decyzji.

– Ale teraz zmienił pan zdanie?

– Jestem jego synem – odpowiada po prostu. – Nikt nie pali się do podejmowania takich decyzji. Ale to nic nowego. Zawsze oczekiwał tego od rodziny: że pozwolimy mu udać się tam, gdzie nie chcieliśmy go puścić.

– Jest pan świadomy, że siostra nie podziela pańskiego zdania.

Bawi się torebką cukru.

– Też chciałbym wierzyć, że tata otworzy oczy, zbudzi się i wyzdrowieje... ale zawodzi mnie wyobraźnia. – Wbija wzrok w stół. – Na początku ściszałem głos. Jakbym mógł go obudzić, bo śpi. Ale wie pani co? Mógłbym wrzeszczeć, ile sił w płucach, a nawet by się nie poruszył. I teraz... po jedenastu dniach... no cóż. Nie ściszam głosu. – Cukier wypada mu z rąk i ląduje na podłodze obok mojej torby.

Edward schyla się po niego i zauważa książkę swojego ojca. – Praca domowa? – pyta.

Wyjmuję *Samotnego wilka*.

– Zaczęłam dzisiaj rano. Pański ojciec jest niezwykle ciekawym człowiekiem.

Edward nabożnie dotyka złotych liter na obwolucie.

– Mogę? – Sięga po książkę i przerzuca kartki. – Nie było mnie, kiedy się ukazała – dodaje. – Aż kiedyś znalazłem ją w angielskiej księgarni. Usiadłem na podłodze i przeczytałem od deski do deski, w sześć godzin. – Zagląda do środka i patrzy na zbiór czarno-białych zdjęć Luke'a Warrena z wilkami, młodymi, potem dorosłymi. Karmi je, bawi się z nimi, odpoczywa. – Widzi pani? – Wskazuje fotografię, na której Luke jest w zagrodzie, a dziecko przygląda mu się ze skarpy. Widać je od tyłu, głowę ma zasłoniętą kapturem. „Cara Warren patrzy, jak ojciec uczy Kladena i Sikwę polować”. – To nie Cara – oznajmia Edward. – Tylko ja. To moja bluza, moje chude kostki, a nawet moja książka na trawie. *Faldka czasu* Madeleine L'Engle. Proszę sprawdzić w sieci, pozna pani po okładce. – Znów wodzi palcem po tytule. – Zastanawiałem się, czy to błąd korekty, czy może tata wypisał mnie ze swego życia, gdy wyjechałem.

Patrzy na mnie ostrym, zawziętym wzrokiem.

– Innymi słowy – uzupełnia – proszę nie wierzyć we wszystko, co pani czyta.

Wnętrze domu wygląda jak śnieżna kula do góry nogami. Pierze ściele się na podłodze, meblach i włosach kobiety, która otwiera drzwi.

– Ach – mówi na mój widok omdlewającym głosem. – Już druga?

Jeszcze w szpitalu zadzwoniłam do Georgie Ng z pytaniem, czy to odpowiednia chwila na rozmowę z Carą. Lecz sądząc z widoku dwojga małych potworów z wraskiem buszujących w pokoju, w tym domu żadna chwila nie jest odpowiednia.

– Bardzo przepraszam. Utrapienie z tymi dziećmi, prawda?

– Trudno powiedzieć – odpowiadam. – Nie mam dzieci.

– Słusznie – mruczy Georgie, wyrывая rozprutą poduszkę jednemu z potworów. – Czy „przezań” to dla ciebie za trudne słowo? – pyta. Ponownie rzuca mi przepraszające spojrzenie. – Proszę iść na górę do Cary. Jest w pokoju na prawo od schodów. Uprzedziłam ją o pani wizycie. – I znika za rogiem w pogoni za dziećmi. – Jackson! Nie wpychaj siostry do suszarki!

Brnąc przez pierze, wchodzę na górę. Dziwnie rozpoznać w Georgie Ng kobietę – Luke

Warren przelotnie wspomina o niej w książce – była dziennikarkę, która zakochała się w nim w czasie nagrywania audycji z powodu jego fascynacji wilkami, i uświadomiła sobie poniewczasie, że z tych samych względów w jego życiu nie ma dla niej miejsca. Pewnie teraz jest szczęśliwsza, z bardziej uważnym mężem i nową rodziną. Cara to nie pierwsze dziecko rozwiedzionych rodziców, krążące między dwoma domami, ale różnica między nimi musi być drastyczna.

Cicho pukam do drzwi.

– Proszę – odzywa się Cara.

Przyznam, że intryguje mnie dziewczyna, dokonała bowiem rzeczy niezwyklej – zmusiła do posłuchu prokuratora powiatowego. Ale okazuje się młoda, drobna i trochę nerwowa. Prawą rękę ma obandażowaną jak złamane skrzydło, co w połączeniu z ciemnymi, falowanymi włosami do ramion i delikatnymi rysami nadaje jej wygląd pisklęcia, które wypadło z gniazda.

– Witaj. Mam na imię Helen i jestem tymczasowym pełnomocnikiem twojego ojca. – Grymas przecina jej twarz, tak przelotny, że trudno go rozszyfrować. – Twoja mama uznała, że jeśli porozmawiamy tutaj, to...

– Nie utoniemy? – uzupełnia Cara.

Wskazuje mi krzesło przy biurku, sama siada na łóżku. Ściany pomalowano na spokojny błękit, obok łóżka stoi biała komoda. Całość sprawia wrażenie pokoju gościnnego, w którym jednak rzadko ktoś bywa.

– Nie wątpię, że to dla ciebie bardzo trudne – zaczynam, wyjmując notes. – Wybacz, że cię wypyuję, ale muszę porozmawiać z tobą o ojcu.

– Wiem.

– Przed wypadkiem mieszkaliście razem, prawda?

Kiwa głową.

– Od czterech lat. Na początku mieszkałam z mamą, ale po narodzinach bliźniąt poczułam się jak piąte koło u wozu. To znaczy, kocham ją, kocham Joego i młodsze rodzeństwo, ale... – Milknie. – Tata mówi, że u wilków każdy dzień rozpoczyna się i kończy cudem. Tutaj każdy dzień rozpoczyna się i kończy kawą, gazetą, kąpielą i bajką na dobranoc. Cieszę się, że mogę tutaj być. Ale po prostu jest... inaczej.

– Kochasz ryzyko, jak twój ojciec?

– Niezupełnie. Zdarzało się, że wypożyczyliśmy z tatą film, jedliśmy popcorn na kolację i było tak samo fajnie jak z wilkami. – Przesuwa palcami po narzucie. – Jak w teleskopie. Tata, nieważne, co robi, bez reszty skupia się na danej czynności i nie widzi nic więcej. Za to mama woli mieć szerokie pole widzenia.

– Musiało być ci trudno, kiedy skupiał się na wilkach zamiast na tobie.

Milczy przez chwilę.

– Pływała pani kiedyś latem – pyta – a chmura nagle zasłoniła słońce? Na chwilę robi się zimno i ma pani ochotę wyjść z wody i się wysuszyć? Ale zaraz chmury odpływają, znów robi się ciepło, a pani opowiada wszystkim, jak było fajnie. – Cara wzrusza ramionami. – Tak było z moim tatą.

– Jak opisałybyś wasze relacje?

– Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny na ziemi – odpowiada bez namysłu.

– Kiedy go ostatnio widziałaś?

– Wczoraj rano – mówi. – Mama obiecała mnie zawieźć po pani wyjściu. – Patrzy niepewnie. – Bez urazy.

– Jasne. – Stukam długopisem w notes. – Porozmawiamy o wypadku?

Kuli się w sobie, mocniej przyciskając do ciała obandażowaną rękę.

– Co chce pani wiedzieć?
– Istnieją pewne wątpliwości co do tego, czy tamtego wieczoru piłaś alkohol.
– Tyle, co nic. Przed wyjazdem wypiałam piwo...
– Przed wyjazdem skąd? – pytam.
– Z tej głupiej imprezy. Pojechałam z koleżanką i strach mnie obleciał, bo wszyscy byli pijani, więc zadzwoniłam do taty. Przyjechał po mnie aż do Bethlehem. – Rzuca mi żarliwe spojrzenie. – Nie siedziałam za kierownicą, bez względu na to, co twierdzi policja. Nie pozwoliłby mi na to.
– Był zły?
– Zawiedziony – mówi cicho. – Co było jeszcze gorsze.
– Pamiętasz wypadek?
Kręci głową.
– Ratownicy mówili, że wyciągnęłaś ojca z samochodu, zanim się zapalił – dodaje. – To wymagało wielkiej odwagi.
Cara wsuwa wolną dłoń pod udo. Palce jej się trzęsą.
– Czy możemy... możemy nie rozmawiać już o wypadku?
Natychemiast wracam na bezpieczny grunt.
– Co najbardziej kochasz w tacie?
– Że się nie poddaje – mówi. – Kiedy ludzie pukali się w czoło, że chce zamieszkać z wilkami, odpowiadał im, że da radę, a po powrocie będzie wiedział o nich więcej niż ktokolwiek inny na świecie. I miał rację. Gdy przynoszono mu rannego czy zagłodzonego wilka, a raz nawet takiego, którego jakaś kretynka trzymała w nowojorskim mieszkaniu, nigdy nie spisywał go na straty. Nawet jeśli zdychały, do końca usiłował je ratować.
– Czy kiedykolwiek rozmawialiście o tym, czego życzyłyby sobie w takiej sytuacji?
Cara potrząsa głową.
– Był zbyt zajęty życiem, aby myśleć o śmierci.
– Twoim zdaniem jak należałoby teraz postąpić?
– Chcę, żeby wyzdrowiał, to oczywiste. Wiem, że to będzie trudne i w ogóle, ale prawie skończyłam szkołę i nie muszę wyjeżdżać daleko na studia, więc zostanę i pomogę mu w rehabilitacji...
– Caro – wpadam jej w słowo. – Twój brat myśli inaczej. Jak sądzisz, dlaczego?
– Jego zdaniem byłby to akt miłosierdzia, bo życie z pourazowym uszkodzeniem mózgu to nie życie. Sęk w tym, że to wyłącznie zdanie Edwarda. Ojciec podchwyciłby każdą, choćby najmniejszą szansę – mówi twardo.
– Edwarda nie było sześć lat. Ojciec nie poznałby go, gdyby wpadli na siebie na ulicy, dlatego nie rozumiem, jakim prawem miałby decydować, co dla taty najlepsze.
Jest zawzięta w swoich poglądach, nieugięta. Ciekawe, jakie to uczucie, być obiektem tak bezwarunkowej miłości.
– Rozmawiałaś z lekarzami, prawda?
Wzrusza ramionami.
– Oni się nie znają.
– Znają się na medycynie – oponuję. – I mają doświadczenie, zajmują się pacjentami w podobnym stanie.
Długo spogląda na mnie, po czym wstaje i podchodzi. Zakłopotana myślę, że chce mnie objąć, ale sięga ponad moim ramieniem, aby wcisnąć przycisk laptopa.
– Słyszała pani o niejakim Zacku Dunlapie? – pyta.
– Nie.

Obracam krzesło, żeby widzieć monitor. Oglądamy fragment wiadomości, patrzę na młodego mężczyznę w kapeluszu kowbojskim.

– W dwa tysiące siódmym roku miał wypadek na quadzie – tłumaczy Cara. – Lekarze zdiagnozowali śmierć mózgu. Rodzice postanowili przekazać jego narządy do transplantacji, bo wyraził takie życzenie na swoim prawie jazdy. Ale gdy mieli odłączyć mu respirator, jedną z jego kuzynek – która była pielęgniarką – coś tknęło: ukłuła go szczyrykiem w stopę i stopa podskoczyła. Inna pielęgniarka stwierdziła, że to odruch, na co kuzynka wbiła Zackowi paznokieć pod paznokieć, na co wyszarpnął rękę. Pięć dni później otworzył oczy, a cztery miesiące po wypadku zakończył rehabilitację.

Widzę Zacka na szpitalnym łóżku, słucham jego rodziców mówiących o cudzie. W miasteczku witają go jak bohatera; opowiada o wspomnieniach, które utracił, i tych, które zachował, łącznie z tym, jak lekarze uznali go za zmarłego, a on nie mógł wstać i powiedzieć im, że nie mają racji.

– Lekarze stwierdzili u Zacka Dunlapa śmierć mózgu – powtarza Cara. – Był w jeszcze gorszym stanie niż tata. A dzisiaj chodzi, mówi i robi to, co dawniej. Dlatego proszę mi nie mówić, że mój tata nie wyzdrowieje, bo takie rzeczy dzieją się cały czas.

Film dobiega końca i włącza się następny z YouTube'owej kolejki. Patrzymy jak zaczarowane na Luke'a Warrena, wycierającego ręcznikiem małeńki, piszczący kłębuszek. Wkłada go pod koszulę, ogrzewa własnym ciałem.

– Była jednym z młodych Pguasek – mówi cicho Cara.

– Ale Pguasek zachorowała i umarła, więc tata miał na wychowaniu dwa maluchy. Karmił je pipetką. Kiedy podrosły, nauczył je życia w stadzie. Tę nazwał Saba, czyli Jutro, tak aby zawsze je miała. Była to jedyna rzecz, której nie nauczył się akceptować wśród wilków: że młode umierały, tak aby ich matka miała nauczki na przyszłość. Mówił, że nie może stać z założonymi rękami, bo nie sposób spisać życia na straty.

Na prostokątnym monitorze włosy Luke'a Warrena zasłaniają pomarszczoną mordkę wilczka. „Hej, malutka”, mamrocze. „Tylko mnie nie zostawiaj”.

LUKE

Kto przekazuje młodemu pokoleniu niezbędną wiedzę?

W domu rodzice. W stadzie niańka. To bardzo pożądana funkcja, więc gdy wadera jest w ciąży, kandyduje do niej paru wilków, jak w konkursie piękności, próbując przekonać przyszłą matkę o swojej wyższości nad resztą. Warunkiem jej otrzymania jest doświadczenie – młodymi często zajmuje się starszy alfa lub beta, niezdolny dłużej dbać o bezpieczeństwo ogółu. Pod tym względem kultura wilków bardzo przypomina kulturę rdzennych Amerykanów, gdzie starszyzna cieszy się powszechnym szacunkiem – na przekór zwyczajom większości mieszkańców naszego kraju, którzy posyłają wiekowych rodziców do domu starców i odwiedzają ich dwa razy w roku.

W lesie nie kandydowałem do roli niańki; byłbym fatalny, zwłaszcza że ledwie potrafiłem zadbać o własne bezpieczeństwo i nauka szła mi opornie. Lecz obserwowałem wilczycę, która została piastunką, i zapamiętywałem, co robi. Dobrze się stało, bo zostałem opiekunem z konieczności. Po latach gdy Mestawe odrzuciła młode, Cara i ja uratowaliśmy trzy spośród czterech – i ktoś musiał je nauczyć życia w stadzie. Oznaczało to pokierowanie ich na określone szczeble przywództwa, więc gdy skończyłem, przewyższałem rangą tylko Kinę, który miał zostać testerem.

Wilki uczą się na przykładzie; karze, odbierając ciepło, którego łakną młode. Gdy wilczki zachowywały się jak należy, we czworo rzucaliśmy się w wir zabawy. Kiedy rozrabiały, podskubywałem je, przewracałem na plecy i szczyrzyłem im zęby nad gardłem, żeby nabrały zaufania. Uczyłem ich ról na podstawie tego, czym były karmione, ponieważ wilki naprawdę są tym, co jedzą. To zamknięte koło: to, co jedzą, determinuje ich pozycję w stadzie, od niej zaś zależy to, czym się żywią. Kiedy przeszliśmy z mleka modyfikowanego na królika, każde dostawało co innego. Kinie, najniższemu rangą członkowi watahy, przypadała zawartość zołądka. Nodah, nasz twardy beta, otrzymywał części „ruhome”, czyli zadek i udka, Kita zaś cenne narządy. Kiedy siadaliśmy nad cielęciami, kierowałem wilki w odpowiednie miejsce, tak jak nauczyli mnie wilczy bracia w Kanadzie.

Nodah, który lubił się rządzić, czasem podbierał Kicie specjalny – serce, wątrobę. W takich wypadkach staczałem udawaną walkę z Kiną, a gdy nabuzowany wracałem na miejsce, Nodah potulniał jak baranek.

Uczyłem je ich własnego języka: że wysoki skowyt stanowi zachętę, a niski ma uspokajać. Że warkot to ostrzeżenie, a „uff, uff” niebezpieczeństwo.

Ale najtrudniejsze było nauczenie ich hierarchii. W obliczu zagrożenia mają bronić alfy za wszelką cenę. Pozostałych można zastąpić innymi, lecz utrata alfy zwykle oznacza rozpad stada. Dlatego po wykopaniu nor – głębokich dołów, w których mogły się skryć w razie niebezpieczeństwa – podpuszczałem je, podskubując w nogi i zady, jakby ściagał nas drapieżnik. Kierowałem je w stronę dołów, aby zrozumiały, że jedyną drogą ucieczki jest wejść do środka. Ale pilnowałem, żeby Kita zawsze wchodził pierwszy. W porównaniu z przyszłym alfą Nodah i Kina nie mieli znaczenia.

Wiele mnie to kosztowało, bo ostatecznie byłem tylko człowiekiem. A jaki rodzic wyróżnia jedno dziecko kosztem drugiego?

CARA

Zirconia Notch mieszka na farmie ekologicznej pod samą granicą z Kanadą. Gdy wjeżdżamy na podwórko, naszym oczom ukazują się kozy i lamy; mama jest zachwycona, bo w trakcie mojej rozmowy z prawniczką dzieci będą miały zajęcia.

Przez telefon dowiedziałam się, że ostatnio niewiele ma do czynienia z prawem, prowadzi bowiem seanse spirytystyczne dla właścicieli zmarłych czworonogów. Ten dar odkryła w sobie przed pięciu laty, kiedy duch labradora sąsiadów nawiedził ją w środku nocy i zaczął szczekać. Jak się okazało, w domu obok wybuchł pożar. Gdyby Zirconia nie obudziła sąsiadów, strach pomyśleć, co by się stało.

Od progu czuję kadmidełka. W oknie z dwudziestoma pięcioma szybkami w każdym sześcianie jest słoik wypełniony czymś, co wygląda jak woda z barwnikiem spożywczym. Całość daje efekt skrzyżowania tęczy z moim wyobrażeniem o aptecze z *Romea i Julii*, gdy czytałam tę sztukę w dziesiątej klasie. W drzwiach wisi zasłona z kryształków, ale gdy stają pod pewnym kątem, widzę

Zirconię siedzącą z klientką przy stole nakrytym purpurową koronką i usianym wrzosem. Zirconia ma długie, białe włosy i tatuaż przedstawiający groszek pnący, który oplata jej szyję i znika pod kołnierzykiem. Ubrana jest w futrzaną kamizelkę, na oko dzięki uprzejmości jednej z lam z podwórka, a w ręku trzyma pleciony gryzak dla psa.

– Pusia mówi, że nie chciała zrobić kupki na perski dywan – mówi Zirconia; oczy ma zamknięte i kołysze się delikatnie. – I że jest z pani babcią Jane.

– June? – podpowiada klientka.

– Właśnie. Czasem trudno zrozumieć po psiemu.

– Proszę jej powiedzieć, że za nią tęsknimy. Codziennie!

Zirconia wydyma usta.

– Ona pani nie wierzy. Zaraz... Coś słyszę. – Zirconia otwiera oczy. – Wspomina o suce zwanej Juanita.

– Juanita to nasza mała chihuahua! – woła klientka. – Jest suczką, fakt, ale nie zastąpi nam naszej Pusi. Nie zastąpi jej żaden pies!

Zirconia unosi rękę do skroni i mruży oczy.

– Odeszła – stwierdza i odkłada zabawkę.

Kobieta naprzeciw niej odchodzi od zmysłów.

– Ależ musi jej pani coś przekazać! Niech pani powie Pusi, że ją kochamy!

– Proszę mi wierzyć. – Zirconia dotyka jej ręki. – Ona wie. – Podnosi się żwawo, zauważając mnie w sieni. – Trzysta dolarów – uzupełnia. – Przyjmuję czeki.

Kiedy wyprowadza klientkę do siebie, widzę, że ma pod spódnicą jaskraworóżowe rajstopy.

– Ty na pewno jesteś Cara – mówi. – Wejdz, proszę. – Obejmuje tamtą na pożegnanie. – Jeżeli Pusia ujawni się w czasie innych seansów, na pewno dam pani znać.

Kryształki dzwonią, gdy przekraczam próg.

– A więc trafiłaś. – Zirconia gestem zaprasza mnie do środka.

Siadam.

– Właściwie to mama. Czeka na zewnątrz z moim rodzeństwem przyrodnim.

– Może wejdzie? Zaparzę jej herbatę. Powrózę z fusów.

– Zaczeka – odpowiadam.

Zirconia znika za drugą kryształową zasłoną i wraca z dwiema parującymi filiżankami czegoś, co wygląda jak brudna woda z tytoniem na dnie.

– Dziękuję, że zgodziła się pani mnie reprezentować, panno Notch.

– Zirconio. Albo jeszcze lepiej, Zi. – Wzrusza ramionami. – Urodziłam się w jurcie w parku stanowym Franconia Notch. Rodzice chcieli dać mi na imię Diamond, z powodu jego siły i piękna, ale bali się, że brzmiałoby to jak imię kurtyzany z Dzikiego Zachodu, więc poszli na kompromis.

Kot, którego brałam za figurkę na kominku, nagle z miaukiem łąduje pośrodku stołu i zaplątuje się pazurami w koronkę. Zirconia uwalnia go z roztargnieniem, nie przerywając wywodu.

– Pewnie ciekawi cię, czemu Danny Boyle mnie polecił, skoro prawie nie udzielam się w branży. Przyznam, iż nigdy nie sądziłam, że zostanę prawnikiem. Chciałam walczyć z Samcem. Ale potem zrozumiałam, że więcej wskóram, walcząc z Nim od środka. Jasne?

Co ona paliła? Na wszelki wypadek kiwam głową.

– Jak słońce – mówię, zachodząc w głowę, o co, do licha, chodziło Boyle’owi.

– Okazało się, że jestem urodzonym prokuratorem. Lubię myśleć, że to kwestia wewnętrznego oświecenia, a wierz mi, że niewielu w biurze prokuratora powiatowego mogło powiedzieć o sobie to samo. Miałam większą skuteczność niż Danny Boyle.

– Więc czemu nie zostałam prokuratorem?

Dwukrotnie głaszczę kota i odstawia go na podłogę, skąd ten daje nura za kryształkową zasłonę.

– Bo zwątpiłam w sens trwania w zawodzie, który z założenia nie daje szans na doskonałość. Ileż można praktykować, by znaleźć się na szczycie?

Ze śmiechem wypijam łyk herbaty. Nawet niezłe smakuje.

– Wiele osób ci powie, że moje seanse to wielka ściema. Dawniej powiedziałabym ci to samo. – Wzrusza ramionami. – Ale czy mam prawo kwestionować talent, który niesie ukojenie tylu cierpiącym rodzinom? Będę z tobą szczerą: uważam go za dar i przekleństwo.

Przyznam, że miałam wątpliwości, kiedy powiedziała mi, czym się obecnie zajmuje. Jasne, pewnie każdy zmarły pies ma na sumieniu jakąś kupę, za którą chciałby przeprosić właściciela... ale skąd wiedziałyby, że nowy pupil wabi się Juanita? Nie twierdzę, że mnie przekonała, ale dało mi to do myślenia.

– A zatem jestem twoim adwokatem, Caro – mówi Zirconia. – W celu opracowania skutecznej strategii muszę wiedzieć, co chcesz osiągnąć. – Nachyla się i włosy spływają jej lawiną na plecy.

– Chcę, żeby tata wyzdrowiał – odpowiadam. To samo powiedziałam wczoraj kuratorce, ale tym razem mam kluchę w gardle. Może dlatego, że dotąd walczyłam w pojedynkę, aż tu nagle zyskałam sojusznika.

Zirconia kiwa głową, jak widać poruszona.

– Wiesz, co? Zapalimy świeczkę twojemu tacie, niech będzie tutaj z nami.

Przetrzęsa kredens i wyjmuję świecę zapachową. Stawia ją między nami na stole i zapala. Pokój nagle wypełnia się wonią lasu, czego się nie spodziewałam, bo właśnie tak pachnie tata po powrocie do domu.

– Zatem skoro mamy już cel, pora usunąć przeszkody – oznajmia Zirconia. – A największą z nich stanowi twój wiek.

– Mama mówi, że wszystko podpisze – zapewniam.

– Niestety, w świetle prawa stanu New Hampshire jesteś nieletnia, a nieletni nie mogą podejmować decyzji za chorych.

– Przecież to tylko cyferka. Za trzy miesiące skończę osiemnaście lat, zresztą już od dawna dbam o siebie i tatę.

– Niestety, prawo widzi to inaczej. Jaki argument mogłabym wysunąć w sądzie?

– Od czterech lat mieszkam z tatą. Każdą decyzję podejmowaliśmy wspólnie. Prowadzę samochód. Chodzę do szkoły. Dorabiam jako opiekunka. Załatwiam sprawunki i mam dostęp do konta bankowego taty. Opłacam rachunki, pilnuję spraw związanych z jego programem telewizyjnym i odpisuję na listy wielbicieli. Nie mogę tylko głosować.

– Prawdę powiedziawszy – zauważa Zirconia – od dwunastu lat mamy deficyt wartościowych kandydatów. – Patrzy na mnie. – O co chodziło z tym piciem?

– Ja nie piję. Nigdy. Nie licząc tamtego jednego razu w noc wypadku.
Składa przed sobą dłonie złączone czubkami palców.

– Ile?

– Jedno piwo – przyznaję niepewnie.

– Jedno?

Skubię skórkę przy paznokciu.

– Trzy.

Zirconia unosi brwi.

– Czyli zrobiłaś wszystkich w balona. – Zatacza rękami koło. – Jesteśmy w kręgu prawdy. Od tej chwili, cokolwiek mi powiesz, lepiej mów prawdę. Jeśli masz kłamać, wcale nie chcę tego słuchać.

– Dobrze. – Pochylam głowę.

– Te dwie rzeczy wykorzysta przeciw tobie prawnik brata.

– Przeciwno niemu przemawia dużo więcej – zaznaczam. – Począwszy od zarzutu usiłowania morderstwa.

– Który anulowano – uzupełnia Zirconia. – Więc stracił rację bytu.

Rozmawiamy jeszcze trzy godziny, o tacie, o tym, jak żył, o ludziach, którzy wyzdrowieli, bo dano im drugą szansę. Zirconia robi notatki na ekologicznej serwetce, potem na odwrocie biletu lotniczego, wyjętego z kieszeni spódnicy. Tylko raz ogłasza przerwę, aby zrobić koktajl bananowo-sojowy dla bliźniąt; dzieciaki oglądają film w vanie matki.

Wreszcie odkłada pióro.

– Dam ci zadanie domowe – oznajmia. – Masz iść do szpitala i położyć ojcu głowę na piersi. Potem opowiesz mi, co sobie pomyślałaś.

Obiecuję tak zrobić, chociaż dziwi mnie jej nawiedzone pomysły. Omawiamy plan na czwartek: gdzie mam się stawić, gdzie się spotkamy. Dopiero gdy powtarzamy pytania, które mi zada, doznaję olśnienia: to się dzieje naprawdę. Wystąpię w sądzie przeciwko bratu w nadziei, że przyznają mi opiekę nad ojcem.

Zirconia obrzuca mnie baczny spojrzeniem.

– Dotarło?

– No. – Serce tłucze mi jak oszalałe. – Mogę ci zadać pytanie?

Boję się wypowiedzieć je na głos, ale muszę, bo nie ma nikogo innego, komu mogłabym zadać to pytanie. Poza tym jest moim adwokatem, pomocnikiem, a Bóg jeden wie, że potrzebuję pomocy. Dlatego wypowiadam słowa, które kołaczą mi w sercu, kłując w najmniej spodziewanej chwili.

– Myślisz, że robię, co należy?

– Co należy – powtarza Zirconia, smakując słowa jak landrynkę. – Kiedyś rozmawiałam ze zmarłym dogiem. Weterynarz dziwił się, że tak długo pociągnął; biorąc pod uwagę wyniki, powinien zdechnąć przed trzema laty. Jego właścicielką była pewna samotna staruszka. W rozmowie ze mną przyznał, że jest wykończony. Tak długie życie bardzo go zmęczyło, ale nie mógł odejść, bo wiedział, że zostawiłby ją samą. – Patrzy na mnie. – Chyba zadajesz niewłaściwe

pytanie. Nie chodzi o to, czy twój tata chciałby umrzeć. Pytanie brzmi, czy chciałby opuścić ten świat, nie wiedząc, czy ktoś się tobą zajmie.

Nie wiem, że płaczę, dopóki nie podaje mi serwetki.

W szpitalu zastaję Edwarda.

Przez chwilę mierzymy się wzrokiem. Po części rozumiem, że skoro wyszedł z więzienia, siłą rzeczy musiał tutaj wrócić, a po części nie mogę się nadziwić, że miał czelność przyjść na OIOM po tym, co wywinął. Oczy mu ciemnieją i myślę, że lada chwila mi przyłoży, ale matka staje między nami.

– Edwardzie – mówi. – Może pójdziemy coś zjeść, a twoja siostra zostanie z tatą?

Kiwa głową i wymija mnie bez słowa.

Chciałabym móc powiedzieć, że w tej samej chwili ojciec otworzył oczy, wyszeptał moje imię i wszystko dobrze się skończyło, ale nie mogę. Leży na łóżku jak wczoraj, kiedy go widziałam ostatnio, może tylko bardziej wychudzony i przezroczysty, jak gdyby już stawał się złudzeniem.

Może się oszukuję. Może jestem jedyną osobą, która patrzy na niego i widzi cud. Ale ja muszę. Bo inaczej to, co powiedział mi tamtej nocy, nie byłoby prawdą.

Przypominam sobie prośbę Zirconii i kładę się na łóżku. Tulę się do ojca, który wciąż jest ciepły, znajomy i namacalny. Coś drapie mnie w gardle, jak kaktus. Słyszę bicie jego serca.

Jak mam wierzyć, że on nie wróci, jeśli to czuję?

Kiedy uratował młode porzucone przez Mestawe – braci małej Miguen, która umarła w drodze do weterynarza – jakimś cudem nauczył je życia w rodzinie bez pomocy biologicznej matki. Nieśmiałego Kinę, bystrego Kitę i twardziela Nodaha. Mimo swojej odwagi, ten ostatni bał się błyskawic. W czasie burzy szalał, uspokajał się dopiero wówczas, gdy tata brał go na rękę. Wilczek miał cztery tygodnie, oczywiście nie sprawiało to żadnych trudności i tulił do piersi. Problemy zaczęły się później. Pękałam ze śmiechu, widząc, jak olbrzym pchał się ojcu na kolana, aby usłyszeć bicie jego serca.

Ale teraz, kiedy wokół szaleje burza, to wcale nie jest zabawne.

Przymykam oczy i wyobrażam sobie ojca z czasów, gdy opiekował się szczeniakami, a ja stawałam przy płocie i patrzyłam. Musisz uczyć je zabawy?, pytałam. Przecież one to już umieją!

Tata wypinał pośladki, z górną częścią ciała nisko przy ziemi – z tej pozycji wilk umie przesadzić prawie dwa metry, bez względu na kierunek. Ilekroć wilczki zapamiętywały się w zabawie i robiło się groźnie, tata zastygał w tej pozycji, a one go naśladowały. Rodzina może stoczyć udawaną walkę, mówił, ale musi wiedzieć, kiedy przestać.

Uczę je równowagi, tłumaczył.

Uczę je, żeby się nie pozabijały.

LUKE

Wiem, że byłem ciekawostką dla mojej wilczej rodziny. Czasem budziłem się pod ciężarem czterdziestopięciokilogramowego wilka, który wskakiwał na mnie po to, aby sprawdzić moją reakcję. Gdy wyruszałem z nimi na polowanie, zastępowały mi drogę, próbowały podciąć nogi, jakby chciały oszacować moje słabości, ubiegając tym samym wroga. Z perspektywy czasu widzę, że moja sytuacja przypominała uprowadzenie przez kosmitów: chciały wiedzieć, co je czeka, skoro nasze światy i terytoria przenikały się nawzajem.

Pewnego letniego wieczoru o zmierzchu wadera zabrała łowczych gdzieś na południe. Zostałem z młodym samcem i jego siostrą, która patrolowała obrzeża naszego terytorium. Panował nieziemski upał; co pewien czas chodziłem do strumienia, aby zamoczyć głowę, po czym wracałem na naszą polanę i zasypiałem przy wtórze plotek komarów i rechotu żab olbrzymich. Wiedziałem wprawdzie, że powinienem czuwać jak pozostali, lecz duchota i skwar stępiły mój instynkt i zmysły.

Nagle obudziłem się i zobaczyłem młodego wilka siedzącego obok. Samica jeszcze nie wróciła. Innymi słowy, nic się nie zmieniło, więc podniosłem się z zamiarem ponownego ochłodzenia się w strumieniu. Gdy dotarłem do wody, młody wilk niespodziewanie zbił mnie z nóg. Warczał i kłapał z obnażonymi zębami i furią w oczach, gotów do ataku. Zaskoczony jego zachowaniem, przewróciłem się na plecy, prosząc o zaufanie. Po raz pierwszy, odkąd przyjęto mnie do stada, śmierć zajrzała mi w oczy – co gorsza, ze strony jednego z wilczych braci.

Dalej kłapał, z uszami położonymi po sobie, spychał mnie z dala od strumienia w poskręcany szkielet drzew powalonych w czasie burzy. Ległem twarzą w dół, wdychając zapach ziemi i gałęzi, roztrzęsiony i mokry jak szczur. Ilekroć chciałem się poruszyć, wilk przysuwał się bliżej, szczyrzył kły centymetry od mojej twarzy.

Możecie sobie wyobrazić, jakie myśli kłębiły mi się w głowie. Że biolodzy mieli rację i nie sposób przeniknąć do watahy, bo wilki to dzikie zwierzęta i nigdy nie wezmą mnie za swojego; że młody zabije mnie po powrocie reszty stada, ponieważ wadera uznała, że jestem zbędny. Że cała zgromadzona wiedza o tych niezwykłych stworzeniach pójdzie na marne i nikt nie dowie się tego, co ja. Byłem ciekaw, czy ktoś odnajdzie moje zwłoki, skoro nawet nie wiedziałem, ile dzieli mnie od cywilizacji. I po raz pierwszy od długiego czasu pomyślałem o Georgie i dzieciach. Zastanawiałem się, czy znieawidzą mnie za to, że je zostawiłem. I czy w ogóle o mnie myślą, po tak długim czasie.

Wraz z nadejściem zmroku zmieniły się odgłosy lasu. Symfonia świerszczy ustąpiła miejsca skrzypcowym nawoływaniom sowy; wiatr przybrał na sile i ziemia zaczęła stygnąć pod moim policzkiem. Po czterech godzinach trzymania mnie w potrzasku młody wilk nagle usunął się na bok, żebym mógł wyjść. Usiadł i obejrzał się na mnie ze spokojem w żółtych oczach.

Uznałem, że to podstęp.

Zaczeka, aż wyjdę, i chwyci mnie za gardło.

Gdy się nie ruszyłem, znowu podszedł. Cofnąłem się odruchowo, ale zamiast skoczyć, zaczął lizać mnie po twarzy, jakbyśmy dawno się nie widzieli.

Z duszą na ramieniu wylazłem spod drzew, na znak uległości wciąż trzymałem się blisko ziemi. Zawrócił i potruchtał do strumienia, oglądając się na mnie. Wziąłem to za zaproszenie i w bezpiecznej odległości ruszyłem za nim.

Przy strumieniu podniósł łapę i obwąchał zgniecioną trawę, w miejscu gdzie klęczałem wcześniej. Zobaczyłem odchody, których nie rozpoznałem. Tuż obok w rozmięklej ziemi widniał idealnie zachowany odcisk łapy pumy.

Kuguary rzadko występują we wschodniej Kanadzie, ale widywano je w New Hampshire,

Maine oraz Nowym Brunszwiku. To samotni myśliwi, latem zaś młode zostawiają matki i udają się na poszukiwanie własnego terytorium. Rywalizują z wilkami o zwierzynę. Jeden kuguar jest silniejszy od wilka w pojedynkę, ale stado dałoby mu radę.

Wiedziałem, że kuguary atakują z zaskoczenia, wskakują ofierze na plecy, zębami łamią jej kark.

Nie miałem wsparcia watahy, przewagi liczebnej. Sam jeden klęczałem nad strumieniem, łakomy kasek dla pumy, rozprawiłby się ze mną błyskawicznie.

Młody samiec nie próbował mnie zabić. Uratował mi życie.

Między wilkami nie ma miłości. Jest bezwarunkowe zaangażowanie. Gdy robisz, co do ciebie należy, i nie migasz się od obowiązków, stajesz się częścią rodziny. Pozostali cię uzupełniają. Młody wilk nie obronił mnie z powodu więzi emocjonalnej, lecz ponieważ byłem cenny dla stada – jako namiastka naganiacza, jako wsparcie w zasadzce i w razie konfliktu z innym stadem, a także osobnik, od którego czerpały wiedzę o ludziach, niezbędną do życia z nimi w bliskości.

Ale w głębi duszy, ocalałą resztką człowieczeństwa pragnąłem, aby kochał mnie tak jak ja jego.

Następnego dnia zrozumiałem, że pora opuścić stado. Schowałem do kieszeni trochę mięsa z wczorajszego łupu i ruszyłem na wschód. Nie zatrzymywały mnie, uznawszy zapewne, że idę nad strumień lub na zwiady; nie miały podstaw, by sądzić, że nie wrócę.

Zobaczyłem ich po raz ostatni: młode wilki mocowały się pod czujnym okiem wielkiego bety. Zastanawiałem się, czy tej nocy zawyją z mojego powodu.

Ludzie myślą, że odszedłem wyczerpany trudnymi warunkami – pogodą, chłodem, głodem i ciągłym strachem przed drapieżnikami. Ale rzeczywisty powód jest o wiele prostszy.

Gdybym tego nie zrobił, zostałbym na zawsze.

JOE

Sąd sprzyja zawiązywaniu się naturalnych sojuszy. Kiedy wchodzę, przy stoliku po lewej stronie siedzi szpitalna prawniczka. Obok niej neurochirurg.

Po prawej stronie siedzi Cara i jej pani adwokat.

Pcham Edwarda na lewo.

Na końcu zjawia się Helen Bedd, tymczasowa kuratorka. Omiata nas wzrokiem i roztropnie siada pośrodku, w przestrzeni oddzielającej Edwarda i Carę.

Georgie siedzi w rzędzie za mną.

– Hej, skarbie. – Wychyłam się przez barierkę, żeby ją cmoknąć w policzek. – Jak się masz?

Zerka na córkę.

– Nieźle, biorąc pod uwagę okoliczności.

Wiem, co ma na myśli. Rano gdy karmiła Carę owsianką przed odwiezieniem jej do szpitala, a następnie sądu, ja porwałem batonik i pognałem do domu Luke'a Warrena po mojego klienta. Nie możemy rozmawiać o sprawie, gdyż reprezentujemy przeciwne obozy. Czuję, jakby moje małżeństwo przypominało diagram Venna; jedyna wspólna przestrzeń między nami to niezręczna cisza.

Tylko nie myślcie, że nie zastanawiałem się nad swoimi motywami. Oczywiście reprezentuję Edwarda i możliwe, że nigdy bym się nie zaangażował, gdyby Georgie nie błagała mnie o zabranie go z komisariatu. Z zawodowego punktu widzenia chcę wygrać. Ale czy naprawdę wierzę w prawo Edwarda do decydowania w imieniu ojca o jego losie... czy może dlatego, że wiem, co zdecyduje? Śmierć Luke'a Warrena na zawsze wykluczy go z naszego życia. Już nigdy nie stanie między mną a Georgie. A jeśli zostanie umieszczony w ośrodku opiekuńczym pod pieczę Cary, udział Georgie będzie konieczny – do czasu gdy córka skończy osiemnaście lat, a może i dłużej.

Edward znów przywdział kraciatą kurtkę ojca, chyba na szczęście. Na jego widok Cara wytrzeszcza oczy i mało nie zrywa się z krzesła, ale prawniczka przytrzymuje ją w porę i beszta.

– Pamiętasz, co ci mówiłem? – mamrocze do Edwarda.

Krótko kiwa głową.

– Tylko spokój – mówi. – Choćby nie wiem co.

Wiem, że przedstawią go jako raptusa, który najpierw coś robi, a potem myśli. Któż inny wyprowadziłby się z domu z powodu kłótni i przeniósł do Tajlandii? Lub sfrustrowany obrotem sytuacji wyszarpnął z gniazdka wtyczkę respiratora? Zarzut wprawdzie wycofano, ale nic nie ukryje się przed mieszkańcami małego miasteczka. Wszyscy wiedzą, co zrobił.

Ode mnie zależy, czy sędzia zobaczy w nim anioła miłosierdzia zamiast krewkiego syna marnotrawnego.

Urzędnik rozgląda się po zgromadzonych.

– Wszyscy gotowi? – pyta. – Wstać, sąd idzie. Przewodniczy sędzia Armand LaPierre.

Nie miałem do czynienia z tym sędzią, ale znam go ze słyszenia. O jego empatii krążą legendy. Jest tak pełen współczucia dla bliźnich, że utrudnia mu to podejmowanie jakichkolwiek decyzji. W czasie przerwy obiadowej idzie do położonego najbliżej katolickiego kościoła Najświętszego Serca, gdzie odmawia nowenny za obie strony i prosi o wsparcie.

Wchodzi w obłoku czerni: czarna toga, czarne buty, kruczoczarne włosy.

– Zanim zaczniemy – mówi – chciałbym zaznaczyć, że to bardzo delikatna sprawa dla wszystkich zaangażowanych. Zebraliśmy się tutaj w celu wyznaczenia stałego pełnomocnika Luke'a Warrena. Rozumiem, że od piątku jego stan nie uległ zmianie. Widzę, że stawili się

przedstawiciele szpitala oraz dzieci chorego jako strony zainteresowane.

– Marszczy brwi. – To bardzo niekonwencjonalne przesłuchanie, jednak okoliczności też są niekonwencjonalne. Sąd wyraża przy tym nadzieję, że dążymy do podjęcia decyzji zgodnej z życzeniem Luke’a Warrena, gdyby mógł przemówić w swoim imieniu. Czy mamy do omówienia coś w ramach wstępu?

Na to czekałem. Podnoszę się z krzesła.

– Wysoki sędzi, chciałbym zwrócić uwagę, że jedną ze stron jest osoba nieletnia. Cara Warren nie osiągnęła dojrzałości, co w świetle prawa dyskwalifikuje ją jako potencjalną kandydatkę na pełnomocnika ojca. – Patrzę prosto na sędziego, bo Cara wierci mi wzrokiem dziurę w czaszce. – Zwracam się z prośbą o usunięcie jej z sali sądowej i oddalenie reprezentującej jej pani Notch z powodu braku podstaw prawnych do decydowania o losie ojca.

– Co ty opowiadasz? – wybucha Cara. – Jestem jego córką i mam pełne prawo tutaj być...

– Caro – rzuca ostrzegawczo jej prawniczka. – Wysoki sędzi, moja klientka chciała powiedzieć...

– Przypuszczam, że to, co pani klientka chciała powiedzieć, było trochę niecenzuralne – przerywa sędzia. – Ale bądźmy poważni. Dopiero zaczęliśmy, a już skaczymy sobie do oczu? Wiem, że w grę wchodzi silne emocje, ale uspokójmy się i myślimy racjonalnie.

Zirconia Notch wstaje. Od kolan w górę wygląda jak prawniczka, ale rajstopy ma w odcieniu wścieklej zieleni w czerwone paski, a buty jaskrawożółte. Jakby górna część jej ciała spadła na dolną Złej Czarownicy z Zachodu.

– Wysoki sędzi – mówi. – Moja klientka ma siedemnaście lat, ale jest zarazem jedyną osobą na tej sali blisko związaną z panem Warrenem. Według RSA 454-A, zasadniczą cechą kuratora jest kompetencja. To, że urodziny Cary przypadają dopiero za trzy miesiące, nie powinno przesądzić o decyzji sądu. Powiem więcej, gdyby oskarżono ją o przestępstwo, jak brata, byłaby sądzona jako osoba pełnoletnia...

– Sprzeciw – odzywam się. – Zarzut oddalono. Pani Notch podejmuje nieaktualny temat w celu pogrążenia mojego klienta.

– Ludzie. – Sędzia wzdycha. – Ograniczmy się do kwestii będącej przedmiotem rozprawy, dobrze? Pani Notch, będzie pani tak miła i zdejmie te dzwoneczki z nadgarstków? Rozprasza ją mnie.

Zirconia zdejmuje bransoletki i ciągnie jak gdyby nigdy nic:

– Jestem pewna, że zeznania tej młodej kobiety utwierdzą wysoki sąd w przekonaniu, że jej dojrzałość oraz inteligencja spełniają wyznaczone kryteria.

Sędzia ma minę, jakby pękł mu wrzód. Krzywi usta, do oczu napływają mu łzy.

– Nie wykluczę Cary z dzisiejszej rozprawy – oznajmia. – Wysłucham jej stanowiska, podobnie jak wysłucham stanowiska jej brata Edwarda. Poproszę państwa o krótkie mowy wstępne. Pani pierwsza.

Wstaje i podchodzi do ławy.

– Terry Wallis – zaczyna. – Jan Grzebski. Zack Dunlap. Donald Herbert. Sarah Scantlin. Zapewne nigdy nie słyszeliście o tych ludziach, więc pozwólcie, że ich przedstawię. Terry Wallis spędził dziewiętnaście lat w śpiączce mózgowej, po czym któregoś dnia sam z siebie zaczął mówić i odzyskał świadomość swojego otoczenia. Jan Grzebski, polski robotnik pracujący na kolei, obudził się po dziewiętnastu latach w roku dwa tysiące siódmym. U Zacka Dunlapa stwierdzono śmierć mózgu po wypadku na quadzie i o mały włos przekazano by do transplantacji jego narządy, kiedy stwierdzono u niego reakcje na bodźce. Po pięciu dniach otworzył oczy, dwa dni później zaczął samodzielnie oddychać, a dzisiaj chodzi, mówi i czuje się coraz lepiej.

Idzie w stronę Edwarda.

– Donald Herbert – ciągnie – podczas gaszenia pożaru w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku doznał poważnego uszkodzenia mózgu. Po dziesięciu latach w stanie wegetatywnym wypowiedział pierwsze słowa. Sarah Scantlin została potrącona przez pijanego kierowcę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Po sześciu tygodniach w śpiączce przeszła w stan minimalnej świadomości, po czym w styczniu dwa tysiące piątego roku odzyskała mowę. – Zirconia błagalnie rozkłada ręce. – Oni wszyscy doznali rzekomo nieodwracalnych obrażeń – podejmuje. – Wszyscy mieli przed sobą życie, na które ich bliscy stracili nadzieję. I wszyscy są dzisiaj z nami, bo ktoś uwierzył w ich wyzdrowienie. Dał im czas. I nadzieję.

Wraca do stołu i kładzie rękę na zdrowym barku Cary.

– Terry Wallis, Jan Grzebski, Zack Dunlap, Donald Herbert, Sarah Scantlin. Oraz, być może, wysoki sędzie, Luke Warren.

Zirconia siada, a sędzia rzuca mi wyczekujące spojrzenie.

– Panie Ng?

– Istnieją różne teorie co do momentu, w którym rozpoczyna się życie. – Wstaję. – Tybetańscy buddyści twierdzą, że w czasie orgazmu. Katolicy upatrują początek w złączeniu plemnika z komórką jajową. Użytkownicy banku komórek macierzystych utrzymują, że zarodek budzi się do życia w wieku czternastu dni, gdy wykształca prymitywny trzon, zgrubiały odcinek, który staje się kręgosłupem. Ze sprawy Roe kontra Wade wynika, że w dwudziestym czwartym tygodniu. Z kolei według Nawahów życie rozpoczyna się wraz z pierwszym śmiechem dziecka.

Wzruszam ramionami.

– Początek życia bywa różny. A co z jego końcem? Czy definicja jest równie mętna? Na początku dwudziestego wieku Duncan McDougall wierzył, że można zważyć umierającego pacjenta i bezbłędnie określić chwilę zgonu, ponieważ tracił trzy czwarte uncji: tyle, ile waży dusza człowieka. Dzisiaj Akt Jednolitego Ustalania Śmierci określa zgon mianem nieodwracalnego ustania funkcji krążeniowych i oddechowych bądź też nieodwracalnego ustania funkcji mózgowych. Dlatego śmierć mózgu określana jest jako zgon, podobnie jak śmierć sercowa.

Patrzę na sędziego.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, wysoki sędzie, ponieważ Luke Warren nie zostawił nam wskazówek, czym śmierć jest dla niego. Wiemy jednak, jak definiował życie. Dla pana Warrena życie znaczyło możliwość obcowania z wilkami...

Zostawienia żony i dzieci, myślę.

– ...bycie znawcą ich zachowań...

Chociaż nie miał pojęcia, jak ratować własną rodzinę.

– ...obcowanie z naturą.

Kiedy żona czekała w domu.

– Życie nie miało dla niego nic wspólnego ze szpitalnym łóżkiem i oddychaniem przez rurkę, bez większych nadziei na poprawę. Wysoki sędzie, sam pan powiedział, że winniśmy postępować w myśl jego życzenia. – Milknę i napotykam spojrzenie Edwarda. – Luke Warren – dodaję – nie chciałby takiego życia.

*** W czasie pierwszej piętnastominutowej ciszy idziemy z Edwardem do łazienki.

– Słyszałeś, co mówiła prawniczka? – pyta, gdy stajemy nad pisuarem.

– Masz na myśli ludzi, którzy wyzdrowieli?

Kiwa głową, po czym spuszcza wodę i podchodzi do umywalki.

– No.

– Czy ja wiem? Ale na pewno zapytam o nich neurochirurga – odpowiadam. Kończę

i zastaję Edwarda wpatzonego w swoje odbicie, jakby nie poznawał własnej twarzy. – Słuchaj – mówię do niego. – Dzisiaj nie musisz podejmować żadnych decyzji. Wystarczy, że uzyskasz do nich prawo.

Idziemy do automatu po napój. Zirconia i Georgie siedzą przy stoliku naprzeciw mojej pasierbicy.

– Miłe panie – mówię. Mrugam do Cary.

Opuszcza wzrok, ściskając w rękę puszkę coli.

– Jak tata? – pytam. Wiem, że chciała tam pojechać przed rozprawą.

Mruży oczy.

– Akurat cię to obchodzi.

– Cara! – Georgie wciąga powietrze. – Przepróż Joego.

– Ogólnie rzecz biorąc, to on powinien mnie przeprosić. – Podnosi puszkę i wstaje. –

Poczekam na górze.

Ale zanim odchodzi, Edward zastępuje jej drogę i podaje twizzlery z automatu.

– Masz.

– Skąd wiesz, że chcę?

– Kiedyś chciałaś. Błagałaś mnie, żebym ci kupował w drodze ze szkoły; stawałem specjalnie na stacji benzynowej. Odgryzałaś końce i wkładałaś je do kartonika z mlekiem ze szkoły, jak słomkę. Mówiłaś, że masz w ten sposób koktajl truskawkowy. – Patrzy na Georgie. – Trzymaliśmy to w tajemnicy przed mamą, bo twierdziła, że jesteś uzależniona od cukru, zgubisz wszystkie zęby, zanim dorośniesz.

Ma tylko jedną wolną rękę i trzyma w niej puszkę.

– Zapomniałam – mamrocze.

Edward wsuwa jej paczuszkę za temblak.

– A ja nie – odpowiada.

Abby Lorenzo, prawniczka ze szpitala, rozpoczyna od wezwania na świadka doktora Saint-Clare'a, który składa przysięgę i podaje swoje tytuły z miną, że ma w tym czasie coś lepszego do roboty, na przykład ratowanie życia.

– Czy zna pan Luke'a Warrena? – pyta Abby.

– Tak. Jest jednym z moich pacjentów.

– Kiedy pan go poznał?

– Dwanaście dni temu.

– Proszę opowiedzieć, w jakim stanie przywieziono go do szpitala.

– Trafił do nas po wypadku samochodowym. Został znaleziony obok pojazdu. Na podstawie oceny sytuacji ratownicy stwierdzili u niego pourazowe uszkodzenie mózgu. Dostał pięć w skali Glasgow i przyjechał do szpitala z powiększoną prawą źrenicą, osłabieniem lewej strony ciała i raną na czole. Kiedy prześwietlenie wykazało obrzęk mózgu i obrzęk okołoooczodołowy, zostałem wezwany na oddział.

– Co było potem? – pyta prawniczka.

– Ponownie poddano go ocenie według skali i znów otrzymał pięć punktów.

– Co to znaczy?

– Mówimy o skali neurologicznej do pomiaru reakcji bądź ich braku w wyniku urazu głowy. Skala obejmuje od trzech do piętnastu punktów, z czego trzy oznaczają pacjenta w stanie głębokiej śpiączki, a piętnaście zdrową, normalną osobę. W przypadku pacjentów, którzy po upływie doby od urazu otrzymują od pięciu do siedmiu punktów, pięćdziesiąt trzy procent umiera lub pozostaje w stanie wegetatywnym.

Lorenzo kiwa głową.

– Jakie środki zastosowano w przypadku pana Warrena?
– Prześwietlenie wykazało krwiak w płacie skroniowym, krwotok podpajęczynówkowy, krwotok wewnątrzkomorowy oraz krwotoki w rdzeniu przedłużonym pnia mózgu aż po most.
– Czyli?

– Pan Warren miał krew wokół mózgu, krew w komorach mózgowych oraz krwotoki w częściach odpowiedzialnych za oddychanie i przytomność. Podaliśmy mu mannitol na obniżenie ciśnienia i przeprowadziliśmy lobektomię skroniową, zabieg polegający na usunięciu płata skroniowego, aby zrobić miejsce w czaszce, a co za tym idzie, zmniejszyć obrzęk. Usunęliśmy krwiak wraz z przednim płatem skroniowym. Po operacji nadal nie oddychał samodzielnie i się nie obudził, ale prawa źrenica ponownie zaczęła reagować na światło, co wskazywało na redukcję obrzęku. Usunięcie płata skroniowego oznacza utratę części wspomnień, ale nie wszystkich, lecz z powodu uszkodzenia pnia mózgu szansa na to, że kiedykolwiek uzyska do nich dostęp, graniczy z niemożliwością.

– Zatem nie doszło do śmierci mózgu, doktorze Saint-Clare?
– Nie – oznajmia neurochirurg. – EEG wskazuje na aktywność kory mózgu. Co nie ma większego znaczenia, gdyż nie odzyskuje przytomności.

– W jaki sposób pan Warren jest utrzymywany przy życiu?

– Oddycha za niego respirator i jest karmiony przez rurkę.

– Jak określiliby pan jego szanse na wyleczenie?

Patrzę na Carę. Oczy ma przymrużone i zaciśnięte zęby, jakby słowa lekarza wiały jej w twarz.

– Co dwa dni powtarzamy tomografię. Wprawdzie wiemy, że ciśnienie śródczaszkowe zmalało, ale krwiaki w mózgu nieco się powiększyły. Wciąż nie odzyskał przytomności, znajduje się w stanie wegetatywnym. Uważamy, że tak poważne obrażenia wykluczają jakąkolwiek poprawę.

Cara się wzdryga.

– W najlepszym razie pan Warren byłby skazany na długotrwały pobyt w ośrodku, bez szans na odzyskanie przytomności.

– Na jakiej podstawie wyciąga pan takie wnioski, doktorze Saint-Clare? – pyta Lorenzo.

– Od dwudziestu dziewięciu lat jestem neurochirurgiem i nigdy nie spotkałem pacjenta, który doszedłby do siebie po takich obrażeniach.

– Jak wygląda stanowisko szpitala wobec opieki nad panem Warrenem?

– Jest naszym pacjentem, toteż dołożymy starań, żeby zapewnić mu jak najlepszą opiekę. Lecz z uwagi na niepomyślne rokowania należy podjąć decyzję, czy przenieść go do innej instytucji, gdzie miałby całodobowy nadzór, czy w razie odłączenia urządzeń podtrzymujących życie pobrać narządy do przeszczepu.

– Jak to, skoro nie nastąpiła u niego śmierć mózgu?

Neurochirurg odchyła się na krześle.

– Istotnie, pan Warren nie spełnia medycznych kryteriów pozwalających na stwierdzenie u niego śmierci mózgu, niemniej jednak spełnia kryteria dotacji organów DCD, czyli śmierci sercowej. Pacjenci z rozległym urazem mózgu, którzy nie oddychają samodzielnie, mogą być dawcami narządów, o ile wiemy, że wyrazili takie życzenie. Szpital kontaktuje ich rodziny z bankiem narządów. Respirator zostaje odłączony i pacjent przestaje oddychać. Rozpoczyna się odliczanie i po pięciu minutach stwierdzamy zgon, przewozimy pacjenta na salę operacyjną i pobieramy narządy. W przypadku pana Warrena byłyby to wątroba i nerki, a może nawet serce.

– Lekarz milknie. – Dla wielu rodzin, które tracą bliską osobę, świadomość, że pomogła uratować komuś życie, stanowi wielką pociechę.

– Dziękuję, doktorze Saint-Clare – mówi Abby Lorenzo. – Nie mam więcej pytań. Wstaję, gotowy na swoją kolej.

– Panie doktorze – zaczynam. – Czy zna pan przypadek Zacka Dunlapa?

– Owszem.

– Czyli słyszał pan, że po wypadku stwierdzono u niego śmierć mózgu, a jednak wyzdrowiał, prawda?

– Tak się niektórym wydaje.

– Co pan ma na myśli?

– Środowisko medyczne uważa, że w przypadku pana Dunlapa nie było mowy o śmierci mózgu, tylko błędnej diagnozie. Śmierć mózgu wyklucza poprawę. Gwoli ścisłości, należałem do grona lekarzy, którzy nosili się z zamiarem zbadania przypadku pana Dunlapa w celu przedstawienia publicznego sprostowania, ale rodzina nie wyraziła na to zgody. – Wzrusza ramionami. – Wolą nazywać to cudem.

– A Terry Wallis?

– Podobnie. Uważano, że przez blisko dwadzieścia lat trwał w stanie wegetatywnym, ale to nieprawda. Znajdował się w stanie minimalnej świadomości, a to coś zupełnie innego. Pacjenci tego rodzaju są do pewnego stopnia świadomi siebie i otoczenia, lecz nie mogą komunikować swoich myśli i uczuć. Zdarza się, że reagują na bolesne bodźce, wypełniają polecenia lub płaczą na dźwięk głosu ukochanej osoby. Minimalna świadomość może być stanem chronicznym, ale daje większe szanse na wyleczenie niż stan wegetatywny.

– Czy to możliwe, że pan Wallis przeszedł ze stanu wegetatywnego w stan minimalnej świadomości?

– Owszem. Istnieje zakres stanów świadomości, począwszy od śpiączki i stanu wegetatywnego aż po świadomość minimalną. Niektórzy pacjenci przechodzą z jednego w drugi.

– A zatem czy nie jest możliwe, że to samo może spotkać pana Warrena?

– Wyzdrowienie Terry’ego Wallisa było niezwykle i niespodziewane, jednakże jego stan wyjściowy znacznie różnił się od stanu pana Warrena. Doznał rozlanego uszkodzenia aksonalnego, który następuje bez wzrostu ciśnienia śródczaszkowego i nie niszczy neuronów, tylko aksony. Neurony znajdują się w korze mózgu. Dalej mamy substancję szarą. Aksony przechodzą stamtąd do istoty białej. Uraz głowy prowadzący do rozlanego uszkodzenia aksonalnego oznacza, że komórki w istocie szarej są nienaruszone, ale z niczym niepowiązane, gdyż owe połączenia – aksony, inaczej neuryty – zostały zerwane. Jest to ciężki przypadek urazu głowy, lecz odbywa się bez uszczerbku dla neuronów. Pan Wallis wyzdrowiał dzięki odbudowaniu neurytów. Obrażenia pana Warrena nie wynikają z zerwania tych ostatnich, tylko zniszczenia neuronów.

I w przeciwieństwie do neurytów, w ich przypadku nie ma mowy o regeneracji.

Doktor Saint-Clare ma uzasadnienie dla wszystkich przypadków z mowy wstępnej Zirconii.

– A zatem – reasumuję – każda z osób wspomnianych przez panią Notch wyzdrowiała albo w wyniku błędnej diagnozy, albo jej obrażenia diametralnie różniły się od obrażeń pana Warrena?

– Właśnie – potwierdza neurochirurg. – Nikt nie kwestionuje, że EEG pana Warrena wykazuje oznaki aktywności. Niewykluczone, że zachował dawne zdolności werbalne i motoryczne w płatach czołowych. Lecz w przypadku uszkodzenia pnia mózgu aktywność płatów czołowych jest bez znaczenia. Mówiąc kolokwialnie, stracił łączność. – Doktor Saint-Clare patrzy na sędziego. – To trochę tak, jakby polecieć na wakacje i widzieć z okna samolotu piękny kurort, kiedy nagle tornado uniemożliwia lądowanie. Na co podziwianie

widoków, skoro i tak nie dotrzemy na miejsce?

– Czy pan Warren zawsze będzie zależny od respiratora i rurek? – pytam.

– Moim zdaniem tak.

– Ile mógłby przeżyć w tym stanie?

– Większość pacjentów z podobnymi obrażeniami umiera w ciągu paru tygodni lub miesięcy na zapalenie płuc bądź inne powikłania. – Lekarz potrząsa głową. – Te wszystkie urządzenia przeciągają tylko umieranie. Podtrzymujemy życie, którego praktycznie nie ma.

– Dziękuję – mówię. – Nie mam więcej pytań.

Zirconia Notch patrzy spod zmarszczonych brwi na neurochirurga.

– Kto płaci za leczenie pana Warrena?

– O ile mi wiadomo, pan Warren nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. Korzysta z uprzejmości państwa.

– Uprzejmości, która kosztuje was około pięciu tysięcy dolarów dziennie, nie licząc wynagrodzenia lekarzy.

– Nie bierzemy tego pod uwagę, niosąc pomoc potrzebującym...

– Czy to prawda, że pański szpital stracił w zeszłym roku dwa miliony dolarów?

– Tak...

– Zatem czy nie uważa pan, że częściowym powodem nacisku ze strony szpitala w sprawie pana Warrena jest chęć udostępnienia łóżka pacjentowi, który zapłaci?

– To nie moje zmartwienie.

– Panie doktorze, wspomniał pan, że pan Warren jest kandydatem na dawcę narządów.

– Zgadza się. Człowiek w jego kondycji fizycznej byłby doskonałym dawcą.

– Czy to prawda, że jedna czwarta operacji pobierania organów kończy się fiaskiem?

Kiwa głową.

– Zdarza się, że po odłączeniu respiratora pacjent sporadycznie oddycha sam. Jeśli nie ustaje to w ciągu około godziny, zawieszamy procedurę.

– Dlaczego?

– Gdyż pacjent ma we krwi za mało tlenu, aby utrzymać pracę narządów, a zarazem zbyt dużo, aby mogło dojść do ustania akcji serca, będącego kryterium stwierdzenia zgonu.

– Czyli... – Zirconia zaciska usta – ...po prostu czekacie, aż ustanie praca serca, odliczacie pięć minut i pobieracie narządy.

– Właśnie.

– Czy słyszał pan o doktorze Robercie Veatchu?

Doktor Saint-Clare chrząka.

– Owszem.

– Czy nie jest on uznanym profesorem etyki, który kwestionuje DCD?

– Zgadza się.

– Czy mógłby pan przedstawić pokrótce jego teorię?

Doktor Saint-Clare kiwa głową.

– Doktor Veatch utrzymuje, że serce, które przestaje bić, można znów pobudzić do działania; bądź co bądź właśnie na tym polega jego transplantacja. Uważa, iż zatrzymanie akcji serca nie jest nieodwracalne, co znaczy, że nie spełnia zasadniczych kryteriów służących stwierdzeniu zgonu.

– Jednym słowem mówi pan, że pan Warren może zostać uznany za zmarłego z chwilą, kiedy jego serce przestanie bić. Ale można je przeszczepić komuś innemu... i znowu zacznie.

– To prawda.

– Czy wobec tego nie pospieszymy się zbyt z stwierdzeniem zgonu pana Warrena,

skoro jego serce można pobudzić do działania jeszcze w jego ciele?

– Stwierdzenie zgonu na podstawie nieodwracalnego ustania krążenia to w krajach rozwiniętych standardowa praktyka, pani Notch – kwituje lekarz. – Owe pięć minut oczekiwania służy sprawdzeniu, czy serce znów samoistnie nie zacznie bić, bez interwencji medycznej.

Zirconia kiwa głową, ale widać, że ma wątpliwości.

– Czy pana Warrena coś boli?

– Nie. Jest nieprzytomny, nic nie czuje. Dokładamy starań, żeby zapewnić mu wszelkie wygody.

– Zatem nie cierpi?

– Nic.

– Nic mu nie doskwiera?

Doktor Saint-Clare poprawia się na krześle.

– Nie.

– Ile mógłby trwać w tym stanie?

– Jeśli uniknie choroby, która dodatkowo nadwątlili jego organizm i zostanie umieszczony w ośrodku, być może parę lat.

Zirconia zaplata ręce na piersi.

– Powiedział pan panu Ng, że wymienione przeze mnie pięć osób z rozległym urazem mózgu zostało błędnie zdiagnozowanych i dlatego wyzdrowiały?

– Tak. Zaburzenia świadomości niestety słyną z tego, że trudno poprawnie je zdiagnozować.

– Zatem skąd pewność, że pan Warren nie będzie kolejnym przypadkiem tak zwanego cudownego ozdrowienia?

– Istnieje taka możliwość, ale prawdopodobieństwo jest niewielkie.

– Czy słyszał pan o zespole zamknięcia, doktorze?

– Oczywiście. Zespół udarowy pnia mózgu to stan, w którym pacjent jest w pełni świadomy i przytomny, ale nie jest w stanie poruszać się ani komunikować.

– Czy to prawda, że uszkodzenie pnia mózgu i normalna elektroencefalografia są typowe w przypadku zespołu zamknięcia?

– Tak.

– Czy w przypadku pana Warrena nie mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem?

– Owszem, jednakże u pacjentów z klasycznym zespołem zamknięcia występują zwężone źrenice oraz inne charakterystyczne objawy. Większość neurologów sprawdza to w ten sposób, że pacjentów rzekomo pogrążonych w śpiączce prosi się, aby przesunęli wzrok z góry na dół.

– Ale nie w całkowitym zespole zamknięcia, prawda? W całkowitym zespole zamknięcia pacjenci z założenia nie są w stanie przesunąć wzroku.

– Zgadza się.

– Zatem czy nie byłoby trudno odróżnić pacjenta z całkowitym zespołem zamknięcia od pacjenta w stanie wegetatywnym?

– Owszem. To bywa trudne.

– Czy jest pan świadomy, doktorze, że pacjenci z zespołem zamknięcia porozumiewają się z otoczeniem za pomocą specjalnych urządzeń i niektórzy żyją bardzo długo?

– Tak słyszałem.

– Czy ze stuprocentową pewnością powie pan sądowi, że pan Warren nie cierpi na zespół zamknięcia?

– W medycynie nigdy nie ma mowy o stuprocentowej pewności – broni się lekarz.

– W takim razie nie może pan stwierdzić jednoznacznie, że pan Warren nie przejdzie ze

stanu wegetatywnego w stan minimalnej świadomości lub nawet odzyska przytomność?

– Nie. Jednakże mogę zapewnić, że wszystkie zastosowane dotąd metody zawiodły i nie ma podstaw medycznych do założenia, że przyszłość cokolwiek zmieni.

– Na pewno słyszał pan o ludziach z urazami kręgosłupa, którzy dzięki postępom w medycynie znów zaczęli chodzić, chociaż nie dawano im nadziei?

– Naturalnie.

– I żołnierzach, którym po powrocie z Iraku i Afganistanu zapewniono protezy, o jakich weterani z Wietnamu mogli tylko pomarzyć?

– Tak.

– I czy wiele osób z wyrokiem kalectwa, a nawet śmierci, nie dostało drugiej szansy od losu? Skąd może pan wiedzieć, że za pięć lat ktoś nie wymyśli sposobu na regenerację uszkodzonego pnia mózgu?

Doktor Saint-Clare wzdycha.

– Nie mogę. Jednakże nie wiemy, ile czasu upłynie, zanim te wspomniane przez panią hipotetyczne metody wejdą w życie.

Zirconia patrzy mu prosto w oczy.

– Na pewno więcej niż dwanaście dni – stwierdza. – Nie mam więcej pytań.

Doktor Saint-Clare wstaje, ale sędzia jeszcze nie skończył.

– Panie doktorze – mówi. – Mam do pana jeszcze jedno pytanie. Użył pan niezrozumiałego dla mnie słownictwa, zatem przejdźmy po prostu do sedna sprawy. Gdyby ten człowiek był pańskim bratem, co by pan zrobił?

Neurochirurg opada powoli na krzesło. Odrywa wzrok od sędziego i z żalem, niemalże czułością patrzy na Carę.

– Pożegnałbym się – mówi. – I pozwolił mu odejść.

LUKE

Musiałem wędrować sześć lub siedem dni w poszukiwaniu powrotnej drogi do człowieczeństwa. Często płakałem nad utratą mojej wilczej rodziny. Wiedziałem, że przeżyją beze mnie. Po prostu nie byłem pewien, czy o sobie mogę powiedzieć to samo.

Zrozumcie: nie widziałem się przez dwa lata, nie licząc mętnego odbicia w strumieniu. Włosy sięgały mi do połowy pleców, splątane w dredy. Miałem długą i gęstą brodę, a twarz pełną zadrapań po igraszkach z wilkami. Nie myłem się porządnie od wielu miesięcy. Zgubiłem prawie trzydzieści kilo i nadgarstki sterczały mi z rękawów jak gałązki. Z takim wyglądem mógłbym straszyć.

Usłyszałem autostradę wcześniej, niż ją zobaczyłem; zrozumiałem, jak wyostrzyły mi się zmysły – czułem smołę rozgrzanego asfaltu, jeszcze zanim drzewa się przerzedziły, a na wprost wyrósł nasyp drogi. Oślepił mnie blask słońca, a przejeżdżający traktor był tak ogłuszający, że od jego ryku mało się nie zatoczyłem. Ciepły podmuch wiatru zdmuchnął mi włosy z brudnej twarzy.

Dotknąłem ogrodzenia; chłód metalu tak dalece różnił się od tego, czego dotykałem ostatnio, że zamarłem, chłonąc tę chwilę. Wspiąłem się i zwinnie przeszedłem górą, bezszelestnie opadając po drugiej stronie; miałem to w małym palcu. Na dźwięk głosów zjeżyły mi się włosy na karku i przypadłem do ziemi. Stałem z wiatrem, aby nie wiedzieli, że nadchodzę.

Były to harcerki, czy jak tam je nazywają w Kanadzie. Urządziły piknik na poboczu, a ich autokar spał niczym skulone zwierzę w cieniu parkingu.

Czułem się pobudzony, dziki, jak na patelni. Nie było gdzie się schować i nie towarzyszył mi nikt gotów w razie czego stanąć do walki. Słyszałem szum przejeżdżających samochodów, jakby kule gwizdały mi nad głową. Śmiech dziewcząt był ogłuszający, musiałem zatkać uszy.

Z perspektywy czasu mogę sobie wyobrazić, co czuły: biesiadują w najlepsze, aż tu nagle zjawia się obszarpana, cuchnąca bestia i psuje im piknik. Niektóre zaczęły krzyczeć, jedna pobięła do autokaru. Próbowałem je uspokoić, ale odruchowo przysiadłem na piętach i pochyliłem głowę. Wreszcie przypomniałem sobie, że mam głos.

Którego nie używałem przez dwa lata, nie licząc wycia i warczenia.

Był zardzewiały i cienki, jak skowyt. Dźwięk, którego nie pamiętałem.

Wydobycie go zabolalo, podobnie jak próba ukształtowania go w słowo. Gdy krztusiłem się i wypluwałem sylaby, nadbiegł kierowca. „Już powiadomiłem policję”, ostrzegł, grożąc mi ogromną latarką zamiast broni.

Wtedy odzyskałem mowę.

– Pomocy – powiedziałem.

*** Przybycie policji właściwie okazało się wybawieniem. Moje tłumaczenia na początku ich nie przekonały, mimo prawa jazdy, z którym przed dwu laty wszedłem do lasu. Biorąc pod uwagę mój wygląd, pewnie wzięli mnie za menela, który zwędził komuś portfel. Uwierzyli mi dopiero po telefonie do Georgie, która rozplakała się do słuchawki, i pozwolili wykapać się w posterunkowej szatni. Dali mi policyjną koszulkę i spodnie dresowe. Kupili hamburgera.

Pożarłem go w pięć sekund. I przez następną godzinę wymiotowałem nad sedesem.

Komendant przyniósł mi wodę i krakersy. Chciał się dowiedzieć, co mnie do cholery skłoniło, by zamieszkać wśród wilków. I jakim cudem mnie nie zjadły? Im dłużej rozmawialiśmy, tym łatwiej przychodziła mi mowa, a zdania majaczące jak duchy u szczytu podniebienia wreszcie oblekły się w realne kształty.

Przepraszał, że każe mi nocować w areszcie, na cienkiej pryczy. Ale ja po raz pierwszy od dwóch lat spałem na łóżku i nie mogłem znaleźć wygodnej pozycji. Ściany napierały zewsząd,

choć pozostawiono mi otwarte drzwi. Wszystko pachniało atramentem, tonerem i kurzem.

Kiedy Georgie zjawiała się po całonocnej podróży, spałem twardo na podłodze, lecz zerwałem się jak dzikie zwierzę, jeszcze zanim przestąpiła próg. Wiedziałem, że nadchodzi, bowiem zapach jej szamponu i perfum wyprzedził ją o kilometr.

– Boże – mruknęła. – Luke?

Rzuciła się ku mnie.

To sprawiło, że instynkt wziął górę nad logiką i zrobiłem to, co na moim miejscu zrobiłby wilk.

Uchyliłem się czujnie.

Do śmierci zapamiętam widok jej oczu, które zgasły jak płomyk świecy na wietrze.

EDWARD

Składając przysięgę, wsuwam drugą dłoń do kieszeni ojcowskiej kurtki i wymacuję świstek papieru. Nie chcę sprawdzać, co to, zwłaszcza teraz, ale umieram z ciekawości. Notatka? Lista zakupów do sklepu spożywczego, sporządzona ręką taty? Zawiadomienie z poczty? Kwit z pralni chemicznej? Przed oczami staje mi pracownik, zdziwiony, że Luke Warren nie odebrał spodni. Ciekawe, jak długo je zatrzymają, czy zadzwonią z prośbą o odbiór, może oddadzą biednym?

Ale gdy dyskretnie wyciągam paperek i rozwijam pod blatem, jakbym tylko opuścił oczy, widzę, że to wróżba z ciasteczka w chińskiej restauracji.

„Gniew zaczyna się szaleństwem, a kończy żalem”.

Ciekawe, czemu to zachował. Może wziął do siebie te słowa. Może czytał je od czasu do czasu, jako ostrzeżenie.

Może wsunął do kieszeni i po prostu zapomniał.

Może przypominały mu o mnie.

– Edwardzie – mówi Joe. – Opowiedz nam o dorastaniu z twoim ojcem.

– Myślałem, że mam najfajniejszego tatę pod słońcem – przyznaję. – Proszę zrozumieć, byłem zamknięty w sobie, dużo czytałem. Zwykle siedziałem z nosem w książce. Nigdy nie ciągnęło mnie na dwór. Byłem częstym obiektem żartów. – Czuję na sobie zaciekawiony wzrok Cary. Innego starszego brata pamięta. Z perspektywy dziecka nawet kujon jest ekstra, jeśli chodzi do liceum, jeździ starym wrakiem i kupuje żelki. – Kiedy tata wrócił z lasu, natychmiast stał się gwiazdą. Od razu zyskałem na popularności, bo był moim tatą.

– Jak określiłbyś wasze relacje? Byliście zżyci?

– Ojciec spędzał mnóstwo czasu poza domem – odpowiadam dyplomatycznie; ciśnie mi się powiedzenie, „o zmarłych mówi się dobrze lub wcale”. – Najpierw mieszkał w Quebecu z wilkami, a gdy po powrocie zaczął tworzyć watahy w Redmond, nocował w przyczepie, czasami w zagrodzie. Carę fascynowało to bardziej niż mnie, więc przesiadywała z nim częściej, a ja zostawałem z mamą.

– Czy miałeś o to żal?

– Tak. – Nie owijam w bawełnę. – Pamiętam, że byłem zazdrosny o wilki, którymi się opiekował, one znaly go lepiej niż ja. O siostrę też, bo mówiła jego językiem.

Cara spuszcza głowę, włosy zasłaniają jej twarz.

– Nienawidziłeś ojca, Edwardzie?

– Nie. Nie rozumiałem go, ale nie nienawidziłem.

– A on ciebie?

– Nie. – Kręcę głową. – Chyba nie wiedział, co ze mną począć. Spodziewał się, że jego dzieci siłą rzeczy zainteresują się tym samym, co on... w przeciwnym razie, mówiąc wprost, nie bardzo miał o czym z nimi rozmawiać.

– Co zaszło, kiedy miałeś osiemnaście lat?

– Ojciec i ja... pokłóciliśmy się. Jestem gejem. Ujawniłem się przed matką i za jej radą pojechałem do ojca, aby zrobić to samo.

– Sprawy przybrały zły obrót?

Milczę, brnąc przez zasieki wspomnień.

– Można tak powiedzieć.

– I co się stało?

– Wyjechałem.

– Dokąd?

– Do Tajlandii. Zacząłem uczyć angielskiego i zwiedzać kraj.
– Ile czasu tam spędziłeś?
– Sześć lat. – Głos mi się łamie pomiędzy słowami.
– Czy w tym czasie utrzymywałeś kontakt z rodziną? – pyta Joe.
– Początkowo nie. Naprawdę chciałem... musiałem... się odciąć. Ale wreszcie napisałem do matki. – Napotykam jej wzrok i przepraszam w duchu za to, co musiała przeżywać, za te miesiące milczenia. – Nadal nie rozmawiałem z ojcem.
– W jakich okolicznościach wróciłeś z Tajlandii?
– Matka zadzwoniła do mnie, że ojciec i Cara mieli groźny wypadek.
– Co wtedy czułeś?
– Spanikowałem. Nieważne, że nie widzimy kogoś długi czas. Nie przestaje być naszą rodziną. – Podnoszę wzrok. – Wsiadłem w następny samolot do Stanów.

– Opowiedz proszę sądowi, jak po raz pierwszy ujrzałeś ojca w szpitalu.
Pytanie Joego zabiera mnie wstecz. Stoję w nogach łóżka, gapię się na płataninę rurek i przewodów wypełzających spod szpitalnej koszuli ojca. Ma zabandażowaną głowę, ale najbardziej wstrząsa mną mała plamka krwi. Widnieje na szyi, tuż nad jego grdyką. Łatwo ją pomylić z zarostem, zadrapaniem. Został starannie umyty przez pielęgniarki, ale ten jedyny ślad po wypadku prawie rzuca mnie na kolana.

– Był roslym mężczyzną – mówię ściszym głosem – lecz na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie jeszcze wyższego. Sama jego energia pewnie dodawała mu z pięć centymetrów. Nigdy nie szedł spokojnie, tylko gnał przed siebie. Nie jadł, tylko pochłaniał posiłek. Czasem mówi się o ludziach żyjących na krawędzi. To o nim. – Owijam się szczelniej kurtką. – Ale ten człowiek na łóżku? W życiu go nie widziałem.

– Rozmawiałeś z jego lekarzem prowadzącym? – pyta Joe.
– Owszem. Doktor Saint-Clare opowiedział mi o przeprowadzonych badaniach i zabiegu w celu obniżenia ciśnienia śródczaszkowego. Tłumaczył, że pomimo zmniejszenia obrzęku ojciec odniósł poważny uraz pnia mózgowego i operacja nic nie pomoże.

– Jak często odwiedzałeś ojca w szpitalu?
Jak tu powiedzieć, że bywałem tam prawie bez przerwy, nie licząc chwilowego zakazu.
– Starałem się zaglądać codziennie.
Joe staje na wprost mnie.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z ojcem, czego życzyliby sobie w podobnej sytuacji?
– Tak – odpowiadam. – Raz.
– Opowiesz nam o tym?
– Gdy miałem piętnaście lat, postanowił wyruszyć w głąb kanadyjskiej puszczy i zamieszkać z dzikimi wilkami. Nikt wcześniej tego nie dokonał. Przyrodniczy odkryli wilcze korytarze wzdłuż rzeki Świętego Wawrzyńca, więc postanowił je zbadać, a następnie dołączyć do stada. W przeszłości udawało mu się to z wilkami na uwięzi, więc uznał, że to kolejny krok, który oznaczał jednak konieczność przetrwania kanadyjskiej zimy bez jedzenia i dachu nad głową.

– Czy przejmował się swoim losem?
– Wcale. Robił to, co uważał za konieczne; dla niego to było powołanie. Matka miała nieco inny pogląd. Twierdziła, że ucieka, pozostawiając ją z dwójką dzieci. Była pewna, że zginie. Mówiła, że to brak odpowiedzialności i szaleństwo; błagała, żeby oprzytomniał i został w domu, gdzie jego miejsce... ale jego miejsce było gdzie indziej.

Matka siedzi nieruchomo w pierwszym rzędzie, wzrok ma spuszczoney, a dłonie ściśnięte razem.

– W przeddzień wyjazdu ojciec zawołał mnie do siebie. Miał na biurku dwie szklanki i butelkę whisky; powiedział, żebym się napił, bo odtąd ja będę głową rodziny.

Alkohol pali jak ogień; kaszlę i oczy mi łzawią, jakbym zaraz miał umrzeć, ale on klepie mnie po plecach i każe oddychać. Ocieram twarz koszulką, przysięgając sobie, że nigdy, choćby za milion lat, nie tknę tego świństwa. Mrugam powiekami i widzę na biurku coś, czego nie było wcześniej. Kartkę papieru.

– Poznajesz ten dokument? – pyta Joe.

Znowu go widzę, pognieciony i rozdarty z jednej strony, list, który znalazłem w biurku. Joe załącza go jako dowód i prosi, abym odczytał treść. Czytam, ale w głowie słyszę głos ojca.

I własną odpowiedź: „A jeśli dokonam niewłaściwego wyboru?”.

– U dołu to twój podpis? – upewnia się Joe.

– Tak.

– Obok podpisu twojego ojca?

– Zgadza się.

– Czy w ciągu ostatnich dziewięciu lat ojciec pozbawił cię tego pełnomocnictwa?

– Sprzeciw! – Prawniczka Cary wstaje. – Nie mówimy o pełnomocnictwie w formalnym tego słowa znaczeniu.

– Oddalam – mruczy sędzia. Znow szarpie palcami włosy. Dziwne, że jeszcze nie wyłysiał.

Gdzieś w równoległym wszechświecie uśmialibyśmy się z tego z Carą.

– Nie wróciliśmy więcej do tamtej rozmowy. Wrócił z Kanady i tyle.

– Kiedy przypomniałeś sobie o tej umowie?

– Gdy przed paroma dniami przeglądałem jego papiery w poszukiwaniu numeru dozorczy z Redmond. Wpadła za szufladę.

– Czy znalazłeś wówczas także inne pełnomocnictwa? – pyta Joe.

– Nie.

– A testament? Lub polisę ubezpieczeniową?

– Tylko to drugie – odpowiadam.

– Powiesz sądowi, kto jest beneficjentem w razie śmierci pana Warrena?

– Moja siostra – odpowiadam. – Cara.

Widzę po jej minie, że nigdy o tym nie rozmawiali.

– A ty?

– Nie.

Leżała w teczce z papierami samochodu i paszportem; przeczytałem ją od deski do deski. Zastanawiałem się, czy wykluczył mnie po moim wyjeździe, czy wykupił polisę, gdy już byłem w Tajlandii.

– Zdziwiło cię to?

– Nie.

– Rozzłościło?

Unoszę głowę.

– Od sześciu lat żyję na własny rachunek. Nie potrzebuję jego pieniędzy.

– A zatem kroki podjęte w celu zostania kuratorem ojca nie wynikają z chęci uzyskania korzyści majątkowej?

– Nie dostanę ani centa, jeśli o tym mowa.

– Edwardzie – mówi Joe – czego twoim zdaniem życzyłby sobie teraz ojciec?

– Sprzeciw – wtrąca Zirconia Notch. – To subiektywna opinia.

– Fakt – przyznaje sędzia. – Ale chciałbym ją usłyszeć.

Biorę głęboki oddech.

– Rozmawiałem z lekarzami i zadawałem im setki pytań. Wiem, że ojciec nie wróci. Opowiadał mi o chorych wilkach, które zaczynały się głodzić, bo wiedziały, że są stada kulą u nogi. Trzymały się na uboczu, póki nie opadły z sił, po czym kładły się pod drzewem i umierały.

Nie z powodu braku chęci do życia, po prostu w tym stanie ciążyły innym. Tata zawsze powtarzał, że myśli jak wilk. A wilk nade wszystko przedkłada dobro rodziny.

Gdy odważam się spojrzeć na Carę, czuję, jakbym dostał obuchem. Oczy ma pełne łez, ramiona jej dygoczą i z trudem próbuje się opanować.

– Przykro mi, Caro – zwracam się do niej. – Ja też go kocham. Wiem, że mi nie wierzysz, ale to prawda. Chciałbym móc ci powiedzieć, że wyzdrowieje, ale nie mogę. Powiedziałaby, że na niego już czas. Że musi odejść, aby rodzina mogła żyć dalej.

– Nieprawda – wybucha Cara. – Nie wierzę w ani jedno słowo. Nie zostawiłby mnie. Wcale go nie kochasz. Nigdy nie kochałeś.

– Proszę zapanować nad klientką, pani Notch – upomina sędzia.

– Caro – mamrocze prawniczka. – Przyjdzie nasza kolej.

Joe staje twarzą do mnie.

– Twoja siostra jest innego zdania. Dlaczego?

– Bo się obwinia. Też uczestniczyła w wypadku. Wyzdrowiała, a on nie. Nie twierdzę, że zawiniła, po prostu brak jej dystansu.

– Niektórzy powiedzą, że ty masz go w nadmiarze – zauważa Joe.

Kiwam głową.

– Wiem. Lecz odkąd tutaj jestem, uświadomiłem sobie jedną rzecz. Odchodząc, myślisz, że wszystko staje w miejscu. Że cały świat zamiera w oczekiwaniu twojego powrotu. Ale nic nie trwa bez ruchu. Wałą się domy. Ludzie mają wypadki. Małe dziewczynki dorastają. – Odwracam się do Cary. – Kiedy byłaś mała, chodziłaś na basen i robiłaś w wodzie fikołki. Miałem cię oceniać, jak na olimpiadzie. Przeważnie czytałem i rzucałem na chybił trafił, a gdy przyznałem za mało punktów, błagałaś mnie o powtórkę. Rzecz w tym, że kiedy dorastamy, nie ma powtórek. Udaje się lub nie, i trzeba żyć z tym, co spapraliśmy. Sześć lat nie widziałem ojca i sądziłem, że kiedyś o tym porozmawiamy. Myślałem, że przeprosi lub ja to zrobię, ale będzie jak w kinie familijnym, gdzie wszystko znajduje szczęśliwy finał. Nie odzyskam tych sześciu lat, chociaż mogłem wystukać numer i powiedzieć „Cześć, to ja”. – Sięgam do kieszeni, macam wróżbę. – Zaufał mi, kiedy miałem piętnaście lat. Niech wie, że na przekór wszystkiemu nadal może mi ufać. I nie mogę przeboleć tego, co zaszło między nami. Możliwe, że zabraknie okazji, aby mu to powiedzieć prosto w oczy. Nie widzę innego sposobu.

Nagle przypominam sobie, co się stało po tym, gdy podpisałem umowę. Upuściłem długopis, jakby mnie sparzył. Ojciec sięgnął po moją whisky i wypił do dna. *Jesteś starą duszą*, powiedział. *Będziesz w tym lepszy niż ja*.

Hołubiłem ten komplement jak skarb, jak ostryga kołysz perłę, zapominając o bólu, który go zrodził.

– Żebyśmy się dobrze zrozumieli – uświadamia mnie Joe w czasie przerwy. – Zirconia Notch może wygląda, jakby hodowała marihuanę i dziergała sobie swetry z włosów, ale to pirania. Pracowała dla Danny’ego Boyle’a, a on dobiera współpracowników na podstawie jednego kryterium: jak skutecznie wysysają krew.

Toteż gdy prawniczka Cary podchodzi z uśmiechem, kurczowo łapię się krzesła, gotów na ciężką pracę.

– Czy to prawda – zaczyna – że chce przekonać pan sęd, iż zdaniem ojca w wieku

piętnastu lat był pan na tyle dojrzały, aby decydować o jego leczeniu? Ale pańska siostra, która liczy sobie lat siedemnaście i trzy czwarte, jest według pana na to za młoda?

– Decyzja należała do mojego ojca. Nie prosiłem o ten przywilej – odpowiadam.

– Czy jest pan świadomy, że Cara zarządza finansami ojca i płaci jego rachunki?

– Nie dziwi mnie to. W jej wieku robiłem to samo.

– Nie widział pan ojca od sześciu lat, tak?

– Owszem.

– Czy jest możliwe, że sprokurował drugi dokument, na przykład upoważniający Carę, o którym pan nie wie? A może znalazł go pan... i wyrzucił?

Joe wstaje.

– Sprzeciw! Na jakiej podstawie...?

– Cofam pytanie – mówi Zirconia Notch, ale jej słowa dają mi do myślenia. Co, jeśli faktycznie upoważnił Carę lub kogoś innego, i dokument gdzieś leży? Co, jeśli zmienił zdanie? Skąd mógłbym o tym wiedzieć? Odłączenie respiratora zgodnie z czyjąś wolą to nie morderstwo. Ale jeśli okaże się, że chciał inaczej?

– Czy uważa się pan za osobę impulsywną, Edwardzie?

– Nie.

– Naprawdę? Wyjechać z domu po burzliwej kłótni? To niecodzienne zachowanie.

Joe rozkłada ręce.

– Wysoki sędzie? Czy ta charakterystyka kryje pytanie?

– Podtrzymuję – decyduje sędzia.

Nie robi to wrażenia na Zirconii.

– Czy uważa się pan za kogoś, kto lubi panować nad sytuacją?

– Tylko nad własnym przeznaczeniem.

– A przeznaczenie pańskiego ojca? – drąży. – Usiłuje pan przejąć nad nim kontrolę, prawda?

– Bo mnie o to prosił – mówię z naciskiem. – Nie taił swoich zamiarów: zgłosił się na dawcę narządów.

– Skąd pan to wie?

– Tak wynika z jego prawa jazdy.

– Czy jest pan świadomy, że aby zostać dawcą narządów w stanie New Hampshire, nie wystarczy nalepka na prawie jazdy? I że trzeba się zarejestrować w Internecie?

– Ja.

– A czy wiedział pan, że pański ojciec tego nie zrobił?

– Nie.

– Jak pan sądzi, może po prostu zmienił zdanie?

– Sprzeciw – woła Joe. – To czyste spekulacje.

Sędzia marszczy brwi.

– Dopuszczam pytanie. Proszę odpowiedzieć, panie Warren.

Patrzę na prawniczkę.

– Moim zdaniem nie wiedział, że to konieczne.

– A pan czyta mu w myślach, bo przez ostatnie sześć lat byliście sobie tak bliscy – kwituje Zirconia. – Założę się, że całymi nocami snuliście rozmowy o życiu. Ach, prawda, zapomniałam. Nie było pana.

– Ale teraz jestem.

– Właśnie. I dlatego po rozmowie z lekarzami podjął pan wszelkie środki, by zakończyć jego życie?

– Lekarze i pani z opieki społecznej powiedzieli mi, że mam przestać myśleć o tym, czego chcę, a skupić się na tym, czego chciałby mój ojciec.

– Dlaczego nie omówił pan tego z siostrą?

– Próbowałem, ale dostawała hysterii na każdą wzmiankę o jego stanie.

– Ile razy pan próbował?

– Kilka.

Zirconia Notch unosi brew.

– A dokładnie?

– Raz – przyznaję.

– Czy zdaje pan sobie sprawę, że Cara miała groźny wypadek samochodowy? – pyta.

– Naturalnie.

– I że była poważnie ranna?

– Tak.

– I miała operację?

Wzdycham.

– Tak.

– Że była roztrzęsiona i pod wpływem środków przeciwbólowych, gdy podjął pan ten temat?

– Powiedziała mi, że dłużej nie wytrzyma – argumentuję. – I że niech to się skończy.

– „To”, czyli życie pańskiego ojca? Mimo że chwilę wcześniej stanowczo sprzeciwiała się odłączeniu respiratora?

– Uznałem, że ma na myśli całą sytuację. Nie była w stanie tego słuchać ani przetrwać.

Dlatego powiedziałem jej, że się wszystkim zajmę.

– Przez co rozumiał pan samowolną decyzję o odłączeniu respiratora.

– Mój ojciec by tego chciał – oświadczam z naciskiem.

– Ale bądźmy szczerzy, Edwardzie, tak naprawdę chodzi o to, czego ty chcesz, prawda?

– naciska Zirconia.

– Nie. – Zaczyna mnie łupać w czaszce.

– Czyżby? Przecież zorganizowałeś wszystko w tajemnicy przed siostrą. Nie wiedziała do ostatniej chwili. A gdy lekarze zorientowali się, co knujesz, i odwołali procedurę – ciągnie – pomimo błagań Cary ty odepchnąłeś pielęgniarkę, aby zrobić to, na czym zależało ci od początku: zabić ojca.

– To nieprawda. – Z trudem nad sobą panuję.

– Postawiono panu zarzut morderstwa drugiego stopnia, czy nie postawiono, panie

Warren?

– Sprzeciw! – mówi Joe.

Sędzia kiwa głową.

– Podtrzymuję.

– Zeznał pan, że śmierć ojca nie daje panu żadnych korzyści majątkowych, gdyż nie jest pan beneficjentem jego polisy ubezpieczeniowej, tak?

– Dowiedziałem się o polisie dziesięć dni temu.

– To mnóstwo czasu, aby obmyślić plan zemsty za wykluczenie pana kosztem siostry, – rzuca Zirconia.

Joe zrywa się na równe nogi.

– Sprzeciw!

– Podtrzymuję – mamrocze sędzia.

Prawniczka przysuwa się niezrażona, ręce ma splecione na piersi.

– Ojciec nie zostawił też testamentu, co znaczy, że byłby pan jego spadkobiercą uprawnionym do otrzymania połowy majątku.

A to ci dopiero nowina.

– Serio?

– Czyli teoretycznie pewna korzyść majątkowa istnieje – zaznacza.

– Po opłaceniu rachunków za szpital nie będzie co dzielić.

– Zatem twierdzi pan, że im szybciej umrze, tym więcej zostawi pieniędzy?

– Nie o to mi chodziło. Nawet nie wiedziałem, że mógłbym po nim dziedziczyć...

– Zgadza się. Ojciec umarł dla pana przed laty? Czemuż by tego nie uprawomocnić? Joe ostrzegął, że Zirconia Notch spróbuje wyprowadzić mnie z równowagi i sprawić, żebym wyszedł na człowieka zdolnego do morderstwa. Biorę głęboki oddech, usiłując powstrzymać rumieniec cisnący się na twarz.

– Nic pani nie wie o moich relacjach z ojcem.

– Wręcz przeciwnie, Edwardzie. Wiem, że powodują panem gniew i uraza...

– Nie...

– Wiem, że wścieka się pan z powodu wykluczenia z polisy. Nie może pan darować ojcu obojętności i więzi, jaka łączyła go z pańską siostrą...

Żyła zaczyna mi pulsować na szyi.

– Myli się pani.

– Niech pan przyzna: nie robi pan tego z miłości, Edwardzie, tylko z nienawiści.

Kręcę głową.

– Nienawidzi pan ojca za to, że odrzucił pana za wyznanie o homoseksualizmie. I z tej nienawiści zniszczył pan rodzinę...

– On zaczął! – wybucham. – Niech pani będzie. Nienawidziłem ojca. Ale nigdy nie wspominałem mu o moim homoseksualizmie. Nie miałem okazji. – Toczę wzrokiem po zgromadzonych, aż napotykam jedną zmartwiałą twarz. – Bo tamtej nocy w przyczepie... przyłapałem go z kochanką.

W czasie przerwy Joe wpycha mnie do sali konferencyjnej. Idzie po wodę, której nie mogę wypić, bo cały się trzęsę. Stało się to, czego się obawiałem.

Drzwi się otwierają i ku mojemu zdziwieniu nie wchodzi Joe, tylko matka. Siada naprzeciw mnie.

– Edwardzie. – To jedno słowo jest jak płótno, na którym mogę domalować brakującą opowieść.

Sprawia wrażenie małej i roztrzęsionej, ale chyba tak bywa, kiedy dowiadujesz się, że to, co latami uważałeś za prawdę, jest fikcją. I tu przynajmniej jestem jej winien wyjaśnienia.

– Pojechałem do Redmond, żeby z nim porozmawiać, ale nie odezwał się, gdy zapukałem. Drzwi były otwarte, więc wszedłem. Światło się paliło, radio grało. Taty nie zastałem w pokoju, więc udałem się do sypialni.

Pamiętam, jakby to działo się wczoraj: kończyny splecione węzłem gordyjskim, odzież skłębiona na podłodze, chwila olśnienia.

– Bzykał stażystkę o imieniu Sparrow czy Wren, nie pamiętam... dwa lata starszą ode mnie. – Patrzę na matkę. – Nie mogłem ci powiedzieć, więc gdy pomyślałaś, że zdenerwowałem się rozmową z ojcem, nie wyprowadziłem cię z błędu.

Mocno splata ręce na piersi, wciąż nie odzywając się ani słowem.

– Był nam winien te dwa lata nieobecności – ciągnę. – Miał wrócić i być ojcem. Mężem. Tymczasem wrócił, lecz myślał i zachowywał się jak jeden z tych durnych wilków, z którymi przebywał. On to alfa, a my jego wataha, a wilki zawsze stawiają rodzinę na pierwszym miejscu.

Ile razy nam to powtarzał? A przez cały czas łągał jak z nut. Miał w dupie naszą rodzinę. Łajdaczył się za twoimi plecami, nie dbał o własne dzieci. Hipokryta, nie wilk.

Twarz matki wygląda jak ze szkła. Jakby najłżejszy ruch głową mógł rozbić ją w drobny mak.

– To dlaczego wyjechałeś?

– Błagał, żebym ci nic nie mówił. Twierdził, że zapomniał się tylko raz, że popełnił błąd.

– Patrzę na kolana. – Nie chciałem, żebyście cierpiały. Czekalaś na niego dwa lata, jak Penelopa na Odyseusza. A Cara... Cóż, ona zawsze widziała w nim bohatera; nie chciałem być tym, kto pozbawi ją złudzeń. Ale wiedziałem, że nie mogę za niego kłamać. Wreszcie bym się wygadał i rozbiłoby to naszą rodzinę. – Chowam twarz w dłoniach. – Dlatego wolałem nie ryzykować i wyjechałem.

– Ja wiedziałam – szepcze mama.

Wciągam powietrze.

– Słucham?

– Nie byłem pewna co do dziewczyny, ale miałam swoje podejrzenia. – Ścisła moją dłoń.

– Popsuło się między nami po jego powrocie z Kanady. Wyprowadził się i przesiadywał w przyczepie albo z wilkami. Potem zaczął zatrudniać młode dziewczęta po zoologii, które widziały w nim boga. Nigdy nie powiedział nic wprost, ale nie musiał. Po jakimś czasie te dziewczyny przestały patrzeć mi w oczy, kiedy pojawiałam się w Redmond. Siadałam w przyczepie, czekając na Luke'a, i znajdowałam dodatkową szczoteczkę do zębów. Różową bluzę. – Podnosi na mnie wzrok. – Gdybym wiedziała, że dlatego wyjechałeś do Tajlandii, przepłynęłabym ocean, żeby zmusić cię do powrotu – wyznaje. – To ja powinnam cię chronić, Edwardzie, a nie na odwrót. Wybacz mi.

Ktoś cicho puka do drzwi i wchodzi Joe. Mama zapada w jego ramiona.

– Już dobrze, skarbie. – Joe głaszcze jej włosy.

– To bez znaczenia – odpowiada w jego ramię mama. – I było wieki temu.

Nie płacze, ale to pewnie kwestia czasu. Blizny to mapa bólu, ukrytego zbyt głęboko, aby pamiętać.

Matka i Joe porozumiewają się szyfrem kochanków, systemem znaków bez udziału słów. Zastanawiam się, czy z ojcem też tak miała, czy bez przerwy i na próżno próbowała go rozgryźć.

– Nie zasługiwał na ciebie – mówię do niej. – Nie zasługiwał na żadne z nas.

Odwraca się do mnie, nie puszczając ręki Joego.

– Chcesz, żeby umarł, Edwardzie? – pyta. – Czy życzysz mu śmierci?

To dwie różne rzeczy, myślę. Mogę wmówić sobie, że przybyłem jako zaprzeczenie syna marnotrawnego, do złudzenia powtarzać „chcę postąpić zgodnie z jego życzeniem”. Ale nazwiesz konia kaczką i nie wyrosną mu skrzydła ani dziób. Możesz wmówić sobie, że rodzina to idylla, bo frustrację i samotność nie zawsze widać na zdjęciach.

Okazuje się, że litość i zemstę dzieli cienka granica.

Tak cienka, że straciłem ją z oczu.

LUKE

To, co kotwiczyło mnie w świecie człowieka – rodzina – zmieniło się nie do poznania. Moja mała dziewczynka, która nie tak dawno bała się ciemności, teraz nosiła aparat na zębach, obejmowała mnie za szyję, pokazywała mi złotą rybkę, ulubioną książkę, swoje zdjęcie z zawodów. Zachowywała się tak, jakby zamiast dwóch lat minęły dwie minuty. Żona okazywała większą powściągliwość. Snuła się za mną w przekonaniu, że jeśli spuści mnie z oczu, znów jej ucieknę. Zawsze zaciskała usta, aby nie wyfrunęło z nich coś, co miała na końcu języka. Po naszym pierwszym spotkaniu na posterunku w Kanadzie bała się do mnie zbliżyć fizycznie, zasypując w zamian wygodami: miękkimi spodniami w nowym, mniejszym rozmiarze, domowymi potrawami, których na nowo uczył się mój żołądek, puchową kołdrą, żebym nie marzył. Gdziekolwiek się ruszyłem, tam chciała coś dla mnie zrobić.

Za to syn wyglądał na niewzruszonego. Powitał mnie uściskiem dłoni i garstką słów, czasem obserwował zza okna lub drzwi. Był ostrożny, nie kwapił się mi zaufać.

Wyglądało, że z wiekiem stał się taki jak ja.

Pomyślcie, że suma drobnych przyjemności pozwoliła mi wejść ślizgiem w ludzki świat, ale nie do końca. Nocami nie spałem i tłukłem się po domu, jakbym chodził na zwiad. Każdy dźwięk zwiastował zagrożenie: gdy po raz pierwszy usłyszałem świst ekspresu, zbiegłem na dół w majtkach i wpadłem do kuchni, zjeżony do ataku. Wołałem przesiadywać w ciemności zamiast w sztucznym świetle. Materac był zbyt miękki pod mną, wołałem kłaść się na posadzce. Gdy Georgie spostrzegła kiedyś, że dygoczę, i chciała mnie przykryć, wyskoczyłem jak rakietą, jeszcze zanim opadł koc, chwyciłem ją wpół i przyparłem do podłogi na znak swojej przewagi fizycznej. „Prze... praszam”, wyjąkała, ale byłem tak owładnięty instynktem, że nie mogłem wykrztusić: „Nie, to ja”.

Światem wilków rządzi szczerłość, która wyzwala. Nie ma dyplomacji, tego, co wypada. Okazujesz wrogowi nienawiść; grasz w otwarte karty. Ta bezpośredniość nie sprawdza się u ludzi, którzy są mistrzami wykrętów. Czy ta sukienka mnie nie pogrubia? Naprawdę mnie kochasz? Tęskniłeś? Gdy osoba zadaje takie pytania, nie chce znać prawdy. Chce, żeby ją okłamać. Po dwóch latach z wilkami zapomniałem, ilu kłamstw trzeba do zbudowania związku. Myślałem o wielkim becie z Quebecu, o którym wiedziałem, że broniłby mnie do upadłego. Ufałem mu bezgranicznie, bo on ufał mnie. Ale tutaj, wśród ludzi, istniało tyle półprawd i kłamstewek, iż nie sposób było spamiętać, co jest prawdą, a co nie. Wydawało się, że ilekroć mówiłem prawdę, Georgie wybuchała płaczem, a że straciłem poczucie tego, co powinienem mówić, uciekałem w milczenie.

Nie mogłem znieść czterech ścian, czułem się jak w klatce. Od telewizora bolały mnie oczy, rozmowa przy stole brzmiała jak w obcym języku. W łazience dostawałem zawrotów głowy od oparów szamponu, mydła i dezodorantu, aż musiałem się opierać o ścianę. Do niedawna byłem w świecie, gdzie istniało cztery lub pięć podstawowych zapachów. Węch wyostrzył mi się tak, że wiedziałem, gdy wadera wierci się w norze oddalonej o niecałe trzydzieści metrów; woń gliny sącząca się przez wąski otwór w ziemi była niczym czerwona flaga pośród zapachów uryny, igliwia, śniegu i wilczej sierści.

Na zewnątrz też nie mogłem wyjść, bo kiedy szedłem ulicą, naokoło szczekały psy. Pamiętam, jak kiedyś minąłem kobietę na koniu, a ten spłoszył się i zarżał na mój widok. Byłem wprawdzie ogolony i już zmyłem z siebie dwuletni brud, ale wciąż emanowałem czymś drapieżnym, naturalnym i pierwotnym. (Do dzisiaj muszę omijać konie szerokim łukiem). Możesz wyrwać człowieka z lasu, ale lasu z człowieka ani rusz.

Zatem nie powinno dziwić, że najlepiej czułem się w Redmond, w wilczej zagrodzie.

Poprosiłem Georgie, żeby mnie zawiozła – wciąż nie byłem gotów usiąść za kierownicą. Dozorcy powitali mnie jak bohatera, lecz nie przyjechałem do nich. Z ulgą, od której miękły kolana, wszedłem do zagrody Wazoli, Kladen i Sikwli.

Kladen, beta, natarł na mnie pierwszy. Kiedy uchyliłem się instynktownie i odwróciłem głowę – uznając jego dominację – na powitanie polizał mnie w twarz. Zrozumiałem, jak łatwo przychodzi mi ta rozmowa bez słów – o ileż łatwiej niż wymuszona wymiana zdań z Georgie w samochodzie o tym, czy myślę o przyszłości i co zamierzam dalej. Zrozumiałem też, jakiej biegłości nabrałem w mowie wilków. Rzeczy, nad którymi dawniej musiałem się zastanawiać, teraz przychodziły mi naturalnie. Gdy Sikwla, tester, skubnął mnie zębami, wydałem z siebie gardłowy warkot. Kiedy na końcu podeszła czujna Wazoli – alfa – położyłem się i przewróciłem na plecy, odsłaniając gardło w dowód zaufania. Co najlepsze, tarzając się w ziemi, znów zacząłem pachnieć jak ja, a nie Head & Shoulders i Dove. Gumka mi spadła i włosy, które przyciąłem do ramion, rozsypały się na plecy i skleiły od błota.

Te wilki miały w sobie więcej delikatności niż moi bracia z Quebecu. Wciąż były to dzikie zwierzęta obdarzone dzikim instynktem, jednak życie wilka na uwięzi z założenia jest spokojniejsze od życia wilka na wolności. Do tego również musiałem przywyknąć, gdyż pamiętałem, że nie jestem tu jedynie członkiem watahy, ale nauczycielem: miałem uzupełnić ich codzienność o to, co traciły w obrębie płotu.

A skoro sam tego doświadczyłem, któż nadawałby się lepiej?

Poprosiłem jednego z dozorców o przyniesienie połówki cielaka z rzeźni, w ramach odświętnego posiłku. Spełnił polecenie, omiatając mnie pospiesznie wzrokiem, gdy klęczałem między Wazoli i Kladenem. Zależało mi na tym posiłku, aby im przypomnieć, że należę do rodziny. Gdy cielak znalazł się w zagrodzie i dozorcy wyszli, wilki ruszyły na żer. Wazoli jadła narządy, Kladen mięso, a Sikwla zawartość żołądka oraz kręgosłup. Usadoviłem się między Kladenem i Sikwłą, z obnażonymi zębami broniąc przypisanej sobie części. Nachyliwszy się nad cielakiem, zacząłem rwać pasy surowego mięsa, mażąc krwią twarz i włosy, i kłapałem na Sikwłę, gdy podchodził za blisko.

Kiedy podniosłem się, by zaczerpnąć powietrza, musiałem robić wrażenie: brudny i zakrwawiony, syty i odurzony bliskością zwierząt, z którymi rozumiałem się bez słów. Odskokczyłem od mięsa i ruszyłem za Sikwłą na kamień, gdzie lubił się wygrzewać.

O Georgie zapomniałem. Stała po drugiej stronie ogrodzenia, ze zgrozą we mnie wpatrzona. Chociaż nie zrobiłem nic, czego nie miałyby okazji oglądać, raczej nie chodziło o zażyłość z wilkami ani posiłek. Po prostu chyba zrozumiała, że odszedłem na zawsze.

GEORGIE

Nie zwracajcie uwagi na człowieka za kotarą.

Tak mówi czarnoksiężnik w *Czarnoksiężniku ze Szmaragdowego Grodu*. Niech kłown zongluje dalej, tak aby oko śledziło spektakl zamiast rzeczywistości. Spośród wszystkich pytań o Luke'a najczęstsze brzmi: „Jakie to uczucie być jego żoną?”. Ludzie wnioskuje z programów, w których występuje, że ma zwierzęcy temperament w łóżku i je kotlety na surowo. Prawda sprawiłaby im zawód: dopóki Luke mieszkał z nami, zachowywał się zupełnie normalnie. Oglądał sport, jadł chipsy. Wymieniał żarówki i wynosił śmieci. Był zwyczajny bardziej niż niezwykły.

Sęk w tym, że gdy rodzi się celebryta, jemu nie wypada żyć jak inni. Ma wyglądać jak spod igły, jeździć limuzyną, a w przypadku Luke'a oznaczało to, że po powrocie z Kanady nie mógł być mężem, jakiego potrzebowałam. Zbyt dalece różniłby się od człowieka, jakiego oczekiwali inni.

Ale nawet owi niezwyčajni mają wokół siebie bliskich – ludzi, którzy wiedzą, że zdarza im się nie opuścić deski po siusianiu, że nie znoszą masła orzechowego i strzelają palcami. My wiemy, że z dala od obiektywu kamery te chodzące legendy kurczą się do ludzkich rozmiarów, mają zmarszczki, pryszcze i mnóstwo wad.

Gdy Luke zaczął przyjmować do pomocy dziewczęta, przeszło mi przez myśl, że może z nimi sypia. Bądź co bądź, nie sypiał ze mną. Ale przede wszystkim wiedziałam, że potrzebuje święty. Potrzebował dziewcząt tak rozkochanych w panu z telewizji, że widziały go właśnie takim. Dzięki temu mógł uwierzyć, że jest nim naprawdę.

Chcecie wiedzieć, jakie to uczucie być żoną Luke'a?

Jak pogoń za wiatrem.

I bez przerwy na drugim planie.

Nie dziwi mnie, że Cara miota się po sali konferencyjnej.

– To kłamstwo – oznajmia na mój widok. – On tego nie zrobił.

Podchwytuję spojrzenie Zirconii. Spośród wszystkich młodych kobiet zadurzonych w Luke'u Warrenie najbardziej rozkochana była w nim córka. Kochała go po prostu, bo należał do niej, co – jeśli go dobrze rozumiałam – czyniło ich relację najbardziej zbliżoną do wilczej.

– Możliwe, że brat to wszystko zmyślił, żeby cię rozstroić – mówi Zirconia. – Ale nie podejrzewałabym go o taki spryt. – Zerka na mnie. – Bez urazy.

Wszystko zaczyna się układać jak miasto po trzęsieniu ziemi. Niektóre budynki stoją, część runęła bezpowrotnie.

I nie obyło się bez ofiar. Zawsze dziwiłam się ostrej reakcji Luke'a na homoseksualizm Edwarda – jakoś mi do niego nie pasowała, i słusznie, bo nigdy do niej nie doszło. Ich rozmowa dotyczyła tylko seksualnych wyczynów ojca.

Przysiadam na brzegu stołu, patrząc, jak córka wściekle wydeptuje ścieżkę tam i z powrotem. Ręka na temblaku przylega ściśle do tułowia, przyciśnięta drugim ramieniem.

– Caro. – Wzdycham. – Wszyscy popełniamy błędy.

Nie wierzę, że tłumaczę zachowanie Luke'a. Ale – jak powiedział Edward – nie cofniemy się przed niczym, aby bronić rodzinę. Przeniesiemy góry, przelkniemy dumę.

– On nas kochał – upiera się Cara. Oczy ma nieszcześliwe, usta jak otwarta rana.

– Kochał ciebie – uściślam. – I nadal kocha. – Zatrzymuję ją, gdy jest obok. – Wiem, że uciekał do taty, kiedy Joe i ja zakładaliśmy rodzinę, bo czułaś się tam bezpiecznie. Wierzyłaś, że będziesz jego jedyną rodziną, zamiast jednym z garstki dzieci. I wiem, jak trudno uwierzyć, że może nie był taki święty. Ale cokolwiek mi zrobił, Caro... to nie zmieni jego uczuć wobec

ciebie.

– Faceci. Nie sposób z nimi żyć... i nie wolno ich legalnie zastrzelić – wtrąca Zirconia. – Osiem lat temu spławiłam męża i kupiłam sobie lamę. Do dzisiaj wieszuję sobie tej decyzji.

Udaję, że nie słyszę, i zwracam się ponownie do Cary.

– Nieważne, że twój ojciec nie jest doskonały. Bo ty jesteś doskonała dla niego.

Ale Cara wybucha płaczem. Tuli się do mnie.

– Tak strasznie mi przykro – mówię.

Delikatnie głaszczę ją po plecach. Kiedyś Luke opowiadał o wilku, który bał się burzy i chował mu się pod koszulą. Ale nie zaprzęta! sobie głowy tym, że jego córka robiła to samo. Że gdy huczał grzmot, a on tulił struchlałego wilka, Cara wpełzała do mnie do łóżka i przywierała do moich pleców.

– Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć – dodaję. – Edward wyjechał, żeby cię chronić. Uznał, że pod jego nieobecność nigdy nie dowiesz się prawdy.

Cara zarzuca mi rękę na szyję.

– Mamo – szepcze – muszę...

Ktoś puka do drzwi i mówią nam, że pora wracać na salę rozpraw.

– Caro – wtrąca Zirconia. – Nadal chcesz być kuratorem ojca?

Cara wymyka się z moich objęć.

– Tak.

– W takim razie skup się na sprawie – prosi bez ogródek Zirconia. – Chcę pokazać sądowi, że dojrzałość pozwala ci kochać ojca bez względu na wszystko. Choćby zdradzał mamę, musiał mieć zmieniane pieluchy i kolejne dziesięć lat spędził w hospicjum.

Dotykam jej ręki.

– Naprawdę tego chcesz, Caro? Mogą upłynąć lata, zanim wróci do siebie. Jeżeli to w ogóle nastąpi. Na pewno życzyłyby sobie, żebyś poszła na studia, znalazła pracę, założyła rodzinę, była szczęśliwa. Masz przed sobą całe życie.

Podnosi głowę, oczy jej błyszczą.

– On też je ma.

Mówię Carze i Zirconii, że idę do łazienki, ale wychodzę z sądu i biegnę na parking. Po dwudziestu minutach docieram do szpitala Beresford Memorial i jadę windą na OIOM.

Luke leży nieruchomo i na oko bez zmian, nie licząc sińca wokół wenflonu, który z fioletu przybrał odcień nakrapianej ochry.

Przysuwam krzesło i patrzę na niego.

Kiedy wyszedł z lasu, zanim zjawili się dziennikarze i wciągnęli go w orbitę sławy, usiłowałam pomóc mu wrócić do świata ludzi. Pozwalałam mu spać bite trzydzieści godzin, gotowałam ulubione potrawy, szorowałam dwuletni brud z pleców. Jeśli udam, że życie wróciło do normalności, myślałam, może on też da się przekonać.

Wszędzie go ze sobą ciągałam. Po Carę do szkoły, do bankomatu po pieniądze. Na pocztę i na stację.

Zauważyłam, że przyciąga kobiety. Budził sensację, gdziekolwiek się udaliśmy. Obce panie w samochodach trąbiły pod szkołą, dopóki im nie odmachał. Podśmiewałam się z niego. Ale z ciebie amant, mówiłam. Tylko o mnie nie zapomnij, kiedy założysz harem.

Nie wiedziałam, że te słowa okażą się prorocze. Myślałam: czy jakaś zniosłaby to, co ja znoszę w zaciszu czterech ścian? Mężczyznę, który trawił tylko kaszę, który nocami zakręcał ogrzewanie, aż budziliśmy się z zimna; który znał moczem granicę naszego ogrodu?

Kiedyś pojechaliśmy na zakupy. W dziale z owocami podeszła kobieta, niosąc dwa melony, i zapytała, który jego zdaniem jest bardziej dojrzały. Z uśmiechem pochylił głowę,

włosy zasłoniły mu twarz. Mało nie zemdląła, kiedy wskazał owoc w jej prawej dłoni.

W następnym dziale kobieta z dzieckiem w wózku z zakupami poprosiła, aby sięgnął jej po coś z górnej półki. Wyciągnął się na palcach i zdjął wskazany przedmiot: krem do protez zębowych, którego na pewno nie miała zamiaru kupić. To było nawet zabawne: ciągnęły do niego jak ćmy do ognia. Sądziłam, że to swoista reakcja na jego muskulaturę, rozwianą grzywę, a może wilcze feromony. Wiedzą, że mógłbym je obronić, oświadczył z całą powagą. To je przyciąga.

W dziale kosmetycznym kolana się pod nim ugięły: obezwładnił go natłok woni z opakowań. Już dobrze, powiedziałam i poprowadziłam go w bezpieczniejszy rejon, opodał płatków śniadaniowych.

Nie wierzę, mówił, kryjąc twarz na moim ramieniu. Umiem gołymi rękami zabić jelenia, ale płyn do kąpieli to mój kryptonit.

To się zmieni, obiecałam.

Georgie, powiedział. Tylko ty się nie zmieniaj.

Teraz patrzę na niego, na woskową powłokę skóry, przymknięte oczy, zwiotczałe usta wokół rurki, która za niego oddycha. Bóg strącony na powrót do śmiertelności.

Sięgam po jego dłoń. Jest wiotka, o skórze suchej jak liść. Splatam ją wokół własnej dłoni, unoszę do policzka.

– Ty skurczybyku – mówię.

LUKE

Tylko jedna rzecz mogła mnie odciągnąć od nowej wilczej rodziny, a mianowicie człowiek. Zjawił się w osobie dziennikarza z „Union Leader”, w asyście fotografa. Wraz z napływem kolejnych gości, którzy oglądali mnie z wilkami, wzrosło zainteresowanie parkiem, a z nim liczba turystów chcących zobaczyć mnie na własne oczy. Największy dziennik w New Hampshire podchwycił temat.

Uderzyła mnie ironia sytuacji: w ten sam sposób poznałem Georgie. Kiedyś zostawiłem dla niej wilki. Teraz znów musiałem zostawić je dla dziennikarza. Z każdym dniem przybywało ich coraz więcej – niektórzy mieli kamery – z prośbą o wywiad z człowiekiem, który żył w lesie z wilkami. Kladen, Sikwla i Wazoli stali się nerwowi i drażliwi – nic dziwnego. Jasno odczytywali sygnały wysyłane przez tych ludzi: że czegoś ode mnie chcą, są samolubni i zachłanni. W lesie dziennikarza czekałby los drapieżnika: stado zabiłoby go, by ratować jednego ze swoich.

Ale to oddanie działało w obie strony i wiedziałem, że nie dopuszczę, aby ktoś zakłócał ich życie z mojego powodu. Dlatego wyszedłem z zagrody i wśród błysku fleszy zasypano mnie pytaniami.

„Czy naprawdę mieszkał pan w lesie?”

„Co pan jadł?”

„Bał się pan?”

„Jak przetrwał pan kanadyjską zimę?”

„Co skłoniło pana do powrotu?”

Ostatnie pytanie przelało czarę, bo już tutaj nie pasowałem. I choć bez wahania wróciłbym do lasu i spróbował odszukać moje stado, nie było gwarancji, że je znajdę bądź zostaną przyjęty z powrotem.

Nim zacząłem sypiać w Redmond z wilkami, błędząc pewnej nocy po domu, zobaczyłem światło w pokoju Edwarda. Kiedy otworzyłem drzwi, podniósł głowę, jakby chciał sprowokować pytanie, czemu nie śpi o trzeciej nad ranem. Nie zapytałem, przecież sam też nie spałem. Leżał wsparty na poduszkach, czytając książkę. Kiedy się nie odezwał, pokazał mi okładkę.

– *Boska Komedia* – powiedział. – Dante. Czytam o piekle.

– Mam je na co dzień – odparłem.

– Ja jestem dopiero w pierwszym kręgu – oznajmił Edward. – Limbo. Nie niebo i nie piekło. Takie pomiędzy.

Zrozumiałem, że to mój nowy adres.

Nie potrafiłem być czarujący. I błyskotliwy. Zatraciłem sztukę rozmowy i nie umiałem sklecić w zdania wszystkiego, czego się nauczyłem od nich. Toteż zrobiłem to, co wilk w obliczu zagrożenia: uciekłem.

Pobiegłem do Redmond. Osiem kilometrów po ciemku, ale miałem wprawę; przyplływ adrenaliny dobrze mi zrobił.

Poszedłem do przyczepy i zatrzasnąłem drzwi. Zamknąłem się od środka, udałem do sypialni i też przekręciłem klucz. Dyszałem, zlany potem. Słyszałem wilki; wyły do mnie.

Na co mi wiedza o wilkach, jeśli nie mogę przekazać jej ludziom, którym jest potrzebna.

Nie wiem, ile czasu spędziłem w ciemnym, zagraconym pokoju, wciśnięty w kąt, z wzrokiem wbitym w drzwi. Aż usłyszałem stłumione głosy. Szmer. Chrobot klucza w zamku.

Zapach mydła i szamponu Georgie.

Zamknęła drzwi na klucz i uklękła przede mną, bardzo powoli. Położyła mi dłoń na czubku głowy. Luke, szepnęła.

Gładziła mnie po włosach; pochyliłem się i o nią oparłem. Otoczyła mnie ramionami. Nie wiedziałem, że płaczę, dopóki nie posmakowałem moich łez na jej wargach. Całowała mnie w czoło, policzki, szyję.

Zwykły przejaw czułości ogarnął mnie jak pożoga. Objąłem ją, sięgnąłem do kołnierza bluzki; szarpnąłem. Zadarłem jej spódnice, poczułem, jak oplata mnie nogami, i rozpiąłem spodnie. Ugryzłem ją w ramię i przełknąłem jej krzyk. Przyparłem ją do ściany i wszedłem w nią tak gwałtownie, że wygięła plecy i wbiła we mnie paznokcie. Chciałem ją naznaczyć. Mieć na wyłączność.

Później trzymałem ją na kolanach, wodząc palcem wzdłuż linii kręgosłupa. Narobiłem jej siniaków, niechący; czyżbym zatracił delikatność razem z człowieczeństwem, myślałem. Podchwyciłem jej wzrok.

– Luke – rzekła. – Pozwól sobie pomóc.

CARA

Trudno pogodzić się z tym, że twój ojciec ma romans.

Po pierwsze, trzeba wyobrazić sobie, jak uprawia seks, a to obrzydliwe. Po drugie, wypadaloby wziąć stronę matki jako zdradzonej. A po trzecie, ciśnie nam się myśl, w czym zawiniliśmy, że bez skrępułów wbił nóż w serce rodziny.

Czuję, jakby drzazga utkwiała mi w gardle, ale z innych powodów, niż myślicie. Wiem, jak to brzmi, ale czuję ulgę. Bo nie tylko ja zawałam na całej linii.

Matka powiedziała, że w oczach ojca jestem doskonała, ale to nieprawda. A więc teraz jesteśmy kwita.

Siadając na krześle dla świadka, widzę przed sobą Edwarda. W uszach dźwięczą mi słowa matki, że chciał ochronić mnie, dlatego wyjechał. Przeholował z tym swoim altruizmem jak na mój gust. Teoria, że usuwając się z mojego życia, ratował rodzinę, jest jak teoria, że zabicie ojca to akt miłosierdzia i przejaw dobrego serca.

Wszyscy popełniamy błędy, powiedziała matka.

W podstawówce miałam koleżankę, której rodzina była tak sielska, że wyglądali jak z reklamy. Zawsze pamiętali o swoich urodzinach, dają słowo, że rodzeństwo nigdy się nie żarło, a rodzice zachowywali się jak na pierwszej randce. Dziwne. To było tak plastikowe, że zadawałam sobie pytanie, jak się zachowują, gdy nie mają widowni.

Z kolei moja rodzina składała się z ojca, który wolał towarzystwo dzikich zwierząt, i matki, która czasem kładła się z bólem głowy, chociaż wszyscy wiedzieli, że płacze, piętnastoletniego chłopca, który płacił rachunki, i mnie, która przed dyskoteką z okazji Dnia Ojca – gdy wszystkie dziewczynki przychodziły z tatusiami – symulowałam zatrucie, żeby zostać w domu i żeby nikt nie musiał mnie żałować.

Moim zdaniem w prawdziwej rodzinie nie chodzi o to, aby zawsze wszystko robić jak trzeba, tylko dać drugą szansę bliskim, jeśli nawalili.

Znowu nie mogę podnieść prawej ręki do przysięgi, ale obiecuję mówić prawdę.

Zirconia idzie w moją stronę. Jest w swoim żywiole, mimo fluorescencyjnych rajstop i żółtych pantofli.

– Caro – zaczyna – ile masz lat?

– Siedemnaście – odpowiadam – i trzy czwarte.

– Kiedy przypadają twoje urodziny?

– Za trzy miesiące.

– Gdzie mieszkałaś, kiedy doszło do wypadku?

– Z ojcem. Mieszkamy razem od czterech lat.

– Jak opisałabyś swoje relacje z tatą, Caro?

– Wszystko robimy we dwójkę. – Gardło zaciska mi się wokół tych słów. – Spędzam dużo czasu w Redmond, pomagam mu przy wilkach. Prowadzę też gospodarstwo, bo jest zajęty badaniami. Biwakujemy w Górach Białych, gdzie uczy mnie orientacji. Czasem po prostu siedzimy w domu. Gotujemy makaron – zdradził mi swój przepis na spaghetti bolońskie – i oglądamy filmy. Ale jest też pierwszą osobą, której mówię, że dostałam dobry stopień, lub gdy ktoś dokucza mi w szkole albo szukam na coś odpowiedzi. Prawie wszystko, co wiem, wiem od niego.

Mam wyrzuty sumienia, że mówię to przy matce, nawet jeśli to prawda i zeznaję pod przysięgą. Dziecko zawsze jest bardziej zżyte z jednym rodzicem niż z drugim. Kochamy oboje, ale do jednego walimy jak w dym. Widzę jednak, że matki nie ma. Zastanawiam się, czy jeszcze siedzi w łazience; może źle się poczuła i powinnam się martwić – kiedy głos Zirconii sprowadza

mnie do rzeczywistości.

– A relacje ojca z Edwardem?

– Nie było żadnych relacji z Edwardem. Opuścił nas.

– Ale mówiąc to, patrzę na brata. Czy naprawdę można się na kogoś wściekać, jeśli myślał, że robi słusznie?

– A twoje relacje z bratem? – pyta Zirconia.

Całe życie ludzie mówili nam, że ja wyglądam jak matka, a Edward jest klonem taty. Ale teraz widzę, że to niezupełnie tak. Edward i ja mamy oczy w tym samym kolorze. W dziwnym, piwnym odcieniu, inne niż nasi rodzice.

– Prawie go nie pamiętam – mamroczę.

– Jakie obrażenia odniosłaś w wypadku?

– Miałam wybity, pęknięty bark; lekarze mówili, że pogruchotałam kość ramienną. Do tego stłuczone żebra i wstrząśnienie mózgu.

– Jak wyglądało leczenie?

– Miałam operację – odpowiadam. – Wstawili mi metalową płytkę i drut. – Patrzę na pobladłą twarz sędziego.

– Mówię poważnie.

– Brałaś leki?

– Przeciwbólowe. Głównie morfinę.

– Ile czasu spędziłaś w szpitalu?

– Sześć dni. Po operacji przyplątała mi się infekcja.

Zirconia marszczy brwi.

– Czyli twój stan był poważny?

– Najgorsze jest to, że jestem praworęczna. Przynajmniej dotychczas.

– Słyszałaś zeznanie swojego brata na temat rozmowy poprzedzającej jego decyzję o odłączeniu ojcu respiratora. Kiedy to było?

– Piątego wieczoru w szpitalu. Bardzo mnie bolało i dostałam od pielęgniarek coś na sen.

– Mimo to brat wymusił na tobie tak poważną rozmowę.

– Lekarze ojca przyszli przedstawić mi rokowania. Szczerze powiedziawszy, bardzo się zdenerwowałam. Nie mogłam słuchać tego ich biadolenia, że ojciec nigdy nie wyzdrowieje, zwłaszcza kiedy byłam tak słaba. Jedna z pielęgniarek kazała wszystkim opuścić salę w obawie o mój stan.

Zirconia patrzy na Edwarda.

– I właśnie wtedy zebrało mu się na zwierzenia?

– Tak. Powiedziałałam mu, że nie dam rady. Chodziło o to, że nie mogłam znieść, kiedy mówili o nim, jakby już był martwy. Ale widać Edward uznał, że nie czuję się zdolna do podjęcia decyzji.

– Sprzeciw – mówi Joe. – Spekulacje.

– Podtrzymuję – oznajmia sędzia.

– Czy potem rozmawiałaś jeszcze z bratem?

– Owszem – zapewniam. – Gdy chciał zabić ojca.

– Czy mogłabyś opisać sądowi przebieg tej sytuacji?

Mimowolnie wracam myślą do szpitala i słyszę, że prawniczka mówi o „zatwierdzonej przeze mnie” decyzji Edwarda. Na bosaka pędzę na OIOM. W sali jest pełno ludzi, tylko o mnie zapomniano. On kłamie, wołam, a mój głos, jakby obcej osoby, dudni.

Chwila ulgi, kiedy prawniczka odwołuje procedurę, i zaczynam płakać. Spóźniona reakcja, jak zawsze gdy otarliśmy się o śmierć.

Ostatnio czułam coś takiego po tym, gdy uderzyliśmy w drzewo, zanim.

Zanim.

– Moje słowa zdawały się do niego nie docierać – mamroczę. – Odepchnął pielęgniarkę, sięgnął po wtyczkę i wyrwał ją z gniazdka.

Sędzia wzrokiem zachęca, żebym kontynuowała.

– Ktoś podłączył respirator z powrotem. Salowy przytrzymał Edwarda aż do nadejścia ochrony.

– Caro, jak wpłynął na ojca ten niefortunny obrót zdarzeń?

Potrząsam głową.

– Na szczęście jego stan nie uległ zmianie. Brak tlenu mógł doprowadzić do obumarcia mózgu.

– Nie domyślasz się, dlaczego brat podjął tę jednostronną decyzję?

– Nie. Nie prosił mnie o radę.

– Chciałaś tego samego?

– Nie! Wiem, że jeśli damy tacie więcej czasu, jego stan się poprawi.

– Caro, przecież słyszałaś, że biorąc pod uwagę obrażenia twojego taty, doktor Saint-Clare wyklucza jego powrót do zdrowia – zauważa Zirconia.

– Słyszałam też, że nie ma co do tego stuprocentowej pewności – kwituję. – Trzymam się tego małego procentu, bo wszyscy inni dali za wygraną.

Zirconia przechyla głowę.

– Czy wiesz, czego w tej sytuacji życzyłby sobie twój ojciec?

Patrzę na Edwarda, bo chcę mu powiedzieć to wszystko, na co nie dał mi szansy, zanim wyciągnął wtyczkę.

– Ojciec zawsze powtarza, że u wilków, jeśli stado dotrwa do wieczora, a potem rana, jest co świętować. Patrzyłam, jak karmi wilczka mlekiem z butelki, jak grzeje go pod własną koszulą, jak mimo śnieżycy wiezie do weterynarza. Na wolności żadne ze szczeniąt nie miałyby szans przetrwać, to prawo natury, ale ojciec nie jest taki lekkomyślny. Wiecznie słyszałam, że życie to jedyny dar, którego nie wolno zaprzepaścić.

– To czemu zapłacił za skrobankę?

Gwałtownie odwracam głowę. Edward stoi; jest czerwony na twarzy i z trudem wyrzuca słowa.

– Teraz ty prowadzisz księgowość. Kiedyś ja to robiłem. Stąd wiem.

Joe szarpie go za rękaw.

– Siedź cicho – warczy.

– To nie był tylko raz z inną kobietą, chociaż tak mi wmawiał. Trwało to miesiącami, a dziecko było jego...

– Cisza! – krzyczy sędzia. Tłucze młotkiem w stół.

Coś umiera we mnie, kiedy Joe prosi o przerwę i wywleka go z sali. Ale to nie koniec.

– Okłamał cię wiele razy – mówi Edward do mnie, i nikogo więcej. – Myślisz, że go znasz, Caro. Ale tak naprawdę nie znałaś go nigdy.

LUKE

Za namową Georgie poszedłem się zbadać. Usiadłem w izbie przyjęć, czytając w ludziach. Przewidywanie ruchów drapieżnika to w lesie sprawa życia lub śmierci, ale tutaj przerodziło się raczej w grę salonową. Wiedziałem, że kobieta wyjmie chusteczkę, chwilę zanim otworzyła torebkę. Wiedziałem, że siedzący w kącie mężczyzna jest na skraju łez, choć uśmiechał się do córki. Wiedziałem, że kobieta, która pocierała brzuch, od dawna jest chora; czułem to w jej krwi. Zaciekawiony patrzyłem na pielęgniarkę w recepcji. Co parę minut podchodził do niej nieznajomy, ale nie cofała się odruchowo, chociaż wiedzieć nie mogła, czy w kieszeni nie ma broni lub się na nią nie zamachnie. Darzyła go zaufaniem, jeszcze nim okazał uległość – a ja śledziłem to w poczuciu nieuchronnej katastrofy.

Kiedy wezwano mnie na badanie, Georgie, która siedziała za mną, wstała, jakby chciała pójść za mną.

– Wolałbym sam – powiedziałem.

Poczerwieniała, zakłopotana.

– Jasne – odparła. – Naturalnie.

Poszedłem za pielęgniarką, która zbadała mi tętno. Trzy razy.

– Niemożliwe – powiedziała, zbita z tropu moim niskim ciśnieniem.

Siedziałem sam, czekając na lekarza, z oczami na klamce. Nasłuchiwałem w korytarzu szelestu mojej karty. Przymknąłem oczy, wciągając w nozdrza zapach wody kolońskiej.

– Witam – powiedziałem, jeszcze zanim wszedł.

Lekarz podniósł brwi.

– Dzień dobry. Jestem doktor Stephens, a pan... Luke Warren, jak wynika z karty. Zatem przez dwa lata mieszkał pan w lesie z wilkami, a do tego widzi przez ściany. – Odwrócił się do pielęgniarki. – Gdzie opinia psychiatry?

– Nie jestem wariatem, tylko biologiem. Ruszyłem za stadem wilków szarych korytarzem wzdłuż rzeki Świętego Wawrzyńca. Przyjęły mnie do siebie; z nimi polowałem, jadłem i spałem. Chyba nie uwierzyłby mi, gdyby nie wynik pomiaru ciśnienia. Spojrzał na pielęgniarkę.

– Zaszła pomyłka...

– Mierzyłam trzy razy – zapewniła.

Doktor Stephens zmarszczył brwi i sam sprawdził.

– No tak. Ma pan niższe ciśnienie niż zawodowy koszykarz, którego leczyłem przed rokiem. Gdybym się nie znał, rzekłbym, że stoi pan nad grobem, na co jednak nie wygląda. Więc co się dzieje?

– Miałem... unikalną dietę i ćwiczenia – wyjaśniłem.

Szczęka mu opadła.

– Pan mówi serio – powiedział, a ja pokiwałem głową.

Usiadł i wysłuchał mojej opowieści o tym, jak stałem się częścią watahy. Opowiedziałem mu o tym, jak jedliśmy, przemieszczaliśmy się i polowaliśmy. O tym, jak wyglądał odpoczynek, jak daleko zapuszczaliśmy się na zwiady, jak zwalczaliśmy drapieżniki i osaczaliśmy ofiarę. Godzinę później, gdy skończyłem, patrzył na mnie jak na kosmitę, gotów pokroić go dla dobra nauki.

– Chętnie zleciłbym parę badań – rzucił z ożywieniem.

– Sprawdził, jak to doświadczenie wpłynęło na pana fizycznie. Zgodzi się pan...?

Zostawił mnie, aby zlecić badania, a ja się ubrałem. Ale zamiast czekać na pobranie krwi, wyszedłem na korytarz, gdzie zostałem zatrzymany przez pielęgniarkę.

– Gdzie znajduje się najbliższa łazienka? – spytałem.

Wskazał mi drogę – prosto korytarzem i na lewo. Ruszyłem w tamtą stronę, ale nie do łazienki, tylko prosto przed siebie. Wyszedłem tylnymi drzwiami i zbiegłem po schodach, na słońce.

Na krawężniku siedział nastolatek i szlochał. Miał na uszach wielkie słuchawki, jak kontroler lotów, i kołysał się w przód i w tył.

– Za dużo – mamrotał, potrząsając głową. Jego głos dobiegał jakby z dna oceanu.

Usiadłem obok, a po chwili przybiegła kobieta. Siłą woli powstrzymałem odruch obronny.

– Tu jesteś! – zawołała, ciągnąc go za rękę.

– W czym rzecz? – spytałem.

– Aktywowali mu dzisiaj implanty ślimakowe – oznajmiła z dumą. – Musi przywyknąć.

Wtedy zobaczyłem srebrny dysk w czaszce, otoczony strzechą przyciętych włosów.

– Za dużo – zawył chłopiec.

Do dzisiaj jest jedyną osobą, która musi wiedzieć, co czułem po powrocie.

JOE

– Wiesz co – mówię, zamykając drzwi sali konferencyjnej. – Chociaż raz mógłbyś mnie uprzedzić, co zamierzasz palnąć. Proponowałbym też, abyś ograniczył się do odpowiedzi na pytania zamiast spontanicznych wykładów.

– Przepraszam – mamrocze Edward. Ukrywa twarz w dłoniach. – Ja nie chciałem.

– Czego nie chciałeś? Zdetonować kolejnej bomby na sali sądowej? Doprowadzić siostry do łez? Wykończyć matki?

Patrzę na telefon. Georgie zniknęła. Dzwoniłem i pisałem, ale nie odpowiada. Do pewnego momentu siedziała na sali, po czym Edward gruchnął z romansem ojca i rozpląnęła się jak kamfora. Pocieszam się, że może jednak z innego powodu. Staram się uwierzyć, że na tyle jest ze mną szczęśliwa, aby szybko dojść do siebie. Grunt, że ominął ją ostatni odcinek synowskich „zwierzeń”.

Siadam i poluźniam krawat.

– No więc?

Edward patrzy na mnie.

– W życiu nie widziałem go takim, jak wtedy w przyczepie. Spanikował. Trząśnięcie, że powiem mamie. Zaklinał, że to był błąd, jednorazowy wyskok, który nie powtórzy się nigdy więcej. A ja mu uwierzyłem. Ale wróciłem do domu i mama czuła, że coś nie gra. Uznała, że poszło o to, co miałem mu powiedzieć, a ja nie zaprzeczyłem, bo tak było łatwiej. Ale dzień później płaciłem faktury, jak zwykle, i zobaczyłem rachunek z kliniki aborcyjnej w Concord. Słyszałem o tym miejscu; jechała tam jedna z trzecioklasistek, stąd wiedziałem. Tak czy inaczej, do rachunku dołączono liścik następującej treści: „Dziękujemy za opłacenie z góry pełnej kwoty – przepraszamy za awarię systemu. Załączamy kopię rachunku do celów ubezpieczeniowych”. Byłem pewien, że to pomyłka, dopóki nie przeczytałem nazwiska pacjentki: Wren McGraw, stażystka, którą ojciec zatrudnił jako dozorczynię. Ta, z którą go przyłapałem. – Cedzi słowa. – Ta, z którą niby wcześniej nie spał. – Śmieje się z przymusem. – Zatem nic dziwnego, że wszyscy uważali go za boga, skoro jest zdolny do niepokalanego poczęcia.

– I wtedy wyjechałeś – mówię.

Edward kiwa głową.

– Całe życie czułem, że nie spełniam jego oczekiwań. Ale okazało się, że on moich też. Kiedy już coś wiesz, nie sposób tego cofnąć, więc jego widok doprowadzał mnie do białej gorączki. Ale nie mogłem zranić mamy i Cary, więc pojechałem do Redmond i przyklepiłem mu ten rachunek do lustra w łazience.

I wsiadłem do samolotu.

– Nie pomyślałeś, jak twój wyjazd wpłynie na matkę?

– Miałem osiemnaście lat – rzuca tonem wyjaśnienia. – W ogóle nie myślałem.

– Dlaczego to robisz, Edwardzie? Chcesz się na koniec na nim odegrać?

Kręci głową.

– Uważam, że to on się śmieje ostatni. Jakby wszystko sobie zaplanował. Po sześciu latach rozłąki znów jesteśmy razem. Tylko pomyśl – dodaje. – Wreszcie nauczył nas życia w stadzie.

Dobra wiadomość jest taka, że na sali siedzi Georgie i jest spokojna. Zła, że muszę przesłuchać własną pasierbicę.

Cara ma minę, jakby trafiła w łapy inkwizycji. Podchodzę do niej i nachylam się bliżej.

– Caro – zaczynam. – Czy wiesz, dlaczego kukułka nie buduje gniazda?

Marszczy brwi.

– Bo mieszka w zegarze.
Parska śmiechem, a ja puszczam oko.
– To prawda, że jeden z waszych wilków stracił nogę?
– Tak, w sidłach. Odgryzł ją sobie, żeby się uwolnić, a tata wykurował go, chociaż nikt nie dawał mu szans.
– Ale użył pozostałych trzech nóg, żeby uciec, tak?
– Tak sądzę.
– I na trzech nogach mógł zdobyć pożywienie?
– Tak.
– I biegać z watahą?
– Owszem.
– I komunikować się z pozostałymi wilkami?
– Jasne.
– Czego nie można powiedzieć o twoim ojcu, prawda? Jego obrażenia uniemożliwiają mu czynności, składające się na życie, które ma sens? – pytam.
– Przecież mówiłam – odpowiada z uporem Cara. – Dla niego każde życie ma sens. Starannie unika wzroku Edwarda.
– Lekarze ojca nie dają mu żadnych szans na wyleczenie, zgadza się?
– Rzecz nie jest tak oczywista, jak mówią – zaznacza. – Ojciec ma ducha walki. Jeśli ktokolwiek jest w stanie się zmierzyć z przeznaczeniem, to na pewno on. Bez przerwy robi rzeczy nieosiągalne dla innych.
Biorę głęboki oddech, bo nadeszła chwila, gdy przestają być miły. Przymykam oczy, w nadziei że Cara – i Georgie – wybaczy mi to, co zaraz zrobię. Ale mam na uwadze głównie interes Edwarda.
– Czy pijesz alkohol, Caro?
Rumieni się.
– Nie.
– A czy kiedykolwiek piłaś?
– Tak.
– Piłaś przed wypadkiem, prawda?
– Tylko jedno piwo...
– Ale okłamałaś policję, zgadza się?
– Bałam się kłopotów.
– Zadzwoiłaś do ojca, żeby cię odebrał, bo nie chciałaś jechać z kolegami, którzy pili alkohol, tak?
Kiwa głową.
– Zawsze powtarzał, że w takich sytuacjach nigdy nie będzie mnie oceniał, jeśli do niego zadzwonię. W ten sposób miał pewność, że bezpiecznie wrócę do domu.
– Co powiedział ci w samochodzie?
Mocniej tuli chorą rękę.
– Nie pamiętam. – Patrzy w dół. – Mam... luki w pamięci. Wiem tylko, że wyszłam z imprezy i pamiętam dopiero ratowników.
– Gdzie teraz mieszkasz?
Nie spodziewała się zmiany tematu.
– Uhm, z tobą. I matką. Ale tylko dopóki nie zdejmą mi temblaku.
– Przed wypadkiem mieszkałaś z tatą?
– Tak.

– W ciągu sześciu lat od rozvodu rodziców mieszkałaś w zasadzie i z matką, i z ojcem, prawda?

– Tak.

– Gdy miałaś dosyć mamy, przeniosłaś się do ojca?

– Nie. Nie miałam dosyć mamy. Po prostu czułam. – Urywa, świadoma tego, co zaraz powie...

– Mów dalej – zachęcam.

– Czułam, że nie ma tam dla mnie miejsca, kiedy za ciebie wyszła i urodziła bliźnięta – mamrocze.

– Zatem opuściłaś nasz dom i zamieszkałaś z tatą?

– Cóż, bo jest moim tatą. To nic wielkiego.

– A gdy się kłóciliście? Jechałaś do nas?

Przygryza dolną wargę.

– Tylko dwa razy. Ale zawsze wracałam do niego.

– Gdyby jakimś cudem wyzdrowiał, gdzie zamierzasz mieszkać?

– Z nim.

– Ale czeka cię parę miesięcy rehabilitacji. Nie możesz liczyć na jego pomoc. On na twoją też nie.

– Coś wymyślę.

– Z czego będziecie żyć?

Chwilę się zastanawia.

– Z jego polisy – oznajmia z triumfem.

– Nie, dopóki żyje – zaznaczam. – Co prowadzi do kolejnej kwestii: powiedziałaś, że Edward próbował zabić ojca.

– Bo próbował.

– Wyjął wtyczkę respiratora. Czy w takim wypadku twój ojciec nie umarłby z przyczyn naturalnych?

Potrząsa głową.

– Mój brat próbował zabić tatę, ja próbuję utrzymać go przy życiu.

Patrzę na nią przeproszająco.

– Ale czy nie jest tak, że gdyby nie ty i twoja lekkomyślność, nie znalazłby się w ogóle w takiej sytuacji?

Widzę w jej oczach błysk zdumienia, świadomość, że ktoś, komu ufała, właśnie wbił jej nóż w plecy. Myślę o wspólnych śniadaniach, rozmowach z ostatnich sześciu lat. Mnie pierwszemu zdradziła imię pierwszej miłości; mnie wyplakiwała się w rękaw, kiedy ten sam chłopak zaczął chodzić z jej przyjaciółką.

Sędzia każe jej wrócić na miejsce. Wargi Carze drżą. Idę do niej, aby ją objąć, rzucić kilka słów na pocieszenie, po czym uświadamiam sobie, że nie mogę, na tej sali jest stroną przeciwną, moim wrogiem.

Georgie przytula córkę, rzuca mi chłodne spojrzenie nad jej głową. Prosząc mnie o pomoc Edwardowi, musiała wiedzieć, że do tego dojdzie. Że Cara – bynajmniej nie z własnej winy – straci nie jednego, ale dwóch ojców.

LUKE

Kiedy pracowałem z moimi przyjaciółmi Abenakami – przyrodnikami, którzy badali korytarze wzdłuż rzeki Świętego Wawrzyńca – usłyszałem kiedyś, jak jeden ze starszych beszta dwóch chłopców, przyłapanych na malowaniu brzydkich wyrazów na stodole sąsiada. Kipiąc ze złości, spytał ich, dlaczego zrobili coś, o czym wiedzieli, że jest naganne. Na co jeden z nich odparł po prostu: „Czasami chcemy być grzeczni, dziadku. Ale czasami chcemy być niegrzeczni”.

Starzec odpowiedział, że musi się nad tym zastanowić. Nie posłużył się siłą, przemocą ani nawet karą. Chodziło bardziej o to, aby zrozumieli swój czyn i wspólnym wysiłkiem spróbowali go wyjaśnić. Tego samego dnia po kolacji zawołał ich do siebie. Już wiem, oznajmił. Macie w sobie po dwa wilki, dobrego i złego. One ze sobą walczą; gdy wygrywa zły, jesteście niegrzeczni. Gdy wygrywa dobry, zachowujecie się, jak należy.

Chłopcy spojrzeli po sobie. Dziadku, spytał jeden, skąd mamy wiedzieć, kiedy wygrywa dobry?

Starzec przeniósł wzrok z jednego na drugiego. Wilk zwycięzca to ten, którego najwięcej karmicie.

Po powrocie z Kanady często rozmyślałem o tych słowach. Gdy przychodzi do podziału mięsa, dla każdego jest przewidziane miejsce. Alfa jedno ucho kładzie na płask, drugie cofa, po czym obraca je jak skrzydła samolotu, kierując poszczególnych członków watahy w wyznaczone miejsce. Młodszy też ma bronić, co mu się słusznie należy, warczeć i nie dopuszczać innych. W dominacji nie chodzi o odebranie komuś strawy, na którą zasługuje; grunt to stanąć obok i trzymać dystans, nie dając się sprowokować.

Oczywiście wadera mogłaby odebrać komuś żywność. Ale po cóż miałyby to robić? Młodzi są jej potrzebni, a jeśli ich zagłodzi, staną się bezużyteczni dla watahy. Z całym szacunkiem dla starca, który chciał wlać chłopcom olej do głowy, moim zdaniem zbagatelizował tę drobną ironię sytuacji. Dobry wilk nigdy nie da złemu głodować. Może sprawdzić, czy umie bronić swego, lecz dla dobra stada nie pozwoli mu zginąć.

CARA

Kiedy sędzia ogłasza dwugodzinną przerwę na obiad i mszę, jak z procy wyskakuję z sali, bo zaraz komuś przyłoży. Człowiek nie na co dzień dowiaduje się, że ojciec zdradzał matkę, i nie na co dzień jest maglowany publicznie przez własnego ojczyma. Na oślepie biegnę po schodach, wiedząc, że pewnie depczą mi po piętach, i szarpię za klamki, aż odnajduję otwarte drzwi.

Siadam na stole konferencyjnym i podciągam kolana pod brodę.

Najgorsze, że Joe od początku do końca mówił prawdę. Ojciec nie leżałby w szpitalu, gdyby nie ja. Nie tłukłby się nocą samochodem. W innym, lepszym świecie dalej opiekowałby się wilkami, z wesołą, posłuszną córką u boku.

Ktoś naciska klamkę i nagle przede mną staje Edward.

– Jeśli chcesz się schować – mówi – przekręcaj klucz w zamku. Wierz mi na słowo.

– Nie chcę cię widzieć.

– Wszyscy cię szukają. Mama myśli, że znów dałaś nogę. Joe ma doła, ale robił, co do niego należy. A twoja prawniczka. Boże, nie wiem. Poszła robić kozi ser czy coś w tym rodzaju.

Parskam mimowolnym śmiechem, dając ujście tłumionym emocjom.

– Nie rób tego – mówię.

– Czego?

– Łatwiej mi, kiedy cię nienawidzę.

– Nie nienawidzisz mnie. Jesteśmy po tej samej stronie, Caro. Oboje chcemy dać tacie to, czego chce. Po prostu różnimy się w kwestii, co to miałyby być.

– Czemu nie możesz poczekać miesiąc lub dwa? Jeśli nic się nie zmieni, zrobisz, co zechcesz. Jeśli teraz odłączysz respirator, nigdy nie dowiemy się, czy zaszłaby poprawa.

Siada na stole obok mnie.

– Przez miesiąc nic się nie zmieni – oświadczam.

To nieprawda, myślę. Zdejmą mi opatrunek. Wrócę do szkoły. Może nawet przywyknę do jego obecności w Beresford.

Uświadamiam sobie, że prowadzimy rozmowę, której zabrakło, zanim wyciągnął wtyczkę. Zatem tutaj też mamy pewien postęp.

Patrzę na niego.

– Przykro mi, że miałeś przeze mnie kłopoty.

Uśmiecha się krzywo.

– Wcale nie jest ci przykro.

Kopię go w stopę, rozkołysaną obok mojej.

– Hm. Może troszkę.

Gdy byłem mała, do Beresford zjechało wesołe miasteczko. Rodzice zabrali nas i kupili bilety na różne atrakcje, chociaż bardzo się bałam. To Edward przekonał mnie, żebym wsiadła na karuzelę. Posadził mnie na drewnianym koniku, mówiąc, że jest zaczarowany, i że stanie się prawdziwy, jeśli tylko nie spojrzę w dół. I nie spojrzałam. Patrzyłam na wirujący tłum i wypatrywałam brata. Nawet kiedy zakręciło mi się w głowie i zebrało na wymioty, karuzela zataczała koło i tam stał. Po jakimś czasie przestałam myśleć o zaczarowanym koniku i zapomniałam o strachu, byle tylko zobaczyć Edwarda.

I chyba na tym właśnie polega rodzina. To podróż, która wciąż zabiera nas w to samo miejsce, raz za razem.

– Edward? – pytam. – Zawieziesz mnie gdzieś?

Jeśli mama i Joe są zdziwieni, że Edward wiezie mnie do taty, nie dają nic po sobie poznać. To tylko niecałe dwadzieścia pięć kilometrów, lecz wydaje się dłużej. Ten bezpłciowy,

wynajęty samochód to nie stary wrak Edwarda, a ja nie niosę plecaka, ale podświadomie cofamy się w czasie. Znajduję w radiu kanadyjską stację po francusku. Edward uczył się francuskiego w szkole sześć lat, ale zawsze tłumaczył na niby, wymyślając niestworzone historie z wiadomości, w rodzaju złotych rybek w publicznym dystrybutorze z wodą lub pewnego osiołka zwanego pan LeFoux, wybranego do rady miasta. Czekam, aż znowu zacznę tłumaczyć, ale tylko marszczy brwi i przerzuca na stację muzyczną.

Staje przed samym wejściem.

– Nie wejdiesz? – pytam.

Kręci głową.

– Przyjadę później.

Dziwne. Kiedy go nie było, nigdy nie czułam się sama. Ale teraz, gdy wrócił, patrzę, jak odjeżdża, i nachodzi mnie przeraźliwa samotność.

Pielęgniarki na OIOM-ie uśmiechają się na mój widok, pytają o bark. Mówią, że tata dobrze się sprawował; nie wiem, o co im chodzi, więc uśmiecham się na odczepne i idę do taty.

Leży jak ostatnim razem, z rękami ułożonymi na cienkiej kołdrze i głową odchyloną w tył.

Beznadziejne są te poduszki, coś o tym wiem. Za grube, a do tego z folią w środku, od której poci się skóra.

Podchodzę do taty i ostrożnie poprawiam mu głowę, żeby nie tkwiła pod dziwnym kątem.

– Lepiej, prawda? – pytam i przysiadam w nogach łóżka.

Ustawione za nim urządzenia i monitory nadają mu wygląd bohatera filmu science fiction. Byłoby ekstra, myślę. Gdyby tak mógł porozumiewać się ze mną za pomocą tych zielonych linii na ekranie. Żeby układały się w moje imię.

Na wszelki wypadek śledzę je dłuższą chwilę.

Do sali wchodzi pielęgniarka Rita. Ma kanarka, którego nazwała Justin Bieber, i jego zdjęcie na identyfikatorze.

– Jak się masz, Caro? – pyta i klepie tatę po ramieniu. – I jak tam mój osobisty Fabio?

Nazywa go tak z powodu włosów, a dokładniej tego, co zostało z nich tam, gdzie go nie ogolono. Przypuszczam, że prawdziwy Fabio to amant z okładek romansów, ale ich nie czytam. Znam go jako faceta, który reklamował margarynę i dostał w twarz od ptaka w Disney Worldzie.

Kiedy Rita zakłada nową kroplówkę, patrzę na dłoń taty i próbuję sobie wyobrazić, jak dotyka kobiety, której nawet nie pamiętam. Wyobrażam sobie, jak jadą do kliniki na skrobankę. Pewnie siedziała na moim miejscu.

Nachylam się niby do pocałunku, ale tak naprawdę nie chcę, żeby Rita usłyszała, co mówię.

– Tato – szepczę – może ja wybaczę tobie, jeśli ty mnie?

Na co on, tak po prostu, otwiera oczy.

– Boże! – krzyczę.

Przestraszona Rita patrzy na pacjenta. Wcisła przycisk za łóżkiem, aby powiadomić dyżurkę.

– Niech przyjdzie ktoś z neurologii – woła.

– Tatusiu! – Zeskakuję z łóżka i przechodzę naokoło, aby się zbliżyć. Ojciec podąża za mną wzrokiem.

– Widziała pani, prawda? – dopytuję. – Patrzył za mną! – Oburącz ujmuję jego twarz. – Słyszysz mnie?

Patrzy prosto na mnie. Zapomniałam, jakie ma niebieskie oczy, jaskrawe i czyste, jak niebo rankiem po całonocnej śnieżycy.

– Walczę o ciebie – zapewniam. – Nie poddam się, jeśli ty też nie.
Głowa opada mu w bok, przymyka oczy.
– Tato! – krzyczę. – Tatusiu?
Płacząc, potrząsam nim – i nic. Nawet kiedy wpada doktor Saint-Clare i próbuje wymusić na nim reakcję, ojciec ani drgnie.
Ale na piętnaście sekund – na piętnaście cudownych sekund – do mnie wrócił.
Dziesięć minut po wyznaczonym czasie pędzę przez szpitalny korytarz, po którym spaceruje nerwowo mama.
– Spóźnisz się do sądu – gani, ale padam jej w objęcia.
– Obudził się – mówię. – Obudził się i na mnie spojrzał!
Po chwili docierają do niej moje słowa.
– Co takiego? Teraz? – Łapie mnie za rękę i ciągnie w stronę windy.
Zatrzymuję ją.
– Tylko na chwilę. Ale mam świadka! Popatrzył na mnie i podążył za mną wzrokiem, gdy obchodziłam łóżko; widziałam, że chce mi coś powiedzieć... – Milknę, mocno obejmując ją za szyję. – A nie mówiłam?
Matka wyciąga z kieszeni telefon i wybiera numer.
– Powiedz Zirconii.
Dwadzieścia minut później wpadam na salę sądową, gdy głos zabiera sędzia LaPierre.
– Pani Notch, chce pani coś powiedzieć?
– Tak, wysoki sędzie. Chciałabym raz jeszcze przesłuchać moją klientkę i powołać nowego świadka. Wystąpiły pewne okoliczności, o których sąd powinien się dowiedzieć.
Joe podnosi się z miejsca.
– Przecież nie miała pani nic do dodania – oponuje.
– Tu się ważą losy człowieka, wysoki sędzie. To się stało przed chwilą, siłą rzeczy nie mogłam wcześniej poruszyć tej kwestii.
– Proszę mówić.
Ponownie siadam na miejscu dla świadka.
– Caro – mówi Zirconia – gdzie byłaś w czasie przerwy obiadowej?
– Pojechałam do szpitala odwiedzić ojca.
– Co zaszło, kiedy weszłaś na salę?
Patrzę na Edwarda, jakbym opowiadała to jemu, a nie sędziemu.
– Tata leżał jak zwykle, jakby spał. Miał zamknięte oczy i się nie ruszał. Ale tym razem, kiedy zaczęłam do niego mówić, otworzył oczy.
Edward dębieje. Joe nachyla się do niego i zaczyna mu coś szeptać do ucha.
– Pokażesz nam?
Przymykam oczy, po czym otwieram je jak postawiona do pionu lalka.
– Co było dalej?
– Nie mogłam w to uwierzyć – opowiadam. – Wstałam i okrążyłam łóżko, a on wodził za mną wzrokiem, dopóki znów nie usiadłam. Cały czas mnie obserwował.
– A potem? – pyta Zirconia.
Joe patrzy na mnie sceptycznie. Dam głowę, że bierze to za mój wybieg, kolejną grę na zwłokę, aby przeciągnąć sędziego na swoją stronę.
– Jak widać, pan Ng uważa to za nieprawdopodobne zrzęczenie losu – zauważa Zirconia.
– Czy ktoś może potwierdzić twoją wersję?
Wskazuję na Ritę, która przycupnęła w ostatnim rzędzie.
– Tak – mówię. – Ona.

LUKE

Po powrocie do świata ludzi najtrudniejsze było ponowne nauczenie się emocji. Wszystkie poczynania wilka mają praktyczny, nieskomplikowany wymiar. Nie ma fochów, owijania w bawełnę ani aluzji. Wilki walczą z dwóch powodów: o rodzinę i terytorium. Ludźmi kieruje ego; u wilków nie ma na to miejsca i – w dosłownym tego słowa znaczeniu – wybija ci je z głowy. U wilka świat sprowadza się do rozumienia, wiedzy i szacunku – atrybutów odrzuconych przez wielu ludzi wraz z poszanowaniem świata naturalnego.

Rdzenni Amerykanie wiedzą, że wilk jest odzwierciedleniem człowieka. Pokazuje nam naszą siłę i nasze słabości. Jeśli nie uszanujemy swojego terytorium, wilk je naruszy. Jeśli nie upilnujemy naszych dzieci i nie docenimy wiedzy starszych pokoleń, jeśli zaśmiecimy otaczającą nas przestrzeń, wilk uświadomi nam błąd, jaki popełniliśmy. To jedno z tych stworzeń, które w ekosystemie łączy ze sobą wszystko. Reguluje populację zwierzyny łownej, nie tylko kontrolując jej liczebność, ale i wzmacnia jej rodzicielski instynkt. Jeśli w okolicy jest wilk, mniej innych zwierząt umiera z zimna, ponieważ domowym zapewnia się dach nad głową, młode zaś traktowane są ze szczególną troską.

Gdy mieszkałem z wilkami, byłem dumny ze swojego odbicia.

Ale po powrocie zbladłem na jego tle.

EDWARD

Po tylu godzinach czuwania przy łóżku ojca otworzył oczy, kiedy mnie tam nie było. Typowe.

Joe poprosił o przerwę, żeby porozmawiać z doktorem Saint-Clare'em; mówi, żebym nie wierzył bezkrytycznie we wszystko, co widzę, i Cara też nie powinna.

– To nic nie znaczy, dopóki nie zostanie wyjaśnione przez lekarzy – dodał.

Mimo wszystko...

A co, gdyby obudził się przy mnie? Co bym mu powiedział?

Co powiedziałby do mnie?

Czy liczą się rozmowy, do których nigdy nie doszło, jeśli setki razy przerabiałeś je w głowie?

Rita Czarnicki siedzi na miejscu dla świadka, wyliczając swoje kwalifikacje i lata pracowane w zawodzie.

– Sprawdzalam kroplówkę – relacjonuje. – Córka pana Warrena rozmawiała z ojcem.

– Czy po wejściu na salę oceniła pani stan pacjenta?

– Owszem. Nie reagował na bodźce i nadal sprawiał wrażenie pogrążonego w stanie wegetatywnym.

– I co dalej? – pyta prawniczka Cary.

– W pewnym momencie pan Warren otworzył oczy.

– Twierdzi pani, że się obudził?

– Niezupełnie – mówi z wahaniem pielęgniarka. – Większość pacjentów w stanie wegetatywnym leży z zamkniętymi oczami, tylko gdy śpi, ale nie jest świadoma siebie i otoczenia oraz nie reaguje na bodźce.

– A zatem co czyni tę sytuację szczególną? – docieka prawniczka.

– Kiedy córka pana Warrena wstała i podeszła do łóżka z drugiej strony, zanim znów zamknął oczy, podążył za nią wzrokiem. W przypadku pacjentów w stanie wegetatywnym nie mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem.

– Co pani zrobiła?

– Natychmiast powiadomiłam oddział neurologii i przeprowadzono szereg testów w celu sprawdzenia, czy pan Warren jest przytomny, lecz wypadły negatywnie.

– Pani Czarnicki, słyszała pani relację Cary. Czy uważa ją pani za przesadzoną?

Pielęgniarka kręci głową.

– Widziałam na własne oczy.

– Nie mam więcej pytań – oświadcza prawniczka.

– Panie Ng? – odzywa się sędzia. – Czy ma pan jakieś pytania do świadka?

– Nie. – Joe podnosi się z krzesła. – Ale chciałbym po raz drugi powołać na świadka doktora Saint-Clare'a.

Neurochirurg nie wygląda na zachwyconego koniecznością ponownego stawienia się w sądzie. Bębni palcami w poręcz krzesła, jakby miał coś pilniejszego na głowie.

– Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas, doktorze – zaczyna Joe. – Co za dzień.

– Owszem – odpowiada lekarz.

– Czy miał pan okazję zbadać pana Warrena po swojej porannej wizycie w sądzie?

– Tak.

– Czy jego stan uległ zmianie?

Doktor Saint-Clare ze świstem wciąga oddech.

– Pojawiła się pewna niespójność – mówi. – Podobno pan Warren otworzył oczy.

– Co to oznacza?

– Niestety, niewiele. Pacjenci w stanie wegetatywnym nie są świadomi siebie ani swojego otoczenia. Nie licząc odruchów, nie reagują na bodźce, nie rozumieją, co się do nich mówi, nie panują nad fizjologią. Miewają chwile przebudzenia, ale nie są świadomi. Otwieranie oczu ma charakter bezwiedny i wszystko wskazuje na to, że tak było dzisiaj u pana Warrena. Podobnie jak w przypadku wielu pacjentów w stanie wegetatywnym, otworzył oczy pod wpływem głosu, co nie znaczy, że odzyskał przytomność.

– Czy pacjenci w stanie wegetatywnym są w stanie wodzić wzrokiem?

– Nie – odpowiada doktor Saint-Clare. – Dowodziłoby to ich przytomności i wskazywało na stan minimalnej świadomości.

– Czyli?

– Zdradziłyby świadomość siebie i tego, co ich otacza. Reagowałiby na proste polecenia, w rodzaju między innymi wodzenia wzrokiem.

– Zdaniem pani Czarnicki i Cary, pan Warren był do tego zdolny, zgadza się?

Doktor Saint-Clare potrząsa głową.

– Jesteśmy zdania, że mieliśmy do czynienia ze skurczem mięśnia towarzyszącym zamykaniu oczu. Przewróceniem oczami raczej niż świadomym wodzeniem wzrokiem. Przeprowadziliśmy kilka prób mających na celu ponowne wywołanie reakcji, jednakże pan Warren nie reagował ani na dźwięk, ani na dotyk lub inny bodziec. Obrażenia odniesione w wypadku całkowicie wykluczają jego przytomność. Otwarcie oczu nie miało nic wspólnego ze świadomym działaniem. Był to jedynie odruch, który nie wskazuje na przejście w stan minimalnej świadomości.

– Co powiedziała by pan Carze, która jest innego zdania? – pyta Joe.

Lekarz patrzy na moją siostrę; ja też, po raz pierwszy odkąd zasiadł na miejscu dla świadka. Twarz jej zgasła jak spadająca gwiazda u kresu lotu.

– W stanie wegetatywnym pacjenci często przejawiają odruchowe zachowania w rodzaju otwierania i zamykania oczu, błędzenia wzrokiem bądź grymasów, mylonych przez rodzinę ze świadomym zachowaniem. Kiedy nasz bliski odnosi tak ciężki uraz, człowiek chwytą się wszystkiego, co wskazywałoby, że wciąż jest tą samą osobą, może tylko pogrążoną w głębokim śnie, ale jednak. Zdaniem Cary jako córki pana Warrena jest nadzieja na najlepsze. Jednakże moim zadaniem jako neurochirurga jest przygotowanie jej na najgorsze. Co sprowadza się do stwierdzenia, że dla pacjenta w stanie wegetatywnym, takiego jak pan Warren, szanse na poprawę są bardzo nikłe i będą malały z czasem.

– Dziękuję – mówi Joe. – Świadek do pani dyspozycji.

Zirconia obejmuje Carę ramieniem i nawet nie podnosi się z krzesła.

– Czy może pan stwierdzić z całą pewnością, że pan Warren zatracił sprawność kognitywną?

– Wręcz przeciwnie, widzimy ją na EEG. Przy czym zapewniam, że uraz jego pnia mózgowego wyklucza jakikolwiek z niej pożytek.

– Czy istnieją miarodajne testy mogące określić, czy pan Warren świadomie wodził wzrokiem, nawiązując kontakt z córką?

– Nie.

– Innymi słowy, czyta pan w myślach.

Doktor Saint-Clare unosi brwi.

– Dla ścisłości, pani Notch – odpowiada – mam do tego uprawnienia.

Kiedy sędzia zarządza krótką przerwę przed oświadczeniem Helen Bedd, kuratora tymczasowego, podchodzę do Cary. Jej prawniczka trzyma w ręku parę szpitalnych skarpet, jakie

wkłada się pacjentom dla poprawy krążenia.

– Nic innego nie miałaś? – pyta Zirconia.

Cara kręci głową.

– Nie wiem, co zrobili z rzeczami, które miał na sobie w czasie wypadku.

Prawniczka ściska skarpetki i przymyka oczy.

– Nic nie czuję – oznajmia.

– To chyba dobry znak, nie? – upewnia się Cara.

– Cóż, na pewno nie zły. Może to znaczyć, że nie przeszedł jeszcze na drugą stronę. Albo że ze zwierzętami idzie mi lepiej.

– Przepraszam – wtrącam. – Czy mógłbym porozmawiać z siostrą?

Zirconia i matka patrzą na Carę, żeby sama zdecydowała. Kiedy kiwa głową, odchodzą, pozostawiając nas przy stole.

– Nie zmyślam – zapewnia Cara.

– Wiem. Wierzę ci.

– I nie obchodzi mnie, co mówi doktor Saint-Clare. Ja nie uważam, że to bez znaczenia.

Patrzę na nią.

– Tak sobie myślę: a gdybyśmy oboje byli wtedy w sądzie? Trwało to niespełna minutę, czyli bardzo krótko. A gdyby nikt tego nie zauważył?

– Może zdarzyło się to więcej niż raz – mówi Cara.

– A może nie. – I dodaję łagodniej: – Cieszę się, że tam byłaś.

Długo patrzy na mnie, ma oczy w identycznym kolorze jak ja. Jakim cudem wcześniej tego nie zauważyłem? Łapie mnie za rękę.

– Edwardzie, a może zrobmy to razem? Chodźmy do sędziego i powiedzmy, że nie musi między nami wybierać.

Odsuwam się.

– Przecież mamy inne zdanie.

Mruga ze zdziwieniem.

– Wiesz, że tata otworzył oczy, i dalej chcesz mu odłączyć respirator?

– Słyszałaś lekarza. To odruch, a nie reakcja. Jak czkawka. Coś, nad czym nie panował.

Gdyby nie respirator, wcale nie otworzyłby oczu, Caro. – Kręcę głową. – Ja też chciałbym wierzyć, że było inaczej. Ale nauka bierze górę nad intuicją.

Kurczy się na krześle.

– Jak możesz mi to robić?

– Co?

– Zachowywać się tak, jakbyś trzymał moją stronę, a potem mnie gasić.

– To mój obowiązek – mówię.

– Niszczyć mi życie?

– Nie. Działać ci na nerwy. Zależć pod skórę. Traktować cię tak jak nikt inny. – Wstaję. –
Być twoim bratem.

LUKE

Kiedy Abenakowie zaczynają opowiadać, robią to na różne sposoby. Na przykład: *Waji mjassaik*, „na początku”. Albo: *N'dalgommek*, „wszyscy moi krewni”. Lub zacząć od przeprosin: *Anhaldamawikw kassi paliawaliakw*, co znaczy „Przepraszam za wszystkie przykrości, na które naraziłem cię przez ostatni rok”.

Po moim powrocie do świata ludzi pasowałyby wszystkie.

Mimo że powoli przywykłem do dźwięków i zapachów, przestałem kulić się na ryk silnika i jeść rękami przy kolacji, dalej miewałem przebłyski dawnego życia. Gdy walczysz o przetrwanie, bez taryfy ulgowej, trudno wrócić do chodzenia po twardym gruncie. Nie mogłem stępić instynktu ostrego jak brzytwa, jaki nabyłem wśród wilków. Będąc, na przykład w McDonalddie, podświadomie odgradzałem dzieci od wszystkich obecnych. Gdy jadły hamburgery, siadałem tyłem do nich, aby nie przeoczyć ewentualnego zagrożenia.

Zdarzało się, że nocowała u nas koleżanka córki, wtedy przetrząsałem różowy chlebak dwunastolatki, czy aby nie zawiera niebezpiecznych narzędzi. Edward jeździł do szkoły swoim samochodem, a ja śledziłem go na wszelki wypadek, aby upewnić się, czy dotarł bezpiecznie. Nękałem Georgie, kiedy wychodziła, bo żyłem w strachu, że beze mnie spotka ją coś złego. Byłem jak weteran wojenny, wszędzie węszący zagrożenie. Uspokajałem się, dopiero gdy miałem wszystkich na oku, za zamkniętymi drzwiami.

Pierwszym słowem z języka Abenakich, którego się nauczyłem, było *Bitawbagok*, jak nazywają jezioro Champlain. Dosłownie oznacza ono „wody pomiędzy”. Odkąd wróciłem z Kanady, moim adresem stało się *Bitawkdakinna*. Nie znam na tyle języka Abenaków, aby móc powiedzieć z całą pewnością, czy istnieje takie słowo, ale w tłumaczeniu znaczy „świat pomiędzy”.

Stałem się mostem pomiędzy światem ludzi i światem zwierząt. Pasowałem do obu i do żadnego nie należałem. Połowa mojego serca została z wilkami, połową mieszkalem z rodziną.

Gdybyście nie wiedzieli: do życia potrzebne jest całe.

HELEN

Wysoki sędzie.

Nazywam się Helen Bedd.

Jestem prawnikiem i kuratorem z urzędu. Od piętnastu lat prowadzę praktykę adwokacką, przez wcześniejsze dziesięć byłam dyplomowaną pielęgniarką. Wyznaczano mnie na kuratora tymczasowego lub stałego w ponad dwustu pięćdziesięciu sprawach.

Z uwagi na wyjątkowość sytuacji po otrzymaniu niniejszego zadania niezwłocznie przeprowadziłam rozmowy z osobami zaangażowanymi w sprawę. Zespół medyczny z Beresford Memorial powiedział mi to, co usłyszeliśmy dzisiaj od doktora Saint-Clare'a: pan Warren ma niewielkie bądź zerowe szanse na poprawę. Dzisiejszy incydent musiał być niezmiernie istotny dla Cary, jednakże moje doświadczenie medyczne i zeznanie doktora Saint-Clare'a przemawiają za tym, że mieliśmy do czynienia z bezwiednym odruchem, który nic nie znaczy.

W ramach przygotowań do dzisiejszego spotkania rozmawiałam także z Carą i Edwardem Warrenami. Oboje bardzo kochają ojca, pomimo odmiennych stanowisk co do jego rokowań i dalszego postępowania w sprawie. Życie siedemnastoletniej Cary obraca się wokół ojca. Jest on słońcem w układzie słonecznym jej wszechświata. Łączy ich silna więź, jak często po rozwodzie, kiedy dziecko zżywa się szczególnie z jednym z rodziców. Nie wątpię, że biorąc pod uwagę pracę i tryb życia ojca, Cara dźwigała na barkach obowiązki na miarę dorosłej osoby. Jednak zarazem muszę stwierdzić, że działania Cary wynikają z pobudek emocjonalnych. Z uwagi na jej obecną kondycję psychiczną oraz zaistniałe po wypadku problemy zdrowotne nie przyjmuje do wiadomości prawdy o stanie ojca, odrzucając argumenty brata, lekarzy oraz opiekunki społecznej ze szpitala. I choć nie ponosi najmniejszej winy za wypadek, jestem zdania, że jej przemożna chęć za wszelką cenę utrzymania ojca przy życiu wynika częściowo z podświadomego poczucia winy. Mimo że jej niezachwiana wiara w wyzdrowienie ojca budzi we mnie podziw i wzruszenie, moim zdaniem dowodzi również jej braku dojrzałości i nierealistycznego podejścia do życia.

Z kolei Edward to jedyny pełnoletni krewny pana Warrena. Fakt, iż jako jedyny z dwójki rodzeństwa rozmawiał z ojcem na temat ewentualnego postępowania w podobnej sytuacji, moim zdaniem bardziej przemawia na jego korzyść niż fakt posiadania przez niego pełnomocnictwa z podpisem pana Warrena. Niemniej jednak od sześciu lat nie utrzymywał kontaktu z wyżej wspomnianym i w trakcie dzisiejszej rozprawy poznaliśmy kulisy ich konfliktu, które przesądziły o jego pochopnym opuszczeniu rodziny. Uważam, że wciąż powoduje nim złość na ojca, co doprowadziło do pochopnej decyzji podjętej bez porozumienia z siostrą i jeszcze bardziej pochopnym wzięciu spraw w swoje ręce, kiedy jego plan spelzł na niczym. Uważam to za znaczący przejaw niedojrzałości Edwarda. Jego impulsywne działania skłaniają do refleksji, na ile faktycznie przyświeca mu chęć zadośćuczynienia woli ojca.

Mamy do czynienia z bardzo nietypowym przypadkiem. Sprawa o kuratelę jest na ogół rozstrzygana sądownie w sytuacji, gdy brakuje chętnych do podejmowania trudnych decyzji. Tutaj mamy dwoje kandydatów do tej roli. Ponadto mamy jednak coś, czym nie może się poszczycić większość pacjentów, świadectwo samego Luke'a Warrena. Jego autobiografia wraz z obszernym materiałem filmowym, zarówno telewizyjnym, jak i amatorskim, na którym widać go w swoim żywiole, nie pozostawiają wątpliwości co do tego, jakim był człowiekiem i czego życzyłby sobie w obecnej sytuacji. Jestem pod wrażeniem poświęcenia, do jakiego skłonne są jego dzieci. Jestem pod wrażeniem jego życia i osiągnięć, a także pasji, która bije z kart jego książki, nie wspominając o świadectwie współpracowników, ci prześcigają się w pochwałach pod adresem pana Warrena.

Wszystko to wskazuje, iż taki człowiek nie zniósłby myśli o byciu przykutym do łóżka.

Ale...

Luke Warren, jakiego znał świat, to tylko jedno oblicze tego człowieka. Czytając między wierszami jego powieści, można wyłowić zarys innej historii. Bohaterowi jego autobiografii tak naprawdę daleko do bohatera. Poniósł klęskę: nie mógł żyć ze zwierzętami, które ukochał, z dala od nich zaś nie dał rady funkcjonować w myśl zasad obowiązujących w stadzie. Słyszeliśmy to z ust Cary i Edwarda: dla wilka rodzina jest najważniejsza. Ale pan Warren porzucił swoją rodzinę – w sensie dosłownym, gdy wyjechał do Kanady, i metaforycznym, kiedy wdał się w romans, który doprowadził do aborcji.

Nie miałam okazji porozmawiać z panem Warrenem, myślę jednak, że zabolala go ucieczka syna w obliczu zaistniałych kłopotów. Wilk nie spuściłby z oka swojego potomstwa.

Z kolei idealizm Cary wyrasta z tezy o nadrzędnej roli rodziny. Pan Warren jest na przegranej pozycji, ona jednak nie poddaje się, ponieważ nie chce żyć bez ojca. I jeśli pan Warren dołączy do grona szczęśliwców będących zaprzeczeniem praw nauki, z całą pewnością ucieszy się z drugiej szansy od losu. Nie tylko na życie, ale i bycie ojcem.

Dlatego jestem zdania, że dążenia Cary idą w parze z jego życzeniem. Zwracam się do sądu o wyznaczenie jej na kuratora i umożliwienie podejmowania decyzji co do dalszego leczenia ojca.

LUKE

Po serii programów na Animal Planet zadzwonił do mnie biolog z okolic Yellowstone. W lesie znaleziono turystę na wpół zjedzonego przez wilki, i na społeczność, która przed laty zaakceptowała obecność tych zwierząt w Górach Skalistych, padł błady strach.

Część badaczy uznała, że wilki zabiły dla sportu, ale nie chciało mi się w to wierzyć. Nigdy nie zaobserwowałem, aby zachowały się tak wobec innego drapieżnika, a tak postrzegają człowieka. Nic w zachowaniu stada nie wskazuje, iż pożywienie dobierane jest przypadkowo.

Zatem dlaczego wilki, co do których dałbym głowę, że nie zaatakują człowieka, właśnie to zrobiły?

Poleciałem do Yellowstone.

Okolicę, w której zginął turysta, podzielono pod wycinkę. Lasu zostało właściwie niewiele. Bez osłony i pożywienia puszczy populacja łownej zwierzyny – głównie łosi i jeleni – zmalała drastycznie. Wygłodniałe wilki zaczęły wyjadać z rzek łososie.

Po powrocie do domu poszedłem dalej tym tropem i w jednym z moich stad przeprowadziłem eksperyment.

Zamiast dawać im mięso, przestawiłem je na dietę rybną. Inaczej niż w przypadku zwierzyny lądowej – której mięso posiada wartość emocjonalną w postaci substancji chemicznych z mięśni i narządów wewnętrznych – wszyscy bez względu na rangę jedli to samo.

Wśród wilków zapanował socjalizm. Przestały jeść zgodnie z hierarchią, w myśl której każdy przypisany miał inny typ pożywienia. W ciągu paru miesięcy wataha się rozpadła. Zanikł podział na alfę i betę. Zapanowało bezkrólewie i każdy robił, co chciał. Z rodziny stali się chuliganami.

Stado z Yellowstone zaatakowało turystę najprawdopodobniej w wyniku skurczenia się naturalnych zasobów, a jedyne ocalałe źródło pożywienia zburzyło obowiązującą hierarchię. Zabiły biedaka, bo żaden wilk ich od tego nie odwiódł.

Bywa i tak. Czasem trzeba doświadczyć chaosu, zanim narodzi się ten, kto zapanuje nad sytuacją.

CARA

Po decyzji kuratorki powinnam skakać z radości, ale sędzia robi coś, czego nikt się nie spodziewa.

Zarządza wycieczkę w plener.

W wyniku czego stoję za szybą sali ojca, patrząc, jak LaPierre gędzi nad jego głową.

Joe odprowadził do wyjścia mamę, która jedzie odebrać bliźnięta z przystanku. Zirconia rozmawia w korytarzu z psem do dogoterapii.

– Jak myślisz, co on gada? – pyta Edward.

– Odmawia litanię? – podsuwam.

– Może chce na własne oczy zobaczyć stan wegetatywny.

– A może – odpieram – ma nadzieję, że tata znowu się obudzi.

– Otworzy oczy – precyzuje Edward.

– Na jedno wychodzi.

– Caro. – Patrzy na mnie z wysoka. – Wcale nie.

Matka mawiała kiedyś, że Edward rośnie jak na drożdżach. Wyobrażałam sobie, jak się wydłuża z dnia na dzień. Bałam się, żeby nie wybijał za bardzo, bo przebije sufit głową.

Armand LaPierre wstaje z krzesła przy łóżku ojca. Wychodzi z sali w chwili, gdy Joe wychodzi z windy i spieszy ku nam Zirconia.

– Jutro dziewiąta rano – oznajmia i odchodzi.

Zirconia odciąga mnie na bok.

– Głowa do góry. Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy. LaPierre jest katolikiem, masz wsparcie kuratorki... Jestem dobrej myśli, Caro.

Obejmuję ją.

– Dzięki. Za wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Uśmiecha się. – Podwieźć cię gdzieś?

– Ja ją zabiorę – mówi Joe, a ja konstatuje, że obaj z Edwardem słyszeli każde słowo.

Chciałam wygrać, więc czemu czuję się tak podle?

– Jeszcze zostanie. – Edward wskazuje na salę taty.

– Zadzwonisz...

– Tak. Jeśli coś się wydarzy.

– Jeśli znów się obudzi...

Ale Joe już pcha mnie w stronę windy. Drzwi zamykają się za nami. W ostatniej chwili widzę Edwarda, siadającego przy łóżku taty.

Mijamy kolejne piętra; zmieniają się cyferki jak odliczanie przed startem rakiety.

– Co będzie, jeśli przegram? – pytam.

Joe robi zdziwioną minę.

– Twoja prawniczka jest innego zdania.

– Nie ma nic na sto procent – odpowiadam, a on się uśmiecha.

– Tak. Pamiętam z dzisiejszego przesłuchania.

Patrzę na niego ostro.

– A ja pamiętam, jak mnie przemaglowałeś.

Ma na tyle przyzwoitości, żeby się zarumienić.

– Może nie mówmy już o tym?

Wyciągam rękę na zgołę; ujmuje ją, ale nie chce puścić.

– Jeśli przegrasz – mówi łagodnie – opiekę nad ojcem przejmie Edward. Zarządzi odłączenie respiratora i pobranie narządów do przeszczepu. Możesz przy tym być. A ja będę przy

tobie, jeśli chcesz.

Ściska mnie w gardle.

– Dobrze – mówię.

Gdy winda się otwiera, ludzie widzą mężczyznę z płaczącą dziewczyną, może być jego córką. Widzą tylko jedną z setek smutnych historii, które w tych murach biorą swój początek.

Kiedy byłam młodsza, brat wmówił mi, że ma moc skurczenia mnie do rozmiarów mrówki. Podobno miał jeszcze drugą siostrę, ale ją skurczył i zdeptał.

Powiedział mi też, że gdy dorastamy, idziemy na przyjęcia z potworami i postaciami z horrorów. Jest tam laleczka Chucky, pijąca kawę z filiżanki. I mumia z okładek książkowej serii dla chłopców, która tańczy twista, a Jason z *Piątku 13-ego* przygrywa jej na saksofonie altowym. Człowiek zostaje na tym przyjęciu, ile trzeba, nawiązując z nimi znajomość, i właśnie dlatego dorośli nigdy się niczego nie boją.

Kiedyś wierzyłam we wszystko, co mi mówił, ponieważ był starszy i mądrzejszy niż ja. Lecz, jak się okazuje, dorosłość nie oznacza, że stajesz się nieustraszonym człowiekiem.

Po prostu boisz się czegoś innego.

LUKE

Moi przyjaciele Abenakowie mawiają, że jeżeli między myśliwym i niedźwiedziem dojdzie do rozlewu krwi, stają się jednym. Myśliwy już nigdy nie zapoluje na tego niedźwiedzia, a niedźwiedź nie tknie myśliwego.

Chciałbym wierzyć, że to prawda.

Chciałbym wierzyć, że produktem ubocznym zetknięcia ze śmiercią jest zdrowa dawka wzajemnego poszanowania.

EDWARD

Byłem chłopcem, który budził się w środku nocy z bólem brzucha i przekonaniem, że ma potwora pod łóżkiem. Na parapecie widziałem duchy, a każdy podmuch wiatru czy trzask gałęzi stawał się włamywaczem – wejdzie przez strych i mnie zabije. Budziłem się z płaczem. Zwykle uspokajał mnie ojciec, który właśnie wracał z Redmond.

– Wiesz co – powiedział mi kiedyś w przypiływie irytacji – masz w głowie tylko jedną szklankę łez. One mają ci starczyć na całe życie. Jeśli je zmarnujesz, nie będziesz mógł płakać naprawdę.

Po dziś dzień prawie w ogóle nie płaczę.

W czasie trzech godzin, które spędzam przy jego łóżku, ojciec nie zdradza żadnych oznak życia. Ubywa mu z kroplówki, a przybywa w zbiorniku z moczem. Przychodzi pielęgniarka na kontrolę.

– Powinien pan z nim rozmawiać – radzi. – Albo czytać mu na głos. Lubi brukowce.

W życiu bym go o to nie posądził.

– Skąd pani wie?

Uśmiecha się.

– Bo czytałam mu ostatnio i nie poskarżył się ani słowem.

Czekam, aż wyjdzie, i przysuwam krzesło do łóżka. Nic dziwnego, że niewiele z nim rozmawiałem, ale właściwie nigdy nie wiedziałem, co powiedzieć. Pielęgniarka ma rację. Trudno o lepszą okazję, aby wreszcie wyłuszczyć, co mi leży na wątrobie, skoro i tak nie ma innego wyjścia, jak mnie wysłuchać.

– Nie nienawidzę cię. – Słowa burzą ciszę.

W odpowiedzi słyszę szum wentylatora. Mam poczucie, że to bardzo nierówna walka.

– Tymczasowa kuratorka powiedziała dzisiaj coś, od czego nie mogę się uwolnić. Że zabolalo cię, gdy wyjechałem. Zawsze myślałem, że się ucieszyłeś. Że pozbyłeś się syna, który wcale ciebie nie przypominał. Ale okazuje się, że jestem dokładnie taki jak ty. Też zostawiłem rodzinę. Zbyt późno zdałem sobie sprawę, że popełniłem największy błąd swojego życia. Nie pasowałem do Tajlandii... Tutaj też nie. Utknąłem... gdzieś pomiędzy.

Wdech, wydech. Wdech, wydech.

– Uświadomiłem sobie coś jeszcze. Nigdy nie mówiłeś, że powinienem być bardziej taki czy inny. To ja wmawiałem sobie, że nigdy ci nie dorównam. Może dlatego, że nie ma nikogo takiego jak ty. Nie miałem szans.

Patrzę na niego; ani drgnie.

– Sęć w tym, że obwinałem ciebie, chociaż problem tkwił we mnie.

Sięgam po jego dłoń. Ostatnio trzymałem go za rękę, kiedy byłem bardzo mały, bo nawet sobie tego nie przypominam. Jakie to dziwne, powracać do punktu wyjścia, znów stać się dzieckiem kurczowo uczeptionym rodzica.

– Zaopiekuję się nią. Cokolwiek się jutro zdarzy – mówię. – Powinieneś wiedzieć, że wróciłem na dobre.

Ojciec nie odpowiada. Ale w myślach słyszę jego głos, grzmiący jak dzwon.

Najwyższy czas.

I wreszcie pozwalam sobie na łzy.

Kiedy wracam do domu, jest po północy. Ale zamiast iść spać czy choćby klapnąć na tapczan, idę na strych. Wieki tutaj nie byłem i oświetlam sobie drogę komórką, ale przetrząsam jakoś pudła ze starymi deklaracjami podatkowymi i ubraniami przezartymi przez mole, stertami płyt DVD z programami Animal Planet oraz kosz z moimi podręcznikami, by wreszcie znaleźć

to, czego szukam. Ramki leżą w kącie, poprzekładane gazetami.

Przyływ ulgi, że nie wylądowały na śmietniku, jest jak zastrzyk adrenaliny. Znoszę wszystko na dół.

W jednym korytarzu ojcowskiego domu wiszą zdjęcia. Na wszystkich jest Cara, nie licząc dwu fotografii taty z wilkami i jednej, na której są razem.

Co roku matka kazała nam pozować do zdjęcia na kartkę bożonarodzeniową. Wena nachodziła ją zwykle w sierpniu, w związku z czym musiałem wkładać najgrubszy, najbardziej drapiący sweter, jaki miałem. Z uwagi na brak śniegu pozowaliśmy ze wszystkimi rekwizytami zimy, w czapkach, rękawiczkach i szalach, jakby nasi przyjaciele i krewni nie mieli się połapać z tła, że w Nowej Anglii jest pełnia lata. Rok w rok oprawiała zdjęcie i dawała je ojcu pod choinkę. A on w styczniu wiesział je na schodach.

Przeglądałam zdjęcia moje i Cary. Na jednym jest tak mała, że ją niosę. Na innym ma kitki jak miotełki. Jest jedno, na którym ma aparat na zębach, i drugie, gdzie mam go ja. Jest też nasze ostatnie wspólne zdjęcie, zrobione przed moim wyjazdem.

Dziwnie oglądać się młodszego o sześć lat. Jestem chudy i rozedrgany. Wpatruję się w obiektyw, ale Cara wpatruje się we mnie.

Wieszam zdjęcia na schodach, zdejmując portrety Cary. Zostawiam dwa ojca z wilkami. Następnie cofam się, odczytując ze ściany swoją historię.

Ostatnią fotografię pamiętam jak dziś. Były to nasze ostatnie wspólne wakacje, przed wyjazdem ojca do Kanady. Tata i ja stoimy po kostki w wodzie na plaży w Hyannis. On trzyma na plecach mamę, a ja Carę. Patrząc na nasze opalone twarze, białe zęby i szerokie uśmiechy, nigdy nie odgadlibyście, że za trzy lata ojciec zamieszka w lesie. Że będzie miał romans, wyjadę bez pożegnania i dojdzie do wypadku, który wszystko zmieni.

Właśnie to lubię w zdjęciach. Są dowodem, że kiedyś, choćby przez chwilę, wszystko układało się po naszej myśli.

Następnego ranka nie słyszę budzika. Narzucam wczorajszą koszulę, kraciastą kurtkę ojca i w ostatniej chwili wpadam na salę rozpraw.

– Miło, że się pojawiłeś – mruczy Joe.

Sędzia długo siedzi z pochyloną głową, targając się za włosy.

– To jedna z najtrudniejszych spraw, z jakimi miałem do czynienia od początku swojej kariery – odzywa się wreszcie. – Niecodziennie podejmuje się decyzję w kwestii życia lub śmierci. Poza tym zdaję sobie sprawę, że cokolwiek postanowię, unieszczęśliwię jedną ze stron.

Bierze głęboki oddech i wsuwa okulary na nos.

– Zważywszy na okoliczności, fakt, że Cara ma dopiero siedemnaście lat, jest dla mnie nieistotny. Mieszkała z ojcem, byli ze sobą związani, toteż trzy miesiące dzielące ją od urodzin nie stanowią żadnej różnicy. W świetle sześćioletniej nieobecności brata nadaje się na kuratora tak samo jak Edward. Zdaję sobie sprawę, że decyzja, którą dzisiaj podejmę, może pozbawić ojca dziewczynę czerpiącą otuchę ze świadomości, iż wciąż stanowi on część jej świata, choćby w stanie wegetatywnym. W którym, notabene, znajduje się dopiero od trzynastu dni. Zarazem mam na uwadze słowa doktora Saint-Clare'a, który oświadczył bez cienia wątpliwości, że obrażenia pana Warrena są nieodwracalne i jego stan będzie się pogarszał. Jeśli spojrzeć na wcześniejsze sprawy tego rodzaju – Cruzan, Schiavo i Quinlan – wszystkie nieodmiennie kończyły się śmiercią. Pan Warren umrze. Pytanie tylko, czy jutro? Za miesiąc? Może za rok? Oczekujecie ode mnie podjęcia decyzji, w tym celu zaś niezbędnym jest ustalenie, czego życzyłyby sobie Luke Warren.

Sznuruje usta, po czym mówi dalej.

– Pani Bedd wyciągnęła własne wnioski, lecz publiczny wizerunek pana Warrena

niekoniecznie daje pełny obraz człowieka, a jedynym konkretnym świadectwem poglądów pana Warrena jest rozmowa z synem – wyraził wówczas niechęć do sztucznego utrzymywania przy życiu. Rozmowa, na poparcie której mamy podpisany przez niego dokument. – Zerka na mnie. – Ponadto na prawie jazdy wyraził chęć bycia dawcą narządów, co stanowi kolejny dowód jego stanowiska w tej sprawie.

Zdejmuje okulary i patrzy na Carę

– Wiem, że nie chcesz stracić ojca, kochanie. Jednakże wczoraj spędziłem z nim godzinę i chyba musisz się ze mną zgodzić: jego już tam nie ma. On odszedł. – Chrząka. – Z wyżej wspomnianych powodów i po długim namyśle na kuratora wyznaczam Edwarda Warrena.

Trudno spodziewać się gratulacji po takim wyroku. Carę otacza wianuszek wsparcia, ale zanim mogę jej cokolwiek powiedzieć, Joe ciągnie mnie po dokumenty, które mam okazać w szpitalu w celu wznowienia procedury i wyznaczenia kolejnego terminu.

Jadę do szpitala, gdzie przez godzinę rozmawiam z doktorem Saint-Clare'em i koordynatorką do spraw przeszczepów. Podpisuję formularze i kiwam głową, powtarzając te same ruchy, co sześć dni temu. Z tą różnicą, że teraz, kiedy nie muszę porozmawiać z Carą, bardzo chcę to zrobić.

Leży zwinięta w kłębek na łóżku ojca, z twarzą zalaną łzami. Nie siada na mój widok.

– Wiedziałem, że cię tutaj znajdę.

– Kiedy? – pyta.

Nie udaję, że nie rozumiem.

– Jutro.

Cara przymyka oczy.

Pewnie zostanie tutaj na noc. Mama i Joe musieli jej pozwolić, z uwagi na okoliczności. Nie wyobrażam sobie też, by ktokolwiek z personelu chciał ją wyprosić. Ale jeśli chce pożegnać się z ojcem, musi zrobić to gdzie indziej.

Sięgam do kieszeni po portfel i wyciągam zdjęcie znalezione w portfelu ojca, przedstawiające mnie w dzieciństwie. Wsuwam je tacie pod poduszkę i wyciągam rękę do siostry.

– Caro – mówię. – Musisz coś usłyszeć.

LUKE

Wydalenie wilka ze stada wymaga zastosowania naturalnej represji i zastraszenia – zwykle pod postacią kontroli szybkości i subordynacji. Czasem robi się to jedynie w celu sprawdzenia członków watahy, czy wszyscy spełniają „normy jakości” i słuchają poleceń.

W dole kręgosłupa tuż nad ogonem znajduje się osłonięty zbiorniczek z gruczołem tak samo charakterystycznym jak odcisk palca. Po nim rozpoznają się wilki. W niewoli, kiedy wilk nie może opuścić zagrody, wydalaniem członkowi stada wygryza się gruczoł, pozbawiając go w ten sposób tożsamości. Wilk bez gruczołu zapachowego traci swoją pozycję i często umiera.

Kto zostaje wydany? To zależy. Może to być wilk, który przestał stawać na wysokości zadania. Lub też młody osobnik o cechach przywódczych, mogący zagrozić obecnemu alfi. Wilk wydany ze stada staje się samotnikiem. W lesie będzie jadł drobną zwierzynę i żył na własny rachunek, próbując szczęścia w innych watachach. Samotny wilk zwykle zdradza cechy alfy, bety bądź też osobnika średniego rangą, a znalezienie przez niego nowego stada – mogące nastąpić dopiero po latach – graniczy z cudem. Nie tylko musi mieć kwalifikacje, ale i wypełnić istniejącą lukę.

Powiem z doświadczenia, że gdy wilki wykluczają członka rodziny, nie ma odwrotu. U ludzi jest łatwiej.

Wilk wydany ze stada może jednak zostać poproszony o powrót, w pewnych okolicznościach. Powiedzmy, że ginie alfa, pokonany przez drapieżnika. Ktoś musi go zastąpić.

CARA

Nie możemy wejść do zagród. Wilki trzymałyby się pewnie na dystans, ale mój temblak podziałyby na nie jak płachta na byka: próbowałyby go zerwać i oczyścić ranę. Dlatego siadamy na wzniesieniu, przed płotem, i skuleni odwzajemniamy ich spojrzenia.

Pobył tutaj niesie coś w rodzaju bolesnej otuchy. Lepsze to niż szpital i nasłuchiwanie maszyn pikających jak bomba zegarowa, ze świadomością, że gdy wyłączą prąd, zgaśnie i on. Ale gdziekolwiek spojrzę, tam wyłania się widmo wspomnienia: ojciec biega po zagrodzie z jelenim udźcem i uczy młodych polowania. Ojciec z Sikwłą udrapowanym na szyi jak etola. Ojciec wskazuje wilczętom drogę do schronu.

Chociaż były w niewoli, wpoił im umiejętności konieczne do życia na wolności. Miał na celu wypuszczenie ich w lasach New Hampshire, tak jak wprowadzono je do Yellowstone, gdzie obecnie żyło im się jak w raj. Widywano wprawdzie dzikie wilki, ale prawo zabraniało ponownego zasiedlenia nimi tego rejonu. Minęło dwieście lat, odkąd żyły tutaj swobodnie, ale ojciec wytrwale uczył swoich podopiecznych życia na wolności. Czy wiesz, jaka jest różnica między marzeniem a celem?, pytał. Plan.

Ciekawe, że musiał uczyć wilki dzikości, podczas gdy one nauczyły go tyle o byciu człowiekiem.

Łapię się na tym, że myślę o nim w czasie przeszłym.

– Co z nimi będzie? – pytam.

Edward patrzy na mnie.

– Poproszę Waltera, żeby został. Nie pozbędę się ich, jeśli o to ci chodzi.

– Nie znasz się na wilkach.

– Nauczę się.

Co za ironia. Gdybym kiedyś powiedziała tacie, że Edward przejmie po nim dziedzictwo, miałby niezły ubaw.

Wstaję i podchodzę bliżej, po czym zaplatam palce na płocie. Była to pierwsza lekcja udzielona przez tatę: nie rób tego pod żadnym pozorem. Ani się obejrzysz, jak zjawi się tester i cię chapnie.

Ale te wilki mnie znają. Kladen ociera się srebrzystym bokiem o moją rękę i mnie liże.

– Nawet ty mogłabyś mnie nauczyć – mówi Edward.

Kucam w oczekiwaniu, aż Kladen znów się zjawi.

– Bez niego to nie to samo.

– Ależ on tutaj jest – zapewnia Edward. – Na każdym kroku. On stworzył te stada. Tylko to się liczy. I nic nie pójdzie na marne. Zobaczysz.

Naraz Kladen wskakuje na skałę, która w mroku wygląda jak przyczajone zwierzę. Dostrzegam sylwetki Sikwli i Wazoli. Odchylają w tył głowy i zaczynają wyć.

To wycie na zbiórkę, przeznaczone dla kogoś, kto zaginął. Od razu wiem, o kogo chodzi. I znowu zaczynam płakać, kiedy stada w sąsiednich zagrodach przyłączają się do markotnego chóru.

Żałuję, że nie jestem wilkiem, bo gdy ktoś odchodzi z twojego życia, nie ma słów, aby wypełnić pustkę. Zostaje tylko pusta nuta minorowa.

– Dlatego chciałem, żebyś przyjechała – mówi Edward.

– Walter twierdzi, że robią tak co wieczór od dnia wypadku.

Wypadku.

Tajemnica Edwarda doprowadziła do rozpadu naszej rodziny. Jeśli wyznam moją, czy złączy nas z powrotem?

Dlatego odwracam się od wilków i przy wtórze ich żalosalnej pieśni opowiadam, jak było.

– Wiesz co – wybuchnął ojciec, odjeżdżając spod domu w Bethlehem, gdzie jednemu z gości urwał się film, a dwoje innych uprawiało seks w samochodzie. – Jeśli kłamiesz, że idziesz na noc do Mariah się uczyć, to przynajmniej weź podręczniki.

Z wściekłości ledwo widziałam na oczy, ale może to przez alkohol. Kiedyś piłam piwo, ale kto by pomyślał, że coś, co smakuje jak sok owocowy, może dać takiego kopa?

– Nie wierzę, że mnie śledziłeś.

– Dwa lata tropiłem zwierzynę; nastolatki zostawiają bardziej widoczne ślady, wierz mi.

Wpadł jak jastrząb i zgarnął mnie do samochodu, jakbym miała pięć lat.

– Przez ciebie nikt mnie więcej nie zaprosi.

– Jasne. Miałem poczekać, aż cię zgwałcą albo zatrujesz się alkoholem. Jezu, Caro. Gdzie ty miałaś rozum?

Prawdę mówiąc, nigdzie. Zostawiłam myślenie Mariah, i to był błąd. Lecz wolałam umrzeć, niż przyznać się do tego ojcu.

I nie powiedziałabym mu za nic w świecie, że ucieszyłam się z jego przyjazdu, bo robiło się niebezpiecznie.

– I dlatego – mruknął ojciec – wilki zostawiają czasem potomstwo na pastwę losu.

– Zadzwoń do organizacji praw dziecka – zagroziłam. – Przeprowadzę się z powrotem do mamy.

Miał zieloną obwódkę wokół oczu od wstecznego lusterka.

– Kiedy wytrzeźwiejesz, powiem ci, że masz szlaban.

– Kiedy wytrzeźwieję, powiem ci, że cię nienawidzę – warknęłam.

Wybuchnął śmiechem.

– Caro, słowo daję, że wpędzisz mnie do grobu. Nagle przed maskę wyskoczył jeleni i ojciec ostro zjechał na prawo. Kiedy uderzaliśmy w drzewo, odruchowo zasłonił mnie ramieniem.

Smród benzyny wrócił mi przytomność. Napływał zewsząd. Ręka wisiała mi bezwładnie, paliło miejsce, gdzie pas wbił się w ciało, pozostawiając pręgę niczym szarfa na wyborach miss.

– Tatusiu. – Choć myślałam, że krzyczę, usta miałam pełne pyłu. Odwróciłam się na lewo i go zobaczyłam. Krwawił z rany na głowie i wpatrywał się we mnie. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu.

Musiałam nas stamtąd wydostać. Wiedziałam, że jeśli doszło do wycieku benzyny, samochód może wybuchnąć. Wyciągnęłam rękę i rozpięłam mu pas. Prawą rękę miałam do niczego, ale lewą otworzyłam drzwi i wyczołgałam się z szoferki.

Spod maski leciał dym, jedno koło jeszcze się kręciło. Podbiegłam do drzwi kierowcy i udało mi się je otworzyć.

– Musisz mi pomóc – krzyknęłam. Podparłam go lewą ręką i zakołysaliśmy się jak w upiornym tańcu.

Płakałam, krew zalewała mi usta i oczy; próbowałam odciągnąć go od samochodu, lecz nie mogłam tego zrobić oburącz. Opasałam mu pierś ramieniem, ale nie miałam siły go utrzymać. Puściłam. Puściłam go, i poleciał jak piasek w klepsydrze. Puściłam i upadł w zwolnionym tempie, uderzając głową o asfalt.

Nie poruszył się więcej.

Daję słowo. Wpędzisz mnie do grobu.

– Puściłam go – mówię Edwardowi, szlochając tak, że nie mogę złapać tchu. – Nazywali mnie bohaterką za uratowanie mu życia, ale ja go puściłam.

– A teraz przytrzymujesz za wszelką cenę – mówi, jakby nagle doznał olśnienia.

– To przeze mnie jutro umrze.
– Gdybyś zostawiła go w ciężarówce, umarłby już wtedy.
– Upadł na asfalt – szlocham. – Wyrznął tyłem głowy, aż usłyszałam. To dlatego więcej się nie obudzi. Słyszałeś, co mówił Saint-Clare.
– Nie sposób stwierdzić, które obrażenia są spowodowane wypadkiem, a które nastąpiły później. Niewykluczone, że upadek nie miał tu nic do rzeczy.
– I jeszcze na koniec powiedziałam mu, że go nienawidzę.
Edward patrzy na mnie.
– Tak się składa, że ja też – przyznaje.
Wycieram oczy wierzchem dłoni.
– Jednak coś nas łączy.
– Dobrze i to – stwierdza Edward, posyłając mi coś na kształt uśmiechu. – Poza tym on wie, że nie mówiłaś serio.
– Skąd ta pewność?
– Bo nienawiść to rewers miłości. Jak orzeł i reszka. Jeśli nie wiesz, co znaczy kogoś kochać, skąd możesz wiedzieć, czym jest nienawiść? Jedno nie istnieje bez drugiego.
Bardzo powoli wsuwam rękę pod jego dłoń. I nagle znów mam jedenaście lat, idę przez ulicę do szkoły. Z Edwardem nigdy nie patrzyłam na boki. Wiedziałam, że robi to za mnie.
Ścisnął moją dłoń, a ja ten uścisk odwzajemniam.
W dzieciństwie tata otulał mnie kołdrą i dmuchał, gasząc lampę, jakby wielka, niewidzialna świeca oświetlała mój pokój. Dopiero po latach zrozumiałam, że pstrykał włącznik i to nie on był źródłem całego światła.
W tej chwili czuję, jakbym to ja zdmuchiwała niewidzialną świecę, iskrę, która składa się na życie, a przynajmniej istnienie.
Jest Edward, nie zabrakło też tych samych pielęgniarek, lekarzy, opiekunki społecznej z prawniczką i koordynatorki od przeszczepów. Ale zgodnie z obietnicą przyszedł też Joe, i matka, bo ją o to prosiłam.
– Jesteśmy gotowi? – pyta lekarz z OIOM-u.
Edward patrzy na mnie; kiwam głową.
– Tak – mówi.
Trzyma mnie za rękę, kiedy odłączają respirator, morfina sączy się w żyłę ojca. Monitor za łóżkiem pokazuje ciśnienie tętnicze.
Kiedy urządzenie przestaje oddychać za ojca, skupiam uwagę na jego klatce piersiowej. Wznosi się i opada raz jeszcze. Nieruchomieje na chwilę. Po czym znów dwukrotnie wznosi się i opada.
Cyferki na monitorze lecą w dół jak akcje na giełdzie. Dwadzieścia jeden minut po rozpoczęciu procedury serce ojca przestaje bić.
Potem następuje najdłuższe pięć minut w moim życiu. Czekaemy, czy nie zacznie oddychać sam z siebie. Czy jego serce znowu nie zacznie bić.
Mama cicho płacze za mną. Edward ma łzy w oczach.
O godzinie siódmej pięćdziesiąt osiem stwierdzają zgon.
– Edwardzie, Caro – mówi Trina. – Musicie się pożegnać.
Pobranie narządów musi nastąpić niezwłocznie, więc nie ma chwili do stracenia. Ale przecież żegnałam się od wielu dni. To tylko formalność.
Podchodzę do ojca i dotykam jego policzka. Jest jeszcze ciepły i pokryty złocistym meszkiem zarostu. Dla pewności kładę mu rękę na sercu.
Dobrze, że wywożą go na salę operacyjną, bo nie wiem, czy czułabym się na siłach stąd

wyjść. Na zawsze zostałabym w tej sali, siedząc u jego boku, ponieważ gdy pielęgniarka da znak, więcej go nie zobaczę. Już nigdy nie będzie tuż obok. I nie zostanie mi nic prócz wspomnień.

Joe idzie z matką na korytarz i zostają tylko z Edwardem, w miejscu, gdzie stało łóżko. Puste miejsce na pamiątkę tego, co tracimy.

Najpierw zostawił mnie Edward i nie wiedziałam, jak odzyskamy równowagę. Byliśmy przecież stołem na czterech mocnych nogach. Na zawsze będziemy rozchwiani, myślałam, póki nie dotarło do mnie, że wystarczą nam trzy.

– Edwardzie – mówię. – Chodźmy do domu.

Wilki w Redmond wyły przez trzydzieści dni. Ludzie słyszeli je aż w Laconii i Lincoln. Od tego wycia dzieci płakały w kołyskach, kobiety szukały miłości z czasów szkolnych, a dorosłych mężczyzn nękały koszmary. Donoszono o pękających latarniach i rysach w chodniku. W naszym domu, oddalonym o osiem kilometrów, wycie brzmiało jak pogrzebowe requiem, aż włosy jeżyły się na głowie. Po czym któregoś dnia ustało. Ludzie przestali wyczekiwać go wraz z nadejściem księżyca. Przestali nucić jego melodię na świątłach.

Stało się tak, jak mówił ojciec: wilki wiedziały, kiedy zamiast szukać tego, co stracone, lepiej skupić się na tym, co nadejdzie.

LUKE

U wilków nie ma żałoby. Natura sprawia, że godzisz się z rzeczywistością. Możesz siedzieć i płakać, jeśli masz ochotę, ale przez to łatwo zginąć, bo tracisz czujność.

Widziałem, jak wilki przechodzą nad bratem, który zginął w czasie polowania, i idą dalej, nie patrząc za siebie. Słyszałem, jak przez cztery, pięć dni wołają zaginionego w nadziei, że wróci. Śmierć to zdarzenie. Jest, a potem trzeba żyć dalej.

Gdy ginie alfa, wraz z nim odchodzi mądrość stada, może ono rozpaść się w ciągu paru dni, jeśli nie znajdzie się nikt na jego miejsce. W takim wypadku następuje anarchia. Rodzina idzie w rozsypkę, ginie albo umiera z głodu.

Przetrwanie zwykle zależy od tego, ile jesteś wart. Jeśli ratowanie cię kosztuje stado za dużo czasu i energii, odmawiasz pomocy i dajesz za wygraną. Śmierć nie jest kwestią indywidualnego wyboru. Wszystko sprowadza się do potrzeb rodziny.

I dlatego, będąc wilkiem, przeżywasz każdy dzień, jak gdyby był ostatnim.

EPILOG

*Ponieważ siłą stada jest wilk,
A siłą wilka stado.*

Rudyard Kipling

BARNEY

Dziewiętnastolatek nie powinien stać nad grobem, ale ja stałem. Dializa trzy razy w tygodniu to nie przelewki. Traf chciał jednak, że lista rzeczy, których nigdy nie doświadczę, stała się listą priorytetów. W ciągu ośmiu miesięcy od przeszczepu nerki odwiedziłem Kair. Nauczyłem się jeździć na snowboardzie. I strzelać do tarczy.

Rodzice nie byli zachwyceni moim nieoczekiwanym pociągiem do wrażeń. Jak na ironię drżeli, że coś mi się stanie, po tylu latach życia na krawędzi. Ale czy mogłem żyć na pół gwizdka, jeśli otrzymałem drugą szansę?

Ale musiałem przyznać, że tym razem przesadziłem. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem – choć może na tym polega nauka orientacji w terenie. Słońce było za mną, a punkt zborny znajdował się gdzieś na wschodzie; nie wiedziałem nic więcej. Tak samo mogłem zawędrować do Saskatchewanu.

Było dosyć ciepło, ale któż mógł wiedzieć, jak będzie nocą, a szybko nadciągał zmrok. Nie miałem nawigacji, jedynie kompas i mapę topograficzną, która wyglądała jak linie papilarne i miałem z niej tyle samo pożytku. Nikomu z pozostałych uczestników nie przysłoby do głowy mnie szukać – wszyscy gadali po francusku, toteż po śniadaniu chwyciłem plecak i zapuściłem się solo do lasu.

Posłyszałem szmer strumienia i ruszyłem w jego stronę, przedzierając się przez zarośla. Na mapie nie było jednak śladu wody, czyli przepadłem. Usiadłem na brzegu i obracałem mapę na wszystkie strony, kiedy nagle poczułem na sobie czyjś wzrok.

Odwróciwszy się, zobaczyłem wilka. Patrzył na mnie.

Był olśniewający. Oczy miał miodowe, a pysk oprószony szarością. Kiedy przechylił głowę, wiedziałem, że chce mnie o coś zapytać.

Nigdy nie widziałem wilka, a co dopiero z tak bliska.

Dziwne: nie bałem się ani trochę.

Jeszcze dziwniejsze: zgubiłem się, a jednak czułem, jakbym już tutaj był. I jakbym doświadczał czegoś, co już kiedyś doświadczyłem.

Wilk wstał i zaczął oddalać się od strumienia. Po kilku krokach odwrócił się do mnie i usiadł. Następnie wstał, uszedł kawałek i znowu usiadł.

Wreszcie wstał i zniknął w zaroślach.

Poczułem, jakbym dostał obuchem w głowę. Zerwałem się, chwyciłem plecak i ruszyłem za nim. W życiu nie pragnąłem niczego tak, jak go dogonić. Czekał na mnie jakieś dziewięćdziesiąt metrów dalej.

Sądząc z położenia słońca, podążaliśmy na zachód – czyli w stronę przeciwną, niż powinienem. Wiedziałem, że nie znajdę drogi powrotnej.

Ale...

Nie mogłem oprzeć się myśli, że idę do domu.

PODZIĘKOWANIA

Mam szczęście, że otaczają mnie ludzie mądrzejsi niż ja, którzy dopomogli mi w zbieraniu materiałów do tej książki. Składam wyrazy wdzięczności doktorowi Jamesowi Bernatowi, który godzinami objaśniał mi typy pourazowych uszkodzeń mózgu, zawsze gotów do pomocy, ilekroć podsyłałam mu kolejne pytania. Dziękuję opiekunkom społecznym Nancy Trotter i Jane Stephenson, a także Seanowi Fitzpatrickowi oraz Karen Lord z banku narządów. Jon Skinder podał mi szczegółowe informacje co do kosztów leczenia w New Hampshire. Lise Iwon, Lise Gescheidt, Maureen McBrien i Janet Gilligan to moje czarodziejki z palestry; Jennifer Sargent nie tylko wskazała mi szereg kruczków prawnych, ale poznała z osobami pokroju Elizabeth Santon, która pomogła mi się w nich odnaleźć. Dziękuję Dougowi Irwinowi za zgodę na wykorzystanie fragmentu o różnicy pomiędzy marzeniami i celami.

Przy okazji wyliczania darów od losu muszę wspomnieć o wydawnictwie, które od ponad dziesięciu lat jest dla mnie jak dom (głównie za sprawą ludzi tam pracujących): Carolyn Reidy, Judith Curr, Sarah Branham, Kate Cetrulo, Caroline Porter, Chris Lloreda, Jeanne Lee, Gary Urda, Lisa Keim, Rachel Zugschwert, Michael Selleck oraz wielu innych. Dzięki nim stałam się pisarką, którą jestem obecnie, i to w dosłownym sensie. Cudotwórcy z promocji, David Brown, Ariele Fredman, Camille McDuffie i Kathleen Carter Zrelak – jesteście wspaniali, słowo daję. I Emily Bestler: tyle czasu minęło, a ja wciąż nie wiem, jak mam ci dziękować. Grunt, że czytamy sobie w myślach.

Laura Gross: drugi co do trwałości związek w moim życiu, zaraz po mężu. Jako agentka jest niesamowita. Dziękuję za zgodę na wykorzystanie tekstu o stole na trzech nogach.

Dziękuję mamie, Jane Picoult: być może wszystkie mamy czują się niedoceniane (Bóg jeden wie, że ja też). Lecz oto publiczny dowód, że z tobą jest inaczej. Dziękuję za bycie moją pierwszą czytelniczką i najwytrwalszym kibicem. I za powiedzenie mi, że tata nie mógł się oderwać w samolocie od części o wilkach.

Specjalne podziękowania dla Shauna Ellisa. Tworząc postać Luke'a Warrena – człowieka, który zamieszkał z wilkami w celu ich lepszego poznania – nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś taki istnieje. Shaun napisał wspomnienia zatytułowane *Żyjący z wilkami*, do których przeczytania namawiam gorąco was wszystkich. On i jego żona, doktor Isla Fishburn, biolog, zajmująca się ochroną środowiska, zaprezentowali mi w Devon swoje watahy, podzielili się swoją rozległą wiedzą i doświadczeniem na temat tych niezwykłych zwierząt oraz udzielili zgody na zapożyczenie fragmentów, które tchnęły życie w bohatera mojej powieści. Kerry Hood, mój brytyjski wydawca, była tak miła i zawiozła mnie i mojego syna Jake'a do Combe Martin.

Nigdy nie zapomnę, jak Shaun uczył naszą trójkę wycia, i jakie to uczucie doczekać się odpowiedzi stada. Jest cudownym rzecznikiem swoich wilczych braci, a więcej informacji na temat jego ośrodka znajdziecie poniżej.

Na koniec jak zawsze chciałabym podziękować własnemu stadu: mojemu mężowi Timowi oraz dzieciom, Kyle'owi, Jake'owi i Samancie. Jak w przypadku wilków, bez was byłabym niczym.

OD AUTORKI

Osoby zainteresowane wilkami i działalnością Shauna Ellisa odsyłam na stronę www.thewoldcentre.co.uk. A jeśli chcecie dowiedzieć się czegoś o prawdziwym (szczęśliwie całym i zdrowym) Luke'u Warrenie, polecam też jego książkę pod tytułem *Żyjący z wilkami*.

Więcej informacji na temat przekazywania narządów znajdziecie pod adresami www.oswiadczeniewoli.com oraz www.dawca.pl.

¹ Szef wszystkich szefów.

² Niewinny – *not guilty*.

³ Twizzler – rodzaj długich, skręconych żelków o różnych smakach.

⁴ Helen Bedd – brzmi jak „Hell in Bed”, „demon seksu”.